

BERNARD
MINIER

Pierwszy tom nowej serii
z porucznik Lucią Guerrero

LUCIA



BERNARD

MINIER

LUCIA

Przełożyła
Monika Szewc-Osiecka



Dom Wydawniczy REBIS

Noc, ten pies czarny, spieszy w ślad za białą łanią dnia.

Swinburne ¹

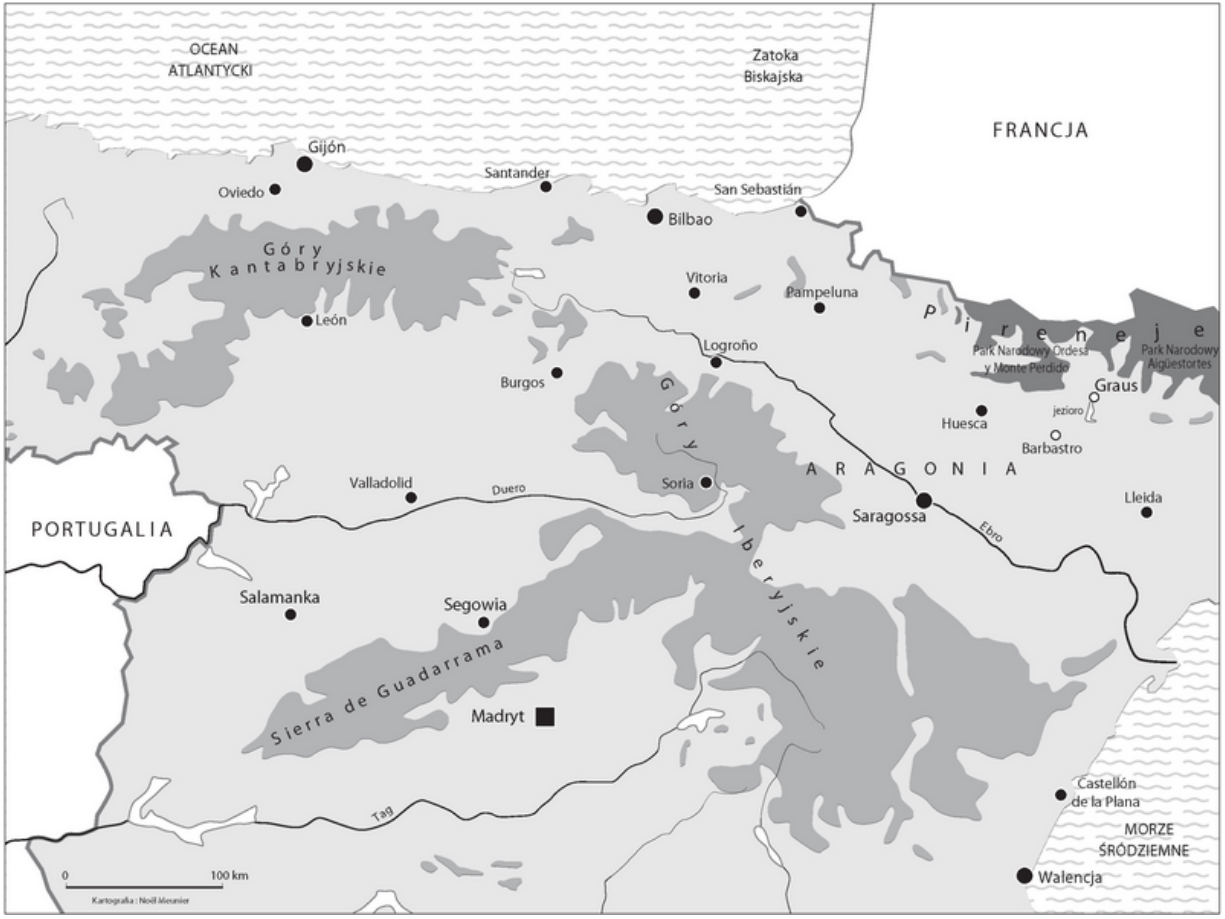
*Było po północy, jak mówią dawne historie,
kiedy cichą, uśpioną ziemię spowijały ciemności,
kiedy żywi wyglądali jak trupy, a zmarli opuszczali groby.
Godzina, w której czasem rozbrzmiewają straszliwe głosy
i słycać bezkształtne, stłumione kroki.
Godzina w której wśród ciemności błędzą przerażające duchy,
A psy wyją, strwożone ich widokiem.*

José de Espronceda, *Student z Salamanki* ²

Nie wierzę w nic: ani w dzień, ani w ciemności.

Thirty Seconds to Mars, *100 Suns*

1. Ch. Swinburne, *Atlanta w Kalydonie*, przeł. Jan Kasproicz, W.L. Anczyc i Spółka, Lwów 1907. [[wróć](#)]
2. Przekład z języka francuskiego Monika Szewc-Osiecka. [[wróć](#)]





Prolog

Błyskawice.

Grzmot.

Burza.

Zaparkowała u stóp pagórka i wysiadła z auta. Kiedy znalazła się na zewnątrz, poczuła się tak, jakby rekwizytor na planie filmowym wylewał jej na głowę wodę z wiadra. Nie naciągnąwszy nawet kaptura, ruszyła w stronę samochodów, których pulsujące niebieskawe światła przebijały się przez ścianę deszczu. Z rykiem syren zajeżdżały inne oznakowane toyoty RAV4. W pośpiechu nie zabrała ze sobą ani parasola, ani nieprzemakalnej kurtki. Kiedy dotarła na miejsce, była przemoczona: woda ściekała jej za kołnierz, spływała po czarnej kamizelce taktycznej z plaketką, na której widniał skrót UCO.

UCO, czyli Unidad Central Operativa. Główna Jednostka Operacyjna, elita służb kryminalnych w Guardia Civil, Straży Obywatelskiej. Młoda kobieta wzniosła wzrok ku niebu, czarnemu jak węglowy pył. Choć był środek popołudnia, było bardzo ciemno i wszystkie wozy miały włączone światła.

Lucia zamruwała, ponieważ deszcz zalewał jej oczy. I wtedy je zobaczyła. Na szczycie wzgórza. Trzy wysokie, ciemne krzyże – pośrodku Chrystus, a po bokach dwaj łotrowie.

– Ten z prawej – powiedział sierżant stojący w strugach deszczu.

Na jego twarzy malowało się przerażenie, które ogarnęło go na widok sceny na wzgórzu. Lucia miała to jeszcze przed sobą. Kalwarie – w Galicji, na zachodzie kraju, były ich tysiące. Ale to nie była Galicja: znajdowali się zaledwie trzydzieści kilometrów na północny zachód od Madrytu. W szarym polu. Z dala od wszelkich ludzkich siedzib.

Lucia podążyła wzrokiem we wskazanym kierunku. Krzyż po prawej. Nie było potrzeby specjalisty, by mimo ściany deszczu stwierdzić, że ten krzyż różni się od pozostałych. Nawet z daleka widziała, że podczas gdy znajdująca się pośrodku rzeźba Chrystusa i figura łotra po lewej pociemniały przez wiele wieków niepogody, postać z prawej była znacznie jaśniejsza: niemal woskowo blada.

Kobieta zaczerpnęła powietrza i ruszyła w górę stromego zbocza po miękkiej, grząskiej ziemi, której ciężkie grudy od razu zaczęły jej się lepić do butów. Woda obmywała jej twarz, ściekała z włosów, po szyi i wzdłuż kręgosłupa niczym strumień skaczący z jednego kamienia na drugi.

Nagle poczuła głuchoe walenie serca: wielkie krzyże zdawały się zstępować ku niej. Atramentowe niebo przeszywały dziesiątki rozbłysków. Tuż przed nią przesuwały się białe cienie: to technicy w kombinezonach pobierali próbki i szukali śladów, których nie zniszczyła ulewa.

Szła trasą wytyczoną za pomocą jasnej taśmy, pośród spływających z góry strużek wody. Padało tak mocno, że aby dokładnie zobaczyć figurę – tę jaśniejszą od dwóch pozostałych – musiała podejść jeszcze bliżej, pokonując kolejne zasłony deszczu.

Spojrzała. Ten widok przypomniał jej inny obraz i poczuła lodowaty dreszcz. Kiedy dotarło do niej, co ma przed oczami, otworzyła usta i wydała z siebie niemy krzyk. Nie, to niemożliwe! To nie może być on.

Deszcz nie ustawał. Nieustępliwy, rześisty, zacinający. Lucia drżała. Była zdyszana, po wspinaczce powinno jej być gorąco, ale czuła zimno. Przenikało aż do kości, do krwi.

Postać, którą miała przed sobą, rozpostarta kilka metrów wyżej, pod deszczowym niebem, nie była wyrzeźbiona. To był człowiek. Ktoś, kogo znała. Jej kolega z pracy, przyjaciel, partner: sierżant Sergio Castillo Moreira. Trzydzieści pięć lat. Żonaty, ojciec dwóch małych dziewczynek. Dobry glina. I z tego, co wiedziała, dobry ojciec.

Deszcz siekł nagie, mokre ciało, bladą skórę, elegancki zarys mięśni. Mimo woli zwróciła uwagę na niestosowny szczegół: woda kapała z jego penisa jak z kranu. Sergio wisiał między niebem a ziemią, lewitując ponad pagórką ewidentnie wbrew prawom fizyki. A jednak to właśnie widziała: nagie ciało, które samo utrzymywało się w powietrzu.

Ktoś zdjął rzeźbę, która mokła teraz w błocie twarzą do ziemi, i zastąpił ją skatowanym ciałem Sergia. Drabina leżała obok. Z rozkrzyżowanymi ramionami i głową odchyloną do tyłu Sergio zwracał twarz ku czarnemu niebu, jakby błagając o łaskę, która nie nadeszła.

Ktoś – mężczyzna? kobieta? – wielokrotnie wbił mu w serce śrubokręt, z niesłychaną siłą, jakby chciał je rozsadzić: między mostkiem a lewym sutkiem widać było wiele głębokich ran, a z jednej z nich wciąż wystawał uchwyt śrubokrętu.

Wszechświat jest pełen tajemnic, pomyślała Lucia. Masa samego Słońca to dziewięćdziesiąt dziewięć procent masy całego Układu Słonecznego; w przestrzeni kosmicznej panuje absolutna cisza; na każdego człowieka żyjącego na Ziemi przypada jeden i sześć dziesiątych miliona mrówek; jedno z najstarszych dzieł literackich ludzkości nosi tytuł *Epos o Gilgame-szu*, zostało spisane na glinianych tabliczkach, a jego główny bohater już wtedy miał obsesję na punkcie śmierci. O tym wszystkim Lucia wiedziała od swojego młodszego brata Rafaela. Ale ta tajemnica – tajemnica okrucieństwa, absolutnego zła – była dla niej największa, najbardziej niepojęta ze wszystkich.

Poczuła, jak zbiera jej się na wymioty. Zmusiła się jednak do patrzenia na ten przechodzący wszelkie pojęcie straszliwy spektakl. Nie było żadnego gwoźdźca, żadnej liny, które utrzymywałyby ciało na krzyżu. Niemożliwe. Zdawało się trzymać w powietrzu wyłącznie siłą własnej woli. Ale przecież nie miało już woli: było martwe. Co więc się za tym kryło?

Wreszcie ustawiono rusztowanie, by zdjąć zwłoki: lśniące rurki i metalowe płyty dzwięczały, uderzając o siebie. W poświacie reflektorów deszcz rozbijał się w białawą mgłę. Odwróciła się do jednego z techników, który stał obok niej.

– Jak on się trzyma?

– Dziwne, prawda? – szepnął jegomość odziany w biały kombinezon astronauty, o który stukały krople deszczu. – Żadnych lin ani mocowań, a jednak wisi. Ten, kto to zrobił, to naprawdę jakiś opętaniec.

– Wszyscy oni są opętani – odparowała, rozdrażniona jego uwagą. – A więc?

– Klej.

– Co?

– Ktoś posmarował jego plecy, pośladki, łydki, wierzch dłoni, tył ramion i głowy jakimś megamocnym klejem. Taaak... Zanim klej związał, na pewno przymocowano go do krzyża jakimiś linami, może kablem, dowiemy się: na ramionach, nadgarstkach, klatce piersiowej, czole i kostkach widać dość głębokie ślady. I na pewno zrobiono to, zanim się rozpadło. Operacja zajęła najwyżej kilka minut, ale trzeba było do niej cholernej siły. A skóra, niezależnie od tego, czy została stworzona przez Boga czy przez miliony lat ewolucji, począwszy od pierwszego mikroorganizmu jednokomórkowego, to wspaniałe osiągnięcie inżynierii genetycznej: estetyczna, a zarazem elastyczna i wystarczająco odporna, by utrzymać ciało w pozycji, w której je przyklejono.

– Chryste – jęknęła.

Zgięła się wpół. Oparła dłonie na udach i oddychała głęboko, by przezwyciężyć mdłości. Wreszcie się podniosła.

Ulotny obraz: ona i sierżant Moreira całujący się w szatni w ostatniego sylwestra, Lucia delikatnie go odpycha, mówiąc: „Sergio, nie”. Pracują razem, Lucia zna jego żonę, córki. Z sąsiedniej sali dochodzi muzyka, radosne krzyki. Mężczyzna ładnie pachnie mydłem i wodą toaletową, a jego usta mają przyjemny smak tytoniu, gumy do żucia i pasty do zębów. Pragnie jej, a ona pragnie jego. Ale mówi „nie”.

Nagle się wzdrygnęła. Pomyślała, że jej się zdawało, i jeszcze raz spojrzała na blady tors. Spływające po nim strużki wody migotały, odbijając światło reflektorów. Zobaczyła to po raz kolejny: klatka piersiowa jej kolegi raz za razem się podnosiła. Mój Boże! Najwyraźniej śrubokręt nie do końca spełnił swoje zadanie.

Odwróciła się w stronę osób znajdujących się na wzgórzu:

– ON ŻYJE! – krzyknęła. – ON ŻYJE! ON ŻYJE!

Mężczyzn w białych kombinezonach zastąpili lekarz i dwóch ratowników. Stojąc na rusztowaniu, trzy metry nad ziemią, uwijali się przy ciele. Deszcz grał na aluminiowych rurkach jak na ksylofonie. Wszędzie rozlegały się krzyki, nawoływania, tupanie.

– Kurwa, jak go odkleić, żeby nie oderwać skóry? – wyszczekał jeden z mężczyzn.

– Jest świadek – zwrócił się w tym samym momencie do Lucii kapitan Peña, jej szef w UCO.

Podszedł do niej. Odwróciła głowę, by na niego popatrzeć. Kapało mu z wąsów.

– Świadek?

Wzruszył ramionami.

– Raczej podejrzany.

Zmarszczyła brwi.

– To świadek czy podejrzany?

– Taki jakby... spacerowicz. Był tutaj, kiedy przyjechał patrol. To on zawiadomił policję. Mówił, że widział, co się stało. I tego, kto to zrobił. Że wszystko widział. Ale bał się interweniować. Sądzymy, że to on jest sprawcą.

Wyprostowała się. Miała ponurą minę.

– A na jakiej podstawie tak sędzicie?

– Zrozumiesz, kiedy go zobaczysz.

Zawahała się, spojrzała na medyków krzątających się wokół Sergia na rusztowaniu. W tej chwili nic nie mogła zrobić.

– Chcę go zobaczyć natychmiast – oświadczyła.

Ruszyli w dół ku samochodom, ostrożnie, by się nie poślizgnąć. Lucia czuła, że przemoczone nogawki kleją jej się do kostek, a trampki Chuck Taylor są ciężkie od błota.

Stał oparty o samochód między dwoma funkcjonariuszami Guardia Civil. Błada skóra, pociągła twarz, szpiczasty podbródek, brwi i włosy niemal białe. Około trzydziestki. Lucii natychmiast rzuciły się w oczy plamy krwi na pomarańczowych ogrodniczkach.

Kiedy podeszła bliżej, podniósł wzrok. Wielkie oczy dziecka o jasnych tęczęwkach i czerwonych powiekach. Odruchowo złapałaby go za kołnierz, ale się powstrzymała.

– Ty to zrobiłeś?

Zatrzepotał rzesami, żeby strząsnąć z nich krople deszczu. Uśmiechnął się uśmiechem szaleńca: na ten widok Lucia miała ochotę walnąć jego głową o maskę. A potem pokręcił głową.

– Nie, to On. Widziałem go.

– Co za on?

– O rany, no On...

Nagle z góry usłyszała krzyk:

– TRACIMY GO!

Spojrzała w stronę szczytu. Cholera! Ruszyła biegiem w górę zbocza. Poślizgnęła się, złapała równowagę i biegła dalej.

– Nie, nie, nie! Kurwa, nie!

Podciągając się na metalowych rurkach, weszła na rusztowanie.

– Hej! – rzucił w jej stronę jeden z ratowników. – Co pani robi? Proszę zejść! To nie udźwignie tylu osób!

Lucia go zignorowała. Wczołgała się na niewielką, drżącą platformę. Lekarz prowadził energiczny masaż serca, co na mokrym, umieszczonym w pozycji pionowej ciele zdecydowanie nie było łatwe. Do klatki piersiowej Sergia były przyklejone elektrody, ale Lucia wiedziała, że wilgoć może fałszować wynik pomiaru czynności serca.

Medycy popatrzyli na nią poirytowani. Jeden z nich trzymał w dłoniach defibrylator.

– Na co czekacie? – zapytała zniecierpliwiona. – No już! Walcie!

– Nie możemy! – odparł lekarz, nie przestając uciskać klatki piersiowej Sergia. – Przy tym deszczu, na metalowej powierzchni, mogłoby nas wszystkich porazić! A jemu nijak by nie pomogło.

– Niech mi pan to da! Nie będę bezczynnie czekać, aż umrze!

Lucia, jako osoba leworęczna, próbowała chwycić urządzenie lewą ręką, ale mężczyzna trzymał je mocno.

– Niech pani przestanie! Pani jest nienormalna! To nic nie da!

– Proszę pani, robimy wszystko, co w naszej mocy – zaprotestował drugi ratownik.

– Powiedz jej, żeby zeszła z rusztowania albo skończę masaż – zwrócił się lekarz do kolegi. – Ma stąd zejść! Natychmiast!

Po chwili wahania Lucia zeszła na dół. Gość miał rację. Nic tu po niej.

Przez kolejne trzydzieści minut trzej mężczyźni nieprzerwanie prowadzili resuscytację krążeniowo-oddechową.

Deszcz nie ustawał. Lucia nie była w stanie oderwać wzroku od bladego ciała.

– Nie żyje. To koniec.

Zeszli z rusztowania. Jeden za drugim, ze spuszczoneymi głowami. Prawie natychmiast ich miejsce zajęli astronauta w białych kombinezonach.

Poczuła konwulsyjne drgawki w rękach i nogach. Cała się trzęsała. Mdłości nadeszły tak szybko, że ledwie zdążyła się pochylić, gdy do gardła pod-

szedł jej palący kwas, a na ziemię chlusnął obfity potok złożony z jej ostatniego posiłku zmieszanego z żółcią.

CZĘŚĆ PIERWSZA

LUCIA

PONIEDZIAŁEK WIECZÓR

Porucznik Lucia Guerrero obejrzała dowód osobisty zatrzymanego. Gabriel Agustín Schwartz, lat trzydzieści dwa, urodzony 18 marca 1987 roku w Maladze, zamieszkały w Madrycie przy calle San Jerónimo. Podniosła wzrok. Jasne, prawie białe włosy, blada, pociągła twarz, bezbarwne rzęsy.

Miał szeroko otwarte, niespokojne, jasne oczy, którymi spoglądał to na prawo, to na lewo, zbyt czerwone i jakby zbyt... *wilgotne* wargi.

– Gabriel Schwartz – zaczęła.

Popatrzył na nią.

– A nie, to nie ja. Nie mam na imię Gabriel.

Uniosła brew.

– A jak?

– Ivan.

– Ivan? I jak dalej?

– Ivan.

– W takim razie kim jest Gabriel?

– Kim innym.

Utkwiła w nim spojrzenie. Jej lewa noga konwulsyjnie podskakiwała pod stołem. Poruszała się tak, od chwili gdy Lucia usiadła naprzeciw niego. RLS: zespół niespokojnych nóg.

– No dobrze, hm... Iwanie. Jesteś oskarżony o zabójstwo sierżanta Moreiry. – Przy tych słowach poczuła skurcz żołądka. – Rozumiesz?

– To nie ja – oświadczył stanowczo Gabriel, przygryzając wargę. – Ja nic nie zrobiłem.

– Przypominam pani, że dopóki nie ma dowodów jego winy, mój klient jest w tej sprawie zwykłym świadkiem – wtrącił się wypomadowany adwokat siedzący obok zatrzymanego.

Spojrzała na blondyna, następnie na adwokata i znowu na blondyna, który wielkimi jak u dziecka oczami rozglądał się po pomieszczeniu.

– Wszędzie są twoje odciski palców: na ciele, na krzyżu, na drabinie, na narzędziu zbrodni. Na ubraniach masz krew ofiary.

– To nie ja.

Był przerażony. Nie wyglądał na zabójcę.

– A więc kto?

– Ricardo.

– Kim jest Ricardo?

– To ktoś bardzo zły.

– Ach tak?

– Tak.

Próbowała zignorować ślady zaschniętej krwi na jaskrawopomarańczowych ogrodniczkach. Podobnie jak odcisnięty w pamięci widok ukrzyżowanego Sergia w strugach deszczu.

– Skąd wiesz, że to on?

– Bo mi powiedział.

Wzdrygnęła się.

– Ricardo powiedział ci, że go zabił?

– Pani porucznik – wtrącił się adwokat z urzędu – zważywszy na, że tak powiem, stan mojego klienta, prosiłbym, żeby nie brała pani pod uwagę tej ostatniej wypowiedzi.

– To ja tutaj decyduję, mecenasie – odpowiedziała twardo. – Posłuchaj, Gabrieli...

– Nie mam na imię Gabriel, tylko Ivan.

Nazywał się Gabriel Schwartz. Może na Tinderze nie miał wielu par, ale w kartotekach Guardia Civil jego nazwisko pojawiała się wielokrotnie w związku z kradzieżami w sklepach i handlem środkami psychoaktywnymi. Nigdy nie siedział w więzieniu, za to w placówkach psychiatrycznych – wielokrotnie. Zawsze mieszkał z matką. Po raz ostatni był w szpitalu w lutym, po jej śmierci. Skontaktowali się z jego psychiatrą: już był w drodze.

Lucia przeszła do sąsiedniego pomieszczenia, w którym jej kolega Arias i jej szef Peña oglądali przesłuchanie na monitorze. Skinęła na Ariasa.

– Dawaj, twoja kolej.

– Wierzysz w tę jego zmianę osobowości? – zapytał sceptycznie kolega.
– Wygląda na totalnego czubka, ale może się zgrywa?

Sierżant Arias miał lekkiego zeza rozbieżnego. Kiedy jednym okiem patrzył w prawo, drugie uciekało nieco na lewo i w efekcie w każdym z nich światło odbijało się inaczej. Wyglądał przez to dziwnie, tak że przesłuchiwane osoby czuły się przy nim nieswojo. Arias często z tego korzystał. Lucia zauważyła, że efekty prowadzonych przez niego przesłuchań były wyraźnie powyżej średniej.

Pokręcił głową. Wyszedł, a następnie pojawił się w pokoju o szarych ścianach, oświetlonym zbyt mocną jarzeniówką.

Lucia i Peña – oficer kierujący w UCO grupą zabójstw, porwań i wyłudzeń – obserwowali go na ekranie. Peña – zadbany pięćdziesięcioletniak o wyglądzie dobrego ojca rodziny, z pięknym, starannie wypielęgnowanym wąsem. Jeden z najlepszych ludzi działających w terenie, jakich знаła, a znała ich wielu: Guardia Civil liczyła osiemdziesiąt cztery tysiące funkcjonariuszy, a UCO, która była niejako głównym wydziałem policji kryminalnej – około czterystu.

– Dzień dobry, Gabrielu – rozległ się głos Ariasa w głośnikach rozmieszczonych po obu stronach monitora.

Zobaczyli, jak mężczyzna siada naprzeciw blondyna.

– Ej, panie władzo – odpowiedział z przekorą damskim głosem aresztant. – Niech pan będzie poważny! Przecież widać, że nie jestem Gabrielem, prawda?

Schwartz zachichotał, wsuwając za ucho kosmyk włosów. Skrzyżował nogi, wyprostował plecy i położył dłonie płasko na kolanach.

– A jak masz na imię? – zapytał Arias zbity z tropu.

– Jestem Marta. Podobają mi się pana oczy, panie sierżancie. Są piękne.

Na widok nagłej zmiany w fizjonomii Gabriela Lucię wbiło w fotel. Miała niemal wrażenie, że patrzy na kobietę.

– Co to za cyrk? – zdenerwował się Peña.

– Hm, Marto. Wiesz, dlaczego tutaj jesteś?

– Przecież pan widzi, że mój klient nie jest w stanie odpowiadać na pańskie pytania – wtrącił się adwokat. – Żądam, żeby niezwłocznie przebadał go psychiatra.

– Dlaczego tutaj jestem? Nie mam zielonego pojęcia – wyznał Gabriel alias Marta, puszczając mimo uszu interwencję swojego obrońcy. – Ale

zakładam, że mi pan powie, panie sierżancie.

– Ja pierdolę! – szepnęła Lucia, cała w nerwach.

Zaciskała zęby tak mocno, że rozbolała ją żuchwa. Przecież nie będą się tak bawić godzinami. Sama szybciej zmusiłaby go do mówienia.

– Jestem pewna, że symuluje – stwierdziła.

– Możliwe – ostudził ją Peña. – Ale dopóki nie porozmawiamy z psychiatrą, musimy grać w jego grę. Inaczej wyrucha nas każdy adwokacina, kumasz? Psychiatra jest w drodze?

– Tak, niedługo tu będzie.

– Ile masz lat, Marto? – rozległ się głos Ariasa.

– A ile by mi pan dał? – zapytała figlarnie „Marta”.

– Czy wiesz, kto zabił sierżanta Moreirę?

– Tak. Ricardo.

– Znasz tego Ricarda?

– No oczywiście, że go znam, wszyscy go znamy. Nie jest dobry. Jest zły. Nie lubię go. I się go boję.

Lucia musiała przyznać, że przekonanie, z jakim „Marta” szkicowała portret Ricarda, było dość niepokojące.

– Czy możesz mi powiedzieć coś więcej na jego temat? – zaproponował Arias.

– Nie, nie chcę.

– A to dlaczego?

– Boję się go.

– Dlaczego się go boisz?

– Wszyscy się go boją.

– Jest aż taki zły?

Lucia była poruszona strwożoną miną Schwartza.

– Przeraza mnie ten gość – stwierdził Peña półgłosem, wstając.

Była zaskoczona. Jej szef raczej nie ulegał sugestiom. Był twardzielem. Stara szkoła. Miał do czynienia z najgroźniejszymi hiszpańskimi bandytami. Ale zmiany osobowości u Schwartza wytrąciłyby z równowagi największego stoika.

– Wiesz, gdzie on jest? – zapytał Arias.

Schwartz wiercił się nerwowo na krześle. Przez jego twarz raz po raz przebiegały tiki.

– A skąd miałabym wiedzieć?

– Nigdy ci nie powiedział, gdzie mieszka?

Blondyn wzruszył ramionami.

– Pff, mieszka tutaj, jak cała reszta – odparł głosem Marty, stukając palcem wskazującym we własną skroń. – A gdzie niby ma mieszkać?

– Marto, opowiedz mi o Ricardzie, to ważne – nalegał Arias.

Lucia zobaczyła, że Schwartz energicznie potrząsnął głową, przygryzł wargę i z całej siły zacisnął powieki. Po chwili otworzył oczy.

– Proszę, niech pan nam nie robi krzywdy.

– Co? – zapytał Arias, zbity z tropu.

– Niech pan nic nie mówi Ricardowi. Proszę pana. On nas skrzywdzi. Proszę, proszę, proszę!

Cholera, głos dziecka. Nawet jego twarz wyglądała teraz bardziej dziecinnie. Dość tego, pomyślała.

– Przejmuję go – oświadczyła.

Peña odwrócił się do niej.

– Jesteś pewna? Nie powinnaś się tak angażować. Normalnie nie powinienem cię nawet dopuścić do tego przesłuchania, wiesz o tym. Jesteś zbyt związana emocjonalnie. To był twój partner.

– Właśnie. – Wyszła na korytarz, otworzyła sąsiednie drzwi i weszła do pomieszczenia. – Wystarczy – odezwała się do Ariasa.

– Jesteś pewna?

– No przecież mówię, idź już!

– Pani porucznik... – wtrącił się adwokat.

– Zamknij się, mecenasie.

Podniosła głos. Arias wstał i wyszedł bez słowa.

– Może pani być pewna, że to zostanie odnotowane – oburzył się adwokat, cały purpurowy.

Chłopiec, w którego zmienił się Gabriel Schwartz, przyglądał jej się zdziwiony, jakby widział ją po raz pierwszy.

– Chcę rozmawiać z Martą – powiedziała.

Blondyn się wyprostował. Na jego twarz powrócił ckliwy uśmiech. Rozejrzał się dookoła, omiatając wzrokiem podłogę, sufit i ściany.

– Kochana, a widzisz tu kogoś innego? – zagruchał głosem Marty.

Oczyrna wyobraźni Lucia ujrzała nagie, ociekające wodą ciało Sergia na krzyżu. Z wściekłości zbieleły jej wargi. Zrobiła głęboki wdech.

– Ja też znam Ricarda – odezwała się prowokująco. – Nie tylko ty go znasz, Marto.

„Marta” rzuciła jej pogardliwe spojrzenie.

– Pfff, kłamiesz. Nie znasz Ricarda.

– Ależ znam.

– Nie wierzę ci! Boli mnie głowa... Macie coś na migrenę?

– Nie masz obowiązku mi wierzyć. Ale znam go, zapewniam cię. Nie jest taki groźny, jak mówisz.

Schwartz znowu wzruszył ramionami.

– Pfff, bzdury. Widać, że go nie znasz. Inaczej nie mówiłabyś takich rzeczy.

– Ten twój Ricardo zgrywa twardziela, ale to tchórz.

Schwartz zamrugął nerwowo. Z niepokojem rozejrzał się dookoła.

– Zamknij się! Oszalałaś? On tu przyjdzie, jeśli to usłyszysz!

– Niech przyjdzie. Powtórzę mu to samo. Ale nie przyjdzie. A wiesz dlaczego? Bo jest silny tylko wobec takich słabeuszy jak ty. Twój Ricardo to cykor.

– Zamknij się! Moja głowa – jęknęła Marta. – Dajcie mi coś, o rany, jak mnie boli...

Lucia poczuła, jak włosy na rękach stają jej dęba. Schwartz trzepotał powiekami. Drżał, a jego wargi poruszały się, tak jakby mówił do siebie, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Wyprostowała się na krześle.

– Marta?

Żadnej odpowiedzi. Zerknęła na kamerę. Jeśli ten świr spróbuje jakiejś sztuczki, przywali mu lewym sierpowym i natychmiast zaczną się kłopoty.

Blondyn miał zamknięte oczy. Spojrzała na niego. Jego twarz była teraz bez wyrazu. Woskowa maska. Jakby spał. Nagle otworzył oczy, a ona aż podskoczyła. Jego tęczyówki lśniły tak twardym, zwierzęcym blaskiem, malowała się w nim taka wściekłość, że Lucia zeszywniała.

– Wiesz, kim jestem? – odezwał się wyniośle niskim, głębokim głosem.

Zawahała się.

– Ricardo?

PONIEDZIAŁEK WIECZÓR

– A ty? Kim jesteś?– zapytał Schwartz tym samym niskim głosem.

Lucia była oszołomiona tą zmianą. Zmieniły się nie tylko głos i spojrzenie Schwartza, ale cała jego osoba: wydawał się wyższy, silniejszy. Zajmował jakby więcej miejsca.

– Zdaje się, że nazwałaś mnie tchórzem.

Poczuła intensywniejsze pulsowanie krwi w tętnicy szyjnej. Osobnik, którego miała przed sobą, był z całą pewnością zdolny do przemocy.

– Specjalnie wydobyłam cię na powierzchnię – odparła.

– Jak to?

– No wiesz, te zmiany osobowości...

Stapała po kruchym lodzie. Pochylił się do przodu i patrzył na nią gniewnie. Widziała jego napięte mięśnie. Modliła się, żeby Peña nie zakończył przesłuchania przed czasem. Schwartz uśmiechnął się szyderczo.

– Masz mnie za wariata, tak?

– Nie, ale...

– Mój klient musi porozmawiać z psychiatrą – nalegał adwokat.

– A ty się zamknij. Gówno wiesz, więc się zamknij – zgromił go „Ricardo”. – Masz mnie za wariata? – powtórzył, zwracając się do Lucii.

Spojrzała mu w oczy.

– To ja tutaj zadaję pytania.

Oczy Schwartza pociemniały z gniewu. Wręcz fizycznie czuła intensywność jego spojrzenia. Atmosfera w pomieszczeniu stała się tak gęsta, że nie dało się oddychać. A potem, równie nagle, mężczyzna się rozluźnił i opadł plecami na oparcie. Sonduje mnie, pomyślała.

– To ty zabiłeś sierżanta Moreirę?

– Tego gościa na krzyżu? Taaa... Zabiłem go. Okropnie łało. Prawdziwy wodny poniedziałek. No tak, zabiłem go. To znaczy: i tak, i nie.

Mówił obojętnym głosem. Z trudem powstrzymała chęć, by trzasnąć go z łokcia.

– Tak czy nie?

– To nie takie proste – odpowiedział „Ricardo”.

– Wyjaśnij mi.

– Nie jestem pewien, czy chcę.

– Nie wyjdiesz stąd, jeżeli tego nie zrobisz.

Zobaczyła wściekłość w jego oczach. Jego twarz była teraz bardziej wyrazista.

– Nawet nie znałem tego gościa. Nigdy wcześniej go nie spotkałem. Zrobiłem to, bo ktoś mi kazał.

Jeszcze jeden ktoś, pomyślała. Powstrzymała westchnienie.

– Ktoś? Jedna z twoich osobowości?

– Nie, nie. Ktoś inny. Spoza. Nie ze środka. Z zewnątrz.

Lucia poczuła, jak jej ciało pokrywa się gęsią skórką. Teraz ona pochyliła się do przodu.

– Kto to jest ten ktoś nie ze środka?

Cisza. Nagle „Ricardo” pochylił się w jej stronę tak szybko, że musiała się powstrzymać, żeby się nie cofnąć, a adwokat podskoczył na krześle. Dzieliło ich teraz mniej niż czterdzieści centymetrów. Za mało. Peña zaraz zakończy przesłuchanie. Albo adwokat. Albo psychiatra, jeżeli przyjechał.

Musiała się śpieszyć. Widziała w jego oczach tańczący blask jarzeniówki. Tęczówki Schwartza zrobiły się kompletnie czarne, jak morska woda, na której rozlała się plama ropy. Lucia czuła dudnienie krwi w uszach. Zanurzyła się w tej czerni, jakby skakała z klifu w toń oceanu.

– Kto to jest ten ktoś z zewnątrz?

Uśmiech. Drwiący. Ostry jak brzytwa. Schwartz spojrział na nią. Lucia wiedziała, co widzi jej rozmówca, ponieważ widziała swoje odbicie w jego oczach: kobieta około trzydziestki, szczupła, ubrana na czarno. Czarne dżinsy, czarny T-shirt, czarna skórzana kurtka. Ładna twarz świadcząca o mieszance genów – rosyjskich po matce, kastylijskich po ojcu. Ciemnobrązowe oczy podkreślone złotym cieniem, długie rzęsy i lśniące czarne włosy, prosta grzywka sięgająca do brwi, niczym kurtyna zaciągnięta na czoło. Ale żeby ją zrozumieć, musiałby odczytać jej ciało. Trzyńście tatuży. Czaszki, róże, drut kolczasty, wypisane kursywą zdania, rzymskie cyfry.

„Ricardo” wpatrywał się w nią łapczywie. Przypominał jej kameleona, który zbliża się do owada, żeby go zgarnąć swoim wielkim jęzorem. Zresztą właśnie zwilżył wargi czubkiem języka.

– Kto jest „na zewnątrz”, Ricardo?

Jeszcze jedno mroczne spojrzenie w jej stronę. Siedzący obok niego adwokat nie zaprotestował, ale widziała niepokój w jego oczach.

– Co?

– Wiesz, jak się nazywa?

Schwartz zaśmiał się głośno, ale natychmiast spoważniał.

– Za kogo ty mnie, do cholery, masz? I za kogo uważasz siebie? Nie jestem kapusiem. – Podniósł głowę i spojrzał w kamerę. – Koniec rozmowy. Chcę innego adwokata. I zabierzcie stąd tę kurwę, zanim ją zabiję.

PONIEDZIAŁEK WIECZÓR

- Myślisz, że to któraś z jego osobowości? – zapytał Peña.
Zobaczyła, że nad jego wąsem lśni pot.
- Nie sądzę. Myślę, że ktoś z nim był.
 - Na wzgórzu nie było innych śladów.
 - Ulewa musiała je zmyć. Trzeba by było nadludzkiej siły, żeby w pojedynkę wciągnąć Sergia na krzyż.
 - Hmm... wydaje mi się, że osobowość o imieniu Ricardo byłaby do tego zdolna.
- Rzadko kiedy widywała, by jej szef był tak zbity z tropu.
- Według „Ricarda” ktoś inny kazał mu to zrobić. Wierzycie mu? – wtrącił się Arias.
 - Dajcie spokój – powiedział Peña. – Wicie tak samo dobrze jak ja, że oskarżeni zawsze zwalają winę na inną osobę. Nad czym Sergio ostatnio pracował?
- Jakby nie wiedział. Mieli na tapecie dwadzieścia spraw jednocześnie. Ale najważniejszą były porachunki w Villaverde sprzed dwóch miesięcy. Mężczyzna zabity w swoim samochodzie na parkingu. Podejrzewali braci Lozano, którzy kontrolowali dużą część handlu narkotykami w Madrycie.
- Lozano – odparła. – Naprawdę uważacie, że on przypomina człowieka braci Lozano? – dodała, wskazując na blondyna.
 - Może po prostu znalazł się tam w niewłaściwym momencie. Może rzeczywiście jest wariatem i przypisuje sobie przestępstwo, którego nie popełnił – zasugerował Arias.
 - A krew na jego ubraniach?
 - Dotknął ciała. Wszedł na drabinę i próbował go zdjąć. Skąd mam wiedzieć? Nic na niego nie mamy.
 - Poza jego zeznaniami.

– To zeznania „Ricarda” – poprawił ją Peña. – Nie Gabriela Schwartza. Jego adwokaci na pewno to wykorzystają.

Spojrzała kolejno na obu mężczyzn.

– Serio? Waszym zdaniem cała ta scenografia wygląda jak efekt porachunków między dilerami?

– Nie, nie, oczywiście, że nie – przyznał Peña. – Ale czy mamy coś innego?

Zerknęła na zegarek.

– Za godzinę zaczyna się sekcja – powiedziała.

– Arias, ty się tym zajmij – rozstrzygnął Peña. – Lucia, ani mi się waż tam jechać, zrozumiano?

Skinęła głową. Przypomniała sobie swoją pierwszą sekcję zwłok. Była wtedy prawie smarkulą. Kiedy wyszła, miała nogi jak z waty i serce w gardle. Weterani z wydziału zabójstw zaprowadzili ją do baru naprzeciwko Instytutu Medycyny Sądowej. Nie, bynajmniej nie na kawę: miała skosztować krwi gotowanej z cebulą. Tradycja. Na szczęście już zapomniana. Rzuciła okiem na blondyna widocznego na ekranie. Na powrót stał się Gabrielem Schwartzem. A może „Ivanem”. Nieśmiałym, wycofanym chłopcem. „Ricardo” sobie poszedł, a jego miejsce zajęło zagubione dziecko.

Nagle pomyślała o innym zagubionym dziecku. O wysokiej, zgarbionej postaci, która pochylała się nad nią ze słowami: „Nie przejmuj się, siostrzyczko, wszystko będzie dobrze”. Popędziła do toalety. Pachniało chlorem. Jak zawsze oceniła czystość podłogi i dopiero wtedy spuściła do kostek spodnie i kaburę z ciężką berettą 92. To coś, czego nie pokazują w filmach: co robi kobieta ze swoją bronią, kiedy musi skorzystać z toalety? A mężczyzna? Czasem myślała, że ze względu na wagę pistolet HK USP Compact byłby lepszy od beretty, która w przeciwieństwie do niego nie była wykonana z polimeru, a z metalu.

Długo sikała. Podtarła się, wstała, wciągnęła majtki, spodnie, zapięła pas z bronią. Spuściła wodę, umyła ręce i wyszła. W drodze powrotnej kupiła w dystrybutorze colę zero.

Choć wcześniej wytarła włosy ręcznikiem, wciąż były wilgotne. Po powrocie zmieniała dzinsy i koszulkę: zawsze miała w biurku ubrania na zmianę. Wyczyściła też ubłocone trampki.

– Dzwoniłem na plaza de Castilla – powiedział Peña, kiedy wróciła. – Przeszukaj mieszkanie Schwartza.

– Który sędzia był na dyżurze?

– Álamo. Przyfarciło nam. Ale przy tym, co mamy, i tak nie powinni robić problemów z nakazem.

Skinęła głową. Na plaza de Castilla znajdują się nie tylko dwie słynne wieże pochylone ku sobie jak zawodnicy sumo przygotowujący się do walki, ale także gmach sądu. O ile na prowincji relacje między organami ścigania a sądem układały się zazwyczaj harmonijnie, o tyle w Madrycie było zupełnie inaczej: tutejsi urzędnicy często byli do służb nastawieni nieufnie, a nawet wrogo. Ileż to razy miała do czynienia z typem pod krawatem czy typiarą w markowej garsonce, którzy patrzyli na nią z góry i spuszczaali po brzytwie tylko dlatego, że była niewyglądającą na swój wiek, drobną kobietą ze spluwą na biodrze i naszywką na mundurze.

Chętnie by ich usadziła i wytłumaczyła, że jej robota i bez tego jest dość skomplikowana, że nie powinni być wrogami, lecz sprzymierzeńcami w walce z bandziorami grasującymi w tym mieście. Ale oczywiście nie mogła tego zrobić. I choć w UCO była znana z wrednego charakteru, ilekroć szła prosić o nakaz, chowała dumę do kieszeni. Jak wszyscy, którzy zginali kark przed wyższą władzą.

Z zewnątrz dobiegł ich odgłos kroków. Wyjrzeni za drzwi: długi korytarz o żółtych ścianach przywodził na myśl szpital. Szedł ku nim niewysoki mężczyzna w płaszczu i szarobrązowym filcowym kapeluszu. Kiedy był już wystarczająco blisko, wyciągnął rękę i przedstawił się: Dámaso Ferrater, psychiatra.

– Dobry wieczór – powitał go Peña. – Dziękuję, że tak szybko pan przyjechał.

Z mokrego płaszcza lekarza kapała woda.

– Czy on tutaj jest? – zapytał psychiatra z zatroskaną miną.

Peña wskazał na ekran, na którym widać było ślepe pomieszczenie: Schwartz siedział pochylony, a adwokat coś do niego mówił. Ferrater popatrzył na niego jak ojciec na dziecko. Lucia przypomniała sobie – a przynajmniej tak jej się wydawało – że w taki sam sposób patrzyła na swojego brata Rafaela.

– Jest niesamowity. Nigdy czegoś takiego nie widziałem – powiedział dowódca UCO, jakby chodziło o występ artysty.

Wolną ręką psychiatra pociągnął się za brodę, która wyglądała na ufarbowaną, podobnie jak włosy. Cały emanował łagodnością, delikatnością,

empatią. Lucia wyczytała zmartwienie w jego oczach.

– Czy „Ricardo” się ujawnił?

PONIEDZIAŁEK WIECZÓR

Przystanęli na szczycie schodów, w niemal absolutnej ciszy, i nasłuchiwali. Znikąd żadnych dźwięków poza szumem aut dochodzącym z calle San Jerónimo. Znajdowali się w centrum Madrytu. Na zewnątrz noc była pełna świateł, po ulicach bez ustanku przesuwały się światła samochodów. Tutaj jednak było czarno: ktoś wykręcił ostatnią żarówkę, a może się przepaliła. Jedynie przez trójkątny świetlik w dachu na klatkę schodową wpadała krwista poświata miasta.

Sześciopiętrowy dziewiętnastowieczny budynek. Kręte marmurowe schody z wystrzępionym chodnikiem, na każdym piętrze ciężkie drzwi. Skrywały z całą pewnością wysoko sklepione mieszkania, a w nich ciężkie meble, zasłony, ciszę, nudę. Skądś dochodził dźwięk telewizora.

- Szlag – jęknął ślusarz, gdy dotarli na górę – mogli zainstalować windę.
- Niech się pan zamknie i otworzy te drzwi – syknął Arias.

Grubas rzucił mu ponure spojrzenie. Pochylił się nad swoją skrzynką i głośno wyjął z niej kilka narzędzi. Zbyt głośno...

- Psiakrew, musi pan robić tyle hałasu?
- *Joder* ¹ – warknął tamten.
- Spokojnie – wtrącił się towarzyszący im mężczyzna w szarym garniturze i pod krawatem.

Sekretarz sądowy – urzędnik, którego obecność była obowiązkowa przy każdym przeszukaniu i który tak samo nie miał ochoty tam być, jak oni nie chcieli mieć go na karku.

Kiedy usłyszeli szcęk zamka, unieśli broń: Schwartz mógł mieć współnika. Zaczekali, aż ślusarz pozbiera narzędzia i odejdzie, burcząc pod nosem. Następny, który miał coś do Guardia Civil. Przekroczyli próg i od razu zatkali nosy: w mieszkaniu śmierdziało.

W powietrzu unosił się odór pleśni, gnijącego mięsa, zatkanego zlewu i przeterminowanej żywności. A także ziemi, talku, wosku i potu. Arias, który wszedł jako pierwszy, naciągnął sweter na twarz, by własnym zapachem zagłuszyć panujący smród.

– Rubén, nie masz wody kolońskiej? – rzucił.

Koledzy powitali jego żart rechotem. Rubén był znany z tego, że przed wyjściem do pracy obficie spryskuje się wodą kolońską.

Jeden za drugim weszli do mieszkania. Ktoś znalazł włącznik. Drżące, niepewne, niemal zanikające światło. Poczuli, że coś ociera się o ich kostki; jednocześnie rozległ się rozdzierający pisk. Odskoczyli do tyłu.

– Szlag! – zawołał jeden z mężczyzn.

Koty. Teraz był to już koncert miauczenia i prychnania. Kilkanaście kotów wszelkich ras i kolorów – czarne, pręgowane, syjamy, angory – w obłądnym bezładzie wychodziły na klatkę schodową i wchodziły do mieszkania, wpadając im pod nogi.

Rozejrzeli się dookoła. Mieszkanie przypominało dżunglę. Słabo oświetlony niebieskawą jarzeniówką korytarz, ciasno zastawiony roślinami, które były dosłownie wszędzie.

Jedne miały liście wielkości dłoni, inne pięły się niczym liany albo przeciwnie, opadały z podwieszonych doniczek i rozpościerały bujne listowie na wysokości oczu. Wentylator miał ciepłe powietrze, które poruszało roślinami, tak że muskały ich twarze. Arias zanurkował w gęstwinie. Zauważył etykiety: *Strelitzia reginae*, *Monstera deliciosa*, *Syngonium podophyllum*, *Senecio rowleyanus*...

– Chryste – jęknął funkcjonariusz, który szedł za nim. – Co to ma być?

– Okej, przetrzepać wszystko! – rzucił Arias, wciągając lateksowe rękawiczki i ochraniacze na buty. – Wprowadźcie Schwartza!

Prawo nakazywało, by właściciel był obecny przy przeszukaniu. Blondyn czekał na parterze, pilnowany przez dwóch funkcjonariuszy w cywilu. Twierdził, że zgubił klucze.

– Ale capi! – zawołał trzeci z mężczyzn.

– Prawie tak jak twoje pierdy – dociął mu czwarty.

– To prawda, że zatrzymani zatykają przy tobie nosy? – zawołał piąty.

– Skupmy się, panowie – zbeształ ich sekretarz sądowy.

– On ma rację – wtrącił się Arias. – Pamiętajcie, dlaczego tutaj jesteśmy?

A raczej: *dla kogo?*

To pytanie ich zmroziło. Jedni spuścili wzrok, innym odechciało się żartów. Wszyscy znali Sergia. Wszyscy wiedzieli, że znaleziono go przyklejonego do krzyża gdzieś na północny zachód od Madrytu.

Arias zaczął wolno posuwać się korytarzem. Chwilę później stanął w progu dużej kuchni.

– O kurwa, co to jest?

– Dysocjacyjne zaburzenie tożsamości, dawniej nazywane osobowością mnogą – oświadczył Dámaso Ferrater. – Zostało ujęte w DSM pięć, podręczniku zawierającym kryteria diagnostyczne zaburzeń psychicznych. –

Psychiatra wytarł okulary rąbkiem krawata i z powrotem umieścił je na kostropatym nosie. – Zaburzenie to występuje najczęściej u osób, które w dzieciństwie doświadczyły poważnego stresu lub traumatycznych zdarzeń. Tak było w przypadku Gabriela. Ojciec tłukł go bez opamiętania, matka nim pogardzała; był obiektem niewyobrażalnej przemocy. Przynajmniej osiemdziesiąt procent osób dotkniętych dysocjacyjnym zaburzeniem tożsamości ma też zdiagnozowany zespół stresu pourazowego, a osiemdziesiąt pięć do dziewięćdziesięciu procent doświadczyło w dzieciństwie wykorzystania seksualnego. Dysocjacja to sposób na obronę, na ucieczkę od traumy. Z czasem staje się jedynym sposobem radzenia sobie ze stresem.

Lucia utkwiała w nim zimne spojrzenie. Ciągłe to wracanie do dzieciństwa! Niezależnie od tego, jak straszliwych czynów dopuszczają się te potwory, zawsze wytłumaczeniem są ich przeżycia z dzieciństwa.

– W tego rodzaju zaburzeniu często występuje amnezja, luki w pamięci. Mamy dowody na to, że pacjent zrobił daną rzecz, w tym także zakazaną prawem, ale on tego nie pamięta. Albo też pamięta jedna spośród jego osobowości, a inne nie, tak jak w tym wypadku.

– Zakazaną?! – zawołała. – Zakazaną? Doktorze, on zmasakrował mojego partnera. Wpakował mu w serce jebany śrubokręt! Przykleił go do pieprzonego krzyża! Luki w pamięci, ja pierdołę! Nie ma mowy, żeby poszedł do szpitala ćpać pigułki i czekać, aż jakiś nieodpowiedzialny psychiatra wypuści go na wolność!

Zbliżyła twarz do twarzy lekarza, tak że ich nosy prawie się stykały. Gniew promieniował z niej jak ciepło z rozgrzanej żarówki. Peña odciągnął ją do tyłu. Doktor Ferrater bez emocji przyglądał jej się spod zmrużonych

powiek, jakby analizował wszystkie dane: głos, zachowanie, mowę ciała, reakcje.

– Nie będę ukrywał, że dysocjacyjne zaburzenie tożsamości to jedno z najbardziej kontrowersyjnych zaburzeń dysocjacyjnych – przyznał psychiatra. – Niektórzy lekarze w ogóle kwestionują jego istnienie. I jest o wiele bardziej uznawane w Stanach Zjednoczonych niż w Europie. Najśłynniejszym przykładem zza oceanu jest Billy Milligan, pierwsza osoba, która została uznana za niewinną ze względu na dysocjacyjne zaburzenie tożsamości. W głowie Milligana o kontrolę spierały się w sumie dwadzieścia cztery osobowości. Ale nasze sądy również orzekają w takich sprawach. Mogę przytoczyć co najmniej jeden przypadek, w którym hiszpański sąd uznał, że to zaburzenie może odebrać lub upośledzić zdolność jednostki do oceny wagi własnych czynów.

– Chryste! – zawołała Lucia z wściekłością.

– Dobrze znam Gabriela – ciągnął Dámaso Ferrater niezrażony. – Towarzyszę mu od wielu lat. On nie symuluje. Czy skarżył się na ból głowy?

Peña przytaknęła.

– To częste u osób dotkniętych tym zaburzeniem, kiedy poddaje się je presji.

Lucia wydała z siebie głębokie westchnienie.

– A ukrzyżowanie? – zapytała. – Czy to się panu z czymś kojarzy?

– W kontekście Gabriela? Z niczym. Nigdy nie słyszałem, żeby wspominał o religii ani o czymkolwiek, co miałyby z nią związek. O ile mi wiadomo, żadna z jego osobowości nie przeżywała mistycznych uniesień. Ale oczywiście krzyż to symbol Pasji, męczeństwa Chrystusa. Przywodzi na myśl cierpienie: niehumanitarne cierpienie. A Gabriel jest istotą, która cierpi.

Na te słowa Lucia znowu się zjeżyła.

– Musicie go pilnować – dorzucił psychiatra. – Upewnijcie się, że nie będzie miał okazji zrobić sobie krzywdy. Ponad siedemdziesiąt procent osób z dysocjacyjnym zaburzeniem tożsamości ma skłonności samobójcze. A ogromne napięcie, którego teraz doświadczają, mogłoby go skłonić do podjęcia próby.

– Czy on mógł działać pod wpływem kogoś z zewnątrz? – zapytał nagle Peña.

Psychiatra zastanawiał się chwilę, po czym skinął głową.

– Niektórzy specjaliści uważają, że pacjenci dotknięci tym zaburzeniem są po prostu bardziej podatni na sugestię albo silniej reagują na hipnozę. Inni twierdzą, że to sami terapeuci wywołują w nich te objawy. Jeśli ktoś próbował nim manipulować, tak żeby popełnił zbrodnię, niewykluczone, że to zadziało.

– Dziękuję, doktorze – powiedział Peña.

– Czy badał go lekarz? – zapytał psychiatra.

– Jeszcze nie. Nie prosił o to.

– Zbadajcie go. Gabriel choruje na hemofilię. Trzy razy w tygodniu pielęgniarka podaje mu kroplówkę z czynnikiem ósmym, odpowiedzialnym za krzepnięcie.

– Nie dość że stuknięty, to jeszcze hemofilyk. I nikt nie uznał, że taki stan wymaga permanentnej hospitalizacji – westchnęła Lucia.

Arias stał bez ruchu w drzwiach prowadzących do kuchni. Pod sufitem zapalała się i gasła blada jarzeniówka. W jej blasku pomieszczenie wyglądało ponuro. Oświetlała długi stół i osiem krzeseł, z których dwa stały na końcach. Osiem krzeseł, osiem nakryć i osiem zwiniętych serwetek. Na dwóch talerzach leżały jeszcze resztki jedzenia, a w jednym z kieliszków było trochę wina. Po całym blacie walały się okruchy. Pozostałe nakrycia były nietknięte. Na podłodze stało mnóstwo misek dla kotów. I wszędzie rośliny: na blatach, pod wiszącymi szafkami, na parapetach okien. W kuchni unosił się zapach ziemi i stęchlizny.

Arias poczuł, jak jego puls przyśpiesza. Miał dobry wzrok – to niezbędne w tym zawodzie – w każdym razie wystarczająco dobry, by zobaczyć, co jest napisane na opaskach serwetek: GABRIEL, IVAN, MARTA, FERNANDO, KARL, VINZENT, RICARDO...

Na ścianach kartki ze zgrubnymi, wykonanymi długopisem i flamastrem portretami kobiet i mężczyzn. Autor rysował w takim pośpiechu i z taką złością, że miejscami papier był podziurawiony. Szkice wyglądały jakby wyszły spod ręki dziecka. I znowu te imiona: Ivan, Marta, Karl, Ricardo...

– Chryste Panie!

Podszedł do stołu. Na dnie jednej z filiżanek znajdował się brunatny płyn. Arias się pochylił. Nie była to herbata, kawa ani yerba mate. Jakby jakiś odwar czy napar. Powąchał.

– Fuuuj!

Nieprzyjemny, gorzko-ostry zapach.

– Przeprowadźcie tu Schwartza – powiedział. – Co to jest? – zapytał, gdy tamten przyszedł.

Żadnej odpowiedzi. Arias wyjął telefon, zrobił kilka zdjęć i wysłał je.

Lucia obejrzała zdjęcia. Od razu oddzwoniła do Ariasa.

– Przeraza mnie to miejsce – powiedział, a ona przypomniała sobie, że Peña powiedział to samo o Schwartzu.

– Arias, chcę, żebyś mi dokładnie opisał ten stół. Ze wszystkimi szczegółami – powiedziała.

Spełnił jej prośbę. Powoli okrążył stół.

– Jedli spaghetti bolognese. Zostało jeszcze na talerzach. I pili wino. No i w jednej filiżance jest to coś.

– To znaczy?

– Wygląda jak odwar: bardzo gęste, brązowe, nieprzyjemne w zapachu.

– Wyślij to na toksykologię. Ile osób jadło?

– Dwie. Pozostałe nakrycia są nietknięte.

– Imiona. Podaj mi ich imiona.

– Zaczekaj. Pierwszy to... Ricardo.

– A drugi?

Chwila ciszy.

– Dziwne. Tutaj nie ma imienia. To jedyna niepodpisana opaska.

– Które to miejsce?

– U szczytu stołu. Tak jak Ricardo. Siedzieli naprzeciwko siebie. Pozostałe nakrycia są po bokach.

– A gdzie stoi filiżanka z odwarem?

– Obok talerza Ricarda.

– Dzięki. – Odwróciła się do Peñi. – Ktoś u niego był.

1. Kurwa (hiszp.) (Jeśli nie zaznaczono inaczej, wszystkie przypisy pochodzą od autora). [\[wróć\]](#)

CZĘŚĆ DRUGA
SALOMÓN

PONIEDZIAŁEK RANO

Przyśpieszył kroku. Było zimno jak w psiarni. Mgła i roztopiony śnieg trzymały miasto w wilgotnym, lodowatym uścisku. Żeby uciec przed zimnem, niemal truchtał po mokrym bruku calle Libreros – ulicy Bibliotek. Inna rzecz, że był spóźniony.

Już słyszał trąbki rozpoczynające ceremonię w historycznym gmachu uniwersytetu w samym centrum starego miasta. Zaczęło się. Salomón Borges – sześćdziesiąt dwa lata, niewysoki, krępy, z brzuszkiem, profesor kryminologii i kryminalistyki Wydziału Prawa Uniwersytetu w Salamance – jeszcze przyśpieszył. Przecisnął się wśród turystów, którzy nie przestraszyli się zimnego jesiennego poranka, i przemknął przez bramę w przeładowanej zdobieniami fasadzie w stylu plateresco.

Brama prowadziła na otoczony arkadami dziedziniec z trzydziestometrową sekwoją, której czubek ginał w matowobiałej mgle. Salomón skręcił w krużganki po lewej, a następnie w prawo. Minąwszy drzwi starych sal wykładowych, którym patronowali Dorado Montero, Unamuno i Luis de León, dotarł do wielkiego audytorium akurat w chwili, gdy w środku znikali ostatni członkowie orszaku.

Wszyscy w galowych strojach. On sam nie włożył togi od początku swojej profesury. Każdej zimy nosił ten sam wystrzępiony płaszcz i białą koszulę, najczęściej wyłożoną na spodnie. Z zazwyczaj rozczochraną szpakowatą czupryną wyglądał, jakby dopiero wstał z łóżka. Fakt, iż uniwersyteckie dziady mimo swego wieku wciąż gustują w przebierankach, zawsze uważał za niestosowność i przejaw rażącego snobizmu. Albo starości. Wiedział, co by mu odpowiedzieli: „Tradycja, mój drogi”. Tradycja: święte słowo na założonym w 1218 roku uniwersytecie, którego powagę potwierdziła w 1255 papieska bulla *Licentia ubique docendi*¹. W związku z czym

wielu wykładowców tego uniwersytetu w dalszym ciągu myśli, że są solą ziemi.

Usiadł w jednej z ławek, wśród studentów i profesorów, którzy przyszedli na uroczyste rozpoczęcie roku akademickiego 2019/ 2020. W tym roku ceremonia się opóźniła. Zajęcia osiemset pierwszego roku akademickiego zaczęły się wiele tygodni temu.

Usiłował się skupić na mowie rektora, który właśnie zabrał głos, ale było to trudne zadanie. Rektor dziękował niekończącej się litanii obecnych osobistości: rektorom sąsiednich uniwersytetów w Valladolid, León i Burgos, szefowi departamentu edukacji wspólnoty autonomicznej Kastylii i Leónu odpowiedzialnemu za szkolnictwo wyższe i badania naukowe, merowi, sekretarzowi generalnemu uniwersytetu papieskiego, podpułkownikowi z dowództwa Guardia Civil.

Salomón powstrzymał ziewnięcie. W dalszej części przemówienia rektor podkreślił postępy uniwersytetu w państwowych i międzynarodowych rankingach. Zauważył, że Europejska Rada do spraw Badań Naukowych przyznała Uniwersytetowi w Salamance dofinansowanie w wysokości dwóch i pół miliona euro – z dwudziestu milionów przyznanych wszystkim hiszpańskim uniwersytetom.

Kryminolog na chwilę zamknął oczy. Kiedy znów je otworzył, rektor właśnie przekazywał mikrofon profesorowi inżynierii chemicznej, który miał wygłosić w tym roku wykład inauguracyjny. Jako że ów profesor był kompletnie pozbawiony poczucia humoru, Salomón obawiał się najgorszego. Ziewnął bez skrępowania, czym ściągnął na siebie karcące spojrzenie sąsiadki.

Wszystkie te staroświeckie ceremonie mają człowiekowi przypomnieć, skąd przychodzi, pomyślał. Uważasz, że jesteś kimś ważnym? W świetle historii tego miasta i tego uniwersytetu jesteś niczym. Nikim. Tylko nazwiskiem wśród tysięcy innych nazwisk.

Znowu opadła mu głowa. Obudził go gwar. Ups, ile spałem? Najwyraźniej uroczystość się skończyła, wszyscy wstawali. Bardzo dobrze. On również wstał. Zaczął się rozglądać za człowiekiem, którego chciał tutaj spotkać.

Héctor Delgado, szef departamentu edukacji w rządzie wspólnoty autonomicznej Kastylii i Leónu. Szczupły, zadbany, gładko ogolony. Przenikliwe spojrzenie zza prostokątnych okularów, wilczy uśmiech i delikatne

kurze łapki. W przeciwieństwie do niskiego, pulchnego Borgesa – wysoki i wysportowany. Poznali się w szkolnej ławie. Z tym że Delgado wyglądał na piętnaście lat mniej niż on.

– Héctor – zagadnął go Salomón, podszedłszy bliżej.

Delgado zauważył go i zamieniwszy kilka słów z grupką ludzi, oddalił się od niej i złapał Borgesa za łokieć.

– O, Salomón! Przyszedłeś? Od kiedy interesują cię takie uroczystości?

– Odkąd ty bierzesz w nich udział – odparł kryminolog.

Z twarzy urzędnika zniknął olśniewający uśmiech.

– Rozumiem. Przyszedłeś mi przypomnieć o obietnicy dofinansowania twojego projektu, tak?

– Tak jest.

– Wiesz tak samo jak ja, że czasy są ciężkie.

– Nie dla wszystkich: hojność departamentu jest wybiórcza.

– Wiesz, na czym polega twój problem? Na braku pokory – burknął Delgado. – Zamiast się zniżyć do zrobienia od czasu do czasu kilku pompek, nałożenia trochę żelu tu i tam, uważasz się za lepszego od wszystkich i wolisz tkwić w tej swojej wieży z kości słoniowej. A potem przychodzisz, żeby mnie rozliczać.

Przez twarz Salomóna przebiegł lekki skurcz.

– Ciebie rozliczać? Héctorze, z tego, co wiem, to nie są twoje pieniądze. To pieniądze podatnika. Regionu. Tego uniwersytetu.

– Tak i właśnie dlatego należy je wydawać oszczędnie. A nie kierować się przyjaźnią czy łączącą nas zażyłością.

– Nasza przyjaźń nie ma nic do rzeczy, a ty nie odczuwasz wobec mnie żadnej zażyłości – odciął się z uśmiechem Salomón. – DIMAS to rewolucyjny projekt. Mój zespół składa się z wybitnych młodych ludzi. Wykonali wspaniałą robotę. Jesteśmy na finiszu, ale potrzebujemy funduszy. A Guardia Civil podobnie jak inne organa ścigania uważnie się przygląda naszej pracy.

W jednej z dwóch pobliskich katedr rozległo się bicie dzwonów. Gdy wyszli na kamienne krużganki, których krawędzie zacierały się we mgle, gołębie poderwały się do lotu.

– W rządzie są osoby, które nie wierzą w twój projekt, Salomónie. Gdzie to zapowiadane „rewolucyjne narzędzie informatyczne”? Niczego jeszcze

nie widzieliśmy. Przynieś mi jakiś konkret, a wtedy zobaczę, co mogę zrobić.

– Co to jest jakiś konkret?

– Nie wiem. Wyniki. Rozwiązana sprawa. Bo przecież do tego ma służyć DIMAS, prawda?

– Rozwiązana sprawa? Tylko tyle? Ale właśnie do tego potrzeba nam dodatkowych środków.

Profesor kryminologii wiedział, że na aktualnym etapie prac Delgado żąda niemożliwego. Urzędnik departamentu edukacji także był tego świadom.

– Postaw się na ich miejscu – powiedział ten ostatni ze znużoną miną. – Nie mogą finansować czegoś, czego nie widzą. – Zerknął na wielki zegarek na nadgarstku. – Przykro mi, muszę iść. Może skoczymy któregoś dnia coś zjeść?

Pytanie czysto retoryczne. Od lat nigdzie razem nie wyszli. Delgado już się oddalał, sunąc pantoflami po posadzce. Salomón podniósł wzrok na zasadzoną w 1870 roku potężną sekwoję. Westchnął. Jak zwykle zamierzał na pocieszenie kupić sobie jakąś starą książkę w znajdującym się po sąsiedzku antykwariacie La Galatea – *La Galatea, librería antiquaria, compra-venta de libros, manuscritos y grabados* – kiedy w kieszeni jego płaszcza rozdzwonił się telefon.

Ulysses. Ulysses Joyce nigdy nie dzwonił do niego na komórkę. Profesor zastanawiał się, co też takiego pilnego ma mu do powiedzenia młody Anglik – od dwóch lat z Ulysessem i resztą grupy pracowali nad tym projektem i słowo „pilny” bynajmniej nie należało do ich słownika.

Jednak po głosie, którym Ulysses Joyce krzyczał do aparatu, poznał, że student wcale nie jest przybity:

– Profesorze, DIMAS coś znalazł!

1. Prawo do nauczania we wszystkich szkołach podległych Kościołowi, wydawane od XIII w. [\[wróć\]](#)

PONIEDZIAŁEK POŁUDNIE

Wyszedł na placyk, na którym para zmarzniętych młodych turystów z zadartymi głowami zabawiała się w szukanie słynnej żaby ukrytej wśród dziesiątków rzeźb zdobiących fasadę. Wciągając w płuca wilgotne powietrze, uświadomił sobie, że serce wali mu jak szalone. DIMAS coś znalazł!

Skracając drogę, szedł wąskimi uliczkami, aż dotarł do avenida de los Maristas. Wilgoć szczypała go w twarz, wślizgiwała się za kołnierz płaszcza i bawełnianej koszuli. Mgła spływała z murów, moczyła chodniki i zaparkowane przy nich samochody, wsiąkała w ubrania. Idąc aleją, skulił się jak Leonardo DiCaprio w *Zjawie*.

Z mgły wyłonił się gmach wydziału prawa. Duży, nowoczesny budynek położony w dzielnicy uniwersyteckiej, na wpół atrium, na wpół bunkier – kanciasty, z dużą liczbą szyb i stalowych elementów, miejscami obłożony tym samym piaskowcem z Villamayor, z którego dawniej wznoszono piękne budowle miasta. Pokonawszy w pośpiechu schody prowadzące do wejścia dla wykładowców, przyłożył do czytnika krwistoczerwony identyfikator, przeciął przeszklony hol i ruszył długą kładką okrążającą patio.

DIMAS coś znalazł. Patio, również całe w szkłe, dzieliła na dwie części podwieszana kładka. Rosły tam dwie sekwoje – potomkinie tej z dziedzińca najstarszego gmachu. W zacienionych kątach leżał przedwcześnie spadły śnieg, który nie chciał stopnieć. W położonej na wysokości ośmiuset metrów nad poziomem morza Salamance lata są upalne, a zimy ostre.

Kryminolog minął studentów z laptopami i książkami pod pachą i szybko dotarł do zachodniego skrzydła. Zszedł na niższy poziom, położony na równi z dziedzińcami wewnętrznymi i oddzielony od nich przeszkloną ścianą. Tam, w suterenie, mieściły się pomieszczenia jego grupy.

Pozdrowił Asę i Cordelię siedzące za przezroczystą ścianką, która upodabniała ich pokój do akwarium, Verónicę i Harukiego w następnym

pomieszczeniu, i doszedł do drzwi z tabliczką LABORATORIUM KRYMINOLOGICZNE. Jeszcze dwa lata wcześniej to miejsce było praktycznie nieużywane. Niektórzy studenci kryminologii nigdy go nawet nie odwiedzili. Aż do czasu, gdy jego zespół urządził sobie tutaj kwaterę główną i serce DIMAS-a.

Salomón pchnął drzwi. Nisko sklepione, oświetlone jarzeniówkami pomieszczenie o wymiarach mniej więcej siedem na jedenaście metrów. Na lewo od drzwi znajdowało się długie okno o wiecznie opuszczonej roletcie, tak że do wnętrza nigdy nie wpadało światło dzienne. Na ścianach wisiały portrety świadczące o wpływie FBI na wyobraźnię kryminalistyczną Zachodu: Charlesa Mansona, Teda Bundy'ego i innych seryjnych zabójców oraz powiększenia linii papilarnych. Na stole leżał plastikowy fantom.

Najdziwniejszy element wystroju wnętrza znajdował się na środku sali: był to autentyczny namiot rodzinny w kolorze niebieskim. Borges wszedł do przedsionka, a następnie uchylił klapę i stanął w progu. Przez gęsty cień przebijało się słabe światło ekranów. Dwie pochylone przed nimi postaci siedziały odwrócone plecami do wejścia. Zdawało się, że skupione na monitorach nie zauważyły jego obecności. Całą przestrzeń zajmowały komputery, kable, biurka zavalone sprzętem informatycznym, lampy i kubki.

Salomón zakasłał. Mężczyźni się odwrócili. Ulysses Joyce, wysoki, długi i smukły jak wychudzony kot, z odstającymi uszami i spóźnionym trądzikiem. Bardzo spóźnionym. Ulysses miał dwadzieścia sześć lat i był doktorantem, podobnie jak inni członkowie zespołu, w tym Alejandro Lorca, dwudziestopięciolatek pochodzący z Linares, który – ze swoim ognistym spojrzeniem i czarnymi jak węgiel włosami – mógłby grać w hiszpańskim serialu pełnym młodych hidalgów o boskiej urodzie.

W poświacie bijącej od monitorów było widać, że obaj się uśmiechają. Salomón przyjrzał im się uważnie. Jego puls przyspieszył.

– No więc? Co znalazł DIMAS?

– Trzy trafienia – odparł Ulysses.

– Trzy – powtórzył Alejandro.

Po ich głosach i spojrzeniach poznał, że są podekscytowani. Ale w ich oczach było coś jeszcze. Jakiś blask. Tryumfalny. Salomón poczuł, że podniecenie tych dzieciaków mu się udziela.

„Trafienia”. Tego słowa nie było w żargonie, którym się zazwyczaj posługiwali. Między sobą używali takich terminów, jak „sortowanie”, „zadania”, „grafy”, „pętle”, „drzewa”, „zmienne”, „obiekty”. Oraz tajemniczych nazw – „Pyton” albo „Anakonda”.

Salomón wiedział, że algorytmy są obecne niemal w całej otaczającej go rzeczywistości. W naukach przyrodniczych, w finansach, w samochodach, w telefonach, w propozycjach seriali na Netfliksie, Apple TV czy Amazon Prime, w aplikacjach randkowych, w handlu wysokich częstotliwości na giełdach całego świata. I że bez nich Ziemia przestałaby się kręcić. Ulysses i Alejandro wyjaśnili mu, że tak naprawdę algorytmy istniały już w starożytności, że „nawet tak banalną rzecz jak przygotowanie tosta” można przedstawić w formie algorytmu, ale – niezależnie od tego, jak był inteligentny czy też jak głupi – nigdy nie zrozumiał, o co w tym chodzi.

Wiedział tylko, że coś znaleźli. Trafienie oznaczało wynik. Nawet on był w stanie to zrozumieć. I tylko to się liczyło.

– Wy tłumaczcie mi, o co chodzi – powiedział.

DIMAS, od imienia Dismas, Desmas, Dumachus, Dyзма, z greckiego *dysme*, zachód słońca: święty patron złodziei. Taką właśnie nazwę wybrali dla swojego programu, który był swego rodzaju złodziejem danych.

DIMAS. Program i baza danych, które będą kiedyś w stanie skorelować informacje zawarte w różnych bazach policji i Guardia Civil dotyczące morderstw, porwań, tortur i aktów okrucieństwa oraz przemocy seksualnej i znaleźć niedostrzeżone do tej pory powiązania między sprawami kryminalnymi. Narzędzie, o którym marzą wszystkie służby porządkowe. Od dwóch lat funkcjonariusze Guardia Civil i policji dobrowolnie zasilali bazę danych informacjami zapisanymi we własnych bazach danych. Program i kwestionariusz, który należało wypełnić, by zasilić DIMAS-a, zostały przygotowane przez Salomóna i jego doktorantów, którzy pracowali nad tym projektem w każdej przerwie w swoich przeładowanych grafikach. Cały swój czas poświęcali mu tylko dwaj informatycy – Ulysses i Alejandro. DIMAS był też pierwszym tego typu programem, który na tak dużą skalę wykorzystywał sztuczną inteligencję i algorytmy. To właśnie było w nim rewolucyjne, choć byli zaledwie w rzemieślniczym stadium tej metody. DIMAS wciąż jednak otrzymywał nowe dane, finansowanie, choć

ograniczone, napływało i baza wkrótce miała zostać rozszerzona na wszystkie organa ścigania w Hiszpanii.

– Zmieniliśmy algorytm sortowania – zaczął Ulysses. – W przypadku podlist o mniej niż piętnastu elementach wróciliśmy do sortowania przez wstawianie. I zauważyliśmy, że większość dysfunkcji DIMAS-a nie wynika z naszej winy.

Wiele spraw pozostawało bez rozwiązania, ponieważ krajowe i lokalne służby nie dysponowały wspólnym narzędziem, które pozwalałoby połączyć ze sobą posiadane przez nie informacje. W innych krajach istniały już takie programy.

– Ostatnie dysfunkcje pochodziły z CPD – mówił dalej Ulysses. – To przez te ich pieprzone firewalle. Już rozwiązali problem.

CPD, Centro de Proceso de Datos: z grubsza rzecz ujmując, informatyczne centrum uniwersytetu; jego pomieszczenia znajdowały się po drugiej stronie dziedzińca, w północnym skrzydle. Pracowało w nim czterdzieści osób i trzydzieści serwerów firmy Sun Microsystems. Salomón nie miał pojęcia, jak to wszystko działa: był kompletnie odporny na wiedzę informatyczną. Wiedział tylko, że DIMAS korzysta ze wsparcia jednego z owych serwerów, co oznaczało, że posiadają kawałek wirtualnego miejsca w ogromnej informatycznej szafie, którą mu kiedyś pokazano. Oraz że firewalle – coś w stylu niewidocznych zapór bezpieczeństwa – oddzielają od siebie różne programy stworzone przez uniwersytet, po to by nie przeskoczył między nimi jakiś wirus i nie zaraził całego systemu.

Czuł się lekko oszołomiony.

– Dajcie spokój z tym informatycznym żargonem. I powiedzcie mi w końcu, co znalazł DIMAS.

PONIEDZIAŁEK PO POŁUDNIU

– Trzy sprawy – powiedział Joyce.

– Które łączy ze sobą kilka elementów – dodał Lorca.

– Trzy morderstwa – uściślił młody Anglik. – I nikt ich ze sobą nie powiązał... aż do tej pory.

Mówił teraz niższym, wibrującym od emocji głosem. Salomón poczuł lekkie mrowienie na karku.

– Słucham was.

Miał wrażenie, że jego serce tyka jak stary zegarek. Ulysses zerknął na Alejandra, który skinął głową, a następnie podniósł wzrok na profesora.

– Do pierwszego podwójnego morderstwa doszło trzydzieści lat temu, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym. Zabito młode małżeństwo około trzydziestki.

Podwójne morderstwo! Salomón z zapartym tchem czekał na dalszy ciąg, wpatrzony w oświetlone blaskiem monitorów twarze młodych ludzi.

– Wyjechali z domu w Barbastro w prowincji Huesca na północnym wschodzie Hiszpanii – sprecyzował Ulysses, który nie był na równi z Alejandrem i Salomónem zaznajomiony z geografią tego kraju – dziesiątego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku około siódmej rano. Mężczyzna prowadził małą dostawczą furgonetkę, jego żona siedziała obok. Wieźli warzywa i owoce do sklepów w Graus, mieście liczącym około trzech tysięcy mieszkańców, położonym mniej więcej pół godziny drogi na północ, na niskim przedgórzu Pirenejów. Zatrzymali się na śniadanie w knajpce na stacji benzynowej na równinie, po czym ruszyli dalej na północ. Ostatnią osobą, która widziała ich żywych, był kelner. Oczywiście poza mordercą.

Ulyssesowi lekko drżał głos. Powietrze w namiocie również wydawało się wibrować, niczym pokrywy skrzydłowe jakiegoś owada – a może to

motyl w piersi Salomóna wprawiał w drżenie jego serce.

– Przed Graus – podjął Alejandro – droga, w tamtym czasie kręta i w złym stanie, prowadzi wąwozem, w którym jest kilka tuneli. Miasto znajduje się kawałek dalej, na brzegu rzeki o nazwie Esera.

Wyglądało na to, że Ulysses i Alejandro spędzili noc na wkuwaniu wszystkich szczegółów sprawy, którą wypluł DIMAS – a może uzupełnili wiedzę w sieci. Dziś w Internecie można znaleźć prawie wszystko, pomyślał Salomón.

– Furgonetka po raz pierwszy zatrzymała się między tunelami piątym i szóstym, nigdy nie ustalono dlaczego, minutę później ruszyła i ponownie zatrzymała się na zakręcie między tunelami siódmym i ósmym. To tam zostali zabici. Po jednym strzale w głowę przez przednią szybę. Mniej więcej kwadrans po opuszczeniu baru, w którym zjedli śniadanie.

– Mówcie dalej.

Szeroko otwarte oczy Ulyssesa i Alejandra lśniły.

– Około ósmej trzydzieści rano, czterdzieści minut po tym, jak furgonetka definitywnie się zatrzymała, a małżeństwo z pewnością już nie żyło, pewien mężczyzna, który jechał tą samą drogą, zobaczył stojący na zakręcie wóz. Wysiadł z samochodu, żeby sprawdzić, czy pasażerowie nie potrzebują pomocy. To on znalazł zwłoki. Znajdowały się między dostawczakiem a krawędzią wąwozu, czyli nie było ich widać z drogi. Wezwał Guardia Civil. Patrol z Graus przyjechał po jakichś dziesięciu minutach. Funkcjonariusze od razu zidentyfikowali ciała. Ci młodzi ludzie byli znani w okolicy, bo kursowali między miejscowościami, sprzedając swoje plony. Zawiadomili dowództwo z Barbastro, trzydzieści kilometrów stamtąd. Zadzwonili do ojca denata: mieszkał z synem i synową. Tamten od razu zapytał: „A mój wnuk?”. „Co: wnuk?”, zdziwili się gwardziści. Wtedy dziadek wyjaśnił im, że tamtego ranka wyjechali we trójkę: syn, synowa i ich dziewięcioletni syn. Że w tę sobotę po dostarczeniu towaru zamierzali się wykąpać w jeziorze. Ale obok furgonetki były tylko dwa trupy. A po chłopcu ani śladu. Od razu rozpoczęto poszukiwania w wąwozie i okolicy. Szukano dzień i noc. Na próżno. Nigdy go nie odnaleziono. Zniknął, ulotnił się. Minęło trzydzieści lat, a pytanie o to, co się z nim stało, pozostaje bez odpowiedzi. Podobnie jak pytanie o tożsamość zabójców. Tajemnica od trzydziestu lat jest nierozwiązana. Kto zabił małżeństwo? Co się stało

z dzieckiem? Dziadek zmarł w dwa tysiące ósmym, nie otrzymawszy odpowiedzi.

Po tych słowach zapadła tak gęsta cisza, że nawet rock *made in England* dobywający się z niewielkich głośników wydał się Salomónowi odległy.

– Ale to nie wszystko – powiedział Alejandro. – Musimy ci jeszcze powiedzieć o scenografii.

Kryminolog zwilżył usta językiem.

– Mówcie.

– To jest wisienka na torcie – kontynuował Ulysses, nie kryjąc ekscytacji. – Po tym jak małżonkowie zostali zabici strzałem w głowę, wyciągnięto ich z samochodu, rozebrano i ułożono na skraju drogi, między furgonetką a wąwozem. Najdziwniejsze były ich pozy: kobieta siedziała na jezdni oparta o betonowy przydrożny murek, z obnażonymi piersiami i rozłożonymi nogami; mężczyzna klęczał między jej udami, odwrócony tyłem do jezdni, i pochylał się nad nią, obejmując ją w pasie, podczas gdy jedna ręka kobiety spoczywała na jego ramieniu. Jakby tańczyli. Mężczyzna był nagi; jedynie jego biodra opasywał czerwony szal opadający na pośladki i uda; kobieta również była naga, a na jej kolanach leżało zielone prześcieradło.

Salomón ujrzał ich oczyma wyobraźni. Westchnął zamyślony, z nieobecnyim spojrzeniem.

– A teraz opowiemy ci o następnych sprawach – oświadczył Ulysses.

PONIEDZIAŁEK PO POŁUDNIU

– Pierwszą sprawę prasa nazwała „podwójnym morderstwem w tunelach”. Ofiary drugiego podwójnego morderstwa dziennikarze ochrzcili mianem „małżonków z alkazaru”. – Młody Anglik zawiesił głos.

Chłopak potrafi trzymać słuchaczy w napięciu, pomyślał Salomón. Gdyby miał przy sobie pulsometr, urządzenie na pewno wskazałoby wynik powyżej setki.

– Znowu para, tym razem z Segowii. Bezdzielne małżeństwo. Pewien spacerowicz znalazł ich w marcowy poranek dwa tysiące piętnastego roku wśród wzgórz, dokładnie naprzeciwko alkazaru. Otrzymali łącznie ponad czterdzieści ciosów nożem w tors, szyję, twarz i okolice intymne.

Alkazar w Segowii: barokowy zamek zbudowany na skale, przypominający zarówno architektoniczne ekstrawagancje króla Bawarii Ludwika II zwanego Szalonym, jak i zamek Walta Disneya, można by wręcz powiedzieć, że Disney się na nim wzorował. Segowia leży w centrum Hiszpanii, niespełna dwie godziny drogi od Salamanki i godzinę od Madrytu.

– Małżonkowie z Segowii również zostali znalezieni w dziwnych pozach – wyjaśnił Alejandro. – Mężczyzna kucał, oparty plecami o pień drzewa, kobieta siedziała, opierając się o jego klatkę piersiową, z podkurczonymi z boku nogami i jedną ręką przełożoną przez jego udo. Byli rozebrani, podobnie jak małżeństwo z tuneli. Mężczyzna miał cienki czerwony szal narzucony na ramiona, kobieta zielony w poprzek ud. A co jeszcze dziwniejsze, obydwójce mieli na stopach sandały nie w swoim rozmiarze, między stopą kobiety a stopą mężczyzny leżał bukiet kwiatów, a sama kobieta siedziała na... rakiecie do tenisa.

– To bez wątplenia celowe kompozycje – stwierdził Salomón.

– I za każdym razem czerwony i zielony kolor – dodał z żarliwą nabożnością Alejandro.

– A dlaczego „małżonkowie z alkazaru”? – zaciekał się kryminolog. – Czy po prostu dlatego, że byli małżeństwem i znaleziono ich w tym miejscu?

– Nie tylko – włączył się Ulysses. – Również dlatego, że przeglądając ich telefony i profile na portalach społecznościowych, policja odkryła, że co roku w rocznicę ślubu robili sobie zdjęcie w miejscu, w którym po raz pierwszy się pocałowali: dokładnie tam, gdzie ich znaleziono. Było tam bardzo dużo krwi, co oznacza, że najprawdopodobniej zostali zmasakrowani na miejscu. Narzędzie zbrodni zniknęło. I podobnie jak w przypadku pierwszego podwójnego morderstwa, nie namierzono winnego. Ale okrucieństwo, z jakim zostali zabici, przywodzi na myśl morderstwo z zazdrości albo w afekcie.

– Mówiliście o trzech trafieniach – zauważył Salomón.

Zaschło mu w ustach. Z korytarza dobiegł ich perlisty śmiech jakiejś kobiety.

– Benalmádena na Costa del Sol, ubiegłego lata – odpowiedział z entuzjazmem Ulysses. – Para turystów zamordowana w łóżku. W wynajętym domu nad morzem. Brytyjczycy, również małżeństwo, bez dzieci. Sprawa trafiła na pierwsze strony gazet. Większość czasu spędzali przy basenie znajdującym się nad publiczną plażą. Co pozwala się domyślać, że morderca mógł ich dostrzec z plaży. Prawdziwa rzeź: co najmniej sześćdziesiąt ciosów nożem w tors, szyję, twarz i genitalia. Mężczyzna leżał na plecach w rozpiętej koszuli, z lewą ręką wzdłuż ciała, prawą zgiętą i spoczywającą na piersi. Na stopach miał sandały, również w złym rozmiarze. Koszula była zielona. Wokół jego kostek leżała dość luźno gruba lina, nie był nią związany. Przez jego biodra przerzucono czerwony koc. Kobieta leżała na boku koło niego, naga od pasa w górę, ze staroświeckim sztyletem wbitym między piersi, z ręką wyciągniętą za głowę w rozmarzonej pozie. Nogi miała przykryte zielonym prześcieradłem.

W miarę, jak Ulysses mówił, zainteresowanie Salomóna wyraźnie rosło.

– Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewiąty, dwa tysiące piętnasty i dwa tysiące osiemnasty – powiedział. – Dlaczego między dwoma pierwszymi zdarzeniami upłynęło tyle czasu?

Wymienili spojrzenia. Ulysses wzruszył ramionami.

– Może morderca siedział w więzieniu.

– Albo był za granicą. Gdzie dalej zabijał – zasugerował Alejandro.

Salomón pokręcił głową.

– Pierwsze małżeństwo zginęło od kul, dwa następne od ciosów nożem. Poza tym pierwsze było dzieciacie, pozostałe nie. To się nie trzyma kupy. Jedyne cechy wspólne to upozowanie, kolory i nagie ciała?

– Nie do końca – odparł Ulysses zadowolony.

Salomón odwrócił się w jego stronę. Oczy Anglika błyszcząły z podniecenia.

– Co jeszcze?

– Aby ciała trzymały się w określonych pozycjach, w każdym przypadku morderca użył kleju.

– Kleju?

– Tak, i to dużo. Supermocnego kleju, którym posmarował plecy, kończyny albo dłonie ofiar, w zależności od pozycji, którą dla nich zaplanował.

– I nikt przed DIMAS-em nie powiązał ze sobą tych spraw?

Ulysses uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Nad każdą z nich pracowały inne służby, które nie były ze sobą w kontakcie, zważywszy na geograficzny rozrzut miejsc zbrodni: jedna na północnych krańcach kraju, druga w centrum, trzecia na południu. Jeśli mamy do czynienia z tym samym mordercą, to w ostatnich latach musiał się przemieszczać. I, jak sam zauważyłeś, między pierwszą sprawą a dwiema następnymi upłynęło prawie trzydzieści lat.

Salomón skinął głową. Hiszpańska policja i Guardia Civil dysponują różnymi bazami danych. Istnieje intranet-SINDEPOL, czyli rejestr skarg, PERPOL z danymi osób karanych, VIOGEN dla przestępstw na tle seksualnym. A przede wszystkim SIGO, zintegrowany system zarządzania operacyjnego, z pewnością najbardziej kompletna baza danych, o której pewien generał powiedział kiedyś, że „to, czego nie ma w SIGO, nie istnieje”. Organom ścigania w tym kraju brakowało jednak oprogramowania i bazy danych zaprojektowanych specjalnie do wykrywania seryjnych zbrodni, oprogramowania, które będzie w stanie znaleźć powiązania między najbardziej brutalnymi morderstwami i najokrutniejszymi mordercami, porównując ich *modus operandi* i sygnatury – takiego, jakim dysponują inne państwa. Brakowało do tej pory, pomyślał. Ponieważ teraz istnieje DIMAS, który będzie doskonalszy od wszystkich innych systemów.

– W sumie jeśli wyjść od hipotezy, że chodzi o tego samego mordercę, ciosy nożem i strzały mogłyby być jego sposobem działania, który, jak wia-

domo, może się z biegiem czasu zmieniać, w zależności od zapotrzebowania – powiedział Ulysses. – Natomiast czerwień i zieleń, wybór małżeństw oraz scenografia byłyby jego sygnaturą, która, jak nas uczyłeś, jest niezmienna.

– A klej?

– Klej to jedno i drugie – odparł Alejandro. – Jest sposobem działania, ponieważ pozwala utrzymać ciało w określonej pozycji, ale właśnie dlatego, wraz ze scenografią, jest jednocześnie sygnaturą.

Dobrze przyswoili materiał. Kryminolog bardzo uważnie dobierał słowa:

– Chcecie powiedzieć, że DIMAS znalazł seryjnego, najwyraźniej bardzo przebiegłego mordercę, który zabija od trzydziestu lat, w unikatowy sposób aranżuje swoje zbrodnie i przez cały ten czas umykał wszelkim radarom, tak? I po raz ostatni uderzył zaledwie rok temu?

Doktoranci spojrzeli po sobie.

– Brawo – powiedział z lekkim drzeniem w głosie, podnosząc na nich wzrok. – To niewiarygodne! Wreszcie nam się udało. Mówiliście o tym reszcie?

– Jeszcze nie – powiedział Ulysses.

– Idźcie po nich. Trzeba im powiedzieć. Opijcie wieczorem ten sukces tak, jak na to zasługuje. Świetna robota.

PONIEDZIAŁEK WIECZÓR

Gdy zapadł zmrok, mgła jeszcze zgęstniała, a blask latarni był już tylko szeregiem odległych mętnych poświat ciągnących się wzdłuż ulicy. Noc nad Salamanką od wieków była taka sama. Lampiony lśniące jak stara biżuteria w witrynie sklepu ze starociami nie różniły się specjalnie od tych, które oświetlały w 1218 drogę króla Leónu Alfonsa IX. Otulając się szczelnie połami płaszcza, Salomón rozmyślał przez chwilę o wszystkich profesorach, którzy przed nim chodzili tymi ulicami, a teraz zaludniają cmentarze. Szedł przed siebie, nucąc:

– *Yesterday, all my troubles seemed so far away, now it looks as though they're here to stay.*

Na ulicach roilo się od ludzi. W większości młodych. W większości studentów. W większości pijanych. Jeśli istniał jakiś dyplom, który Salamanka przyznawała z wielką hojnością, to był to dyplom imprezowicza. Studia i imprezy zawsze szły ze sobą w parze. On sam również zaliczył w swoim czasie kilka spektakularnych pijaństw. Ale to były stare dzieje. W każdym młodym człowieku drzemie starzec, pomyślał. Chyba że jest odwrotnie.

Dotarł do swojej kamienicy przy calle Zamora 62/64. Stary trzypiętrowy budynek zdobiły rzeźbione gzymsy, okna wykuszowe, kute balkony i inne detale architektoniczne, których, podobnie jak na innych budynkach tego miasta, było zbyt wiele. Parter zajmowały sklep obuwniczy i salon fryzjerski. Na fasadzie widniał napis DANIA PALACE – Salomón nie wiedział dlaczego. Tuż obok znajdowała się kafejka o nazwie El Colonial (kawa-tapas-likieri), do której lubił schodzić rano tuż po otwarciu, choć do pochodzenia jej nazwy również miał pewne wątpliwości.

Salomón mieszkał na trzecim piętrze w trzystumetrowym apartamencie, który zdążył kupić, zanim rynek nieruchomości oszalał. Poprzedni właściciel powiesił się na żyrandolu dwie noce po tym, jak jego żona zmarła na

raka w szacownym wieku stu trzech lat. Salomón potraktował to jednak jako szczęśliwą wróżbę: sam wisielec dożył lat dziewięćdziesięciu siedmiu i rozsądnie uznał, że pożył już wystarczająco długo. Zresztą kryminolog jako zapalony czytelnik łacińskich i greckich filozofów widział w tym czynie to, co zwykło się nazywać „samobójstwem filozoficznym”.

Przekręcił klucz w dwuskrzydłowych drzwiach. Już od progu wchodzącego atakowały książki. Regały zajmowały ściany korytarza, trzech salonów i sypialni, od podłogi do sufitu, wisiały też nad niektórymi drzwiami. Oprawy z ciemnej skóry, których złocenia ponuro połyskiwały w półmroku, oraz jaśniejsze grzbiety spłowiełe wskutek upływu lat. Poezja, filozofia, dramat, książki o sztuce. Miał też sto dziewięćdziesiąt trzy powieści i sto pięćdziesiąt osiem opowiadań Simenona oraz sześćdziesiąt sześć książek Agathy Christie. A także siedemnaście tomów przygód Pepegó Carvalho, smakosza i detektywa, pióra Manuela Vázqueza Montalbána. Oraz dziesięć części jego *Carvalho gastronómico* tudzież *Recetas inmorales*.

Włączył lampę z abażurem stojącą na gerydonie, zdjął rękawiczki, szalik i płaszcz, który powiesił na wieszaku. Zsuł buty, włożył miękkie kapcie i szurając stopami, wszedł do pierwszego, największego salonu, zostawiając po swojej prawej ręce pokój gościnny.

Z kasetonowego sufitu – dziś już nikt nie buduje tak wysokich mieszkań – zwisały lampy w takiej odległości od siebie, że duża część pomieszczenia pozostawała w cieniu. Lampy tworzyły osobne bańki światła: wokół uszaka, w którym czytał, niewielkiej sofie, z której oglądał telewizję, i barku zastawionego butelkami i kieliszkami. Lubił cień. Nie odczuwał lęku przed ciemnością. Nie bał się inwazji nocnych strachów. Widział twarzą w twarz śmierć najdroższej, najukochańszej osoby – i ta twarz była niezaprzeczalnie brzydka. Ale wiedział, że sam przyjmie ten ostateczny moment z takim samym stoicyzmem jak Begoña.

Podszedł do barku, na którym stała oprawiona w złotą ramkę fotografia.

– Dzisiaj miałem naprawdę ciekawy dzień, Begoño – odezwał się do zdjęcia. – Nie wyobrażasz sobie, jakie te dzieciaki są zdolne. Chyba dobrze dobrałem członków mojego zespołu. Bardzo utalentowani młodzi ludzie. – Odkorkował ciężką karafkę z rżniętego kryształu, która stała obok zdjęcia, i nalał sobie koniaku. – DIMAS wreszcie wypluł wyniki. Byłabyś ze mnie dumna, Begoño. – Upił łyk i poczuł ogień zstępujący w dół przełyku. –

Why she had to go I don't know she wouldn't say, I said something wrong, now I long for yesterday.

Znów spojrzał na zdjęcie.

Yesterday, ulubiona piosenka Begoñi. Begoña nie była intelektualistką. Była prostą kobietą. Dlaczego musiała go opuścić u progu starości? Czy ta cholerna choroba nie mogła dopaść kogoś innego?

Schylił się, sięgnął po winylową płytę z kolekcji ustawionej bezpośrednio na parkiecie, wzdłuż ściany, po czym wstał, wyjął ją z okładki i położył na talerzu gramofonu. Popłynęła muzyka. Kwintet smyczkowy Boccheriniego. Najpierw skrzypce, lekkie jak uderzenia motyli skrzydeł. Potem poważniejszy, głębszy, leśny dźwięk wiolonczeli. Salomón podszedł do jednego z okien. Przez szparę między grubymi zasłonami wpadała przyćmiona czerwona poświata miasta.

Zapatrzył się na chaotyczny układ dachów, ginących we mgle, powyginanych jak puzony anten, okien, z których bił blask wypełnionych szczęściem wewnątrz. Nagle jego ciało przebiegł dreszcz – jak fala rozchodząca się po powierzchni wody.

DIMAS. Znalazł coś. Z otchłani przeszłości wydobył mordercę, sprawcę potwornych zbrodni. A teraz naprowadzi jego zespół na trop jak sforę młodych psów. Polowanie się zaczęło.

CZĘŚĆ TRZECIA
SALOMÓN I LUCIA

PONIEDZIAŁEK WIECZÓR

Północ. Godzina obchodu. Spokojnie. Przynajmniej na razie.

Niektóre noce były koszmarne. Zewsząd przekleństwa i wrzaski, cele czasowych zatrzymań przypominały wulkany w trakcie erupcji, poziom napięcia był taki, że człowiek nawet nie myślał o spaniu.

Tej nocy zmuszał się, by nie zasnąć. Nakazano im mieć oko na nowego. Blondynek, który przypominał mu jego syna. Oczyma duszy ujrzał bongo i marihuanę, które znalazł wśród ubrań w szafie w jego sypialni, i przypomniał sobie ostrą kłótnię, która się potem wywiązała. Uderzył go. To się stało samo. Oczywiście nie powinien był tego robić. Syn wykrzyczał mu w twarz: „Nienawidzę cię, gardzę tobą! Jesteś pieprzonym klawiszem! Faszystowską szmatą na usługach władzy!”.

Codziennie wspominał tę kłótnię. I słowa syna. To było silniejsze od niego. Zzerało go. Minał celę blondyna. Zza drzwi dobiegał głos:

– Ricardo, nie zabijaj go.

Głos kobiety. Doskonale wiedział, że w środku nie ma żadnej kobiety, ale podobieństwo było naprawdę łudzące. Wyteżył słuch.

– Muszę go ukarać, Marto – odpowiedział inny, o wiele niższy głos, od którego strażnik się wzdrygnął. – On nie może już nic powiedzieć.

Niemal natychmiast odezwał się trzeci, błagalny głos mężczyzny, oscylujący między falsetem a chrypą, przyprawiający o dreszcze:

– Ricardo, błagam, nie zabijaj mnie!

Pokręcił głową. Kurwa, ależ pierdzielnik ma w głowie ten blondas! Ale przynajmniej w towarzystwie tych wszystkich głosów nowy się nie nudzi, pomyślał strażnik. Stwierdził, że postępowanie zgodnie z instrukcją, która kazała nie spuszczać gościa z oczu, zdecydowanie jest w jego interesie. W każdej celi była kamera przekazująca obraz na monitory w dyżurce. W karcie zatrzymania napisano wyraźnie: „zachować najwyższą czujność,

ryzyko próby samobójczej”. Ale niby czym miałby się zabić, do cholery? Zabrali mu wszystko, jak zawsze: sznurówki, pasek, zegarek, zapalniczkę. Przeszedł kontrolę osobistą.

Strażnik się oddalił.

– Muszę go zabić, Marto – dobiegł go jeszcze niski męski głos.

Tak, tak, kolego, świruj sobie dalej, pomyślał strażnik. Nie mógł jednak powstrzymać drżenia.

PONIEDZIAŁEK WIECZÓR

Adrián leżał nagi obok niej i gładził palcem jej tatuaże. *La Calavera* – trupia czaszka o wysokości dwunastu centymetrów, którą kazała sobie wytatuać na lewym bicepsie podczas wakacji w Meksyku, na wzgórku łonowym róża z krwawiącymi kolcami, na łydce para tańcząca tango, pod lewą piersią busola ze strzałką wskazującą północ zorientowaną w kierunku serca, a także zdania, cyfry, gwiazdy, symbole.

– Jak otwarta księga – skomentował.

– Jest to jakaś myśl.

– Księga twojego życia.

Za każdym razem wygłaszał ten sam komentarz. Ilekroć się kochali. Adrián Sanz był mózgowcem. Uwielbiał wszystko analizować. I wiedział, że każdy z jej tatuaży ma związek z jakimś zdarzeniem – radosnym bądź smutnym. A także z miejscami.

– Mmm – zamruczała, głaszcząc go po klatce piersiowej.

Był lekko spocony. Ona nigdy się nie pociła. Nawet kiedy wyciskała czterdziestokilogramową sztangę, leżąc na ławeczce w siłowni UCO. To zaburzenie hormonalne, tak zwana hipohydroza. Powiedziano jej, że to może być niebezpieczne. Zapytała, jaki jest poziom zagrożenia w skali od jednego do pięciu, gdzie jeden to osoba, która nigdy nie wychodzi z domu, a pięć to funkcjonariusz Guardia Civil, któremu już trzykrotnie grożono bronią. Lekarz nie potrafił odpowiedzieć.

– Masz tatuaże na kostkach i stopach, ale na dłoniach i karku nie masz – zauważył.

– To niedozwolone.

– A ten? – zapytał, odwracając ją na brzuch, żeby pogłaskać jej plecy. – Opowiedz mi o nim.

Wielki tatuaż sięgał od łopatek do nerek. Długa sylwetka, sam kontur, z rozkrzyżowanymi ramionami. Nie był to jednak Chrystus. Albo był, ale jej Chrystus. Rafael. Na zawsze odcisnięty na jej skórze. Będzie przy niej, dopóki będzie żyła. Zrobiła go sobie w wieku osiemnastu lat. Był pierwszy. Kilka tygodni po tym, jak...

Znieruchomiała. Nie lubiła o tym opowiadać. Wstała.

– A kiedy przedstawisz mi synka?

– Daj mi czas.

– Czas? – Wsparł się na poduszkach i skrzyżował ramiona. – Bez jaj, Lucia, jak długo się spotykamy? Dwanaście miesięcy? Trzydzieście? Gdzie idziesz?

– Pod prysznic.

– Już wychodzisz?

Nie odpowiedziała. Przeszła przez przylegającą do pokoju łazienkę i stanęła pod luksusowym czarnym prysznicem ze świetlnym, zmieniającym kolory dyskiem wokół umieszczonych pod sufitem sitek, inteligentnym kranem LCD, ze zintegrowaną wanną, jacuzzi i sauną. Kabina rodem z kosmosu. Cholera, na co mu taki prysznic, skoro sam kąpie się w ekspresowym tempie?

– Wkurzasz mnie, wiesz? – zawołał z łóżka.

Uśmiechnęła się. Adrián porzucał swój staranny język tylko wtedy, kiedy był wściekły. Była pewna, że zanim się ubierze, włoży okulary. Czasami myślała, że są dla niego jak tarcza chroniąca go przed zewnętrznym światem, że Adrián Sanz się za nimi chowa. Kiedy je zdejmował, jego twarz była nieprzyjemnie naga.

Spotkali się przy okazji pracy, jak miliony innych osób. Włamanie, w którym coś poszło nie tak: dwa trupy, kradzież wartościowych obrazów. Adrián pracował w zespole specjalizującym się w przestępstwach dotyczących dzieł sztuki. Na drzwiach gabinetu miał plakat z puszczającą oko Giocondą. Potrafił zajmująco opowiadać o paserach, handlu, czarnym rynku, galeriach. Był uroczy. Znał się na rzeczy. Miała ochotę z miejsca zdjąć mu te okulary i go pocałować. Zaczekała jednak do wieczora, by do niego zadzwonić i zaprosić na jednego.

Pod prysznicem dopadł ją inny obraz.

Ona i Sergio kochają się na tylnej kanapie samochodu, którego używali do obserwacji, w zaułku dzielnicy przemysłowej San Blas-Canillejas,

w północno-wschodnim Madrycie, za magazynem, którego mieli pilnować. Muskularne ramiona Sergia wyłaniające się spod koszuli Silbon, które drapała, siedząc na nim okrakiem, palce Sergia na sterczących brodawkach jej piersi, twarde, duży penis wchodzący w nią, ilekroć ugiwała kolana, podniecenie wynikające z faktu, że robią coś nagannego, zakazanego – stali przecież na czatach, a w dodatku Lucia znała i lubiła Lisę, żonę Sergia. Ale szła pożądaną nic sobie nie robił z zasad. Nie było już moralności, nie było reguł, które by się liczyły: był tylko ten trawiący ich ogień.

Przez chwilę stała z ręką na uchwycie kabiny prysznicowej, ogarnięta poczuciem winy.

Piętnaście minut później wsiadła za kierownicę swojego hyundaia tucsona i pojechała do całodobowego carrefoura przy calle Alberto-Aguilera. Dygotała pod zbyt cienką skórzaną kurtką i bluzą z kapturem. Była 23.47 i trzy stopnie powyżej zera, a ona miała przed sobą tylko cztery godziny snu – potem będzie musiała dołączyć do grupy na odprawę przed planowanym na jutro szturmem. Ostatecznie bowiem Peña uznał, że bracia Lozano są wystarczająco dobrymi podejrzanymi w sprawie o zabójstwo Sergia, by uruchomić UEI, specjalną jednostkę interwencyjną.

Szturm miał się odbyć przed świtem, kiedy drapieźniki są najmniej czujne. Nie chodziło bowiem o wilki ani o tygrysy, lecz o szakale, hieny, o *perros callejeros*, psy ulicy. Nie żywiła wobec nich żadnych szczególnych uczuć. Trwała wojna, a oni byli wrogami. Lucia Guerrero – *la guerrera*. Wojowniczką.

Dwadzieścia minut później obładowana zakupami najciszej jak potrafiła wsunęła klucz do zamka w drzwiach sąsiadujących z jej mieszkaniem.

– O której to się wraca?

Lucia weszła do niewielkiego salonu. Odwróciła się w stronę kobiety o wychudłej twarzy i rozczochranych siwych włosach, ubranej w moltonową podomkę narzuconą na gruby sweter i niekształtne, ale z pewnością wygodne dzinsy, która obserwowała ją z sofy naprzeciwko włączonego telewizora. Siedziała zakopana w górze poduszek i koców, spod których wygrzebywała się tylko na okoliczność wizyt w toalecie. Oczywiście postarzała się, ale w jej ostrych rysach wciąż dało się rozpoznać apodyktyczną, surową i bezkompromisową kobietę, którą kiedyś była. Kobietę, która tak uprzykrzyła życie jej ojcu, że postanowił przedwcześnie zejść na zawał.

– Pracujemy nad ważną sprawą, mamó – powiedziała, żeby się usprawiedliwić.

– Nie zapomniałaś, że w niedzielę masz Álvara?

– Nie, mamó, nie zapomniałam.

Co drugi weekend zajmowała się synem. Tak postanowiła sędzia, kobieta około trzydziestki, o której wiedziała – bo zasięgnęła informacji – że nie ma dzieci. A matkę Lucii w jej wdowim życiu interesowało tylko jedno: wnuki. Coraz więcej zapominała, ale pamiętała o wszystkim, co miało związek z Álvarem.

– Dzwonił Samuel – powiedziała matka. – Chciał z tobą rozmawiać. Nie mógł się do ciebie dodzwonić. Myślę, że coś się stało w szkole.

Coś się stało? Co to znaczy? Samuel był jej eksmałżonkiem. Prowadził agencję ubezpieczeniową, co w oczach sędzi było oczywiście zajęciem bardziej predysponującym do bycia rodzicem niż zawód oficera wydziału kryminalnego Guardia Civil.

– Jutro do niego zadzwonię – powiedziała, wchodząc do kuchni.

Otworzyła lodówkę i włożyła do niej owoce, warzywa, jogurty, ser i rybę.

– Samuel mówił, że dwa razy próbował się dodzwonić na twoją komórkę – matka nie odpuszczała.

Na drzwiach lodówki wisiał przypięty magnesami kalendarz na ubiegły rok. Aktualnego nigdzie nie było. Poczowała irytację: dlaczego kiedy Samuel nie może się do niej dodzwonić, musi się kontaktować z jej matką?

– Możliwe. Mamó, nie odbieram prywatnych telefonów w trakcie... – O mało nie powiedziała „przesłuchania”. – Kiedy jestem w pracy.

– Tak. Wszyscy wiemy, że twoja praca jest najważniejsza – skomentowała jej matka zza ściany.

Wychodząc z kuchni, jak zwykle spojrzała na wiszące na ścianie zdjęcie Rafaela. Miał na nim piętnaście lat. Był bardzo wysoki jak na swój wiek. Bardzo wysoki i bardzo szczupły. Miał metr osiemdziesiąt osiem i ważył zaledwie siedemdziesiąt cztery kilogramy.

– Dobranoc, mamó – powiedziała, kierując się do drzwi.

Nie otrzymała odpowiedzi. Czy matka w ogóle ją usłyszała? Słuch jej się coraz bardziej pogarszał. I była coraz bardziej zapuszczona. W całym mieszkaniu unosił się nieprzyjemny zapach. Zaczyna wariować – twierdziła siostra Lucii. Mónica chciała umieścić matkę w domu starców. Tłumaczyła,

że to zbyt wielkie obciążenie dla nich obu, choć to Lucia zajmowała się wszystkim, podczas gdy jej siostra – która mieszkała na czterystu metrach i której mąż, pilot samolotów rejsowych w Air Europa, doskonale zarabiał – nie wiedziała, co robić ze swoim czasem. Ilekroć poruszały ten temat, rozmowa kończyła się wzajemnymi oskarżeniami i pretensjami. Mónica – która wyszła za mąż młodo, gdy jej wybranek był jeszcze pilotem myśliwca Hiszpańskich Sił Powietrznych, Ejército del Aire, najwyraźniej miała bardzo niewielkie pojęcie o rzeczywistym świecie, w którym ludzie od rana do wieczora tyrają na ledwie wystarczającą pensję, z trudem wyrabiają od pierwszego do pierwszego i nie mogą posłać dzieci do najlepszych szkół. Lucia pamiętała, że kiedy jej siostrzeńcy byli mali, do szkoły zawoziła ich i odbierała z niej gosposia o imieniu Consuela.

Samuel dwukrotnie próbował się do niej dodzwonić? Nagle się zaniepokoiła. Weszła do swojego mieszkania, zapaliła światło, zamknęła się na cztery spusty i nie zdejmując trampek, ruszyła prosto do prawie pustej lodówki. Z półki na drzwiach zdjęła izotonik napakowany wapniem, magnezem, witaminą B₁, a zwłaszcza cukrem, upiła łyk i wybrała numer telefonu.

– Chryste, wiesz, która jest godzina?! – zawołał jej były małżonek.

– Przepraszam. Miałam długi dzień. Co się stało Álva- rowi?

– Jutro o tym porozmawiamy – odpowiedział znużonym, wyniosłym głosem. – Śpię już i...

– Nic poważnego? – zapytała.

– W skali od jeden do pięciu? – zakpił, przedrzeźniając ją, po czym się rozłączył.

Dupek! Wróciła do lodówki, wyjęła gotowe danie, podgrzała je w mikrofalówce, a następnie w mgnieniu oka pochłonęła. Włożyła talerz do zmywarki, umyła ręce i poszła do sypialni. Po drodze otworzyła drzwi do pokoju Álvara.

Plakaty gwiazd, których nie знаła, na łóżku komplet pościeli z Mandalorianinem z uniwersum *Gwiezdnych wojen*, na półce nad biurkiem cała kolekcja książek o Harrym Potterze od *Kamienia filozoficznego* po *Insygnia śmierci*, a także *Mroczne materie* Philipa Pullmana, a na suficie rozgwieżdżone niebo, które sama namalowała.

Zgasiała światło. Wyliczyła, że Álvaro spędził w tym pokoju mniej niż dwadzieścia nocy. I to nie tylko dlatego, że miała przydzieloną opiekę nad nim co drugi weekend. Wiele spośród tych weekendów sama odwołała ze względu na robotę.

Weszła do łazienki, otworzyła apteczkę i wyjęła z niej tabletkę buscopanu na problemy żołądkowe, umyła zęby i doczyściła je nicią dentystryczną.

Wróciła do sypialni, w ciemności zdjęła buty i kurtkę. Świeciło się tylko w łazience. Padła na łóżko w ubraniu, potarła powieki i ziewnęła z twarzą zwróconą do sufitu. Po chwili jej lewa noga zaczęła podskakiwać jak niezależny od reszty ciała wyrostek, nad którym nie miała żadnej kontroli. Pół minuty później już spała.

WTOREK RANO

6.21. Gigantyczny metalowy owad przeleciał nad betonowymi wieżowcami i klockowatymi blokami, młóćąc łopatomi bursztynowożółte niebo pod warstwą chmur.

Madryt. Dzielnica Villaverde. Do wschodu słońca pozostała jeszcze dobra godzina. Dwunastu mężczyzn ze specjalnej jednostki interwencyjnej w skupieniu kończyło przegląd ekwipunku. Jeden wpatrywał się w swoje nakolanniki; inny wkładał ciężką kamizelkę balistyczną do worka w mieście z wystającą z tyłu anteną nadajnika i granatami hukowymi na napierśniku; jeszcze inny wsuwał nauszники i kominiarękę, a nie kask z szybką. Z całym tym osprzętem i uprzężą pełną wystających elementów i anten przypominali wielkie czarne skarabeusze.

– Hej, Alberto! To ty masz chronić mój tyłek?

– Taaa – odpowiedział tamten. – Wierz mi albo nie, ale wolałbym chronić coś innego.

Żartowali, żeby obniżyć stres. A jednak to kochali. Adrenalinę, napięcie, niebezpieczeństwo. Otrzymywali stosunkowo niskie wynagrodzenie, zważywszy na ich kompetencje i ryzyko, jakie ponosili. Niektórzy nie mogli przestać o tym myśleć, kiedy oglądali w telewizji mecz Atlético czy Realu: gości zasypywanych złotem za kopanie piłki. Albo kiedy jakiś mały cwaniak z dnia na dzień zarabiał miliony na bitcoinach. Wiedzieli wszak, że łączy ich z tamtymi przynajmniej jedno: w każdej z wymienionych dziedzin chodziło o to, żeby się znaleźć w gronie najlepszych. I kto jak kto, ale akurat oni byli najlepsi.

Ich broń połyskiwała w delikatnym świetle poranka. Pistolety HK USP i glocki 17, karabiny szturmowe HK G36K, karabiny precyzyjne kaliber 7,62 mm. W porównaniu z wyposażeniem wielu jednostek sprzęt z najwyższej półki.

– Do roboty, panowie.

Szczęknęły zamki odbezpieczanej broni. Ruszyli w stronę siedmiopiętrowego bloku. Dwoma grupami po sześciu, gęsiego. Zniknęli w budynku. Weszli na schody ewakuacyjne i bez słowa pokonywali truchtem kolejne ciągi stopni.

Wpadli na ostatnie piętro.

Teraz.

W korytarzach panowała cisza, taka sama jak kiedyś na przytłoczonych zmęczeniem przemysłowych i robotniczych przedmieściach, do czasu, aż młodzi, którzy nie znali ani zmęczenia, ani zasad, zmienili je w swój plac zabaw. Ale na tym piętrze nie było robotników. Wszystkie mieszkania zostały wykupione przez tych samych ludzi: braci Lozano i ich klan. Ulokowali w nich swoich goryli, swoją straż przyboczną, swoje rodziny i dzieci.

Mieszkanie braci znajdowało się na końcu korytarza. Prawie nigdy się ze sobą nie rozstawali. Zawsze jeden zabezpieczał tyły drugiego. Podczas odprawy członkom jednostki specjalnej pokazano zdjęcia ich twarzy. Ale nie potrzebowali zdjęć, już ich znali: tłuście, chamskie oblicza o zimnym, tępych spojrzeniu, wyrażające gotowość zastraszenia wszelkiej konkurencji i zmiżdżenia jej z niewyobrażalnym okrucieństwem.

Komandosi znaleźli się w prawdziwej pułapce: wszystkie te drzwi, za którymi ludzie teoretycznie spali, ale które mogły się w każdej chwili otworzyć. Bali się, że zanim zdążą dojść do końca korytarza, ktoś wyskoczy i wystrzela ich jak kaczki. Wyrównali oddech. Porozumieli się na migi w absolutnej ciszy. I pędem, ale bezszelestnie ruszyli przez korytarz.

Dopadli ostatnich drzwi: pierwszy ukląkł z lewej za tarczą, drugi, uzbrojony w pneumatyczny taran, z prawej; pozostali, celując z broni, ustawili się na wprost wejścia, ostatni zabezpieczali tyły.

Na znak szefa grupy drzwi zostały wyważone. Komandosi wpadli do środka.

– Guardia Civil! Guardia Civil! – krzyczeli, budząc mieszkańców.

Pojawili się mężczyźni w majtkach lub bez i początkowo zaspane, a po chwili już zdenerwowane kobiety. A także dzieci. Tym lepiej. Dzieci to dobry znak: nie będzie wielkiej rozpierduchy.

Wyciągnęli Lozanów z jedwabnej pościeli, obrzucani mięsem przez ich małżonki. Zagłówek jednego z łóżek zdobiło malowidło wielkości dwa

metry na trzy przedstawiające tygrysa bengalskiego w dżungli. Jego wspinałe futro zostało namalowane z niemal fotograficzną precyzją, podobnie otaczająca go roślinność. Zwierzę wyglądało na spokojne, potężne i szlachetne. Absolutne przeciwieństwo Lozanów i ich szajki. W lustrach oprawnych w złoczone ramy odbijał się panujący wokół chaos; ze wszystkich stron dobiegały krzyki.

– Kurwa, czego ode mnie chcecie? – pyskował Nano Lozano, posłusznie pozwalając się wyprowadzić; nie chciał, żeby któryś z kowbojów wykręcił mu nadgarstek.

– Cześć, Nano – powitała go Lucia, gdy wyciągnęli go z mieszkania.

– No, no, *guerrera* we własnej osobie! – odparł, jakby się ucieszył na jej widok. – Czemu zawdzięczam taki zaszczyt z samego rana?

Nie wyglądał na zaniepokojonego. Bracia mieli na swoich usługach armię adwokatów i już nieraz wyrwali się z objęć wymiaru sprawiedliwości.

Właśnie miała odpowiedzieć, kiedy usłyszała wibracje telefonu – swojego lub należącego do któregoś ze stojących najbliżej mężczyzn. W przeciwieństwie do ludzi z jednostki specjalnej odzianych w zielone kombinezony i ciężkie kamizelki taktyczne, miała na sobie bluzę, a na niej lżejszą kamizelkę balistyczną. Początkowo myślała, że brzęczy czyjaś krótkofalówka, i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że przełączyła komórkę na tryb wibracji.

– Guerrero – przedstawiła się.

– Pani porucznik, musi pani natychmiast przyjechać.

WTOREK RANO

Kiedy Lucia zaparkowała przed komendą Guardia Civil, było zimno, ale słonecznie. Budynek znajdował się w Tres Cantos, północno-wschodniej dzielnicy Madrytu, wzniesionej zaledwie przed pięćdziesięcioma laty. W ostrym jesiennym świetle monotonne rzędy bloków wyglądały niemal wesoło.

Znalazłszy się w środku, rozejrzała się dookoła. Tres Cantos było jedynym posterunkiem w Madrycie i okolicy dysponującym celami czasowych zatrzymań. Pięćdziesiąt pomieszczeń za metalowymi drzwiami z judaszami, pod nieustannym nadzorem kamer.

Stanęła przed przeszkloną dyżurką strażników.

– Gabriel Schwartz – oświadczyła, pokazując odznakę.

Twarze mężczyzn stężały.

– Chodźmy – powiedział jeden z nich.

Ruszyła za nimi. Czekał na nich jeszcze jeden strażnik. Stał ze zwieszonymi ramionami i skruszoną miną dziecka przyłapanego na gorącym uczynku. Ale zdradzały go przede wszystkim dłonie. Otwierał je i zaciskał na zmianę, jak Lucia podczas ćwiczeń ze ściskaczem. Zauważyła, że jego mundur jest obficie poplamiony krwią.

– To ja do pani dzwoniłem – powiedział. – Miałem dziś w nocy dyżur. Zdążyła pani. Właśnie go wynoszą. Pani kolega już tutaj jest.

W korytarzu panowało poruszenie. Drzwi do celi, w której umieszczono Schwartz, były otwarte na oścież, paliło się w niej światło. Strażnik usunął się, by ją przepuścić. Niemal marszowym krokiem przekroczyła próg. W pomieszczeniu nie było toalety – tylko łóżko i umywalka.

Zobaczyła Ariasa i lekarza stojących nad blondynem ułożonym na noszach między łóżkiem a ścianą. Usłyszawszy odgłos kroków, Arias spojrział na nią zezem. Posępnie. Lucia poczuła narastające napięcie. Miała wra-

żenie, jakby czas zwalniał, odkształcał się. Gabriel Schwartz wyglądał na spokojnego, jakby spał, dolną część jego twarzy zasłaniała maska tlenowa. Podeszła bliżej, nie mogąc oderwać wzroku od jego sinej twarzy. Pod maską zobaczyła purpurowe strużki częściowo zastygłej krwi wypływające z nozdrzy i ust.

Zakrwawiona koszula była rozpięta, na piersi przyklejone miał elektrody, a na wysokości żeber dostrzegła potężne siniaki. Do barierki noszy przymocowano kroplówkę. Do celi weszli pielęgniarze. Lekarz skinął na nich i wywieźli pacjenta na zewnątrz.

– Co się stało? – zapytała z walącym sercem. – Kto mu to zrobił?

– Sam sobie to zrobił – odparł lekarz, patrząc za odjeżdżającym Schwartzem.

Przytrzymała go za ramię, zanim zdążył wyjść.

– Jak to?

Zauważyła, jak patrzy na jej rękę, i cofnęła ją.

– Spontaniczne krwawienia, masywne krwotoki – powiedział. – Wskaźnik Quicka jest bardzo wydłużony.

– Co?

Spojrzał na nią.

– Wskaźnik Quicka. To takie badanie, które mierzy czas protrombinowy, czyli krzepnięcie krwi, jeśli pani woli, z uwzględnieniem czynników krzepnięcia: siódmego, dziesiątego, piątego i drugiego. Jest chory na hemofilię, ma potężny niedobór czynników krzepnięcia. Podejrzewam, że przyjął jakiś antykoagulant: prawdopodobnie trutkę na szczury.

– Trutkę na szczury? – powtórzyła zbita z tropu.

Skinął głową.

– Tak. Ośrodek kontroli zatruć w Madrycie rokrocznie otrzymuje kilkadziesiąt zgłoszeń w sprawie zatrucia rodentycydem, produktem do likwidacji gryzoni. Większość incydentów dotyczy dzieci, ale zdarzają się też dorośli. Przy czym u dwudziestu procent dorosłych mamy do czynienia z dobrowolnym połknięciem.

– Ma pan na myśli samobójstwa. Ale on przecież został przeszukany i był pod stałym nadzorem! Niemożliwe, żeby połknął to w ciągu kilku ostatnich godzin.

Lekarz pokręcił głową.

– Maksymalne zakłócenie wskaźnika Quicka, takie jak w tym przypadku, następuje między trzydziestą szóstą a siedemdziesiątą piątą godziną po spożyciu antykoagulantu. A objawy kliniczne pojawiają się po dwóch, czterech dniach. Oczywiście hemofilia musiała przyspieszyć ten proces, ale tak czy owak przyjął tę substancję, zanim został zatrzymany.

Szlag, filizanka!, pomyślała. Albo wypił trutkę dobrowolnie, albo ktoś go do tego zmusił.

– Co z nim?

Lekarz się skrzywił.

– Kiepsko to widzę. Jest w śpiączce, a parametry życiowe są słabe. Na pewno ma krwotok podpajęczynówkowy, to znaczy pomiędzy oponą pajęczą a oponą miękką, krwawienia żołądkowo-jelitowe i płucne, które prowadzą do hipoksji: niedotlenienia i niewydolności oddechowej. Zrobimy, co w naszej mocy, ale nie wiem, czy przeżyje podróż do szpitala.

– Dziękuję, doktorze.

Popatrzyła za oddalającym się medykiem. Obok niej stał blady Arias.

Przejrzeli nagranie. Na początku pojawiło się zwykłe krwawienie z nosa. Następnie Schwartz zaczął kaszleć i krew wypłynęła mu z ust. A potem zaczął wypluwać ją w wielkich ilościach na podbródek i ubrania, jakby wymiotował. Drzwi celi otworzyły się na oścież i do środka wpadło dwóch strażników.

– Kiedy tylko zobaczyliśmy, że krwawi, pobiegliśmy do niego – wyjaśnił mężczyzna siedzący przed monitorem.

Na filmie było widać, jak strażnicy pochylają się nad Schwartzem, który wił się w konwulsjach na łóżku. Jeden z nich sięgnął po radiotelefon, by wezwać pomoc. Wreszcie ciało Gabriela Schwartza na oczach bezradnych strażników wygięło się w łuk, jakby pod wpływem serii impulsów elektrycznych. Krew tryskała mu z nosa i ust, a nawet z oczu i uszu. Po chwili jego mięśnie nagle się rozluźniły i padł bez ruchu na posłanie.

– Chcę zobaczyć, co się działo wcześniej – powiedziała.

Strażnik cofnął nagranie.

– Wygląda, jakby gadał do siebie – zauważył Arias.

Film był bez dźwięku, same obrazy. Strażnik zakasłał. Odwrócili się w jego stronę.

– Kiedy przechodziłem obok celi, mówił, hm, głosem kobiety. A potem mężczyzny. A potem jeszcze jakimś innym.

- Co mówił?
- Że trzeba kogoś zabić. Kobięcy głos błagał jakiegoś Ricarda, żeby tego nie robił. To znaczy żeby go nie zabijał.
- Chryste Panie! – szepnął Arias.
- Patrzcie – powiedział Peña.
- Na ekranie zobaczyli, jak Gabriel podchodzi do kamery i podnosi głowę w jej stronę. Wpatrywał się w obiektyw. Mówił coś. Zwracał się do nich. Ruchy jego warg były bardzo wyraźne i czytelne.
- Wygląda jakby literował jakieś słowo.
- Niech pan cofnie – poleciła Lucia.
- Odtworzyli całą sekwencję od początku.
- Tak, faktycznie! To jest L. Albo N – powiedział Arias.
- A teraz U lub O – zawtórował mu Peña.
- C – odgadł Arias.
- I – stwierdził jego szef.
- A...

Lucia milczała. Odkąd usiadła, jej lewa noga pod blatem, na którym stał monitor, podskakiwała bez chwili przerwy. Mężczyźni odwrócili się w jej stronę.

L
U
C
I
A

„LUCIA”. Zadrzała. To było ostatnie słowo, jakie Gabriel Schwartz wypowiedział, zanim odszedł z tego świata: lekarz twierdził, że mężczyzna raczej nie ma szans na przeżycie.

I Lucia zrozumiała, że niewidzialna postać, która z cienia pociągała za sznurki, manipulując Schwartzem jak marionetką, zwracała się do niej spoza granicy śmierci. Kierowała do niej nieme przesłanie.

Przesłanie z zaświatów.

WTOREK RANO

Konferencja prasowa zaczęła się o jedenastej. Sala pękała w szwach. Nie co dzień mediom dostaje się atrakcyjny kąsek w postaci mordercy z osobowością mnogą. A jeśli na dodatek ofiara jest funkcjonariuszem Guardia Civil...

Kiedy poprzedniego wieczoru część informacji wyciekła, kanały informacyjne zaczęły zapraszać do siebie wszystkich madryckich psychiatrów, którzy kiedykolwiek pełnili funkcję biegłych sądowych. Ich opinie, wypowiedziane najczęściej dobrotliwym tonem specjalistów zwracających się do profanów, zauważalnie sobie zaprzeczały. Ale, jak wszyscy wiedzą, psychiatria to nie fizyka, więc pewne różnice zdań są w niej dopuszczalne.

Tego ranka po jednej stronie w sali było około trzydziestu dziennikarzy – bywalców komisariatów i sądów – z niecodzienną liczbą kamer Panasonic AG-HPX50 oraz przenośnych kamer AG-HPG20, standardowego sprzętu hiszpańskiej telewizji, a po drugiej, to znaczy za długim stołem z mikrofonami, Peña i szefowa Głównej Jednostki Operacyjnej pułkownik Pilar Molina Marcos, potężna, kanciasta kobieta pozbawiona zarówno charyzmy, jak i poczucia humoru, za to podobno znakomita organizatorka, fanatycznie oddana korpusowi Guardia Civil.

Lucia trzymała się na uboczu. Nie wymagano od niej, by publicznie zabierała głos. Nie żeby była nieśmiała. Ale nie należała do tych, co udają, że śledztwo posuwa się do przodu, podczas gdy tkwi ono w martwym punkcie. I daleko jej było do coachów komunikacji, którzy zmieniają przekaz negatywny w pozytywny. Mogłaby się okazać zbyt szczerą, zbyt bezpośrednią, zbyt... agresywną.

Na przykład tej jasnowłosej dziennikarce o szmaragdowych oczach, która prosto z mostu zapytała, jak to się stało, że podejrzany oszukał dozór UCO i odebrał sobie życie, odpowiedziałyby: „Bo nażarł się trutki na

szczury, zanim go zatrzymaliśmy, i utopił się we własnej krwi”, i z satysfakcją patrzyła, jak śliczna buzia przybiera barwę zsiadłego mleka. Ale oczywiście na konferencji prasowej nie mówi się takich rzeczy. A przynajmniej nie w ten sposób.

Uderzył ją jeszcze jeden szczegół: wyjątkowe skupienie dziennikarzy. Wyczuli zapach krwi, historię, którą czytelnicy i widzowie będą śledzić z zapartym tchem przez kilka tygodni albo i miesięcy.

– Czy wiemy, jaka była dokładnie przyczyna śmierci sierżanta Moreiry?
– zapytał inny dziennikarz.

– Sekcja wykazała, że najpierw został ogłuszony. Jego czaszka nosiła ślady tego, co patolodzy nazywają „znieczuleniem Brouardela”: zagłębienie w kości potylicznej świadczące o silnym ciosie, zadany po to, by ogłuszyć lub zabić, skutkującym urazem czaszki i krwotokiem. Potwierdza to nasze podejrzenia, że sierżant Moreira został zaatakowany z zaskoczenia. Następnie otrzymał kilka ciosów ostrym narzędziem w okolice serca.

– I został ukrzyżowany – dodał jakiś głos z sali.

– Z technicznego punktu widzenia to nie było ukrzyżowanie – uściśliła Pilar Molina Marcos. – Ale to prawda, przyklejono go do krzyża.

– A zatem jeden z waszych ludzi zostaje zamordowany i przyklejony do krzyża, a następnie, kilka godzin później, główny podejrzany popełnia samobójstwo w celi. Tak? – zaatakowała znowu jasnowłosa waźniara.

Tym razem nie otrzymała odpowiedzi.

– Podobno dziś wczesnym rankiem w Villaverde funkcjonariusze jednostki interwencyjnej przeprowadzili akcję – rzucił dziennikarz „El País”. – Czy to ma jakiś związek ze śmiercią sierżanta Moreiry?

– Próbujemy to ustalić – odpowiedział Peña.

– Czy to znaczy, że człowiek, który popełnił samobójstwo w waszej celi, był niewinny?

Znowu ta blondyna. Była nowa, ale najwyraźniej już zrozumiała, że najlepszym sposobem na popularność jest robienie wokół siebie szumu. Lucia przejrzała ją na wylot: młoda, ambitna, cyniczna, zarozumiała egocentryczka. Kariera przed etyką. Troska o swój wizerunek i poczucie własnej wartości przed kompetencjami. Lucia już teraz wyobrażała sobie te tytuły: NIEWINNY CZŁOWIEK POPEŁNIA SAMOBÓJSTWO POD PRESJĄ UCO.

– Nie, bynajmniej – odparł Peña dotknięty do żywego. – Został znaleziony w pobliżu zwłok, był poplamiony krwią ofiary i złożył zeznania.

– Ale nie macie twardych dowodów? – zapytał ktoś inny.

– Jak można potraktować poważnie zeznania osoby cierpiącej na dysocjacyjne zaburzenie tożsamości? – młoda dziennikarka znowu przypuściła atak. – Czy widział go psychiatra? To tak działa UCO?

– Co pani insynuuje?! – wrzasnęła Marcos, piorunując ją wzrokiem.

Lucia wstała. Dość się już nasłuchiwała. Po drodze wstąpiła do toalety, by opłukać twarz. Oparłszy się oburącz o brzeg umywalki, pomyślała o Sergiu. Kilka tygodni wcześniej powiedział jej, że chciałby odejść z jednostki, zanim ta robota całkowicie zniekształci jego obraz świata. Każdy glina ma swoje granice. Miał do czynienia z mężami, którzy tłukli swoje żony na śmierć, a także z kobietą, która wraz z kochankiem przez kilka miesięcy planowała wypadek własnego męża, z gwałcicielami, z handlarzami wszystkim, co dało się sprzedać, z młodymi terrorystami, których jedyną ambicją było zmasakrowanie jak największej liczby ludzi, ponieważ uważali, że tego chce ich bóg, ze stręczycielami, którzy wydawali nastolatki na żer rozmaitych kanałii w zamian za forszę czy dragi, ze wszystkimi najbardziej beznadziejnymi, najbardziej poniżającymi aspektami człowieczeństwa. Nadeszła chwila, by odwiesić rękawice.

Nie chciał patrzeć na dorastanie własnych dzieci przez pryzmat takich obrazów. Zamierzał znaleźć jakąś spokojną posadkę w ochronie albo przydział na prowincji, gdzie beztriosko doczekałby emerytury, bawiąc się w tatuśka. Nie zdążył.

WTOREK RANO

Dwieście kilometrów od Madrytu.

– Jesteśmy tu po to, żeby uczyć się różnych teorii kryminologicznych – oświadczył Salomón. – Pozwólcie, że wam coś powiem: wszystkie teorie, które poznacie w tych murach, są fałszywe.

Powiódł wzrokiem po sali. Nie było to audytorium w ścisłym znaczeniu tego słowa, ale miejsca do siedzenia lekko opadały ku podium. Podobnie jak madryckie pomieszczenie, w którym odbywała się w tym samym czasie konferencja prasowa, sala wykładowa numer 001 wydziału prawa w Salamance pękała w szwach. Studenci nigdy nie opuszczali jego wykładów. Wszystkie spojrzenia były utkwione w Salomónie i wszystkie mówiły to samo: „No już, profesorze, niech nas pan olśni, niech pan pokaże, że jest tak błyskotliwy, jak mówią”.

– Teorii kryminologicznych jest mnóstwo – mówił dalej. – A socjologicznych w szczególności. Wielu moich kolegów po fachu jest, jak się zdaje, zafascynowanych teoriami socjologicznymi. Może dlatego, że są zbyt leniwi, by szukać innych.

Śmiechy z sali.

– Istnieją teorie, wedle których to nie dewiacja powoduje kontrolę społeczną, ale kontrola społeczna powoduje dewiację. Inne opowiadają się za rozwiązaniami stricte sekurytarnymi. Są teorie dominujące w mainstreamie i mnóstwo innych. Powtarzam: wszystkie one są mylne. Dlaczego? Ponieważ po pierwsze, są zbyt ogólne, by uwzględnić wszystkie możliwe rodzaje przestępstw, a po drugie, ponieważ u podstaw większości z nich, jeżeli nie wszystkich, leżą stereotypy i postulaty ideologiczne. I wszystkie one są niedostatecznie poparte badaniami naukowymi. – Omiótł audytorium wzrokiem. – Tutaj będziemy się zajmować rzeczywistością – oświadczył z naciśkiem. – Prawdziwymi zbrodniami, prawdziwymi sytuacjami i prawdzi-

wymi ludźmi. Jeśli jest w tej sali ktoś, kto uważa, że Ziemia jest płaska albo że człowiek nigdy nie stanął na Księżycu, proszę, żeby wyszedł.

– Mateo wierzy w zielone ludziki – odezwał się jakiś głos.

Znowu rozległy się śmiechy. Salomón spojrzał pobłaźliwie na zartownisia i uśmiechnął się.

– I co z tego? Ja też w nie wierzę. Późnym wieczorem na ulicach tego miasta można spotkać niejednego zielonego studenta.

Eksplozja śmiechu. Profesor zaczekał, aż młodzież się uspokoi.

– Będę od was wymagał dokładności, a przede wszystkim pokory. Rygorystyczne podejście zawsze daje złożony, zniuansowany i często niezadowolający intelektualnie wynik. Jeśli jesteście przywiązani do pewników, żądacie prostych odpowiedzi, to miejsce nie jest dla was. Pewniki zostawiamy w szatni. Dziękuję.

Część słuchaczy zaklaskała, a potem wszyscy wstali. Salomón wepchnął swoje rzeczy do teczki, włożył szalik i płaszcz, odpowiedział na pytania kilku studentów, a potem wyszedł i zanurzył się w zimnej listopadowej szarówce.

Wypił kawę w Picaro naprzeciwko uniwersytetu, a nie w wydziałowej kafejce, która serwowała napój nomen omen zbrodniczy. Na sąsiednim stoliku leżała jakaś gazeta. Sięgnął po nią i szybko przekartkował w poszukiwaniu kroniki kryminalnej. Jego wzrok przyciągnął napisany wielkimi literami tytuł:

MORDERCA, KTÓRY UKRZYŻOWAŁ SWOJĄ OFIARĘ

Candace Boix

Nazywał się Sergio Castillo Moreira. Był sierżantem UCO, Głównej Jednostki Operacyjnej, o której mówi się: „UCO w grze, sprawa załatwiona”. Tym razem jednak sierżant nie występuje w roli śledczego, lecz ofiary. W poniedziałek 11 listopada ciało Moreiry znaleziono ukrzyżowane na kalwarii znajdującej się kilka kilometrów na północny zachód od Madrytu, w pobliżu Escorialu.

Funkcjonariusz UCO był nagi, a co jeszcze bardziej zaskakujące, został przymocowany do krzyża supermocnym klejem. Informację tę potwierdziło źródło w łonie Guardia Civil, które pragnie zachować anonimowość.

Kto mógł popełnić tak okrutny, tak makabryczny czyn? Zgodnie z posiadanymi przez nas informacjami, na miejscu zbrodni zatrzymano podejrzanego. Podobno człowiek ten był w głębokim kryzysie psychicznym, ale Guardia Civil nie potwierdziła jeszcze tych informacji. Dziś odbędzie się konferencja prasowa, na której będą obecni szef grupy zabójstw, porwań i wyłudzeń UCO kapitan Peña oraz kierująca jednostką pułkownik Pilar Molina Marcos. Oczywiście będziemy na bieżąco informować naszych czytelników o dalszym rozwoju sprawy.

Zamknął gazetę. Lekko zakręciło mu się w głowie. Zobaczył swoje odbicie w szybie: biała, widmowa twarz, w którą uderzają krople deszczu. Nie wierzył w szczęśliwy traf ani w przypadek.

Oczyrna duszy ujrzał sklejonych ze sobą małżonków znalezionych przed trzydziestoma laty na tamtym poboczu, między tunelami. I tych z Segowii, zamordowanych i sklejonych ze sobą na wzgórzu naprzeciwko alkazaru. I to angielskie małżeństwo na Costa del Sol znalezione w łóżku – również zmasakrowane i sklejone.

Zrobił głęboki wdech, wyjął telefon. Po trzech dzwonekach rozległ się ochrypły głos zaawansowanego nikotynisty:

- Salomón? Co się dzieje?
- Dzwonię w sprawie waszego funkcjonariusza... tego, hm... ukrzyżowanego.
- Kogo?
- Wiem, kto zabił sierżanta Moreirę.

WTOREK PO POŁUDNIU

– Czyli mówisz, że pracujesz ze swoimi studentami nad programem zasilanym danymi przez Guardia Civil i policję i według niego morderca, który przykleił naszego człowieka do tego pieprzonego krzyża, to ten sam gość, który trzydzieści lat temu zabił jakieś małżeństwo na północy kraju, a później jeszcze dwa, jedno w Segowii, a drugie na Costa del Sol. Dobrze rozumiem?

Podpułkownik Victor Hierro piastował wysokie stanowisko w generalnej dyrekcji Guardia Civil. Salomón poznał go dziesięć lat wcześniej, kiedy przyjechał wygłosić wykład z kryminologii dla słuchaczy szkoły oficerskiej, którą Hierro w tamtym czasie kierował. Polubili się i utrzymywali sporadyczny kontakt, jak ludzie, którzy wiedzą, że kiedyś któryś z nich może drugiego potrzebować.

– Wiem, że to może brzmieć jak szaleństwo, ale jestem o tym głęboko przekonany.

– A, to co innego. To wszystko zmienia – odparł podpułkownik z nutką ironii w głosie.

– Rozumiem twój sceptycyzm.

– Jest troszkę mniejszy, niż gdybyś mi opowiadał, że wywoływałeś duchy – odparował Hierro. – Tak czy owak, Salomónie, to nie moja działka: jestem zwykłym urzędnikiem zatrudnionym w generalnej dyrekcji.

– Urzędnikiem w randze podpułkownika. Może mógłbyś mi powiedzieć, kto kieruje śledztwem?

– Oho, życzę powodzenia.

Salomón czekał na dalszy ciąg.

– Gdyby ktoś zapytał mnie o zdanie, powiedziałbym, że nikt nie nadaje się do tego zadania mniej niż osoba, którą wybrali. Jest zbyt zaangażowana osobiście i, hm, dość nieokiełznana. To porucznik Lucia Guerrero, zawo-

dowa partnerka ofiary. Pewnie o niej słyszałeś. Dziwne, że nie dali tego komuś innemu.

– To ta, która złapała „Młotkowego”?

W poprzednim roku sprawa przez kilka tygodni nie schodziła z pierwszych stron gazet.

– Ta sama.

– Jeśli mnie pamięć nie myli, ledwie uniknęła śmierci.

– No, o włos. Podeszła zbyt blisko do ognia, mogła sobie poparzyć skrzydła.

– Mimo wszystko go złapała – zauważył Salomón.

– Tak. Co nie zmienia faktu, że UCO to nie jest miejsce dla niej, niezależnie od jej spektakularnych sukcesów. Nie potrafi grać w drużynie i ma tendencje do łamania zasad. Powiedzieć o niej „buntowniczką” to z pewnością za dużo, ale „wkurzająca” to za mało. Kiedyś nam się to odbije czkawką.

– Victorze, czy mógłbyś coś dla mnie zrobić?

– Słucham cię.

– Przekaż pani porucznik Guerrero, że chciałbym z nią porozmawiać. Że mam informacje, które mogłyby ją zainteresować. Mógłbyś to dla mnie zrobić?

Salomón wielokrotnie współpracował z policją, trochę rzadziej z Guardia Civil. Ogólnie rzecz biorąc, praktyka jest taka, że ten rodzaj współpracy odbywa się między konkretnymi osobami.

– Okej, przekażę.

– Dzięki.

Rozłączył się. Poczował, jak ogarnia go niebezpieczne podniecenie. Francisco Manuel Mélendez alias „Młotkowy”, alias „Rzeźnik z autostrady”, alias „F2M”, alias „Wilczyca Frida” – głupekowaty pseudonim, którym Mélendez podpisywał listy do mediów, zaczerpnięty z filmów z popularnego w latach siedemdziesiątych gatunku nazisploitation, takich jak *Ilsa, wilczyca z SS*, czy też z dzieł Jesúsa Franco. Mélendez napadał nocą na kobiety w toaletach znajdujących się w restauracjach i punktach obsługi podróżnych przy autostradach. Wkładał im na głowę worek na śmieci, a gdy się poddusiły i nieprzytomne padały na ziemię, rozwaliał im głowę młotkiem. Nie gwałcił ich ani nie dotykał. Zgodnie z profilem psychologicznym stworzonym przez biegłych miał to być mężczyzna między trzydziestym a pięćdziesią-

tym piątym rokiem życia, singiel albo rozwodnik, mający niewielu przyjaciół, niższe lub żadne wykształcenie, utrzymujący się z pracy fizycznej (na co wskazywało wybrane narzędzie zbrodni). Podejrzewali, że szuka kobiet podróżujących samotnie samochodem i jedzie za nimi, aż się zatrzymają. Zaalarmowano dyrektorów firm zarządzających autostradami, menadżerów sklepów w miejscach postoju, którzy z kolei powiadomili swój personel, i zaczęła się rozprzestrzeniać psychoza. Wszyscy pracownicy przekwalifikowali się na współpracowników policji szpiegujących klientów płci męskiej, a damskie członkinie personelu bały się po zmroku chodzić samotnie do toalety. Proceder jednak trwał dalej: „Młotkowy” zaatakował jeszcze dwa razy. A jeśli dodać do tego prasę, która trąbiła o sprawie, i kanały informacyjne, które rozdmuchiwały każdą plotkę...

Wszystkie siły Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i policji były postawione w stan najwyższej gotowości, a śledczy znajdowali się pod presją: grupie kapitana Peñi grożono odebraniem sprawy, jeśli nie będzie postępów. I wtedy na scenę wkroczyła porucznik Guerrero. Salomón przypomniał sobie, co czytał w prasie, kiedy Francisco Manuel Méendez został pojmany. Bez wiedzy kolegów i swoich przełożonych Lucia Guerrero zaczęła objeżdżać autostrady w promieniu dwustu kilometrów od Madrytu: obszar działania mordercy. W ciągu dnia prowadziła śledztwo ze swoją grupą, wieczorami wsiadała do samochodu i całymi nocami przemierzała wstęgi szos. Sypiała tylko przez kilka godzin przed świtem, ponieważ „Młotkowy” atakował zawsze między dziesiątą wieczór a drugą w nocy (na tej podstawie śledczy wnioskowali, że za dnia pracuje). Nikt nie wiedział, na jakie indywidua trafiała podczas tych nocnych eskapad: mimo próśb Lucia Guerrero nie rozmawiała z prasą. Dziennikarze mogli tylko snuć domysły, jedno wszak było pewne: funkcjonariuszka UCO ostatecznie spotkała się z mordercą. I niewiele brakowało, by to spotkanie skończyło się tragicznie.

Doszło do tego na północy kraju, w pobliżu Sorii. Postój przy autostradzie, a na nim stacja benzynowa z dwunastoma dystrybutorami paliwa i dużym sklepem. Trzy minuty przed pierwszą Lucia zatrzymała się na nim, by skorzystać z toalety. Wcześniej przez trzy godziny bez przerwy jeździła swoim SUV-em z prędkością poniżej dozwolonej, z włączoną lampką podsufitową, pozwalając się wyprzedzać innymi kierowcom. Musiała być wyczerpana, na ostatnich nogach, pomyślał Salomón. Coraz bardziej mąciło

jej się w głowie. Pewnie myślała już o powrocie do Madrytu, co miało jej zająć kolejne dwie godziny, i o tym, że nie położy się spać przed trzecią. A nazajutrz czekał ją kolejny wyczerpujący dzień śledztwa. Zastanawiał się, od jak dawna uprawiała ten proceder, od jak dawna tak się eksploatowała. Oczyma wyobraźni widział, jak kobieta ciężkim krokiem idzie między sklepowymi regałami do toalet w głębi: po prawej kasa i sprzedawca, po lewej stoliki. Prasa zamieściła zdjęcie korytarza prowadzącego do damskiej toalety, w którym znajdowały się automaty do gry, dystrybutory i pomieszczenie techniczne.

Do mediów wyciekła część zeznań, które złożyła swoim przełożonym. Kiedy wyszła z kabiny, spotkała kobietę myjącą ręce: blondynka w czerwonej sukience stała odwrócona do niej plecami, pochylona nad umywalką. Nie widziała w lustrze jej twarzy zasłoniętej grzywką. Lucia ją pozdrowiła, ale kobieta nie odpowiedziała. W chwili gdy sama schyliła się, by ochłapać twarz – z pewnością czuła potrzebę, by się trochę orzeźwić – Francisco Manuel Méendez rzucił się na nią, włożył jej na głowę worek na śmieci i usiłował ją udusić. Lucia się wyrywała, ale napastnik był silny: pracował jako dekarz i trzy razy w tygodniu ćwiczył na siłowni. Istniał wszak jeden element, który działał na jego niekorzyść, pomyślał Salomón: mężczyzna nie wiedział, że kobieta, na którą napadł, jest doskonale wytrenowaną funkcjonariuszką UCO.

Dalszy przebieg wypadków nie był do końca jasny. W każdym razie Lucia wyszła z toalety w poszarpanej odzieży, z dłońmi ubrudzonymi krwią, trzymając w ręku młotek, i poprosiła przerażonego sprzedawcę, by zadzwonił po pomoc, podczas gdy sama telefonowała już do swojego szefa. Po przyjeździe na miejsce Guardia Civil znalazła Méendeza siedzącego na podłodze w jednej z kabin, przypiętego kajdankami do rury kanalizacyjnej, z pokiereszowaną twarzą przypominającą krwistą papkę. Jego blond peruka pływała w muszli klozetowej niczym martwa meduza. Stracił dwa siekacze, a na koniec został uderzony młotkiem w skroń, co musiało go ogłuszyć. Lucia Guerrero oświadczyła, że nie bardzo pamięta, co się działo, w każdym razie udała, że mdleje, i upadła na podłogę, po czym wykonała kopnięcie nożycowe w staw podkolanowy oprawcy, tak że Méendez wpadł do kabiny. A co było dalej – nie wiedziała.

Francisco Méendez spędził dwa tygodnie w szpitalu, gdzie został przesłuchany przez funkcjonariuszy UCO, a następnie osadzony w areszcie,

gdzie czeka na rozprawę. Guerrero otrzymała upomnienie od swojego szefostwa i gratulacje od pewnego łaknącego popularności ministra. I tak z dnia na dzień stała się w Guardia Civil legendą.

Funkcjonariusze, którzy nie należeli do grupy Lucii, ale twierdzili, że dobrze ją znają, zastrzegając anonimowość, podzucili dziennikarzom kilka smakowitych i pouczających anegdot na temat jej osobowości, talentów, ale przede wszystkim wad. Wynikało z nich, że jest porywcza, cholernie uparta, nie lubi pracy w zespole, pochlebstw ani ustępstw – krótko mówiąc, wkurzająca, a w dodatku zacięta. Mimo woli panowie konfidenci naszkicowali portret osoby niezależnej, odważnej i bardzo kompetentnej.

Potem prasa zajęła się innymi tematami i o porucznik Guerrero zapomniano. Salomón był przekonany, że jej to nie zmartwiło: na nielicznych zdjęciach, które pojawiały się w tamtym czasie w gazetach, sprawiała wrażenie osoby wycofanej, stroniącej od obiektywów.

Zastanawiał się, jaką cenę płaci kobieta za swój sukces. Jak sypia? Czy miewa koszmary? Założyłby się, że tak. Czy wciąż wspomina walkę o życie, którą stoczyła w toalecie przy autostradzie? Czy cierpi na migreny, wrzody żołądka, bóle w klatce piersiowej, lęki albo depresję? Czy tropiąc zabójcę, postanowiła podjąć jego grę, czy po prostu stała się przynętą, „kozą pana Seguina”? Z tym że w tym wypadku – inaczej niż we francuskiej bajce – to koza zjadła wilka.

A może wilk tylko się przyczaił? Morderca czekał bowiem w ośrodku penitencjarnym La Moraleja, gdzie, zaklasyfikowany jako więzień szczególnie niebezpieczny, wraz ze swoim adwokatem, tuzem palestry, przygotowywał strategię na proces w madryckim sądzie pierwszej instancji. Pierwsza rozprawa zbliżała się wielkimi krokami i obrońca Mélenđeza opowiadał każdemu, kto tylko chciał go słuchać, że to porucznik Guerrero zaatakowała jego klienta, a nie odwrotnie.

Salomón sięgnął po telefon, otworzył WhatsAppa i wszedł na czat grupy DIMAS. Napisał:

Spotkanie w laboratorium dziś wieczorem, po waszych wykładach.

Zobaczył, jak wiadomość jeden po drugim odczytują jego młodzi współpracownicy, mimo że uczestniczyli jednocześnie w zajęciach, sami je pro-

wadzili dla studentów pierwszego roku albo też wykonywali inne czynności, do których zobowiązywał ich program studiów doktoranckich. Assa, Haruki, Cordelia, Alejandro, Ulysses, Verónica. Profesor wyłączył aplikację.

WTOREK PO POŁUDNIU

Spotkali się o szóstej po południu w laboratorium kryminologicznym; nie pod namiotem, ale obok niego, tam, gdzie stał długi, podświetlany stół – jedyne w tym momencie źródło światła w pomieszczeniu. Salomón nie wiedział, skąd wytrzasnęli ten mebel, ale przypominał on stoły wykorzystywane w niektórych metodach nauczania, stawiających na sensoryczny i kinestetyczny rozwój dziecka. Czuł się jak w filmie, w którym przytłaczającą atmosferę uzyskano dzięki specjalnemu oświetleniu – jednej z tych produkcji, w których młodzi ludzie są zabijani na różne wymyślne, a zarazem groteskowe sposoby. Słyszał, że studenci określają takie filmy słowem „slashery”. Nie miał wątpliwości, że wybrali ten stół celowo.

Salomón stanął przy jednym końcu, a pozostali usiedli wokół blatu. Zauważył, że atmosfera nie jest tak luźna jak podczas poprzednich spotkań.

– Jak ostatnio zauważyliśmy, DIMAS odnotował gigantyczny postęp – powiedział.

Odczekał, aż jego słowa głęboko odcisną się w ich młodych, wrażliwych umysłach. Z cienia obserwowali ich wiszący na ścianach seryjni mordercy.

– Czy wszyscy dobrze sobie zapamiętali trzy sprawy, między którymi DIMAS znalazł powiązania? Czy powinniśmy je sobie razem przypomnieć? – zapytał.

Jak zwykle pierwsza odezwała się Assa:

– Nie trzeba, profesorze. Wszyscy siedzieliśmy nad tym całą noc. Przejrzeliśmy Internet. W sumie niewiele spaliśmy.

Wokół stołu rozległ się rechot.

– W sumie tego się spodziewałem – stwierdził z uśmiechem.

Spojrzał na nich. Jego zespół. Jego ulubieńcy. Starannie ich dobierał. Niewielka grupa. Od dawna wiadomo, że sportowcy osiągają najlepsze wyniki, gdy współzawodniczą z innymi; wiadomo też jednak, że jeśli kilka

osób ma ciągnąć przymocowany do liny ciężar, to wysiłek włożony przez każdą z nich będzie tym mniejszy, im osób będzie więcej. W pierwszym wypadku mówi się o „facylitacji społecznej”, w drugim o „próżniactwie społecznym”. To dwa podstawowe doświadczenia eksperymentalnej psychologii społecznej. Z grubsza rzecz ujmując, praca w grupie kilku osób jest bardziej efektywna niż w pojedynkę, ale w zbyt dużym zespole jakość pracy wykonywanej przez każdą jednostkę się pogarsza. Dlatego większość nauczycieli akademickich pracuje z grupami nie większymi niż pół tuzina studentów.

Tych sześcioro młodych ludzi stanowiło najlepszą próbkę, z jaką miał do czynienia w swojej karierze. Dwójka była Hiszpanami, a czworo pozostałych przybyło z zagranicy dzięki europejskim programom wymiany albo programowi współpracy międzynarodowej między USAL – Uniwersytetem w Salamance – a dwudziestoma pięcioma uniwersytetami japońskimi.

Haruki Tanizaki, niewysoki, okrągłutki dwudziestosześcioletek z buzią jak księżyc w pełni, w przyciemnianych okularach kujonkach, z kosmykiem czarnych włosów opadającym na czoło pochodził z Osaki.

Cordelia Blixen, lat dwadzieścia siedem, wysoka, barczysta za sprawą treningów pływackich, o jasnych włosach i oczach szarych jak zimowy fiord, pochodziła z Kopenhagi. Była na studiach filologicznych i zgłębiała tajemniczą dyscyplinę o nazwie „jurslingwistyka”.

Assa Diop, dwudziestoczterolatka, Francuzka, niewysoka, o owalnej twarzy, bardzo ciemnej skórze, dużych, wyrazistych brązowych oczach, krótko ściętych włosach, przyjechała z paryskiej Sorbony. Z całą pewnością była najlepszą studentką. Lubiła wkładać kij w mrowisko, zarówno podczas zajęć na uczelni, jak i w grupie. Salomón uwielbiał, kiedy studenci mu się sprzeciwiali i kiedy sprzeczali się między sobą: to zawsze dawało dobre rezultaty.

Ulyssesa Joyce’a i Alejandra Lorcę zwerbował na sąsiednim wydziale nauk ścisłych, gdzie wyróżnili się stworzeniem robota na czterech kończynach, który dreptał korytarzami i nosił na plecach napoje studentów – a także tym, że zhakowali komputer jednego z wykładowców, by poprawić sobie oceny z przedmiotu, w którym nie byli najlepsi. Przez pewien czas planowano ich wyrzucić, ale byli na to zbyt wybitni, a w dodatku odkryli, że wspomniany profesor był konsumentem pewnego szczególnego rodzaju pornografii. Możliwe więc, że fakt, iż poprosił przełożonych, by im odpu-

ścili, nie wynikał wyłącznie z jego pobłażliwości. Sprawa – z wyłączeniem aspektu pornograficznego – stała się głośna i dotarła do uszu Salomóna.

Ulysses przyjechał z pewnego miasta w Wielkiej Brytanii, deszczowego i o bogatej historii, które nosiło bardzo adekwatną nazwę: Bath. Oprócz tego, że wyglądał na lat szesnaście, a nie dwadzieścia sześć, wszędzie poza grupą był chorobliwie nieśmiały i cierpiał na agorafobię: to on wpadł na pomysł z namiotem. Przystojny brunet Alejandro pochodził natomiast z Linares i wcale nie ukrywał, że jest zakochany w Assie Diop.

I wreszcie Verónica Gaité, lat dwadzieścia osiem, z Salamanki. Po Assie chyba druga w rankingu jego najlepszych studentek. Szatynka o bladoniebieskich oczach. Dyskretna, widać, że dojrzała i zrównowazona. Jedyne przejawy jej ekscentryzmu stanowił tatuaż przedstawiający tancerzy z jej ulubionego filmu *Pulp Fiction* na prawym przedramieniu.

– Okej – podjął przerwany wątek. – No więc DIMAS ustalił związek między wyglądem kilku miejsc zbrodni, do których doszło na przestrzeni prawie trzydziestu lat. Powtarzam: chodzi o podwójne morderstwo w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym w Górnej Aragonii, w prowincji Huesca, kolejne w Segowii w dwa tysiące piętnastym i trzecim w Benalmádenie w ubiegłym roku. Punkty wspólne, które znalazł DIMAS, to: młode małżeństwa częściowo lub całkowicie rozebrane, kolory czerwony i zielony, ułożenie ciał, a przede wszystkim klej.

– A skąd wiemy, że to nie jest kolejny błąd programu? – rzuciła z powątpiewaniem Assa, spoglądając na Ulyssesa i Alejandra. – Z jednej strony mamy zaginięcie dziecka i zabójstwo z broni palnej, a dwadzieścia sześć i dwadzieścia osiem lat później dwie pary zabite przy użyciu broni białej, przy czym odległość między miejscami zbrodni wynosi ponad sześćset kilometrów. A co jeśli DIMAS się rąbnął?

– Ciekawa hipoteza – odparł z uśmiechem Salomón. – Assa ma rację: mamy dwa bardzo podobne do siebie morderstwa, do których doszło w stosunkowo niedużym odstępie czasu, choć w sporej odległości geograficznej, i jedno starsze; jego podobieństwo do tamtych dwóch jest mniej oczywiste. A zatem na jakiej podstawie sądzimy, że we wszystkich trzech wypadkach chodzi o tego samego sprawcę? – zwrócił się do dwóch młodych mężczyzn.

– Sygnatura – odparł Alejandro tak samo jak poprzedniego dnia.

– Otóż to, sygnatura. – Po chwili milczenia Salomón mówił dalej: – Jak to często bywa, sposób działania się zmienił, zdecydowała o tym potrzeba

chwili. W pierwszym przypadku były to strzały z broni palnej, w dwóch pozostałych ciosy nożem. Sygnatura jednak pozostaje ta sama: za każdym razem chodzi o małżeństwa okryte czerwonymi i zielonymi szalami. Jak wiecie, sygnatura cechuje się tym, że z materialnego punktu widzenia jest bezużyteczna, często natomiast ma silne konotacje symboliczne lub psychoseksualne, jest odbiciem fantazji mordercy. I właśnie sygnatura skłania nas do myślenia, że mamy do czynienia z jednym i tym samym sprawcą. A tutaj w dodatku mamy nie tylko z sygnaturę, ale też to, co profilerzy nazywają upozowaniem: ciała są ułożone w bardzo precyzyjnych, dopracowanych pozach. Wśród jakiegoś tysiąca scen zbrodni, które przestudiowałem w mojej karierze, spotkałem się z najwyżej dziesięcioma upozowaniami. Przy czym żadne z nich nie było tak wymyślne jak te. DIMAS się nie pomylił: prawdopodobieństwo, że mamy do czynienia z jednym sprawcą, jest ogromne.

– W takim razie jak pan wytłumaczy fakt, że nie zaatakował przez prawie trzydzieści lat, a potem nagle zaczął zabijać? – zapytała Assa, wyraźnie nieprzekonana.

– Assa, przestań trollować – zirytował się Ulysses.

– Alejandro i Ulysses wysunęli wiarygodne hipotezy – odparł profesor. – Gość albo był w więzieniu, albo za granicą, albo nadal zabijał. Jest jeszcze jedna: DIMAS nie jest nieomylny i nie wyłapał innych morderstw. Jakkolwiek by było, nie mamy całkowitej pewności, ile osób zabił.

Salomón podniósł wzrok i zobaczył, jaki efekt wywołały jego słowa u słuchaczy: ich zainteresowanie znacznie wzrosło. W poświacie bijącej od stołu widział ich szeroko otwarte oczy. Domyślił się, że są coraz bardziej zafascynowani. Bo teraz to już nie była teoria, lecz rzeczywistość.

– A zatem jeśli założymy, że mamy do czynienia z jedną osobą, od czego powinniśmy zacząć? – zapytał.

– Od pierwszego miejsca zbrodni – rzuciła Assa.

– Dlaczego?

– Pierwsze przestępstwo na ogół mówi najwięcej. Poza tym to właśnie przy nim morderca popełnia najwięcej błędów. Później udoskonala swoją technikę.

– Okej. Nie zapominajmy jednak, że to pierwsze jego przestępstwo, o którym wiemy. Wcześniej mógł popełnić inne. Przyjmijmy, że tak było, że po raz pierwszy zaatakował między tunelami. Co nam mówi to pierwsze

miejsce zbrodni? Bądźcie konkretni. Główne zalety dobrego profilerka to umiejętność analizowania faktów i konkretnych danych, które ma do dyspozycji, oraz powściągnięcia własnej wyobraźni.

– Sprawca pierwszych morderstw to biały mężczyzna, który w tamtym czasie miał od dwudziestu pięciu do trzydziestu pięciu lat. Zamieszkały w okolicach miejsca zbrodni. Inteligentny, wyrafinowany, zuchwały.

– Ponownie: dlaczego?

Wszystkie oczy były skierowane na Asę.

– Ponieważ statystycznie rzecz biorąc, seryjni mordercy zabijają po raz pierwszy średnio w wieku dwudziestu ośmiu lat i najczęściej ofiarami są osoby z ich grupy etnicznej. Zna okolicę, bo zabicie tego małżeństwa na tamtej drodze w biały dzień wymagało znajomości terenu i ruchu panującego na tej trasie. Jest zuchwały, ponieważ nie wybrał ofiar należących do którejś z grup ryzyka, takich jak prostytutki czy ćpuni. No i sam pan powiedział, że jego miejsca zbrodni są w wysokim stopniu zaaranżowane i wyrafinowane. Powiedziałabym, że ma wysoki IQ i że zanim przeszedł do czynu, na pewno dużo rozmyślał o swojej zbrodni. Wybrał miejsce, godzinę, cele i uderzył z zimną krwią.

– Wiek seryjnego mordercy to parametr trudny do ustalenia – zaproponowała Verónica. – Jak wiadomo, wiek psychologiczny niekoniecznie pokrywa się z rzeczywistym.

– Ale to się raczej odnosi do przypadku, kiedy człowiek jest niedojrzały jak na swój wiek, a nie odwrotnie – podkreślił Salomón. – Assa ma rację: gość z pewnością potrzebował lat, żeby jego początkowa fantazja osiągnęła taki poziom wyrafinowania. Ale fantazje tego typu zaczynają się rozwijać bardzo wcześnie.

– Trzydzieści pięć lat to za dużo – wtrącił się Ulysses. – Dzisiaj musiałyby mieć powyżej sześćdziesięciu pięciu. Wyobrażacie sobie, że ktoś w tym wieku mógłby zmasakrować małżeństwo nożem?

– A dlaczego nie? – odparowała Verónica.

– Jedno z was użyło sformułowania „seryjny morderca” – zauważył Salomón. – Dlaczego?

– Według FBI o seryjnym mordercy mówi się w przypadku trzech lub więcej zabójstw – odparł Alejandro.

– Dlaczego trzech, a nie dwóch albo czterech? Jeśli lubicie liczby, zajmijcie się księgowością – zirytował się kryminolog. – Moim zdaniem

w chwili zamordowania pierwszego małżeństwa zabójca z tuneli nie wiedział jeszcze, że jest seryjnym mordercą, ale siła jego fantazji wskazywała na to, że uderzy ponownie.

– A co z chłopcem? – zapytała Assa. – Nigdy go nie znaleźli?

– Nigdy – odpowiedział Salomón.

– Ciekawie byłoby poznać hipotezy śledczych na ten temat – powiedziała Cordelia, która do tej pory milczała.

– Handel narządami. A może morderca porwał chłopca, żeby go wykorzystać, a potem pozbył się zwłok – zasugerował Salomón z wahaniem, głosem o oktawę niższym.

Zapadła cisza. Jakby coś weszło do pomieszczenia. Coś jeszcze mroczniejszego, bardziej ponurego niż wspomnienie zamordowanego małżeństwa. Zgromadzeni poczuli się nieswojo.

– Czyli mamy to – odezwał się Ulysses lekko drżącym głosem, jakby chciał odpędzić ten niepokój. – DIMAS zaczął działać.

– Wszystko na to wskazuje – stwierdził Salomón Borges.

Uśmiechali się, ale dało się wyczuć napięcie.

– Jest coś jeszcze. Możliwe, że na naszej liście właśnie pojawiła się czwarta sprawa. Zobaczymy. Wczoraj niedaleko Madrytu doszło do morderstwa: znaleziono martwego funkcjonariusza Guardia Civil. Był nagi i... hm, przyklejony do krzyża.

Krótko streścił to, co wyczytał w gazecie. Rozległo się kilka zduszonych okrzyków.

– To może nie mieć żadnego związku z naszymi sprawami – studził ich. – Ofiarą nie padło małżeństwo. Ale być może chodzi o tego samego człowieka. To by znaczyło, że „klejowy morderca”, jeśli to rzeczywiście on, atakuje coraz częściej. Jest jednak zbyt wcześnie, żeby wciągnąć ten przypadek na naszą listę. Za mało pasujących elementów. Ale miejcie tę sprawę z tyłu głowy. – Zobaczył, że są poruszeni. Wczoraj. Niedaleko Madrytu. Coraz bliżej. Nie tylko w czasie, ale i w przestrzeni. Odchrząknął. – No dobrze – zaczął, a studentom nie umknął jego uroczysty ton. – Zaczynamy absolutnie nowy projekt, jakiego ani nasz uniwersytet, ani, jak sądzę, żaden inny jeszcze nie realizował. Przeprowadzimy prawdziwe śledztwo. Nasze śledztwo. Na podstawie danych zgromadzonych przez DIMAS-a. Wiem, że już teraz macie przeładowane grafiki, ale sytuacja jest wyjątkowa, więc

proszę was o wygospodarowanie na tę pracę przynajmniej kilku godzin w tygodniu. Będziecie mogli przećwiczyć to, czego się nauczyliście.

Zobaczył, jak mrużą oczy. Połknęli haczyk. To będzie jedyna w swoim rodzaju okazja do sprawdzenia ich talentów.

– Okej. Jaki jest następny etap? Kolejność działań?

– Poprosić organa ścigania o udostępnienie akt wszystkich spraw – oświadczyła Assa z entuzjazmem.

– A jeżeli je otrzymamy?

– Sporządzić profil sprawcy, między innymi w oparciu o szczegółową analizę miejsc zbrodni – powiedział równie podekscytowany Haruki.

– I o analizę osobowości ofiar – dodała Verónica.

– Uzyskać sprawozdania techników identyfikacji kryminalnej – powiedział Alejandro.

– I śledczych – dorzucił Ulysses.

– A co z zeznaniami świadków? – zapytał Salomón.

– W ostateczności – stwierdziła Assa, kręcąc głową. – Jak wiadomo, świadkowie nigdy nie mówią tego samego. Mogliby nas pokierować na niewłaściwe tory.

Salomón się uśmiechnął. To byli jego ulubieni studenci. Jego żołnierzyki. Jego samurajowie. Byli zdolni – a on lubił czuć to ich napięcie, to ich pragnienie, tę ich *potrzebę*.

– Nie będzie łatwo go znaleźć – powiedział. – Przez cały ten czas wymykał się policji. Założyłbym się, że jest mistrzem mimetyzmu, kamuflażu. We własnym środowisku z pewnością uchodzi za normalnego, wręcz sympatycznego człowieka. Czuje się swobodnie wśród ludzi. Zlewa się z tłumem. Może nawet ma dzieci. – Nagle jakby coś go zmartwiło. – Jeszcze jedno: pamiętajcie, że do tej pory pracowaliśmy na sprawach zamkniętych, rozwiązanych. Teraz jest inaczej: będziemy rozpracowywać kogoś, kto jeszcze nie został zatrzymany. Kto jest tam, na zewnątrz. I ma pełną swobodę działania. – Przebiegł wzrokiem po ich twarzach. Miał wrażenie, że powietrze zgęstniało. Przypominali grupę spiskowców. – Nie wie o naszym istnieniu, nie wie, że jesteśmy na jego tropie. I nie ma żadnego powodu, żeby miał się o tym dowiedzieć. Poza tym te informacje są ściśle poufne. Nic nie może wyjść poza to pomieszczenie. Nie rozmawiajcie o tym z nikim spoza naszego kręgu, rozumiano?

WTOREK WIECZÓR

Lodowaty listopadowy wieczór. Zimne gwiazdy. Jednak członkowie grupy kryminologicznej, którzy w pewnym sensie kontynuowali zebranie w hałaśliwym, przecinanym błyskami laserów półmroku klubu Camelot, byli rozgrzani alkoholem.

– A co jeśli jest nie jeden morderca, tylko dwóch? – zasugerowała Assa, usiłując przekrzyczeć muzykę.

– Jak to? – zdziwił się Haruki. Dopił szota na bazie tequili i spojrzął na nią lśnącymi oczami zza wielkich okularów. Kołysał się z wdziękiem niedźwiedzia pijanego miodem.

– Ten dzisiejszy byłby młodszy! – zawołała Assa. – Trafił jakoś na podwójne morderstwo z osiemdziesiątego dziewiątego i postanowił popełnić podobne.

– Przestępstwo naśladowane, *copycat*? – ryknął Alejandro. – To coś takiego istnieje w prawdziwym życiu? A te jego scenografie: nie przyszło wam do głowy, że może chodzić o prawdziwe obrazy?

– Masz na myśli malarstwo? – rzuciła Cordelia.

Alejandro skinął głową i znowu podniósł głos, by przekrzyczeć łomot:

– Może inspiruje się obrazami, które lubi, które go prześladowają albo fascynują. Może jest miłośnikiem sztuki!

– Nie za bardzo nas to posuwa do przodu! – zauważyła Dunka. – Dzieł sztuki są miliony.

– Obstawiałbym Hieronymusa Boscha! – zażartował Haruki.

– Nie drzyjcie się tak, jeszcze was ktoś usłyszy! – upomniała ich Verónica. – Przypomnijcie sobie, co mówił Salomón.

Nie było z nimi tylko Ulyssesa: miejsca takie jak Camelot, z przestronną, wysoko sklepioną salą i średniowiecznym wystrojem, z tłumem ocierających się o siebie ludzi i muzyką na cały regulator, go przerażały.

- Verónica ma cykora – stwierdziła Assa z uśmiechem.
- Nie no, profesor w sumie ma rację – zauważył Japończyk. – Ten gość gdzieś tam jest.
- Hiszpan spojrział na niego z politowaniem.
- No i co z tego? Nie ma żadnych szans, żeby wiedział o naszym istnieniu. Nie popadajmy w paranoję!
- Na chwilę zapanowała niepewność – wszyscy zastanawiali się nad jego słowami.
- Załóżmy, że dowiemy się, kto to jest. Co zrobimy? – odezwał się w końcu Haruki.
- Zawiadomimy policję i się nawalimy! – uciął Lorca.
- Na razie nam to nie grozi, mój Sherlocku – powiedziała Assa, po czym objęła go za szyję i złożyła na ustach Alejandra szybki pocałunek. – Może byśmy tak poszli do wyrka?

Gdy o 23.45 wyszli z Camelota, niebo było bezchmurne i rozgwieżdzone. Postawili kołnierze i zanurzyli się w labiryncie ciemnych uliczek, nad którymi unosiła się świetlista luna. Po fasadach przesuwwały się ich wielkie cienie. Assa przytuliła się do Alejandra. Pożegnali się z resztą i ruszyli w swoją stronę. Haruki odszedł w towarzystwie wysokiej Cordelii, przy której wyglądał jak hobbit.

Verónica ciasniej owinęła się szalem i przyśpieszyła kroku. Choć miała do przejścia zaledwie kilkaset metrów, nie lubiła drogi powrotnej od calle Bordadores – gdzie znajdowały się Camelot i Gatsby, dwa najsłynniejsze nocne kluby w Salamance – do swojego mieszkania w dolnej części calle de la Compañía. O tej porze na ponurych wymarłych uliczkach starówki, które nie zmieniły się od kilku wieków, z ich brukiem, zabytkowymi fasadami i balkonami z kutego żelaza, czuła się bardziej jak na planie filmu grozy typu *Hostel* niż jak w jednym z najpiękniejszych hiszpańskich miast.

Nie mam ochoty stać się ofiarą Elite Hunting Clubu, zaśmiała się w duchu, by rozładować napięcie. Horror to była jej *guilty pleasure*. Im bardziej krwawe, im bardziej *gore*, tym lepiej się bawiła. A także im więcej było w nich scen erotycznych, choć przyznałaby się do tego dopiero na torturach. Zastanowiwszy się głębiej, musiała przyznać, że powodem, dla którego ten gatunek tak bardzo ją fascynuje, są jej osobiste lęki: lęk przed nieznanym, przed innymi ludźmi, przed krwią, przed przemocą, przed mężczy-

znami, przed... A jednak oglądanie takich filmów ją uspokajało: bo chodziło w nich o fikcję, a nie o rzeczywistość.

Czyżby jej się zdawało, czy rzeczywiście słyszała za sobą czyjeś kroki? Nie miała odwagi, by się odwrócić i sprawdzić. Dlaczego? Otóż jeśli ktoś za nią szedł, a ona by się odwróciła, mogłaby go sprowokować do przyśpieszenia kroku: takie sceny widziała w wielu filmach. Minęła opustoszały plac de las Agustinos i weszła w bardzo wąską i bardzo ciemną calle de la Compañía, wzdłuż której ciągnęły się ślepe mury. Kiedy znowu usłyszała kroki, poczuła, jak sztywnieje jej kark.

Były słumione, dyskretne. Jakby człowiek idący za nią nie chciał jej przestraszyć. Cóż, nie udało mu się. Naprawdę zaczynała mieć pietra. Pomyślała, że to na pewno jakiś student, który wyszedł z Camelota albo Gatsby'ego i tak jak ona wraca do siebie. Powinna była wybrać inną trasę. Pójść naokoło, bardziej uczęszczanymi dużymi arteriami. Ale teraz było już za późno. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie puścić się biegiem – ale pomysł był idiotyczny: jeśli człowiek za nią naprawdę ją śledził, szybko by ją złapał.

Coś sobie wkręcasz, kochana. Znienacka skręciła w calle Doctrinos, choć to nie była jej trasa: jej stacja znajdowała się na ostatnim piętrze starej, zniszczonej kamienicy, w miejscu, gdzie calle de la Compañía się rozszerzała, naprzeciwko uniwersytetu papieskiego, powinna więc iść prosto. Chciała jednak bez oglądania się za siebie upewnić się, że nie jest śledzona.

Calle Doctrinos była niewiele szersza niż jej ulica, po obu stronach znajdowały się okratowane kutym żelazem ciemne witryny sklepowe. Verónica wyteńczyła słuch. Żadnych odgłosów poza własnym świszczącym oddechem i dudnieniem krwi w skroniach. Okej, to znaczy, że tamten poszedł prosto.

Już miała zawrócić, gdy nagle znowu usłyszała kroki. Czyli on również skręcił. Szlag! Wtedy naprawdę zaczęła się bać. To nie był zwykły niepokój, ale jebany blady strach. Przyśpieszyła. Wydało jej się, że on również przyśpieszył. Pod wpływem nagłego impulsu odwróciła się. Widok, który ujrzała, bynajmniej nie dodał jej otuchy. Wysoka, ubrana na czarno, szczupła, groźna postać w bluzie z kapturem naciągniętym na głowę.

Groźna, serio? A może gość idzie po prostu do centrum, tak jak ty? Daj już spokój z tymi horrorami! Wyszła na calle Prado – szerszą, dającą większe poczucie bezpieczeństwa. Skręciła w prawo i przyśpieszyła, ale nie zaczęła biec. Z naprzeciwka szła grupa studentów. Ruszyła ku nim. O mało

im nie powiedziała, że gość za nią jej się naprzykrza. Ale to byłoby kłamstwo, a ona nie znosiła kłamstw. Mijając ją, trzech pijani studenci powiedzieli do niej coś, na co nie zwróciła uwagi.

Jeszcze tylko sto metrów i będzie u siebie. Wróciła na calle de la Compañía, prawie w to samo miejsce, w którym chwilę wcześniej ją opuściła. Niemożliwe, facet ciągle za nią szedł! Teraz nie miała już najmniejszych wątpliwości. Nikt nie szedłby tak skomplikowaną trasą i nie zawróciłby tyle razy, gdyby nie miał zamiaru jej śledzić. Wciągnęła do płuc ostre powietrze. Poczowała, jak na spocone policzki opadają płatki śniegu. Miała wrażenie, że jej serce wali jak Phil Collins na perkusji. A poza tym chciało jej się siku.

Pospiesznie wystukała kod domofonu. Gość był jeszcze dość daleko. Zamknęła za sobą przeżarte przez korniki drzwi. Szczęk zamka. Odetchnęła. Puściła się wąskim korytarzem, którego podłoga znajdowała się poniżej poziomu ulicy, ku schodom w głębi. Biegła co sił w nogach po wyłożonych płytkami, pokrzywionych stopniach. Budynek pachniał mokrym gipsem, kurzem i saletrą. Był stary, zapuszczony i mieszkało w nim wielu studentów, często po dwoje w jednym lokalu – a studenci w przeciwieństwie do samotnych starszych osób nie zwracają uwagi na hałasy w środku nocy.

Chyba odpuścił, pomyślała. Żeby wejść do środka, musiałby znać kod. Zamykając drzwi, upewniła się, że się zatrzasnęły. I co, dupku, kręciło cię, że mam ciary? Debil! Zdyszana i spocona jak mysz dotarła na ostatnie piętro, gdzie znajdowały się tylko jedne drzwi: do jej mieszkania. Chryste, ale jej napędził stracha! Słyszała już tylko szum własnej krwi płynącej w żyłach i przypominające sapanie miecha kowalskiego odgłosy dobywające się z jej piersi: zagłuszały one wszystkie inne dźwięki, jakie mogłyby się rozlegać dookoła. Ale innych dźwięków nie było. W kamienicy panowała absolutna cisza: dziewczyny z dołu, które od rana do wieczora puszczały muzykę na cały regulator, najwyraźniej wyszły.

Wyteżyła słuch, ale za drzwiami również było cicho. Uznała, że jej współlokatorka Amalia albo śpi, albo jeszcze nie wróciła. Rozwiązała szalik, który wciąż pachniał jej perfumami. Lancôme La vie est belle, kompozycja wanilii, jaśminu i lawendy, prezent od matki. Brakowało jej powietrza. Pot spływał jej po policzkach długimi, chłodnymi strużkami.

Z mokrym czołem sięgnęła po klucz, by wsunąć go do zamka. Za kilka sekund będzie w ciepłym, bezpiecznym łóżku. Zaczeka na powrót Amalii. Opowie jej, jak bardzo się bała. Będą żartować, wymyślać różne historie, wyobrazać sobie postać krążącą ulicami, zgaszą światło i z kołdrami naciągniętymi pod samą brodę powiedzą sobie dobranoc, czując otuchę płynącą z obecności tej drugiej, z dreszczykiem zadowolenia – bo straszne zdarzenia znowu były tylko fikcją.

Nie, to niemożliwe. Poczła jakiś ruch za plecami. Otworzyła usta, by krzyknąć. Za późno. Przyłożył coś do jej warg, zakneblował ją. Dłoń w rękawiczce. Skóra pachniała krową, martwym zwierzęciem. Wyrwała się. Krztusiła. Zakręciło jej się w głowie. Przywarł do niej, przyciskając policzek do jej policzka.

– Ciii – szepnął. – Nie ruszaj się, nie próbuj krzyczeć. Albo cię zabiję. Rozumiesz?

Nie zrozumiała. Nie chciała zrozumieć. Nie chciała wiedzieć, co to oznacza. Już za długo się bała. Jej mózg był jak zamrożony, jakby wystąpił w nim jakiś błąd. Uświadomiła sobie natomiast jedno: nie wolno jej się szarpać, wrzeszczeć, próbować się uwolnić. Zastygła. Mężczyzna objął ją w pasie.

– Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Ten głos: dziwny, nosowy, piskliwy. W innych okolicznościach wydałby jej się zabawny. Najwyraźniej gość nawdychał się helu. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie chodzi o kiepski żart. Ale kto mógłby w ten sposób żartować? A potem zaczął rozpinąć jej płaszcz i zrozumiała, że nie żartuje.

Poczła ciepło bijące od jego twarzy, jakby dotykała policzkiem kaloryfera. Jego dłoń w rękawiczce była zimna, zdecydowanie zbyt zimna: wsunął ją pod spódnicę, do majtek, między uda. Nogi zaczęły jej tak drżeć, że myślała, że się pod nią ugną, że nie ustoi. Ale ustała. Chciała się już tylko wysikać.

Sprawiał jej ból. Verónica przypomniała sobie tego kretyna dentystę, który zbyt słabo ją znieczulił, zanim dotknął nerwu przedtrzonowca. Ale teraz do bólu doszły strach, przerażenie, odraza – dziewczyna miała wrażenie, że spada, leci bez końca przez ciemność. W stanie nieważkości.

Już się nie odzywał. Bo bez helu rozpoznałabym, kim jest? – zastanawiała się resztkami świadomości.

Wtem zza drzwi rozległ się inny głos:

– Verónica, to ty?

Amalia, Amalia! Ratuj! – krzyczał jej mózg. Spróbowała się wyrywać, ale intruz z całej siły uderzył jej głową o drewniane skrzydło. Zobaczyła mroczki przed oczami. W zamku po drugiej stronie zazgrzytał klucz i w drzwiach ukazała się zaskoczona i zaspana twarz Amalii.

– Jezus Maria, co się stało?! Co to był za hałas? Uderzyłaś się? Jesteś pijana?

Poczuła, że krwawi, przyłożyła dłoń do czoła, odwróciła się. Przypadła do miedzianej poręczy i wyjrzała na klatkę schodową. Z dołu usłyszała trzaśnięcie drzwi prowadzących na ulicę.

ŚRODA RANO

– Niech się pani nie śpieszy – powiedziała siedząca naprzeciwko niej młoda kobieta. – Jeszcze wody?

Verónica pokręciła głową. Była z nią Amalia. W nocy dziewczyny prawie nie zmrużyły oka. Verónica utkwiała wzrok w portrecie króla wiszącym na białej ścianie za plecami umundurowanej kobiety, która dwoma palcami stuknęła w klawiaturę.

– A zatem... Włożył palce w rękawiczce, hm, do pani pochwy, tak?

Verónica dygotała. Co to ma być? Czy oni w tej Guardia Civil oszczędzają na ogrzewaniu?

– Tak.

– I nie zdążył popełnić innych, hm, aktów... przestępczych?

– Aktów przestępczych? – Amalia aż podskoczyła.

– Chodzi mi o to, że nie było, eee, no... że nie było gwałtu.

– Ależ to jest gwałt! – zaoponowała oburzona Amalia, prostując się na krześle. – Czego pani jeszcze potrzeba?

Twarz kobiety zalała się intensywną purpurą.

– Tak, tak, oczywiście. Oczywiście. Przepraszam.

Musiała się zastanowić. System informatyczny wymagał dokładnego, sformalizowanego języka, krótkich i precyzyjnych wypowiedzi. Wpisała: „Gwałt manualny w okolicach waginy”.

– I mówi pani, że wdychał hel? – zapytała.

Napisała: „Możliwe zażycie helu ze strony napastnika”.

Verónica potwierdziła.

– Żeby nie dało się rozpoznać jego głosu – dodała.

Młoda funkcjonariuszka oderwała wzrok od ekranu.

– Myśli pani, że go pani zna?

– Nie mam pojęcia. Ale jest taka możliwość.

- Czy przypomina sobie pani jeszcze jakieś szczegóły?
 - Ładnie pachniał. – I nagle pomyślała, że już gdzieś czuła ten zapach. Ale to nic nie znaczyło. A może tak?
 - Był wyższy od pani, tego samego wzrostu czy niższy?
 - Wysoki.
 - I zanim uciekł, uderzył pani głową w drzwi? – zapytała kobieta, patrząc na opatrunek na czole studentki.
 - Tak. Bardzo mocno.
 - „Napaść seksualna ze szczególnym okrucieństwem, osobnik skrajnie niebezpieczny”, zanotowała w systemie.
- Obiecuj mi, że nikomu o tym nie powiesz – poprosiła Verónica, kiedy wychodziły z komisariatu.
- Czy nie powinnyśmy ostrzec innych dziewczyn w kamienicy? – zasugerowała jej współlokatorka.
 - Nie! Nie chcę, żeby wszyscy patrzyli na mnie jak na ofiarę gwałtu!
 - Okej, okej.
 - Przysięgnij.
 - Przysięgam.

Wieczorem po zajęciach Verónica dołączyła do grupy. Przez cały dzień była oszołomiona. Jakby nie była sobą. Jakby obserwowała samą siebie, jak się porusza, jak odpowiada, jak coś robi. Jakby były dwie Veróniki: jedna, która żyła jakby nigdy nic, i druga, obserwująca tę pierwszą.

Pomyślała, że napastnik nie odważyłby się zaatakować Assy. Wybrał najslabszą osobę z grupy. Jak lew na sawannie, który w stadzie antylop znajduje najbardziej bezbronny osobnik, spośród setek zwierząt wybiera sobie to jedno, najslabsze: takie, które kuleje, które wolniej biega, które się izoluje albo jest odrzucone przez stado.

Kiedy ich obserwował? W Camelocie? Na wydziale? Na zajęciach? Tego dnia na wszystkich wykładach przyglądała się twarzom studentów płci męskiej.

Dotarła na spotkanie spóźniona. Wszyscy już byli na miejscu.

- Nie licząc tego funkcjonariusza, mamy więc same małżeństwa – mówił właśnie Salomón.
- Szczęśliwe małżeństwa – uściśliła Assa.

Kapitan Guardia Civil, który kierował komisariatem w Salamance, przy-
mknął oczy i zaplótł palce pod brodą, z obojętną miną.

– Czyli obmacywacz znowu się uaktywnił – zaczął.

– Tak – potwierdziła sierżantka, która rano przyjęła skargę Veróniki. –
To trzecie zgłoszenie w tym miesiącu. Sprawa nabiera tempa. Niedługo
samo obmacywanie przestanie mu wystarczać – dodała ponurym tonem. –
I tym razem mu przerwano. Bóg jeden raczy wiedzieć, co by zrobił, gdyby
nie to.

– Może jest nieśmiały – zasugerował kapitan. – Albo mu nie staje.

Jeden z funkcjonariuszy obecnych przy rozmowie głośno zarechotał.

– Mówimy o napaści seksualnej – warknęła sierżantka, piorunując go
wzrokiem.

– Tak, tak, jasne... Przepraszam.

– Następnym razem będzie próbował posunąć się dalej – nalegała. –
Podnieca się wyzwaniem i ryzykiem. Sądzę, że nawet nie wiemy, do czego
on jest zdolny.

– Bo ty oczywiście wiesz? – przerwał jej zjadliwie tamten. – Roso, od
kiedy to masz dyplom z psychologii?

Spojrzała na nieokrzesanego grubasa.

– Wiem, bo jestem kobietą – odparowała. – Kapitanie, uważam, że
powinniśmy wydać komunikat albo przynajmniej rozwiesić ostrzeżenie na
uczelniach. Trzeba przestrzec studentki w tym mieście, że po ulicach krąży
zboczeniec.

Oficer przez chwilę stał bez ruchu, krzywiąc się, jakby poczuł jakiś
przykry zapach.

– Nawet o tym nie myśl. Wybuchnie panika i sprawa trafi do prasy! Nie
mówiąc już o reakcji mera czy szefa departamentu edukacji!

– Szczęśliwe małżeństwa... Na jakiej podstawie tak sądzisz, Asso? – zapy-
tał Salomón.

– No cóż, to oczywiste, że dwie ostatnie pary były szczęśliwe, zważyw-
szy na ich posty i zdjęcia na portalach społecznościowych – odparła młoda
kobieta.

Przeglądała je przez sporą część nocy. Od wpatrywania się w ekran
i braku snu miała zaczerwienione oczy.

– Robili sobie zdjęcia w każdym miejscu, w które pojechali – mówiła dalej. – Na wszystkich są uśmiechnięci, obejmują się.

Salomón zgasił światło, włączył mały rzutnik i na białej ścianie, przy wtórze cichego brzęczenia wentylatora, pośród kurzu wirującego w wiązce światła, ukazały się fotografie znalezione na Instagramie i Facebooku. Odprężone, szczęśliwe twarze, które zdawały się uśmiechać do życia.

– Ciekawa hipoteza – stwierdził. – Kontynuuj.

– Ma problem z utrzymaniem relacji z kobietą – ciągnęła Assa. – Wszystkie jego związki okazały się porażką. Na pewno jest rozwodnikiem albo starym kawalerem. Wielokrotnie porzucanym. Dlatego zrodziła się w nim zawiść wobec szczęśliwych małżeństw, zazdrości im. Szczęście innych wyzwała w nim mordercze instynkty.

– Tak, wskazywałyby na to ciosy nożem w intymne części ciała – stwierdził Salomón. – Jakby chciał, żeby po śmierci byli niezdolni do życia seksualnego. Rzeczywiście to możliwe, a nawet prawdopodobne, że sam ma problemy w tej sferze.

– Może uśmiechali się tylko do zdjęć – zaprotestował Ulysses. – To bez sensu. Na portalach społecznościowych wszyscy się uśmiechają. To niczego nie dowodzi.

Salomón skinął głową, uśmiechając się półgębkiem. Lubił kontrowersje, w pierwotnym znaczeniu tego słowa. Jego metoda polegała właśnie na prowokowaniu dyskusji. Zawsze coś z tego wynikało.

– A co wam przywodzą na myśl te scenografie? – kontynuował.

– Obrazy! – odpowiedział natychmiast Alejandro.

Salomón odwrócił się w jego stronę.

– Otóż to, obrazy... Nadzy modele oraz czerwień i zieleń to częste motywy zwłaszcza w malarstwie renesansu, ale też późniejszych wieków.

– Uważa pan, że inspirował się obrazami?

– Nie wykluczam tego.

Zadzwoił jego telefon. Wydobył go z kieszeni i spojrzał na wyświetlacz. Nieznany numer.

– Salomón Borges – powiedział.

– Profesorze? Z tej strony porucznik Lucia Guerrero.

ŚRODA WIECZÓR

Lucia wpatrywała się w pająka. Rozpiął sieć między rurą centralnego ogrzewania a sufitem. Do lepkiej, drgającej nici przykleiła się muszka. Włochaty czarny drapieźnik bez pośpiechu zbliżał się do ofiary. Za chwilę wstrzyknie w nią swój jad, unieruchomi ją i wstępnie strawi, używając soków żołądkowych. Muszka nie miała żadnych szans.

– Zapisałam, profesorze. Jutro – powiedziała Lucia do słuchawki, nie przestając patrzeć na pająka.

– Proszę mi mówić Salomón. Do jutra, pani porucznik.

Właśnie miała wybrać kolejny numer, kiedy jej telefon zadzwonił. Arias.

– Tak? – przywitała go.

– Telekonferencja we troje z toksykologią.

– Okej.

– Cześć, Lucio – odezwał się inny głos. – Kondolencje z powodu Sergia. Wszyscy tutaj jesteśmy zdruzgotani. Mamy nadzieję, że ten drań się wylize, żeby mógł stanąć przed sądem. – Lucia nie skomentowała, ale poczuła, jak przechodzi ją zimny dreszcz. – Mam wynik analizy tego brązowego płynu, który u niego znaleźli. Nie uwierzycie.

Pośpieszyli się. Zamordowany kolega. Priorytetowa sprawa, ważniejsza niż wszystko inne, choćby chodziło o śmierć króla Hiszpanii czy zamach terrorystyczny.

– Słyszałem już o tym, ale po raz pierwszy widzę to na własne oczy.

– Co widzisz? – niecierpliwiła się Lucia.

– To rzeczywiście jest odwar czy może wywar, nazywaj to sobie jak chcesz. Ayahuasca.

– Co?

– Ayahuasca. Nazywana również „sznurem umarłych”, „gorzką lianą” albo „lianą dusz”. Plemiona amazońskie nazywają ją *yagé*, *natem*, *caapi*,

pindé, daime. To wywar uzyskany z mieszanki roślin, w tym wspomnianej liany, przygotowywany od wieków przez szamanów w Amazonii. Po zaparzeniu rośliny te uwalniają dwa potężne związki psychoaktywne: dimetylotryptaminę i alkaloid beta-karbolinę. Ich spożycie wywołuje halucynacje i zmianę percepcji. Ale w przeciwieństwie do heroiny czy kokainy ayahuasca nie aktywuje układu nagrody. Nie ma więc ryzyka przedawkowania ani prawdziwego uzależnienia.

Lucia wyteżęła umysł, by przyswoić podawane informacje i wyciągnąć spośród nich te, które ją interesowały.

– To bardzo silna substancja psychoaktywna, która długo była używana jedynie przez ludy puszczy amazońskiej. Od niepamiętnych czasów wykorzystywano ją podczas ceremonii inicjacyjnych jako sposób na połączenie się ze swoją najgłębszą istotą i z przyrodą, takie tam. Ale na fali nowych religii i medycyny alternatywnej jej wykorzystanie się rozpowszechniło. Stała się modna nawet w Dolinie Krzemowej i wśród nowojorskich artystów. Jednym z pierwszych ludzi Zachodu, którzy jej spróbowali, był amerykański pisarz William Burroughs. W wielu europejskich krajach ayahuasca jest zakazana. Hiszpania zezwala na jej posiadanie na własny użytek, ale sprzedaż, podobnie jak w przypadku innych substancji, jest zabroniona. W ostatnich latach odbyło się kilka sympozjów na ten temat, najważniejsze z nich to międzynarodowa konferencja zorganizowana w lutym tego roku przez ICEERS, International Center for Ethnobotanical Education Research and Service z siedzibą w Barcelonie. Brałem w niej udział. Tysiąc dwustu uczestników, sześćdziesięciu specjalistów z całego świata, sto dwadzieścia wykładów poświęconych wyłącznie ayahuasce. Wyobrażacie sobie?

Lucia zaczęła się niecierpliwic.

– Czy skutki jej działania mogły ułatwić zmanipulowanie bardzo wrażliwej osoby, skłonienie jej do zrobienia rzeczy, których by normalnie nie zrobiła? – zapytała.

Milczenie.

– Nie jestem psychiatrą, ale powiedziałbym, że tak. Ayahuasca jest od wieków wykorzystywana do wywoływania odmiennych stanów świadomości. Niektóre sekty i tak zwane kościoły w Brazylii używają jej do tego samego celu. Zmienia postrzeganie rzeczywistości, znacząco łagodzi lęk, często wywołuje regres i zwiększa podatność na wpływy. Co więcej,

według niektórych badaczy odmienne stany świadomości wywołane przez tę substancję sprzyjają tworzeniu się „jaźni wielorakiej”.

Lucia mimo woli pomyślała w tym momencie o kimś, kto również miał zmienione postrzeganie rzeczywistości – a raczej własny świat, który rządził się własnymi prawami. Przegnała tę myśl.

– Nie przekazuj tych informacji nikomu, chyba że cię o to poprosimy – powiedziała. – Zrozumiano?

– Na przykład psychiatrze powołanemu przez obronę? Kumam. Aha, Lucia, musisz wiedzieć, że ayahuasca może też wywołać absolutnie przerażające wizje, potworne halucynacje. Gabrielowi Schwartzowi na pewno się po tym nie poprawiło.

Podziękowała mu. W mieszkaniu Schwartza była tylko jedna filiżanka: obok talerza „Ricarda”. Osoba, która za tym wszystkim stała, starannie przygotowała wywar i przyglądała się, jak Gabriel go pije. Następnie zaczęła, aż substancja zadziała. W jaki sposób się poznali? Jak i kiedy prawdziwy morderca Sergia Moreiry wybrał sobie współnika, który miał zabić jej partnera?

– Zadzwoń do Ferratera – poleciła Ariasowi. – Musimy mieć listę wszystkich osób, pracowników i gości, które były w kontakcie ze Schwartzem w trakcie jego hospitalizacji psychiatrycznych.

ŚRODA WIECZÓR

Wybrała inny numer.

– Lucia? Czego chcesz? – odezwał się głos po drugiej stronie.

– Co się w poniedziałek stało Álvarowi?

– Nic takiego.

– Samuel, proszę cię.

Milczenie.

– Koledzy trochę go poszturchali na podwórku. Nauczycielka im prze-
rwała.

– Poszturchali?!

– Popychali go, okej?

– Jak to popychali?

– Chryste, Lucia! Czy ty czasem przestajesz się zachowywać jak zan-
darm?

– Przewrócił się?

– Jeśli tak bardzo chcesz wiedzieć, to tak.

– Szlag!

– Co szlag? Uczniowie zostali wezwani na dywanik do dyrektora. Wię-
cej się to nie powtórzy. Sprawa jest zamknięta. Ma tylko rozbite kolano.
Czuje się dobrze.

– Mogę z nim porozmawiać?

W tle usłyszała dźwięk telewizora. A potem cichą rozmowę dwóch osób
– kobiety i mężczyzny. Ze złości poczuła skurcz w żołądku. Alicia, nowa
partnerka jej byłego męża. Kobieta, która ubiera Álvaro w krawat i blezer,
jakby był pieprzonym angielskim lalusiem. Nic dziwnego, że go szturchają.
Sama chętnie poszturchałaby Alicię, żeby jej przypomnieć, że jest w ich
życiu tylko gościem, że nie ma żadnego prawa do decydowania, co jest

dobre dla jej, Lucii, syna, a jeśli spróbuje wejść pomiędzy nich, Lucia powybija jej wszystkie zęby.

– Mama?

Zrobiła głęboki wdech, spojrzała na sufit. Miała łzy w oczach.

– Wszystko w porządku, kochanie?

– Tak. Oglądamy *Jurassic World*.

Na chwilę zamknęła oczy. Poczowała ulgę. Álvaro mówił wesołym głosem. Frustracja. Domyśliła się, że śpieszy mu się, żeby wrócić do filmu. Zazdrość. Chciałaby teraz być przy nim, siedzieć obok niego przed telewizorem z kocem na kolanach.

Jak to się stało, że doszli do takiego punktu? Przypomniała sobie, że przed narodzinami Álvaro, zanim jeszcze praca zaczęła ich od siebie oddzielać, ona i Samuel mieli w zwyczaju spędzać czas przed telewizorem, racząc się przy tym wszystkim, czego zakazuje współczesna obsesja na punkcie diety: hamburgerami, colą, nuggetsami, frytkami i lodami, dopóki nie zmorzył ich sen. Zasypiali oparci o siebie, by po dwóch godzinach obudzić się i powlec do łóżka. Kiedy Álvaro był mały, robili to samo, oglądając kreskówki. A potem Lucia zaczęła wracać coraz później, stała się twardsza – a raczej to jej praca sprawiła, że stwardniała – a jej relacje z Samuelem stawały się coraz bardziej napięte.

Przypomniała sobie też, że kiedy studiowali, Samuel i jego koledzy wypowiadali się o policji z pogardą. Według nich wszyscy gliniarze byli idiotami, zausznikami rządu i faszystami – przynajmniej potencjalnymi. Kiedy więc oświadczyła Samuelowi, że zamierza startować w konkursie na funkcjonariuszkę Guardia Civil, nie rozumiał jej. Sama nie była do końca pewna swoich motywacji. Przekaz prasy, którą czytali, piosenek, których słuchali, filmów, które oglądali, był taki sam: Guardia Civil to gniazdo faszystów, jest faszystowska w samych założeniach, a prawo służy do tego, żeby podtrzymywać i chronić *status quo* burżuazji. Takie rozumowanie było upraszczające i z tego też powodu kuszące, przynajmniej dla większości jej kolegów. A przecież Lucii nigdy nie podobało się strzelanie do bezbronnych. Już jako mała dziewczynka stawała po stronie dzieci, których nie lubiano i które gnębiono na podwórku, parę razy nawet z tego powodu oberwała. W rodzinie zawsze była tą, która szła pod prąd, która czerpała złośliwą przyjemność z obalania pewników wyznawanych przez innych i swoją przekorą psuła zabawę. Jako studentka prawa podobnie: przy okazji

każdego strajku czy demonstracji zastanawiała się, co się za nimi kryje, demaskowała niedopowiedzenia i ukryte intencje w pięknych przemówieniach polityków lewicy, których popierali jej koledzy, oraz w wypowiedziach na temat indywidualnej odpowiedzialności i ducha przedsiębiorczości polityków prawicy, którym sprzyjała jej rodzina. W sumie wstąpiła do Guardia Civil z przekory. Serio? To wszystko? Wybrała tę drogę tylko po to, żeby udowodnić innym, że się mylą? Nie, było coś jeszcze. Oczywiście. Ale tego wieczoru nie miała ochoty o tym myśleć. Nikt nie znał prawdziwej historii, nawet Samuel. Opowieści o najinteligentniejszym, najbardziej ciekawym świata i najchorobliwiej wrażliwym chłopcu, jakiego spotkała w życiu. O jej bracie Rafaelu. I o tym, jak zniszczyły go narkotyki. Rafael – jej osobisty Syd Barrett. *Wish you were here...*

– Niedługo się zobaczymy, kochanie – powiedziała. – I pójdziemy do zoo, okej?

– A będę mógł też oglądać seriale?

– Oczywiście, skarbie. No już, leć do taty.

– Mamo? Na pewno dobrze się czujesz?

– A dlaczego miałabym się źle czuć, kochanie?

– Bo masz taki dziwny głos...

– Ależ skąd! Zmykaj!

– Do zobaczenia, mamo!

Arias zadzwonił do niej znowu po półgodzinie.

– Przed chwilą zmarł Gabriel Schwartz – oświadczył.

Nagle ogarnęło ją zdenerwowanie.

– Badanie krwi potwierdziło obecność brodifakum, trutki na szczury. Wyniki właśnie przyszły.

Poczuła niepokój. To wszystko zostało zaplanowane przez kogoś innego: przez marionetkarza, który z cienia pociągał za sznurki.

– Dziękuję, Arias. Powinieneś już wracać do domu.

– Właśnie zamierzałem. Dobrej nocy, Lucio.

Morderca Sergia nie żył. Dlaczego tak bardzo nią to wstrząsnęło? Czy dlatego, że śmierć Sergia i jego zabójcy były dla niej nierozłączne? A może dlatego, że ilekroć myślała o śmierci, myślała o Rafaelu?

W nocy płakała. Około trzeciej usłyszała szum deszczu stukającego o drzwi balkonowe. Dźwięk działał kojąco, ale w jej głowie był też synoni-

mem samotności, opustoszałych ulic, smutku. Wstała i w podomce wyszła na balkon. Światła w mieszkaniu matki były pogaszone.

Ostatnimi miesiącami Lucia często rozmyślała o matce. Niemal równie często jak o Álvaro. I o Rafaelu. Matka się starzała. Niedługo już jej nie będzie. Dlaczego nie potrafią się normalnie komunikować, dlaczego ich rozmowy zawsze kończą się wzajemną uszczypliwością i pretensjami? A czas płynie. Niewiele im go już pozostało.

I wtedy przypomniał jej się on. Francisco Manuel Méendez. Jego czas również płynie. Czy myśli o niej w celi? Oczywiście, że o niej myśli. Za kilka dni zacznie się proces. A jego adwokat zapowiedział, że odpali bombę.

Wróciła do mieszkania, zdjęła górę od pizamy, weszła do łazienki i wykręcając szyję, patrzyła na swoje odbicie w lustrze – na wielką postać wytatuowaną na plecach, która niczym Chrystus obejmowała ją swoim błogosławieństwem. Tylko to przynosiło jej spokój.

CZĘŚĆ CZWARTA
TANIEC Z DIABŁEM

CZWARTEK RANO

Następnego ranka za piętnaście dziesiąta zaparkowała swojego hyundaia przed Wydziałem Prawa Uniwersytetu w Salamance. Na szczycie schodów czekał na nią niewysoki mężczyzna około sześćdziesiątki ze szpakowatą brodą. Domyśliła się, że to on.

Salomón Borges. *Catedrático*¹. Nie było w nim jednak próżności ani samozadowolenia, które zazwyczaj idą w parze z takim tytułem. Przynajmniej nie wyczuła ich przez telefon. Zrobił na niej wrażenie rozsądnego człowieka. Choć historia, którą jej opowiedział, była niedorzeczna.

Co więc tutaj robiła? Nie mogła zignorować ważnego szczegółu: kleju. Był to jeden z elementów, które miał zidentyfikować program komputerowy stworzony przez profesora i jego zespół. Okej. Zobaczmy, co mają mi do powiedzenia, stwierdziła.

Godzinę wcześniej odebrała telefon z laboratorium kryminalistycznego. We krwi Gabriela Schwartza wykryto również ślady zolpidemu, jednego z najczęściej przepisywanych leków nasennych, który mógł też zostać użyty w innym celu: chemicznego podporządkowania. Zolpidem i ayahuasca. Nie było już najmniejszych wątpliwości: Gabriel Schwartz został naćpany i zmanipulowany.

Zamknęła SUV-a, zadrżała na wietrze, który hulał wokół budynku, postawiła kołnierz kurtki i ruszyła po stopniach. Mężczyzna zmierzył ją wzrokiem i uśmiechnął się. Rzucił okiem na broń, którą nosiła w kaburze na biodrze.

Lucia też mu się przyjrzała. Bary jak u wojownika, ale przy tym spory brzuch, źle przycięta broda, niedbały wygląd: na białej koszuli, częściowo wystającej ze spodni, widać było plamę od kawy. Otwarta, ciekawa, wyraziście twarz. Był niewiele wyższy od niej – a miała metr sześćdziesiąt dwa wzrostu.

Świetnie, pomyślała. Ponieważ gdyby nazajutrz miała wytypować jednego z dwóch chirurgów, który miałby ją zoperować, nie wybrałaby gościa o szacownym wyglądzie lekarza – smukłe dłonie, okulary, drogi zegarek – ale tego drugiego, który nie dbał o wygląd, mówił z silnym akcentem, był trochę zaniedbany i w niczym nie odpowiadał stereotypowi chirurga. Uważała bowiem, że ten drugi, aby znaleźć się w tym miejscu, w którym się znajdował, mógł liczyć wyłącznie na własne kompetencje zawodowe. A ten o adekwatnym wyglądzie, który pochodził z dobrej rodziny i skończył dobrą szkołę, miał łatwiejsze życie niż jego kolega, który musiał się bardziej wykazać i pokonać więcej przeszkód, by wspiąć się na ten sam poziom. Było dla niej jasne, że Salomón Borges nie otrzymał swojego stanowiska dzięki dbałości o wygląd ani dzięki koneksjom. Doskonale, to jej odpowiadało.

– Proszę za mną. Wyobrażam sobie, że przy takiej sprawie nie ma pani czasu do stracenia. Napije się pani kawy?

– Nie, dziękuję.

– Tym lepiej. Kawa w naszej kafejce jest ohydna.

Ruszyła za nim przez przeszklony hol, a potem kładką nad dużym patio. Gdy znaleźli się w drugiej części budynku, zeszli piętro niżej. Poprowadził ją do drzwi z napisem LABORATORIUM KRYMINOLOGICZNE. W środku zobaczyła szóstkę młodych ludzi. Ku swojemu zdziwieniu na środku stał duży namiot.

– Przedstawiam wam panią porucznik Lucię Guerrero z UCO – odezwał się do studentów, a następnie, zwracając się do niej: – Lucio, to jest właśnie grupa, która opracowała DIMAS-a.

– I to DIMAS wykrył te podobieństwa? – zapytała godzinę później.

Tak naprawdę nie było to pytanie. Wciąż jednak trudno jej było uwierzyć, że program wymyślony przez garstkę doktorantów i jednego profesora może być tym systemem i bazą danych, których wyczekiwali śledczy w całej Hiszpanii. Choć w sumie dlaczego nie? Dlaczego tak bardzo ją to dziwi? Jak wszyscy wiedziała, że świat wkroczył w nową erę. Że młodzi ludzie, którzy zaczynali od majsterkowania w garażu, wystrzeliwują teraz w kosmos załogowe statki kosmiczne, tworzą aplikacje używane przez miliardy osób, kryptowaluty, które wkrótce zastąpią oficjalne pieniądze. Oglądała film o tym, jak czwórka studentów z Harvardu stworzyła Facebo-

oka. Wiedziała, że Steve Jobs i Steve Wozniak, dwaj młodzieńcy bez grosza, wymyślili Apple I, wracając ze spotkań Homegroup Computer Club, i że aby zgromadzić potrzebne pieniądze, Jobs sprzedał swojego volkswagena kombi. I że Jeff Bezos stworzył program Amazon w garażu swoich rodziców, których poprosił, żeby zainwestowali w jego projekt. Po czym stał się najbogatszym człowiekiem na świecie. Dlaczego studenci Uniwersytetu w Salamance mieliby być gorsi?

– Brawo – powiedziała po prostu. Zobaczyła uśmiechy malujące się na młodych obliczach. – I mówicie, że Guardia Civil i policja wspierają projekt?

– A także departament edukacji Kastylii i Leónu oraz oczywiście USAL – dodał Borges. – Ale wyciągnięcie od nich pieniędzy to zupełnie inna sprawa.

Uśmiechnęła się. Bezos i pieniądze jego rodziców, Steve Jobs i jego volkswagen, Zuckerberg i jego klitka w Harvardzie, pomyślała znowu. Poczowała lekkie mrowienie w karku.

– Czyli ten program jako pierwszy wskazał na możliwe związki między tymi trzema podwójnymi morderstwami – podsumowała. – Tym sprzed trzydziestu lat w Górnej Aragonii, tym z dwa tysiące piętnastego w Segowii i tym z zeszłego roku na Costa del Sol, tak?

– Tak jest.

– I skojarzyliście je z zabójstwem mojego kolegi tylko na podstawie tej historii z klejem?

– Zgadza się, to subtelny związek – przyznał Salomón.

– Ale wcale nie bez znaczenia – sprostowała. – Nigdy wcześniej nie słyszałam o miejscach zbrodni, w których ofiary byłyby połączone ze sobą klejem.

Przypomniała sobie, że sprawa zamordowanego w czasie urlopu małżeństwa Anglików była na pierwszych stronach gazet. Ale śledztwa nie prowadziła UCO i nigdzie nie wspomniano ani o kleju, ani o szczególnej scenografii.

Wszyscy członkowie grupy wpatrywali się w nią z takimi minami, jakby chcieli zapytać: „I co teraz robimy?”

– Jak sobie wyobrażacie dalszy ciąg? – zapytała, usiłując ukryć ekscytację.

– Zwróciliśmy się już o udostępnienie pełnych akt tych trzech spraw – odparła ładna ciemnoskóra dziewczyna o bardzo krótko ściętych włosach, którą Borges wcześniej nazwał Assą. – Stworzymy profil psychologiczny sprawcy, wychodząc od analizy miejsc zbrodni.

– I od analizy osobowości ofiar – dodał przystojny brunet o imieniu Alejandro.

– I sprawozdań śledczych – podbił stawkę Haruki, pulchny Japończyk w ogromnych okularach.

– Służby robią trudności – wyjaśnił Salomón.

No coś takiego, pomyślała. Swoją drogą nikt z nich nie miał stosownych uprawnień.

– Czy pani już kogoś zabiła? – zapytał ni stąd, ni zowąd Ulysses, przyszczaty Anglik, wlepiając w nią ciekawskie spojrzenie.

Tylko dziewczyna o imieniu Verónica się nie odzywała.

– Ja też poproszę o te akta – powiedziała Lucia. – Pilnie. Zapoznam się z nimi i będę was informować. Gdyby cokolwiek przyszło wam do głowy, odzywajcie się do mnie śmiało. Świetna robota!

1. Profesor uniwersytecki kierujący katedrą. [\[wróć\]](#)

CZWARTEK WIECZÓR

Droga powrotna zajęła jej dwie godziny, ale bliżej Madrytu Lucia musiała zwolnić z powodu korków. Skorzystała z okazji i zadzwoniła do Ariasa.

– Jak tam sekcja Schwartza? – zapytała.

Arias uczestniczył w sekcji zwłok Sergia i tym razem także go wyznaczono, by zaliczył obowiązkową wizytę w Instytucie Medycyny Sądowej.

– Potwierdziła, że przyczyną zgonu były masywne krwotoki. Miałem do ciebie dzwonić. Wiemy też, co robił Sergio w ostatnich godzinach przed śmiercią.

Wyprostowała się.

– Według Carmen – Carmen była ich koleżanką z UCO – ktoś zadzwonił do niego do biura i chwilę potem Sergio wyszedł. Sprawdziliśmy ostatnie połączenia przychodzące. Tamto jest z nieznanego numeru. Carmen usłyszała tylko, że zapytał: „Z kim rozmawiam?”, a potem: „Poproszę o adres”. Powiedział jej, że ktoś ma informacje na temat podwójnego morderstwa popełnionego w ubiegłym roku. Najwyraźniej osoba ta podała mu tyle wiarygodnych szczegółów, że postanowił się z nią spotkać.

– Jakiego podwójnego morderstwa? – zapytała.

W jej głowie zapaliły się wszystkie lampki. Korek, mimo że było zielone światło, nie posuwał się do przodu i samochody wokół niej wściekle trąbiły.

– Pary Anglików zmasakrowanej w trakcie urlopu na Costa del Sol – odparł Arias. – Na pewno pamiętasz: gazety o tym trąbiły.

Jezu Chryste!

– Co jeszcze powiedziała Carmen?

– Że gość umówił się z nim na spotkanie na północny wschód od Madrytu, niedaleko Escorialu, na wzgórzach Santa María de la Alameda. Czyli tam, gdzie go znaleziono.

Lucii zrobiło się straszliwie zimno. A zatem Sergio po prostu wpadł w zasadzkę, a jego śmierć ma związek z tamtymi podwójnymi morderstwami. Zaklęła. Musi o tym porozmawiać z Borgesem. Ale najpierw przejrzy akta.

Przypomniała sobie, że blondyn, patrząc do kamery, wymówił jej imię. Skąd ją znał? Kto mu o niej powiedział?

A przede wszystkim dlaczego przed śmiercią postanowił zwrócić się właśnie do niej?

– Widzimy się jutro na pogrzebie – powiedziała.

Była 19.58 i mimo zimna ogródki restauracji na Plaza Mayor w Salamance były wypełnione po brzegi grupkami studentów i turystów. Salomón Borges siedział wśród nich opatulony w zimowy płaszcz i rozgrzewał się carajillo – gorącą kawą z dodatkiem brandy, cukru i cynamonu – podziwiając iluminacje placu. Prawdziwie teatralny wystrój. Plaza Mayor to jeden z najpiękniejszych placów w Hiszpanii – z arkadami, kolumnami, rzędami balkonów i medalionami, na których widnieją Rodrigo Díaz de Vivar, bardziej znany jako Cyd, Królowie Katoliccy Izabela I i Ferdynand II, Karol V czy wreszcie Hernán Cortés i Francisco Pizarro. Innymi słowy – konkwisty, morderstwa, kolonializm. Cywilizacja, do której budowy użyto trupów jako cegieł i krwi jako cementu. Jak we wszystkich cywilizacjach od zamierzchłych czasów, pomyślał. Czyż cywilizacje arabska i osmańska nie zasilają rynków niewolnikami przez całe wieki? Czyż ich pierwszą troską nie było radosne masakrowanie sąsiadów? Czy Japończycy w Nankinie albo ugrupowania zbrojne drugiej wojny domowej w Kongu stosujące masowe tortury i gwałty, byli mniej okrutni od zachodnich najeźdźców? Zresztą ludzie Zachodu niejednokrotnie mordowali się też między sobą. Strategia zrzucańa wszystkich grzechów na wroga, by usprawiedliwić własne zbrodnie, jest stara jak świat.

Salomón dopił carajillo i wstał. Przeszedł przez jedną z dwóch bram prowadzących na calle Zamora i powoli ruszył przed siebie, delektując się rozbrzmiewającym w ciemności odgłosem własnych kroków. Znalazłszy się w swoim apartamencie na ostatnim piętrze Dania Palace, zdjął płaszcz i szalik, zzuł buty, włożył kaptcie i wszedł do salonu, by umieścić na tacy gramofonu *Rinalda* Georga Friedricha Händla. *Cara sposa*, wspaniała aria dla kastrata. Podszedł do zdjęcia stojącego na blacie. Popłynęła melodia.

Najpierw instrumenty smyczkowe. Potem głos. Pianissimo, fortissimo. Czyż istnieje bardziej *cywilizowana* muzyka? Subtelniejsza, bardziej złożona?

– Poznałem dzisiaj kogoś, Begoño – powiedział. – Kobietę. Ma na imię Lucia. Spodobałaby ci się. Kompetentna, poważna, żadnej frywolności. Lubisz takie. Och, nie martw się: jest dla mnie o wiele za młoda i nie sądzę, żebym był w jej typie. – Zaśmiał się gardłowo. – Znasz mnie, budzi we mnie raczej ojcowskie uczucia. Mogłaby być naszą córką. Nosi w sobie jakąś tajemnicę: nie jest taka silna, na jaką wygląda. Będziemy razem pracować. Zapowiada się ciekawie.

Zaplótł dłonie na plecach i wyszedł na długi, ciemny korytarz, z którego ścian patrzyły na niego inne portrety Begoñi, jakby to było jej mauzoleum, a nie jego mieszkanie. Zanurzył się w ciemnościach: już od dawna się ich nie bał.

Następnego ranka ze snu wyrwał go nagle dzwonek telefonu. Spojrzał na wyświetlacz: była 6.30. Odebrał.

– Dzień dobry, Salomónie – przywitała go porucznik Guerrero. – Co pan jutro robi?

– Jutro? – powtórzył zaskoczony. – Jutro jest sobota. Wybieram się na wędrowkę po Sierra de Francia.

– Czy miałby pan coś przeciwko odwołaniu tej wycieczki?

– Odwołaniu? – powtórzył, jeszcze lekko otumaniony. Wiedział, że wychodzi na zaspanego staruszka z opóźnionym zapłonem.

– Dostałam akta. Przeglądałam je całą noc. Sugeruję, żebyśmy zaczęli od odwiedzenia miejsc, w których popełniono te podwójne morderstwa – powiedziała Lucia.

Nagle oprzytomniał. Wyczuł napięcie w głosie rozmówczyni.

– *My?*

– Tak. Pan i ja.

– To dość niezwykły sposób postępowania jak na Guardia Civil, prawda? – zauważył.

– Nie musimy im wszystkiego mówić.

Zamyślił się, rozbawiony jej konspiracyjnym tonem.

– Ale w sprawie zabójstwa, hm... mojego kolegi proszę nic nie robić – mówiła dalej. – Ani pan, ani pana grupa. Tym się nie zajmujcie.

- Kiedy wyjeżdżamy? – zapytał.
- Wyślę panu mój adres. Niech pan przyjedzie jutro punktualnie o dziesiątej trzydzieści. Dobrego dnia, profesorze.

SOBOTA RANO

Wyjechali z Madrytu około jedenastej. Kierunek północny wschód, Aragonia, pogranicze Pirenejów.

Poprzedniego dnia Lucia brała udział w pogrzebie Sergia w kościele katedralnym sił zbrojnych w Madrycie, znanym także pod nazwą Iglesia del Sacramento, przy calle Sacramento pod numerem jedenastym. W kościele było potwornie zimno. Ponury listopadowy dzień. Niebo zasnuwane chmurami i podłe nastroje. Na miejscu stawili się minister spraw wewnętrznych, dyrektor generalny Guardia Civil, pułkownik Pilar Molina Marcos, generałowie, pułkownicy, majorzy, oficerowie, szeregowcy, przyjaciele, krewni, koledzy. Przygotowała się, włożyła niewidzialną zbroję. Obojętnie wysłuchiwała homilii biskupa, następnie przemówień oficjeli i wreszcie wdowy – wszyscy oni mówili o Sergiu w pełnych żalu słowach. Pośmiertnie przyznano mu też pieprzony brelok: krzyż Orderu Zasługi Guardia Civil. Wszystko było w porządku, trzymała się. Miała gdzieś cały ten obłudny cyrk, obiecała sobie, że nie będzie płakać.

Dopóki na mównicę nie wszedł Peña. Powiedział: „Dobry ojciec, dobry mąż, dobry kolega, wzorowy przyjaciel i sługa tego kraju: taki był Sergio Castillo Moreira. Będziemy za tobą tęsknić, stary!”. To wszystko. Nic więcej. Ale to wystarczyło. Bo Peña, ten twardziel, płakał. I to było zaraźliwe, Lucia poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. Nie będąc w stanie ich powstrzymać, wypadła na zewnątrz.

Kiedy ocierała twarz, wiedziała, że duch Sergia będzie ją nawiedzał do ostatniego tchnienia. Że będzie pamiętać jego uśmiech, jego śmiech, pocałunki, jego ciało, wszystkie noce spędzone w nieoznakowanym samochodzie na wspólnych zasadzkach i oczywiście wzajemne zwierzenia, że będzie pamiętać tę postać na krzyżu, która była i zarazem nie była Sergiem Moreirą. Wiedziała, że te wspomnienia będą się pojawiać w najgorszych

momentach, by pamiętać, że nie ma czasu do stracenia, bo człowiek robi plany na przyszłość, a przyszłość nie istnieje: istnieje tylko teraźniejszość.

Peña podszedł do niej, zapalił papierosa.

– Wiesz, że mieszkańcy terenów górskich na wyspie Sulawesi regularnie wstrzykują do ciała zmarłego formalinę, codziennie z nim gawędzą, a co trzy lata wyciągają go z grobu, wkładają mu fajkę do ust, tańczą z nim i imprezują? Szlag, ostatnia rzecz, jakiej bym chciał, to żeby ci sami ludzie, którzy wkurwiali mnie za życia, robili to samo po mojej śmierci.

– Peña, do cholery, no weź – zaprotestowała, ale nie mogła powstrzymać uśmiechu.

Zauważyła dzieci Sergia i napotkała spojrzenie wychodzącej z kościoła wdowy. Spojrzenie, które mówiło: wiem, co było między tobą a moim mężem. Szlag!

– Peña, chcę wziąć kilka dni wolnego – powiedziała po chwili. – Muszę zmienić otoczenie.

Skinął głową.

– W porządku. Nad sprawą Sergia pracują dwa zespoły. Będziemy z Ariasem informować cię na bieżąco. Zresztą to nawet dobrze: jesteś w to za bardzo zaangażowana emocjonalnie.

Tego sobotniego poranka, jadąc na północ, patrzyła na niebo w kolorze popiołu i monotonną wstęgę autostrady. Miała przeczucie, że tam, na północy, u kresu drogi czeka ich coś wielkiego.

– Jak przeżywasz śmierć partnera? – zapytał Salomón, który siedział na sąsiednim fotelu.

Zauważyła, że zaczął się do niej zwracać na „ty”. Na chwilę oderwała oczy od szosy i spiorunowała go wzrokiem.

– A jak sądzisz? Jak ty byś przeżywał?

– Źle – odpowiedział. – Bardzo się angażujesz, co? UCO to robota dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Tym razem nie odpowiedziała. Około czternastej dojechali do Saragossy, niecałą godzinę później minęli Huescę i ruszyli dalej na północ. Wreszcie pojawił się śnieg, z początku w postaci białych placków na polach.

Po następnych czterdziestu dwóch minutach zbliżali się do Barbastro, siedemnastotysięcznego miasta, które Lucia chciała ominąć od południa, połączonymi drogami N-240 i N-123, ale Borges wskazał jej tablicę z infor-

macją BARBASTRO / ALQUÉZAR / SIERRA DE GUARA umieszczoną tuż za stojącym przy drodze hotelem, kafejką i stacją paliw Repsol, które siłą rzeczy przypomniały jej o Mélenzie.

– Tędy – powiedział.

Posłuchała go i pozwoliła się poprowadzić krętymi uliczkami przez centrum miasta. Gdy wyjeżdżali avenida de los Pirineos, minęli ceglany budynek z dachem najeżonym antenami: posterunek Guardia Civil.

– To na pewno tutaj prowadzili wtedy tamtą sprawę – powiedział.

Pomyślała o aktach, które leżały w jej plecaku w bagażniku.

Droga była szeroka, w doskonałym stanie – długie proste odcinki, pełne zakręty. Lucia prowadziła z prędkością odrobinę poniżej dozwolonej. Wokół nich pod wciąż tak samo monotonnym, szarym niebem rozpościerał się równie monotony pejzaż niskich pagórków, pól uprawnych i winnic. Ale na horyzoncie już majaczyły białe górskie szczyty. Na ich widok Lucia poczuła zniecierpliwienie zmieszane ze strachem. Góry w oddali jakby rzucały im wyzwanie: tak długo strzegły swojej tajemnicy. „Myślicie, że odbierzecie nam ten sekret, skoro tylu innym się nie udało?”, zdawały się pytać.

Pod grubą warstwą chmur pojawiły się pierwsze ośnieżone wzgórza. Blask bijący od śniegu raził w oczy, rozpałał wzrok. Pofałdowany, bezdrzewny, ubogi krajobraz przypominał scenografię zimowego westernu. W radiu – które Lucia włączyła, kiedy wyczerpali wszystkie tematy do rozmowy – jakiś głos oświadczył, że listopad roku 2019 ma szansę stać się w rejonie Jacy najzimniejszym i najwilgotniejszym listopadem od trzydziestu pięciu lat: „Śnieg, który spadł ósmego listopada – a w niektórych miejscach jest go nawet osiemnaście centymetrów – wciąż się utrzymuje, ponieważ temperatura z dnia na dzień spada: ostatniej nocy do czterech stopni poniżej zera. Wygląda na to, że w tym roku zima się pośpieszyła”. Po kilku kilometrach biegnąca wzdłuż niemal wyschniętego, usianego wielkimi, jasnymi kamieniami koryta rzeki droga N-123 zaczęła się lekko wznosić.

– Dojeżdżamy – rzucił Salomón, zerkając na mapę Google w swoim smartfonie.

Za dwoma ostrymi zakrętami w kształcie litery S pojawił się pierwszy tunel. Droga prowadziła teraz głębokim wąwozem wyżłobionym przez rzekę między skalnymi ścianami, bezlistnymi drzewami liściastymi i iglastymi, których gałęzie pobielił śnieg. Tunele następowały jeden po drugim.

Lucia prowadziła ostrożniej. Wąwóz stał się ciasniejszy i głębszy, kamienne ściany zamykały się wokół nich, a niebo było już tylko wąskim szarym pasmem.

– Tutaj – powiedział Salomón, kiedy pokonali dwa ciemne tunele wydrążone w skale, z których sklepienia zwisały stalaktyty.

Po lewej, na zakręcie tuż za wylotem tunelu, znajdował się mały parking. Zahamowała, szorując oponami po żwirze. A potem wyłączyła silnik i zapanowała cisza. Opatuleni w ciepłe ubrania – on w wełniany płaszcz i popielaty szalik zawiązany pod brodą, ona w białą parkę z ocieplonym kapturem, która przypominała zimową odzież kamuflującą – wysiedli z samochodu.

Lucia natychmiast poczuła lodowate powietrze, które jak igły przeniknęło przez jej dzinsy. Wstrzymała oddech i patrzyła na wąwóz. Z pewnością dzięki dokładnym opisom, które znalazła w aktach, miała teraz wrażenie, że widzi prawie nagą parę siedzącą na skraju drogi między furgonetką a krańdzią wąwozu. Scenę wyjętą z przeszłości. Tak jak w serialu *Hannibal*, gdzie jedna z postaci potrafiła po zamknięciu oczu zrekonstruować, zwizualizować w myślach wszystko, co wydarzyło się w miejscu zbrodni. Chciały mieć taki dar.

– Trzeba sobie wyobrazić, jak to wygląda latem – powiedział cicho Salomón, wydechając obłoczek pary. – Wczesnym rankiem. Duża część drogi na pewno jest jeszcze w cieniu, ale na górze już świeci słońce i temperatura jest o wiele przyjemniejsza. Jest ciepło, jest sobota. Przejeżdża tędy niewiele osób, ale mimo wszystko istnieje duże ryzyko, że ktoś się pojawi.

Zniżył głos prawie do szeptu, jakby byli w kościele. Albo na pogrzebie. Jak gdyby się bał, że pobudzi zmarłych.

– W tamtych czasach droga była w złym stanie, pełna dziur, widać to na zdjęciach – stwierdziła Lucia. – Nie była taka zadbana jak dzisiaj. Brakowało też tych metalowych barierek, jezdnię oddzielały od przepaści tylko betonowe kłocce. – W skupieniu próbowała sobie wyobrazić tamtą scenę. –

Furgonetka stała tu, gdzie teraz samochód – wyjaśniła, wskazując miejsce palcem.

Wiatr, który hulał w wąwozie, nagle zmienił kierunek i uderzył wprost na nich, szczypiąc ich w policzki. Było tu o wiele zimniej niż w Madrycie. Dygocząc, Lucia zrobiła kilka kroków.

– A zabójca musiał stać tam, jakieś cztery metry przed furgonetką. Na pewno dał im znak, żeby się zatrzymali. Potem wyjął broń i strzelił przez przednią szybę. Dwa strzały. Prosto w głowę. Dobry strzelec, choć odległość była niewielka.

– Strzelec?

– Statystycznie rzecz biorąc, niewiele kobiet potrafi tak precyzyjnie strzelać do celu.

– A skąd według ciebie wyszedł? – zapytał. – Musiał przyjechać samochodem. Dobrze znał drogę.

– Tak... To był ktoś tutejszy.

– Możliwe. Ktoś, kto często tędy przejeżdżał. Jakies ślady?

– Żadnych – odparła. – Pozbierał nawet łuski. Ulotnił się. Wyparował. Jakby nigdy nie istniał. To samo w przypadku chłopca.

Zdążyła przejrzeć zdjęcia zrobione w tamtym czasie przez techników z Barbastro. Widziała, jak to wyglądało: pusta furgonetka, rozebrana para ułożona na skraju drogi, kobieta siedząca na ziemi, oparta plecami o betonowy murek, twarzą do jezdni, z nagimi pierściami i rozłożonymi nogami. Mężczyzna klęczący między jej udami, odwrócony plecami do drogi, pochylony nad kobietą, obejmujący ją w pasie jedną ręką.

– Obraz – potwierdziła, przypominając sobie to, co Salomón mówił jej po drodze. – Ale jaki?

Nagle zaczęło sypać. Lecące z ciemnego nieba wielkie płatki białego puchu wirowały wokół nich. Było na tyle zimno, że osiadały na ubraniach i nie topniały. Lucia zauważyła, że szczęka zębami, i zapięła parkę. Znowu umilkli, jakby pogrążyli się w kontemplacji. Nie było słycać nic poza wyciem wiatru między ścianami wężozu.

– Podjedźmy do miasteczka – powiedziała wreszcie. – Później tu wrócimy.

– Tak – zgodził się i pomaszerował do samochodu. Z jego ust unosiły się białe obłoczki pary. – Zimno tu jak diabli.

Nie ośmieliła się powiedzieć, że słowo „diabli” jest w tym kontekście bardzo adekwatne.

SOBOTA PO POŁUDNIU

Za wylotem ostatniego tunelu droga prowadziła nad sztucznym, w trzech czwartych pustym jeziorem. Brzegi – porośnięte żółtymi o tej porze modrzewiami i nagimi drzewami liściastymi – od szarego, nieruchomego lustra wody, w którym odbijały się chmury, dzieliły wielkie połacie błota.

– Latem to jezioro na pewno jest pełne – powiedziała. – A brzegi muszą być zielone, przyjemne. Według raportu w tamtych czasach latem wiele osób przyjeżdżało tu, żeby się pokąpać, popływać kajakiem albo pojeździć na nartach wodnych. To małżeństwo też zamierzało po dostarczeniu towaru spędzić tu dzień. Może to tutaj morderca zobaczył ich po raz pierwszy i wziął ich na cel.

– Szczęśliwa rodzina – skomentował Salomón.

– Tak, podobnie jak pary z Segowii i Benalmádeny.

– Z kim mamy się spotkać?

– Z jednym z dwóch funkcjonariuszy Guardia Civil, którzy zabezpieczali miejsce zbrodni. Jest na emeryturze.

– A co z drugim? – zapytał Salomón.

– Popęłnił samobójstwo.

– Jak to?

– Znaleźli go powieszzonego we własnym domu. Kilka miesięcy po tamtym zdarzeniu.

– Myślisz, że to ma jakiś związek?

– Jedziemy tam, żeby się tego dowiedzieć – powiedziała, nie odrywając wzroku od drogi.

Osiem kilometrów dalej znowu jechali wzdłuż rzeki wijącej się między drzewami. Za naturalną bramą utworzoną z dwóch skalistych urwisk pojawiło się miasteczko. Graus. Trzy tysiące trzystu mieszkańców. Mieli przed sobą długą, szeroką aleję, której nawierzchnię pokrywała szarawa breja

z posypanego solą śniegu rozjeżdżonego przez samochody. Prawą stroną alei biegła poprowadzona brzegiem rzeki promenada, a po lewej, ponad zaśnieżonymi dachami wznosiło się wysokie, ciemne zbocze z monumentalną bazyliką górującą nad ulicami miasta. Szczyt urwiska wieńczyła figura Chrystusa z rozłożonymi rękami – ten widok coś Lucii przypominał. Atmosfera miejscowości wydała jej się jakaś niepokojąca – ale to pewnie dlatego, że Lucia czuła się dobrze tylko w mieście.

Następnie wjechali w uliczki odśnieżone tylko od strony jezdní: chodniki były niewidoczne pod brudnymi zaspami pozostawionymi przez pługí. Kierując się wskazaniemí GPS-u, minęli rzędy balkonów i sklepowych witryn, aż dotarli na okrągły plac, skręcili przed zadziwiająco nowoczesną fasadą hotelu – szkło i pomalowany na czerwono beton – przejechali przez most nad spienioną rzeką i osiemset metrów dalej zatrzymali się przed posterunkiem Guardia Civil.

Nowoczesny czteropiętrowy budynek z cegły wzniesiono za miasteczkiem. Przyjrząwszy mu się, Lucia wywnioskowała, że na parterze mieszczą się biura, a wyżej mieszkają funkcjonariusze z rodzinami.

Zastanawiała się, kto tutaj trafia. Prawdopodobnie młodzi ludzie świeżo po szkole, którzy mają się za kowbojów, oraz starzy gwardziści, którzy wrócili w rodzinne strony, żeby doczekać do emerytury.

Kiedy przeszli przez niewielką bramę, podszedł do nich mężczyzna w zielono-czarnym mundurze. Lucia pokazała mu odznakę.

– Przyjechałam się spotkać z kapitanem Bustamante – powiedziała. – A to profesor Borges, kryminolog. Współpracuje ze mną.

– To ja – powiedział oficer z uśmiechem i uścisnął jej dłoń. – UCO tutaj to rzadko spotykane zjawisko.

Rozmawiała z nim przez telefon. Zdawał się zdziwiony, że po tylu latach w Madrycie postanowiono ponownie otworzyć „sprawę tuneli”. Nie powiedziała mu, że na razie to jej prywatna inicjatywa.

Kapitan należał do drugiej kategorii: funkcjonariuszy w okresie przedemerytalnym, którzy wrócili w rodzinne strony. Lucia wyliczyła, że ma mniej więcej czterdzieści osiem lat, ale za sprawą kurzych łapek i głębokich zmarszczek na czole wyglądał na dziesięć lat więcej. Policzki miał pokryte niezbyt przepiśowym zarostem. I przygaszone oczy, które zdradzały, że zaznał w życiu najcięższych przydziałów – takich, które pozostawiają trwałe ślad.

– Zapraszam – powiedział.

Ruszył przed nimi przez niewielki hol, w którym minęli prowadzonego przez dwóch innych gwardzistów wysokiego, szczupłego, niedogolonego człowieka w kajdankach, który spojrzał na Lucię jak wygłodniały szczur. Wybełkotał trudne do zidentyfikowania słowo, coś jak *pera* albo *perra* ¹. Na pewno to drugie – suka.

– Zabierają go do Boltañi – wyjaśnił Bustamante. – Nie mamy tu cel czasowych zatrzymań, odkąd góra stwierdziła, że nie spełniają norm. Podobnie jest z większością posterunków w regionie. W efekcie wszyscy zatrzymani są wysyłani do Boltañi. Spędzi tam noc. A jutro pojedzie do sądu w Barbastro.

– Jak daleko stąd do Boltañi?

– Czterdzieści minut samochodem. Wiem, to strata czasu.

Lucia zauważyła napis po prawej: INTERVENCIÓN DE ARMAS: biuro, w którym sprawdzano pozwolenia na polowania i posiadanie broni. Bustamante zaprosił ich do pomieszczenia po drugiej stronie korytarza. Wystrój typowy dla prowincjonalnych posterunków: zdjęcia króla, dyplomy, medale i trofea.

Kapitan przysiadł na rogu biurka i wskazał im dwa krzesła przed sobą.

– Niektórzy z moich kolegów marzą o pracy w UCO – powiedział, patrząc na Lucię.

– Powinni się dwa razy zastanowić – odparła. – U nas nie ma ustalonych godzin pracy, nie ma życia prywatnego, selekcja jest bardzo duża i nie wszyscy dają radę: wielu się wycofuje. Jakiego rodzaju przestępstwa zdarzają się w tej okolicy?

– Jakies kradzieże, zwykle bez użycia przemocy, codzienna drobna przestępczość: akty wandalizmu, przebite opony, trochę kokainy. „Czekolada” zniknęła, dziś w obiegu jest raczej marihuana. Ale większość to przemoc wobec kobiet: siedemnaście na dwadzieścia interwencji, które przeprowadziliśmy w tym roku.

Lucia pomyślała o mężczyźnie, który przed chwilą ją obraził.

– Rozumiem, że nie przyjechaliście tutaj, żeby przeprowadzić ankietę na temat naszej działalności – dodał. – Chodzi o sprawę tuneli, tak? Wtedy jeszcze nie pracowałem. Ale wszyscy tu o tym słyszeli.

Bustamante wstał, okrążył biurko i usiadł w fotelu – jakby chciał się od nich oddzielić, zbudować dystans między sobą a tamtą sprawą.

Lucia odwróciła wzrok i przez chwilę patrzyła na wielkie płatki śniegu za oknem. Kiedy znowu spojrzała na mężczyznę, po jego zmieszanej minie poznała, że ta chwila trwała trochę zbyt długo.

– Przyjechaliśmy się spotkać z Césarem Bolcánem, jednym z dwóch gwardzistów z patrolu, który pojawił się jako pierwszy na miejscu zbrodni. Dalej tu mieszka?

Potwierdził skinieniem głowy.

– Tak, dam wam adres. Jego kolega...

– Powiesił się, wiem. A gdzie?

Funkcjonariusz powiódł wzrokiem po twarzach gości.

– We własnym domu. Chwilę po tym, jak jego żona i dzieci wyszły.

– To się stało kilka miesięcy po tym morderstwie w tunelach, prawda?

Rzucił jej ostre spojrzenie.

– Tak. Ale nie jestem właściwą osobą, żeby o tym opowiadać. To było na długo przed tym, zanim dostałem przydział do tej placówki.

Lucia miała wrażenie, że widzi w jego oczach rezerwę. Przekaz był jasny: rzecz go nie dotyczy. Milcząc, mężczyzna pisał coś na karteczce. Słyszała skrobanie długopisu na papierze.

– Ale przecież słyszał pan plotki – nalegała.

Podniósł wzrok, podając jej karteczkę.

– To niezbyt zaludniony teren – zauważył. – W Graus i okolicznych miejscowościach wszyscy się znają. Wyobraźcie sobie, ile podejrzliwości, plotek, paranoi, podziałów mogło wywołać w tamtych czasach takie zdarzenie. Zostawiło niezatarty ślad w zbiorowej pamięci. Nikt nie zapomniał o tej historii. Tym bardziej mały chłopiec. Dziewięcioletni dzieciak, rozumiecie?

Lucii nagle zabrakło powietrza. Miała wrażenie, że ściany pokoju zbliżają się do siebie. Atak klaustrofobii. Wstała, szybko podziękowała i pędem ruszyła przez korytarz.

Znalazłszy się na zewnątrz, na podeście schodów prowadzących do budynku, zaczęła głęboko wdychać zimne, wilgotne powietrze.

– W porządku? – zapytał Borges, który stanął obok niej.

– Tak, tak... w porządku.

Odetchnęła.

– „I znów powróciła nicość” – wyrecytował kryminolog z potarganymi przez wiatr włosami, wznosząc wzrok ku zachmurzonemu niebu.

– Co?

– Nic. To cytat z Edgara Allana Poeego, z opowiadania *Rozmowa Monosa i Uny*.

– Chodźmy stąd – odpowiedziała sucho, schodząc po stopniach.

1. *Pera* to po hiszpańsku gruszka, a *perra* – suka. [\[wróć\]](#)

SOBOTA PO POŁUDNIU

Zaparkowali przy calle Barranco, która musiała być główną arterią miasta: szerokiej, pnącej się łagodnym łukiem w stronę urwiska, wzdłuż której ciągnęły się kawiarniane ogródki, miejsca postojowe i sklepy.

Przeszli pod bramą i ruszyli wąską, ciemną, głęboką jak wąwóz uliczką, po czym nieoczekiwanie znaleźli się pośród dekoracji z innej epoki – w średniowiecznej enklawie: otoczony arkadami plac, budynki o fasadach ozdobionych freskami o tematyce religijnej i frontonach z rzeźbionego drewna.

– Cudownie! – zawołał Salomón. – Jak na którymś z piazza Toskanii albo Emilii.

– Calle Prior jest trochę wyżej – stwierdziła Lucia, zerkając na telefon.

Przecięli lekko pochyły, wybrukowany plac. Nieliczni przechodnie, których mijali, śpiesznie zmierzali ciemnymi ulicami do swoich przegrzanych mieszkań. Nie minęła jeszcze siedemnasta, ale wczesny listopadowy zmrok opadł już na miasto jak całun.

Emerytowany gwardzista mieszkał na wzgórzu, w ponurym budynku, wciśniętym między inne fasady, przy ulicy dochodzącej pod kątem prostym do dwóch innych uliczek, parę metrów od Plaza Mayor.

Domofon przy drzwiach, nad nim oko kamery. Lucia zadzwoniła. Rozległo się pstryknięcie i drzwi natychmiast się otworzyły. Zobaczyli niewielki korytarz, wąskie schody i maleńką kabinę windy. Mężczyzna został uprzedzony o ich wizycie. Wybrali schody.

– Tędy! – rozległo się czyjeś wołanie, kiedy dotarli na pierwsze piętro.

Lodowaty korytarz, jeszcze węższy niż schody. Dom, w którym nie ma ani jednego centymetra kwadratowego nadmiarowej przestrzeni, a jeszcze zdołali wcisnąć windę, pomyślała Lucia. Weszli do salonu. Salomón stwierdził, że choć pomieszczenie jest trzy razy mniejsze niż jego salon, jest w nim prawie tyle samo książek. Były wszędzie: setki, tysiące. Na regałach,

w stosach na podłodze, na fotelach i gerydonach. Wypastowany parkiet zaskrzypiał pod ich stopami. Wszystko spowijał półmrok, jak szary welon.

– César Bolcán – przedstawił się gospodarz. – To mnie szukacie.

Głęboki, niski głos miażdżył sylaby niczym orzechy. Dłoń wręcz przeciwnie: była smukła i blada, z palcami zniekształconymi przez reumatyzm, a przy tym tak delikatna i lekka, że Lucia miała wrażenie, że Bolcán nie tyle ściska jej rękę, ile głaszcze ją na powitanie. Spojrzała w dół i zrozumiała powód zainstalowania windy.

– Ucieczka z miejsca wypadku – wyjaśnił mężczyzna siedzący w wózku inwalidzkim z rękami na podłokietnikach. – Potrącił mnie samochód uciekinierów. Wcześniejsza emerytura. Ale to było tak dawno, że mam wrażenie, jakbym jeździł na wózku od zawsze.

Lucia zadrżała. Nie, nie z powodu wózka: z powodu twarzy. Miał łąsą głowę, pokrytą plamami starczymi, z potylicy zwisały mu niechlujne kosmyki siwych włosów. Skórę na kościstej twarzy żłobiły głębokie bruzdy; z grubego wełnianego swetra i prążkowanego jedwabnego szlafroka wystawała pomarszczona szyja. Ale nie to spowodowało reakcję Lucii. Całą lewą połowę twarzy mężczyzny pokrywało wielkie czarne znamię – od czoła do podbródka – pośród którego lśniło jak diament niebieskie oko o spojrzeniu ostrym jak u orła; prawa połowa była blada, stosownie do pory roku. Linia demarkacyjna między obiema częściami twarzy przebiegała mniej więcej obok lewego skrzydełka nosa i dalej wzdłuż bruzdy wargowej. Spojrzenie dziwnej, dwukolorowej maski było uważne, dociekliwe.

César Bolcán odwrócił wózek, którego koła zgrzytnęły na parkiecie.

– Zapraszam, zdejmijcie te książki, odłóżcie je na ziemię i siadajcie – powiedział.

Lucia przelotnie spojrzała na jedną z okładek. *Przemiany* Owidiusza. Książka, z zakładką w środku, leżała na szczycie stosiku, który zdjęła z fotela, by usiąść.

Z korytarza dobiegł odgłos ciężkich kroków. Odwróciła głowę i zobaczyła, że drzwi się otworzyły, a w progu stanął znacznie młodszy mężczyzna, na oko trzydziestopięciolatek, z pewnością fan kulturystyki. Mimo że temperatura w mieszkaniu nie przekraczała dziewiętnastu stopni – miał na sobie koszulkę bez rękawów, spod której wystawały ramiona napakowane jak u Arnolda Schwarzeneggera. Na twarzy miał kilka pryszczki, a skóra na jego rękach była najeżona jak u kurczaka. Maniak siłki na sterydach, pomy-

ślała, który za punkt honoru stawia sobie dźwiganie potężnych ciężarów i wyrzeźbione ciało – pewnie uznawał je za kanon męskiego piękna. Lucia знаła skutki uboczne stosowania steroidów: niepłodność, zmniejszenie jąder, nadciśnienie, a oprócz tego nerwowość, agresja, uzależnienie.

– Potrzebuje pan czegoś? – zapytał Mister Universum, rzucając im wrogie spojrzenie.

– Nie, Ángel, dziękuję.

– W takim razie pójdę na spacer.

Przez chwilę patrzył na nich natarczywie, a następnie wyszedł. Dziwny wzrok, pomyślała. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby się przywitać. Zastanawiała się, jakiego rodzaju spacer miał na myśli. Wieloletnie doświadczenie sprawiło, że wiedziała o ludziach więcej niż niejeden psychiatra. Dzięki temu od razu, z absolutną pewnością wiedziała, że Ángel to szemrany typ.

– Ángel w pełni zasługuje na swoje imię – powiedział Bolcán. – To anioł. Pomaga mi w codziennych czynnościach.

Lucia skinęła głową bez przekonania. Nie tak sobie wyobrażała anioły.

– Niewiele się stąd ruszam, ale podróżuję za pośrednictwem książek – mówił dalej starszy pan, wskazując na swój księgozbiór. – Wszystko mnie ciekawi: nauki ścisłe, historia, filozofia, poezja, socjologia, mitologia, religie, starożytność...

– Człowiek według mego serca – skomentował Salomón.

– Pan też jest z Guardia Civil? – zapytał sceptycznie Bolcán.

– Nie, jestem kryminologiem. Z Uniwersytetu w Salamance.

– I interesuje się pan tą starą sprawą?

– To długa historia – odparł profesor. – Ale ostatnio na uniwersytecie odkryliśmy...

– My?

– Kieruję niewielkim zespołem, który pracuje nad *cold cases*. O tej sprawie dowiedzieliśmy się niedawno...

César Bolcán skinął głową, obdarzył Borgesa łagodnym spojrzeniem wodnistych niebieskich oczu, po czym przeniósł całą uwagę na Lucię.

– Proszę się nie dziwić, że wasza wizyta mnie nie zaskoczyła. Zadzwonił do mnie kapitan Bustamante i powiedział, że interesujecie się tym morderstwem sprzed trzydziestu lat.

– Przeszkadzamy?

– Ani trochę. Czego jak czego, ale czasu mi tutaj nie brakuje. Raczej sposobów, żeby go wypełnić. I możesz mi mówić po imieniu. W końcu jesteśmy kolegami po fachu. – Wykrzywił wąskie usta w uśmiechu, jednak reszta jego twarzy pozostała poważna.

– Czyli to ty byłeś na służbie, kiedy wezwano gwardzistów?

– Ja i mój kolega.

– Ten, który popełnił samobójstwo?

– Ten sam. Przypuszczam, że chcecie, żebym o tym opowiedział. – Przerwał na chwilę, by zebrać wspomnienia. – Zawsze znajdą się jakieś rzeczy, których nie ma w raporcie.

– Za moich czasów nie było grafików – zaczął. – Kiedy taka sprawa zaskakiwała cię na koniec służby, cóż, ciągnąłeś kolejne dwadzieścia cztery godziny, to wszystko. Jeśli nie spałeś, to nic, musiałeś sobie poradzić bez spania. Dziś w takiej sytuacji dzwonią po następny patrol i jakby nigdy nic wracają do domu. Ich dzień pracy się skończył, reszta jest nieważna. Jak wiesz, nie mamy związków, ale stowarzyszenie zawodowe Guardia Civil jest bardzo silne. Nie ma mowy o nadgodzinach. Efekt jest taki, że ponieważ personelu nie przybyło, firma realizuje mniej zadań i z mniejszą skutecznością. Nie mówiąc o samochodach, które mają na liczniku po trzysta tysięcy. Nie ma dnia, żeby któryś się nie zepsuł. Jestem bardzo zadowolony, że przeszedłem na emeryturę. Te sprawy mnie dobijały.

– Ale starasz się być na bieżąco – zauważyła.

– W moich czasach było inaczej – mówił, nie zważając na jej słowa. – Mieliśmy większą swobodę ruchu. I nie było tych wszystkich gości, którzy filmowali cię komórką przy każdej interwencji. Niedługo ty i twoi koledzy będziecie chodzili z kamerą na piersi i ze strachu, że popełnisz jakieś głupstwo, które zrujnuje twoją karierę, będziesz wykazywała coraz mniej inicjatywy. Ograniczysz się do minimum, będziesz unikać problemów i spokojnie wracać na posterunek. Pozwolisz, żeby świat rozleciał się w pizdu, a ludzie radzili sobie sami.

Lucia już dziesiątki razy spotkała się z tą narracją u innych funkcjonariuszy sił porządkowych. Niecierpliwie czekała, aż emeryt przejdzie do rzeczy, ale pozwoliła mu się wygadać.

Nagle oko na czarnej części jego twarzy załśniło dzikim blaskiem.

– No dobra, ale tamtego ranka Miguel i ja na szczęście nie kończyliśmy służby: dopiero zaczynaliśmy. No więc kiedy przyjechaliśmy na miejsce, szybko zrozumieliśmy, że nigdy nie zapomnimy tego widoku. – Na chwilę umilkł.

Lucia i Salomón wymienili spojrzenia.

– Zakładam, że wiecie, jakie było ułożenie ciał, prawda? Ale co innego oglądać zdjęcia, a co innego wczesnym rankiem zobaczyć te rzeźby z nagich ciał na poboczu drogi. Ją z piersiami na wierzchu i jego odwróconego do nas plecami, każde z dziurą w czole, w tej dziwacznej, absurdalnej pozie. Miałem wtedy prawie pięćdziesiąt lat, nie byłem żółtodziobem, ale najgorszą rzeczą, jaką można zobaczyć w tym regionie, są wypadki drogowe. Byłem w szoku, przysięgam. A co dopiero Miguel: on miał zaledwie trzydziestkę i był wrażliwszy. – Zwilżył wargi językiem. – I jeszcze to światło, które padało na nich ukośnie, śliczne promienie porannego słońca. Nie zapominajmy, że było lato. Na drzewach w wąwozie śpiewały ptaki. Miałem poczucie, że morderca chciał odtworzyć obraz, który gdzieś zobaczył: malowidło, rozumiecie, o co chodzi.

Lucia i Salomón znowu spojrzeli po sobie.

– Nazywali się Isabel Almunia Rueda i Josep Pastor Cister, młode, pracowite małżeństwo, przez wszystkich lubiane. I ten ich synek Óscar, zdaniem dziadka złote dziecko. – Popatrzył na nich i Lucia mimowolnie się wzdrygnęła. – Uprawiali warzywa i wczesne owoce w gospodarstwie w Barbastro, a potem sprzedawali je w okolicznych warzywniakach. Różowe pomidory to tutejsza specjalność, ogórecznik, fioletowe szparagi z Somontano: są pyszne z grilla, posypane grubą solą. W miasteczku często można było ich spotkać. Wszyscy, którzy ich znali, mówili to samo: kochali się, byli szczęśliwi, oszczędzali pieniądze i czekali na wakacje, żeby pojechać kamperem na Costa Brava. – Pociągnął nosem i pochylił głowę ze smutną miną. – Przesłuchaliśmy wszystkich, którzy regularnie jeździli tą drogą, na wypadek gdyby w dniach poprzedzających zdarzenie zauważyli coś podejrzanego. Na próżno. Grzebaliśmy w ich życiu, w życiu ich rodzin, przesłuchaliśmy ich klientów, ich wierzycieli. Udało nam się zidentyfikować prawie wszystkie osoby, które tamtego lata bywały na plaży, w sumie ponad setkę, i je również przesłuchaliśmy. Wystosowaliśmy apel do potencjalnych świadków. Sprowadziliśmy śmigłowiec i psy, a nawet speleologów do przeszukania terenu. Zwróciliśmy się do jasnowidzów, którzy twierdzili,

że wiedzą, gdzie jest chłopiec. I co? I nic. Ani śladu po dzieciaku, żadnego motywu, żadnego wyjaśnienia. *Nada*.

– Wspominałeś coś o szczegółach, których nie ma w raporcie? Wiesz o czymś?

– Nie, ale mam powody, żeby sądzić, że tamtego ranka morderca nie działał w pojedynkę. Że było ich co najmniej dwóch. Moim skromnym zdaniem ktoś inny musiał się zasadzić kawałek dalej i pilnować drogi.

Lucia wyprostowała się w fotelu.

– Masz na to dowody?

– Żadnych. Tylko głębokie przeświadczenie pierwszego gliny, który przybył na miejsce. A ono, jak wiesz, nie jest bez znaczenia.

Tak, pomyślała. Pierwsze wrażenie jest często najbliższe prawdy.

– Poza tym ustaliliśmy, że trzysta metrów przed tamtym miejscem furgonetka się zatrzymała. Po co? Potem znowu ruszyli i ostatecznie zatrzymali się kawałek dalej. Tam, gdzie zostali zabici.

Bolcán był naprawdę poruszony. Spoglądał raz po raz to na jedno, to na drugie, jakby rejestrował każdą ich reakcję.

– Czy samobójstwo twojego kolegi miało związek z tą sprawą? – zapytała cicho Lucia.

Dwukolorowa twarz odwróciła się w jej stronę.

– To nie było samobójstwo. Znaleźli go powieszzonego, to nie to samo.

– Co masz na myśli?

– Zadzwoił do mnie poprzedniego wieczoru. I powiedział mi, że wie, kto to zrobił.

Lucia miała wrażenie, że półmrok w niewielkim, pełnym książek salonie jeszcze zgęstniał. Zegar na zewnątrz wybił dziewiętnastą. Delikatny, zardzewiały dźwięk, który mimo wszystko brzmiał pokrzepiająco. Dźwięk, który przez wieki dodawał mieszkańcom sił w nieustannej walce z otaczającymi ich, jak sądzili, demonami. Podczas gdy demony były w nich.

– Podał ci nazwisko?

– Nie, umarł razem ze swoim odkryciem. Chciał ze mną porozmawiać na żywo. Ale najpierw potrzebował dowodów.

Zamyśliła się.

– Czy ty właśnie sugerujesz, że było jeszcze jedno morderstwo?

– Tak, zdecydowanie – odpowiedział. – Chyba nie muszę wam mówić, że ja też przez te wszystkie lata dużo myślałem o tej historii. O mało od tego nie zwariowałem. Ale w końcu zmęczyłem się tym myśleniem. Oczywiście pozostała jeszcze sprawa chłopca...

Na dźwięk ostatniego słowa Lucii znów ścisnęło się serce.

– Tak... Co się z nim stało według ciebie? Masz jakąś hipotezę?

Zawahał się i spojrzał na nią z bezgranicznym smutkiem.

– Nie wiem, co jest trudniejsze: szukać martwego dziecka czy szukać dziecka, które być może żyje albo żyło przez jakiś czas, i w końcu przestać go szukać.

Ta myśl ją zaszokowała.

– Masz dzieci? – zapytał prosto z mostu.

– Syna – odparła po chwili wahania.

– W jakim wieku?

Nagle zaschło jej w ustach.

– Dziewięć lat.

– Dokładnie tyle, ile miał Óscar – stwierdził, przesywając ją wzrokiem.
– Dzieciaki w tym wieku są cudowne.

Lucia poczuła się dziwnie. Miała ochotę natychmiast zakończyć tę rozmowę. Być może wyczuł jej dyskomfort, bo zakręcił wózkiem i podjechał do biblioteczki; zdjął z półki oprawiony w czarną skórę zeszyt, wrócił do nich i podał go jej.

– Jeśli klucz do tej tajemnicy w ogóle istnieje, to jest tutaj. Ale ja nie byłem w stanie go znaleźć, choć czytałem kilka razy. To jest dziennik, który mój kolega Miguel prowadził przed śmiercią. Kiedy robiliśmy przeszukiwanie, znaleźliśmy ten zeszyt wśród jego rzeczy. Mówiłem wam, ta historia przez wiele lat nie dawała mi spokoju.

SOBOTA WIECZÓR

Kiedy Lucia podniosła wzrok znad lektury, była 23.00. Od dwóch godzin czytała dziennik Miguela Ferrana. Prawie zapomniała, gdzie jest.

Ten dziennik był autentycznym ćwiczeniem z lektury „pod wpływem”: wpływem, jaki wywierały na niej słowa mężczyzny udręczonego sprawą śmierci młodego małżeństwa, a zwłaszcza losem chłopca, który dosłownie zniknął z powierzchni ziemi. Mężczyzny, który zaangażował wszystkie siły w poszukiwanie prawdy i którego ta walka ostatecznie złamała fizycznie i psychicznie. Każdy oficer śledczy trafia któregoś dnia na wyjątkową sprawę, która nie daje mu spokoju. Większości udaje się od niej zdystansować, zrelatywizować ją. Ale dla niektórych staje się obsesją, do tego stopnia, że nie mogą spać, tracą apetyt, zaniedbują własną rodzinę, izolują się i oscylują na granicy szaleństwa. Lucia wiedziała, że i z nią tak będzie, jeśli nie zdoła ustalić, kto zabił Sergia.

Niestety zeszyt zawierał raczej zapisy coraz czarniejszych myśli Ferrana niż informacje o postępach w jego śledztwie. Ze strony na stronę widać było, że jego stan się pogarsza. Że mężczyzna stopniowo osuwa się w depresję, a wreszcie w obłąd. Być może do szaleństwa doprowadził go fakt, że ucierpiało niewinne dziecko. Zaczął podejrzewać, że za porwaniem stoi siatka pedofilska. Ale gdyby tak było, to po co ta scenografia? To się nie trzymało kupy. Jeżeli to właśnie scenografia była najważniejsza, to co zrobiono z dzieckiem? Wciąż te same pytania. I żadnej odpowiedzi. Ferranowi brakowało najważniejszego elementu układanki. A jednak zadzwonił do Bolcána, żeby mu powiedzieć, że wie, kto jest sprawcą. A potem się powiesił. Albo został powieszony.

„Ciągle mam koszmary”, pisał. I dalej: „Dni mijają, a mój umysł coraz bardziej opróżnia się ze swojej treści, żeby wypełnić się trwogą”. „Nie śpię już, prawie nie jem, piję niepokojąco dużo alkoholu, a koledzy dziwnie na

mnie patrzają”. I jeszcze: „Choć to czysta spekulacja z mojej strony, zastanawiam się, czy hipoteza B nie jest właściwa”. Jaka hipoteza B? Cofnęła się, przejrzała wszystko jeszcze raz, ale nie znalazła śladu ani po hipotezie A, ani B. Ferran podkreślił też niektóre słowa: „Malarstwo? Obraz?”, „dzieciństwo: zawód ojca”, „daty się zgadzają”. Jakie daty? Jakiego ojca? O kim on mówi? Ewidentnie miał kogoś na oku.

Siedząc samotnie w obcym hotelowym pokoju, w obcym mieście, od czasu do czasu słysząc z korytarza odgłos zamykanych drzwi, Lucia czuła, jak obsesje Miguela Ferrana ją zarażają i stają się jej obsesjami. A przecież pokój – ze ścianą z surowego kamienia w głowach łóżka, z lampami o fantazyjnych abażurach i ciężkimi zasłonami, które nie wpuszczały zimna z dworu – był przytulny i dawał poczucie bezpieczeństwa.

Nagle telefon, który rzuciła na kapę łóżka, zawibrował. Zerknęła na wyświetlacz. Mónica. Zawahała się. To mogło być pilne. A co jeśli matce coś się stało?

– Mónica?

– Właśnie wracam od mamy – powiedziała jej starsza siostra bez przywitania. Nie zapytała nawet, co u niej słychać. – Nie wiedziała, jaki jest dzień, i śmierdziała. Co za koszmar! Myślę, że od kilku dni się nie myła. Jedzenie w lodówce i szafkach było prawie nietknięte. Zastanawiam się, co ona je.

Lucia zamknęła oczy. Poczuła ból brzucha. Wiedziała, co będzie dalej.

– Słuchaj, musimy ją gdzieś umieścić, ona już nie może mieszkać sama. Musimy jej znaleźć jakąś placówkę. Najwyższy czas.

– Nie ma mowy.

Cisza po drugiej stronie.

– Lucia, do cholery! Mama traci rozum! Przez kilka dni zapomina się umyć, a potem myje się kilka razy dziennie, bo zapomina, że już to zrobiła!

– Skąd wiesz? – zapytała. – Nigdy do niej nie przychodzisz!

– Oczywiście, że przychodzę! To prawda, rzadziej niż ty. Przypominam ci, że mieszkam na drugim końcu Madrytu, nie na tym samym piętrze. I mam na wychowaniu dwóch synów.

Co ty powiesz? Piętnasto- i siedemnastolatek, całkowicie samodzielni. Dwóch inteligentnych chłopaków, których Lucia bardzo lubiła, zresztą z wzajemnością, ale ich matka wciąż traktowała ich jak dzieci.

– Zobowiązałaś się do zajmowania się nią, ale nigdy cię nie ma – złościła się Mónica. – Jest pozostawiona sama sobie. Nie można ci ufać!

Lucia westchnęła. Nie chciała się angażować w entą kłótnię z siostrą. Nie teraz. Miała inne sprawy na głowie.

– Zastanowię się – rzuciła i rozłączyła się.

Podeszła do okna i spojrzała na nocne niebo nad dachami, po którym między chmurami sunął wielki okrągły księżyc. Dlaczego ona i Mónica tak bardzo się od siebie różnią, tak bardzo nie są w stanie się zrozumieć? Przez wiele lat próbowała jej się przypodobać. Chorobliwie uczepiła się nadziei, że siostra i matka kiedyś jej przebaczą i zapewnią ją o swojej miłości. Ale to nigdy nie nastąpiło. I w końcu zrozumiała, że zarówno w oczach Móniki, jak i matki zawsze będzie brzydkim kaczątkiem, nastolatką, która woli towarzystwo chłopców i wraca do domu pijana, wytatuowaną, niewdzięczną dziewczuchą – tą, która podczas rodzinnych obiadów zawsze miała inne zdanie. A przede wszystkim tą, przez którą... Tak, oczywiście: wiedziała, jakie jest źródło tej wrogości. Szlag, to już dziewiętnaście lat... Czy nie można by już tego zostawić za sobą?

Rafael... Lucia była od niego o dwa lata starsza. Gdy byli nastolatkami, nie odstępowali się na krok. Wszędzie, gdzie pojawiała się wysoka, przygarbiona postać Rafaela, była i ona, „mała starsza siostra”, która pazurami broniła go przed całym światem. Lubili tę samą muzykę i te same ciuchy, ubierali się na czarno, słuchali tych samych depresyjnych piosenek i oglądali filmy o nastolatkach, których nikt nie rozumiał. Rafael niezaprzeczalnie był geniuszem. Mierzył wysoko we wszystkim, czego się podjął – czy chodziło o zagranie Chopina na pianinie czy o opanowanie podstaw botaniki, fotografii czy rysunku. Pasjonował się astronomią, filozofią, naukami przyrodniczymi, komponowaniem, poezją, kinem. Potrafił jej wytłumaczyć skomplikowane koncepcje tak klarownie, że wreszcie była w stanie je zrozumieć, albo przeciwnie, na wiele godzin potrafił zamknąć się w milczeniu. Długo był nadzieją rodziców, aż do chwili, kiedy zrozumieli, że Rafael jest... inny. Był delikatnym chłopcem o wybitnej inteligencji i niewyczerpanej ciekawości, chorobliwie wrażliwym, ale też schizoidalnym. Z silną tendencją do uciekania od towarzystwa ludzi, by zanurzyć się we własnym świecie, w którym obowiązywały wymyślone przez niego prawa i zasady. Rafael miał gdzieś, co mówili inni, jedynym chlubnym wyjątkiem była Lucia, ale zawsze się obawiał, by nie unicestwiono jego tożsamości. Rezultat był taki, że większość wolnego czasu spędzał w swoim pokoju na picciu piwa i słuchaniu muzyki. Kiedy Lucia odkryła, że jej brat zaczął brać nar-

kotyki, starała się go od tego odwieść, starannie ukrywając jednak ten fakt przed starszą siostrą i rodzicami. Kiedy zaczął pisać wyrażające pragnienie śmierci, smutne wiersze pełne sugestywnych, mrocznych obrazów, zaniepokoiła się, ale też doceniła jego talent.

A potem nadeszło to lato, które spędzali z rodzicami w Pirenejach. Mónica postanowiła wyjechać z przyjaciółkami na Costa Brava. Lucia miała osiemnaście lat, Rafael szesnaście. Pomyślała, że to jej ostatni letni wyjazd w towarzystwie rodziców i że w przyszłym roku wyjedzie gdzieś tylko z Rafaelem.

Wynajęli domek nad potokiem u stóp urwiska, z pięknym tarasem i sadem, w którym jej matka rozwieszała pranie. Rano Lucia budziła brata i szli razem do miasteczka, gdzie kupowali papierosy i siadali na słońcu w kawiarnianym ogródku, pili colę, obserwowali przechodniów, żartowali i leniuchowali. W żadnym towarzystwie Lucia nie doświadczała takiej radości jak u boku Rafaela, z żadnym innym chłopakiem, nawet spośród tych z jej bandy, nie byłaby w stanie tak długo rozmawiać.

Ale tamtego ranka pokój i łóżko Rafaela były puste. A okno otwarte. Wychodziło na urwisko. Wychyliła się na zewnątrz i instynktownie spojrzała w górę. W blasku porannego słońca od razu dostrzegła postać z rozkrzyżowanymi ramionami. I zrozumiała: zrozumiała, że czekał aż do teraz, by rzucić się w przepaść. Czekał, żeby mogła to zobaczyć. Chciał z nią dzielić również tę chwilę – swoją ostatnią.

Najpierw naszprycowali Lucię środkami uspokajającymi. A potem pojawiły się pierwsze pretensje: nigdy nie zostały wyrażone otwarcie, ale matka i siostra z dnia na dzień wzniosły wokół siebie mur wrogości, od którego się odbijała. Została wykluczona poza margines rodziny. Nie można ci ufać, powiedziała jej siostra przez telefon. I były takie dni, kiedy Lucia przyznawała jej rację.

Kolejną osobą, która nigdy nie pozbiierała się po śmierci Rafaela i która musiała znosić gniew żony i córki, był ojciec. Niewysoki, drobny niemal tak jak Lucia, czarujący, szarmancki mężczyzna, który rozpromieniał codzienność swoim dowcipem i czułością. Jednak po śmierci Rafaela się zmienił. Stał się milczący, smutny i obojętny. Żona coraz częściej wyładowywała na nim złość. A on odpowiadał milczeniem. A w końcu dostał zawału serca i zmarł.

Nadeszło odrętwienie, które ogarniało ją, ilekroć nie chciała po raz kolejny o tym myśleć. A myślała każdego dnia. Już od dłuższego czasu nie płakała na wspomnienie Rafaela; zdarzało jej się nawet uśmiechać. Ale poczucie winy nigdy jej nie opuszczało. Mogła go uratować, mogła mu przeszkodzić.

Usłyszała jakieś głosy z zewnątrz. Zorientowała się, że od dłuższej chwili błędziły po obrzeżach jej świadomości, ale zaabsorbowana własnymi myślami zwróciła na nie uwagę dopiero teraz. Otworzyła okno. Na placu zebrała się niewielka grupa młodych ludzi. Pewnie wyszli z sąsiedniego baru. No tak, *botellón*¹. Kilkanaście osób zgromadziło się wokół mężczyzny w brązowym płaszczu siedzącego na ławce. To, co mówił, musiało być pasjonujące. Lucia skupiła na nim wzrok i uśmiechnęła się: Salomón.

Natychmiast zapomniała o przygnębiających zapiskach Miguela Ferrana i o wyrzutach siostry. Co, do diabła, ten kryminolog im opowiada? Historyjki o miejscach zbrodni i seryjnych mordercach?

Musiała przewietrzyć głowę. Zamknęła okno, włożyła bluzę z kapturem, parkę i botki, zamknęła drzwi i wyszła. Gdy znalazła się na placu, usłyszała donośny głos Salomóna:

– Istota ludzka to *par excellence* zwierzę społeczne i zwierzę skłonne do przemocy, nic na to nie poradzicie, tak już jest. I, jak to u zwierząt najwyżej rozwiniętych, do największej przemocy dochodzi nie między jednostkami, ale między grupami. Weźmy na przykład takie goryle żyjące w górach Afryki Środkowej. Nie mylić z King Kongiem. Dian Fossey, która studiowała ich zwyczaje przez ponad dwadzieścia lat, opisała je jako najbardziej pokojowo nastawione zwierzęta na ziemi. Ale kiedy dwie grupy goryli staną naprzeciw siebie, zmieniają się w prawdziwych zabójców. Siedemdziesiąt cztery procent spośród obserwowanych samców nosi głębokie rany powstałe w wyniku walk między grupami społecznymi.

– I zawsze chodzi o samce – zauważyła jedna z dziewczyn.

– Niech nam pan opowie coś jeszcze! – zawołał ktoś inny.

Lucia znowu się uśmiechnęła. Nie wiedziała, kiedy Borges wyszedł i zaczął z nimi rozmawiać. Ale było oczywiste, że nie ukrył przed nimi swojej profesji.

– Katherine Knight, niewinnie wyglądająca drobna dama z Australii w okularach, o kręconych włosach. W nocy dwudziestego dziewiątego

lutego dwutysięcznego roku odbyła stosunek seksualny ze swoim mężem, po czym trzydzieści siedem razy dźgnęła go nożem. Mężczyzna próbował powlec się do wyjścia, zdołał nawet otworzyć drzwi wychodzące na ulicę, ale małżonka wciągnęła go z powrotem za nogi i dobiła. Na miejsce przyjechała policja, powiadomiona przez pracodawcę zdziwionego jego nieobecnością. Całe wnętrze domu poplamione było krwią, na haku w salonie wisiała skóra nieszczęśnika, w garnku na kuchence gotowała się jego głowa z dodatkiem włośczyzny, a resztę ciała jego małżonka podała dzieciom w postaci steków z ziemniakami. Kathy Knight próbowała już udusić swojego pierwszego męża podczas nocy poślubnej, a potem zabić dwumiesięczną córeczkę, zostawiając ją na torach kolejowych. Regularnie trafiała do szpitala psychiatrycznego. Ach, i uwielbiała swoją pracę: była zatrudniona w rzeźni, gdzie zajmowała się ubojem zwierząt.

Jezus Maria, Salomón, jęknęła w duchu Lucia.

– Ale horror! – pisnęła jakaś dziewczyna.

– To niemożliwe! Na pewno pan to wymyślił! – zawołał jej kolega.

– Bynajmniej.

W grupce rozległy się okrzyki i śmiechy. Tknięta jakimś przeczuciem Lucia spojrzała w lewo, w stronę górnej części placu, gdzie znajdował się wylot ciemnej uliczki.

Ktoś tam stał, oparty o ścianę budynku: obserwował grupę i nie umknęło mu żadne słowo Salomóna. Z tej odległości Lucia nie była w stanie rozróżnić rysów twarzy, tym bardziej że postać kryła się w cieniu. W każdym razie był to ktoś wysoki i mocno zbudowany.

Salomón go nie zauważył: siedział zwrócony do niego plecami. A młodzież była zbyt zajęta pić i opowieściami profesora, by się przejmować tym, że ktoś ją obserwuje.

Lucia podniosła wzrok i dostrzegła prostokąty światła za barierkami balkonów, tu i ówdzie migotał blask telewizora. Plac otaczało jakieś dziesięć kamienic, ale przy tej temperaturze wszyscy siedzieli w domach. Poza młodymi ludźmi, którzy wyszli na piwo i papierosa. I tym samotnym cieniem.

Lucia nie wiedziała dlaczego, ale nie podobał jej się sposób, w jaki stał tam i obserwował grupę. „On”, ponieważ sylwetka jasno wskazywała, że to mężczyzna. Spokojnie ruszyła w jego stronę. Krok za krokiem. Jakby nigdy nic. Mężczyzna odwrócił głowę w jej stronę. Chwilę później zniknął w ciemności.

Przyśpieszyła kroku. Kiedy dotarła do wylotu uliczki i skręciła za róg, zobaczyła, jak tamten wchodzi na schody w głębi, między dwoma fasadami. Oho, nagle ci się śpieszy, a przed sekundą miałeś mnóstwo czasu, pomyślała. Ruszyła jeszcze szybciej. Pokonując po dwa stopnie, wbiegła na schody i znalazła się na szerokim betonowym chodniku, który piął się ku urwisku i bazylice. Chodnik był oświetlony maślanożółtą poświatą rozmieszczonych równo latarni. Dalej, u stóp urwiska, widać było czarne zarysy sosen, między którymi Lucia zauważyła na ziemi duże, niebieskawe połączenie śniegu.

Skręciła w lewo. Mężczyzna nie zszedł do miasta, ale wspinał się w kierunku monumentalnej budowli. Zespół architektoniczny składał się z trzech części. Pierwszy, najbardziej wysunięty budynek po lewej, górujący nad małym laskiem i ciasno stłoczonymi dachami domów, zdobiły od frontu dwa długie rzędy arkad umieszczone jeden nad drugim. Główną część stanowiła masywna, wysoka budowla, najprawdopodobniej kościół, do której z prawej strony przylegała potężna sześciokątna wieża strzelająca w niebo, jakby chciała przebić warstwę chmur, a jednocześnie podeprzeć pobliskie urwisko.

To w tamtą stronę szedł człowiek bez twarzy. Ruszyła za nim. Kiedy się odwrócił i zobaczył Lucię, zaczął biec. Cholera!

– Hej! Niech pan zaczeka! – zawołała.

Przyśpieszyła. Bliżej bazyliki betonowy chodnik zaczął się wici między sosnami, a kawałek dalej w miejsce betonu pojawił się okrągły bruk. Mężczyzna pokonał go pędem i wszedł na trzeci odcinek chodnika, który dochodził do bramy prowadzącej do dolnego krużganka.

– Stać!

Lucia zbliżyła się do niego, ale niewiele. Gdy dotarła do wejścia, na chwilę podniosła wzrok: budowla przytłaczała ją swoim ogromem. Łapiąc oddech, zastanawiała się, czy gość nie wciąga jej w pułapkę. Pistolet została w sejfie w hotelowym pokoju.

Przeszła przez bramę i ruszyła biegiem lekko pochyłym krużgankiem: po lewej stronie między kolumnami widziała niebiesko-biało-czarny krajobraz, oświetlony blaskiem księżyca, który przebijał się teraz przez sklepienie z chmur. Przysadziste pagórki i doliny, srebrzyste refleksy na powierzchni rzeki, ciemne, wąskie uliczki wyglądające jak szczeliny między białymi dachami.

Słyszała odgłos kroków na posadzce, ale mężczyzna zniknął na końcu galeryjki po prawej. Mimo przeciągu Lucia nie czuła już zimna. Skręciła w tę samą stronę. Pokonawszy kilka stopni, znalazła się na odkrytym dziedzińcu, który z jednej strony ograniczało urwisko, a z drugiej arkady górnego krużganka. Pośrodku ośnieżonego placu rosło wysokie drzewo. Za nim wznosił się główny budynek bazyliki, przylegający do krużganka niemal pod kątem prostym. Zobaczyła, jak postać biegiem pokonuje ostatnie schody i znika w drzwiach kościoła.

Oparła dłonie na biodrach i wciągała do płuc lodowate powietrze. Kiedy jej serce się uspokoiło, ruszyła dalej, wspięła się po śliskich stopniach, pchnęła ciężkie wrota i wpadła do środka. Z mrocznego wnętrza, rzędów ławek i prezbiterium dobywał się zapach kadzidła, zimnego kamienia i wosku. Przez nieliczne witraże przebijała nikła poświata. Gdzie on się podział? W nawie panowała przytłaczająca cisza. Było tu pełno zakamarków, w których można by się ukryć. Usłyszała lekkie stuknięcie po prawej. Musiał się o coś uderzyć. Ruszyła wzdłuż rzędów ławek w głąb nawy: na jej końcu, naprzeciwko prezbiterium, znajdował się duży balkon. W cieniu pod nim zauważyła otwarte drewniane drzwi. Wyjęła telefon, przełączyła na tryb latarki. Za drzwiami znajdowały się kręte schody. Wychyliła głowę zza futryny i usłyszała odgłos kroków. Mężczyzna szedł na górę.

Usiłując stłumić lęk, ruszyła za nim. Pokonywała jeden po drugim wysokie kamienne stopnie. Poruszanie się w wąskim cylindrze działało na nią klaustrofobicznie. Przy każdym kroku ocierała się o półkolisty mur. Krew tak głośno huczała jej w skroniach, że prawie zagłuszała dudnienie kroków na metalowej podłodze nad głową Lucii. Dokąd on idzie? Dotarłszy na szczyt schodów, zrozumiała: był teraz między łukowatym sklepieniem nawy a więźbą dachu, w niskiej przestrzeni, w której nie dało się wyprostować.

Możliwe, że sufit był słaby lub w trakcie remontu, w każdym razie do przemieszczania się służyła ścieżka z metalowych kratownic przerzuconych jak kładki pod plataniną okrągłych belek, krokwi i kleszczy. Lucia puściła się biegiem, pochyłona do przodu, przyświecając sobie telefonem. Metalowa kładka wibrowała jej pod stopami, Lucia czuła te wibracje w mięśniach łydek. Przez niewielkie boczne otwory w dachu do środka wpadał skąpy szarawy poblask.

Nie podobało jej się to. Albo facet w końcu ją zgubi, a wtedy będzie musiała w ciemnościach zawrócić do wyjścia, albo staną naprzeciw siebie na końcu tego labiryntu. Nagle z całym impetem przywaliła głową w jakiś element więźby, aż zobaczyła mroczki przed oczami. Zakłęła. Sprawdziła, czy nie krwawi, i ruszyła dalej. Dotarłszy na drugi koniec, zawahała się, po czym przeszła przez kolejne drzwi.

Znowu schody. Musiała się teraz znajdować powyżej prezbiterium, w sześciokątnej wieży. Dwie minuty później wyszła na platformę na wysokości dzwonów. Przez duże otwory wpadały gwałtowne porywy świszczącego wiatru, targając jej włosy; zobaczyła pobielone, stłoczone jak stado owiec dachy Graus. Policzyła dzwony: trzy duże i dwa małe, po jednym na każdy otwór. Było stąd tylko jedno wyjście – kolejne drzwi, a za nimi schody, już ostatnie.

Usiłowała się skupić. I wykiełkowała jej w głowie pewna myśl. Gość już nie próbuje uciekać. Czeka na nią na górze, na dachu, pod otwartym niebem. Poczowała, że nogi ma jak z waty, przełknęła ślinę. Na dużych wysokościach zawsze miała zawroty głowy. Była wyczerpana. I bez broni.

Czy to on? Człowiek, którego szukają? Czy zamierza zepchnąć ją w przepaść? Zawsze mogła zrezygnować i zejść. Ale w głębi serca wiedziała, że tego nie zrobi: Lucia Guerrero nie odpuszcza. Odwróciła się plecami do milczących dzwonów i ruszyła ku schodom.

Kiedy pokonała ostatnie stopnie i wyszła na dach, serce waliło jej jak werbel. Dach nie był płaski: miał kształt piramidy otoczonej sześciokątną platformą. Kiedy sobie uświadomiła, że jedynym zabezpieczeniem przed upadkiem z wysokości kilkudziesięciu metrów jest kamienna barierka sięgająca jej do łydki, a między szczytem piramidy a krawędzią platformy jest niewiele miejsca, zaschło jej w ustach.

Zakręciło jej się w głowie, tak że nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Na widok przepaści poczuła wyrzut adrenaliny. Zrobiła jeszcze jeden krok. Drżały jej uda. Wiatr dmuchał prosto w twarz. Czowała się bez sił. Zamknęła oczy.

Gdy je otworzyła, oparła lewą dłoń o pochyłą połąć dachu.

– Zawroty głowy?

On najwyraźniej był od nich wolny, ponieważ stał nieruchomo przy samej krawędzi wśród porywów wiatru, odwrócony do niej plecami; jego wysoka sylwetka odcinała się na tle nocnego nieba.

– Odwróć się i podnieś ręce! – zawołała prawie bez tchu.

– A jeżeli odmówię?

Jego głos był spokojny. Rozpoznała go.

– Przestań się zgrywać! Wiesz, kim jestem?

– I co z tego? O ile mi wiadomo, nie oznacza to, że wszystko pani wolno – odparł Ángel, pomoc domowa na sterydach, powoli wykonując jej polecenie w świetle księżyca, który znowu wyszedł zza chmur.

Krzywiąc się sarkastycznie, długo wpatrywał się w nią złym wzrokiem. Miał w oczach jakiś blask, który nie spodobał się Lucii, tak że spięła się jeszcze bardziej.

– Połóż dłonie na piramidzie – powiedziała.

Pokiwał głową. Księżyc oświetlał połowę jego twarzy, podczas gdy druga pozostawała w cieniu, tak że przez chwilę wyglądał jak młodsza wersja emerytowanego gwardzisty na wózku.

– Weszła pani tutaj bez broni?

– Oprzyj ręce na pieprzonej piramidzie!

– Na czym?

Posłuchał jej jednak i pochyliwszy się, nonszalancko położył dłonie na spadzistym dachu. Pełna obaw, szła przed siebie zdyszana, nie spuszczając go z oczu.

– Chyba nie zamierza pani wykorzystać okazji, żeby mnie wymacać, co? – rzucił i zarechotał. Odwrócił głowę i patrzył na nią ze złośliwym uśmiechem. – To znaczy: nigdy jeszcze tego nie robiłem z gwardzistką – powiedział cicho, rozedrganym głosem. I znowu się zaśmiał.

Gniew, który ogarnął Lucię, przegnał strach i zawroty głowy. Poczula, że coś uwiera ją w tyłek. Kajdanki... Nie wyjęła ich i wciąż spoczywały w kieszeni dzinsów. Uśmiechnęła się do siebie.

– Ręce na plecy – rzuciła, podnosząc głos. Wiatr świstał jej w uszach.

– Co?

– Ręce na plecy!

Wykonał polecenie. Zakuła go, a następnie pociągnęła do tyłu, odwróciła i szybkim ruchem pchnęła w stronę krawędzi.

– Hej! – wyskomlał.

Jeszcze raz lekko go pchnęła i facet cały się usztywnił, by stawić opór.

– Dlaczego uciekałeś? – zapytała, mocno trzymając kajdanki.

– Może byśmy się trochę odsunęli? Lubię silne doznania, ale bez przesady.

Ostatkiem sił próbował pajacować, ale jego hardość już wyparowała.

– Dlaczego zwiąłeś? Czym dilujesz?

Pchnęła go jeszcze dalej. Tylko kawałeczek. Jego twarz znajdowała się teraz za krawędzią. Lucia usiłowała nie patrzeć w dół. Wiedziała, co tam jest: przyprawiająca o zawrót głowy pionowa ściana wieży, betonowy chodnik schodzący w stronę miasteczka, czarne sosny dookoła i stłoczone dachy w oddali. Przepaść, kamienie i wiatr.

– Cholera, niech się pani nie wygłupia...

Pchnęła go jeszcze odrobinę. Jego wysoka sylwetka odcinała się teraz na tle chmur, które pędziły z wielką prędkością, tylko odrobinę bledsze od nocnego nieba.

– Odpowiadaj.

– Ej, pani jest nienormalna! Diluję. Trochę trawy, trochę mączki. Nic naprawdę groźnego! Nie wolno pani tego robić! Zgłoszę to! – Jego głos drżał z oburzenia, ale głównie ze strachu.

– Co jeszcze?

– To wszystko!

Przez głowę przemknęła jej myśl, że wystarczyłoby ostatnie drobne pchnięcie, a poszybowałaby jak ptak.

– Co brałeś dziś wieczorem?

– Kreskę koki.

– Tylko jedną? Jesteś pewien?

Nie odpowiedział. Rozluźniła się. To nie jego szukali – był za młody i za mało zepsuty. Zdjęła kajdanki i włożyła je do kieszeni.

– Kurwa, ale mi pani napędziła stracha – powiedział, pocierając nadgarstki.

Kiedy się odwrócił, jej już nie było.

1. Zwyczaj hiszpańskiej młodzieży, która w każdy weekend zbiera się w miejscu publicznym, by pić alkohol i słuchać muzyki. [\[wróć\]](#)

NOC Z SOBOTY NA NIEDZIELE

Jest ciemno. Lucia stoi na środku drogi i patrzy na zbliżające się niczym dwa pożary światła ciężarówki. Stojący obok niej Rafael unosi rękę, dając kierowcy sygnał, by zatrzymał samochód. Rozlega się sapnięcie hamulca pneumatycznego. A może hydraulicznego. Ciężarówka parska, prycha i wreszcie staje.

Aby ich nie oślepić, kierowca włącza światła mijania i Lucia dostrzega za przednią szybą trzy osoby siedzące na przednich fotelach. Dwójka dorosłych, a między nimi chłopiec. Lucia patrzy na nich przez chwilę. Widzi ich zaskoczone, zakłopotane spojrzenia. A potem rodzącą się złość w oczach mężczyzny za kierownicą. Pewnie zastanawia się, co oni robią na drodze w środku nocy i dlaczego kazali mu się zatrzymać.

Spogląda teraz na brata. Widzi, jak Rafael wyciąga broń i celuje do osób w kabinie. Przenosi wzrok na ciężarówkę, na chłopca, który siedzi między dorosłymi, podobnie jak oni wytrzeszczając oczy.

Nie! – woła umysł Lucii. To musi być pomyłka. Nie, to nie ci ludzie!

Bo chłopcem w ciężarówce jest jej syn Álvaro, a obok niego siedzą jej eksmąż Samuel i jego partnerka Alicia.

– NIE! STÓJ! – wrzeszczy do Rafaela. – NIE! TO NIE SĄ CI LUDZIE!

Budzi ją dźwięk wystrzału. Jest pierwsza w nocy. Lucia zapala światło i rozgląda się po nieznanym pokoju.

Alejandro rzucił okiem na zegarek.

– Idę, stary.

Ulysses nie oderwał wzroku od monitora.

– Assa na mnie czeka – dodał.

Anglik skinął głową.

– Leć – powiedział. – Nie powinieneś się spóźnić. Pani nie byłaby zadowolona.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nic, nic, po prostu w naszych czasach to kobiety mają decydujący głos, nie?

– Czasami naprawdę potrafisz być dupkiem.

Powiedział to bez wrogości. Alejandro wiedział, że w głębi serca Ulysses chciałby być na jego miejscu. Zmierzył czuprynę kolegi.

– Też cię lubię, pieprzony Brytolu – stwierdził. – Powinieneś częściej wychodzić. Jest sobota, stary, zażyj trochę powietrza. Po paru szotach zapomnisz o agorafobii. Seks, alkohol i Unamuno! – rzucił radośnie i wyszedł z namiotu.

Ulysses się uśmiechnął, z oczami wlepionymi w ekran. Usłyszał, jak młody Hiszpan wychodzi z laboratorium, zamyka za sobą drzwi i oddala się w kierunku schodów.

– *I love you, English bastard!* – rzucił ostatni raz Alejandro, ruszając na górę.

Kiedy nastała cisza, Ulysses skupił się na swojej pracy, „podwójnie zakodowanej” liście – należało dostosować przetwarzanie, zaktualizować dwa wskaźniki zamiast jednego. I oczywiście jak zwykle to on się tym zajmował. Ale DIMAS rósł w oczach, ewoluował jak autonomiczna jednostka, jak sztuczna inteligencja – którą skądinąd był.

Nagle podniósł głowę. Odwrócił się. Co to było?

Usłyszał jakiś dźwięk. Przywykł, że o tak późnej porze ma tę część budynku tylko dla siebie. Dźwięk dochodził spoza pokoju. Ulysses nasłuchiwał. Nic. Znowu zapadła cisza. Alejandro? Nie, Alejandro już wyszedł. Cordelia, Haruki, Verónica? Nie, oni pożegnali się już kilka godzin temu i się zmyli. Na pewno gdzieś imprezują, alkoholizują się. W końcu jest sobota wieczór. Ale to samo robili w czwartek i piątek. Wybór alkoholu i prochów na mieście był szeroki.

Większy problem był z seksem. Wymagało to poważniejszego zaangażowania. Chodziło o tak zwane „relacje międzyludzkie”, które kiepsko ogarniał. Za dużo zmiennych, za mało logiki. Kiedy otworzył obudowę komputera, potrafił nazwać każdy jego element. I było mu dobrze z tym, że komputer operuje tylko na dwóch wartościach: zerach i jedynkach. Podobnie z programowaniem – wystarczyło kierować się metodą, logiką właśnie.

I choć programowanie było sztuką, to było sztuką racjonalną. Ilekroć zaś usiłował zrozumieć język podrywu, musiał przyznać, co było oczywiste, że jest to dla niego język obcy. Nie znał ani jego składni, ani słownictwa, ani nawet podstaw. W przeciwieństwie do Alejandra, który, jak się zdawało, był doskonale dwujęzyczny – czego Ulysses mu zazdrościł, mógłby mu o tym zresztą otwarcie powiedzieć. Nie był z tych, co unikają prawdy.

Skarcił się w duchu za tę chwilę rozproszenia i już miał wrócić do pracy, gdy znowu usłyszał ten dźwięk. Z pewnością nie było to nic wielkiego. Ale nic wielkiego może nabrać niepokojących rozmiarów, kiedy człowiek siedzi sam o pierwszej w nocy w suterenie prawdopodobnie opustoszałego budynku, który jednocześnie staje otworem przed każdym, kto dysponuje magnetycznym hasłem do sezamu, a takich osób jest co najmniej kilkaset. Tym bardziej jeśli ściany pomieszczenia, w którym się aktualnie przebywa, są wytapetowane portretami seryjnych morderców, a w dodatku samemu spędza się większość wieczorów na studiowaniu najpotworniejszych miejsc zbrodni.

No dobrze, istniało pewne rozwiązanie. Sprawdzić. Zastanawiał się, czy nie zaopatrzyć się w jakąś prowizoryczną broń – na przykład odkręcić stalową rurkę od wieszaka – ale pomyślał, że zrobiłby z siebie idiotę, gdyby stanął twarzą w twarz z Cordelią, która czegoś zapomniała. Słabe. Nie przestaliby o tym gadać do końca roku akademickiego.

Wyszedł z namiotu i otworzył drzwi prowadzące na korytarz. Nikogo.

– HEJ! JEST TAM KTO?!

Czy nie zabrzmiało to trochę tchórzliwie? Na szczęście nie było tu nikogo z grupy, kto mógłby to usłyszeć. Ale w pokoju Assy i Cordelii po drugiej stronie korytarza paliło się światło. Jasny prostokąt wypełzał przez przeszklone drzwi i ciągnął się aż do schodów.

A drzwi były otwarte. Jakby ktoś tam był i zdążył uciec. Ulysses poczuł delikatny powiew powietrza na karku i dostał gęsiej skórki. Ruszył do oświetlonego pokoju. Pusto. Wszedł do środka. Wszystko w tej małej przestrzeni było białe: podłoga, sufit, meble i regały. Jedyne kolorowe akcenty stanowiły książki i komputery.

Na jednym z biurk leżała otwarta teczka z rozsypanymi kartkami. Biurko należało do Assy. To nie było w jej stylu. Nie, zupełnie nie. Assa miała fioła na punkcie porządku – jego skromnym zdaniem była control fre-

akiem, ale o tym Alejandrowi nie wspominał. Poczuł, że jego niepokój rośnie, ale nadal stał bez ruchu.

– Jest tu ktoś? – powtórzył, tym razem już bez cienia wstydu.

Przez przeszkloną ścianę wyjrzał na ciemny korytarz. Jeśli ktoś tam był, to już zniknął. Ale jaki mógł mieć interes w grzebaniu nocą w papierach Assy? Assy albo w ogóle kogokolwiek z grupy, pomyślał. Czy to ma jakiś związek z DIMAS-em?

Włożył papiery z powrotem do teczki, zamknął ją i czym prędzej wrócił do laboratorium, którego drzwi zamknął za sobą na klucz.

Było zimno jak diabli. Powinien był się ciepłej ubrać. Alejandro Lorca miał na sobie zbyt lekką na tę porę roku kurtkę i kiedy szedł długą avenida de los Maristas – prawdę mówiąc, tego wieczoru stanowczo zbyt długą, bo chciałby już być na miejscu – czuł ostre ukąszenia przenikliwego wiatru.

Kiedy mijał zwieńczoną krzyżem fasadę kolegium marystów, usłyszał kroki. Lekkie, ale wyraźne. Odwrócił się. Dwadzieścia metrów za nim szedł w tym samym kierunku jakiś mężczyzna. Oprócz nich na ulicy nie było nikogo. Alejandro ruszył dalej, aż do paseo de San Vicente, gdzie skręcił w lewo.

Obejrzał się za siebie. Ten ktoś nadal za nim szedł, w odległości mniej niż trzydziestu metrów. Skręcił w tam samym miejscu i podążał za nim krok w krok.

I co z tego? To najpopularniejsza droga z kampusu uniwersyteckiego do centrum. Sto metrów dalej Lorca przeciął bulwar i przeciwległy chodnik i pokonał kilka stopni prowadzących do niewielkiego parku, którego nazwy zapomniał, ale przez który prowadziła najkrótsza droga do calle Úrsulas, a co za tym idzie – do Gatsby’ego i Camelota.

Bezlistne drzewa skrobały pochmurne nocne niebo, po którym snuł się odległy, nierzeczywisty księżyc. Jeśli nie liczyć suchego szeptu gałęzi poruszanych wiatrem, panowała tu absolutna cisza. Alejandro przystanął i nadstawił uszu. Nie słyszał już kroków. Tym lepiej, nawet jeśli nie było powodu do paniki.

Tak, ale przez to zimno ulice poza centrum były prawie puste, a on wcale nie był takim śmiałkiem, za jakiego chciał uchodzić. Dodatkowo od wszystkich tych historii o zbrodniach sam miał nerwy na wierzchu.

Właśnie miał ruszyć dalej, kiedy znowu usłyszał kroki. Te same: lekkie, spokojne. Odwrócił się. Postać bez pośpiechu zmierzała między drzewami w jego kierunku. Puls mu przyspieszył.

Postanowił nie biec tylko dlatego, że ktoś za nim szedł. W końcu to nie horror, w którym mordują studentów, jak w *Czarnych świętach* czy *Ulicach strachu*. Ale przyspieszył. Zwłaszcza kiedy opuścił park i wszedł na pustą calle Úrsulas z latarniami i starymi, niezamieszkanymi kamienicami po obu stronach oraz fasadą klasztoru Zwiastowania, na którą spojrzął z próżną nadzieją na otuchę.

Kiedy tylko skręcił za róg calle Bordadores, powitał go gwar grupki studentów, którzy pili i palili na chodniku. Towarzystwo było wstawione, ale rozgrzało mu serce. Dotarł do zatłoczonego placu między Gatsbym i Camelotem z ulgą, której prawie się wstydział. Ty tchórze... Chciało mu się śmiać. Jeśli gość szedł za nim aż do tego miejsca, to za chwilę się pojawi, a wtedy będzie na tyle blisko, że Alejandro zobaczy jego twarz. Nikt jednak nie przyszedł. Mężczyzna wzruszył ramionami i wszedł do ciepłego baru.

NIEDZIELA RANO

Kiedy następnego ranka Lucia spotkała się z Salomónem, freski na Plaza Mayor w Graus oświetlały blade promienie słońca. Mimo zimna profesor siedział opatulony w kawiarnianym ogródku. Siorbał kawę i podziwiał delikatne kolory fasad i kojącą harmonię niewielkiego placu z arkadami.

– Wyspana?

– W nocy dość dużo się działo. Wieczorem jakiś żartowniś podburzał miejscową młodzież pod moim oknem.

Salomón się uśmiechnął.

– Zabawni są ci młodzi ludzie. Opowiadali mi, że ich rodzice mają knajpę, w której spotykają się, żeby naprawiać świat, pić i palić jointy, jakby mieli po dwadzieścia lat. Proponowali, że mnie tam zaprowadzą, ale podziękowałem za zaproszenie.

– To niejedyna rzecz, która się wydarzyła wczoraj wieczorem.

Opowiedziała mu o zdarzeniu z Ángelem. Salomón spoważniał, zmarszczył brwi.

– To było raczej zuchwałe, tak samotnie puszczając się w pościg, nie uważasz? Nawet jak na funkcjonariuszkę UCO. Często tak ryzykujesz?

Nie podjęła tematu.

– Znalazłaś coś w tym pamiętniku? – zapytał.

– W sumie nic. Tylko to: Miguel Ferran mówi o jakiejś hipotezie B i zbieżności dat. Podkreślił też słowa „dzieciństwo” i „zawód ojca”.

– Chciałbym go przeczytać, jeśli pozwolisz.

Skinęła głową. Teraz ona zapatrzyła się na freski. César Bolcán użył w odniesieniu do scenografii miejsca zbrodni tego samego słowa co Salomón: obrazy. Pożałowała, że kompletnie nie zna się na malarstwie. A przecież podróżowała, zwiedzała muzea, dostrzegała swoim okiem gliny, że obrazy o tematyce biblijnej czy mitologicznej emanują okrucieństwem. Czy

to w tym kierunku należało szukać? Nie była psychoanalytyczką, ale zastanawiała się, czy za pośrednictwem swoich kompozycji morderca świadomie bądź nieświadomie może przekazywać im jakąś wiadomość. Czy są one pierwszymi stopniami prowadzącymi w głąbiny jego psychiki. I nagle ją olśniło: Adrián. Oczywiście. Dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej?

Spojrzała na Salomóna.

– W UCO jest zespół specjalizujący się w dziełach sztuki i przestępstwach przeciwko dziedzictwu narodowemu – powiedziała. – Kradzieże, przemyt... Prowadzą archiwa cyfrowe ze skradzionymi eksponatami i bazą skazanych osób. Są w kontakcie z różnymi instytucjami kultury i muzeami. Mój, hm... przyjaciel tam pracuje.

Zobaczyła, że udało jej się wzbudzić jego zainteresowanie. Odstawił filiżankę z parującą kawą.

– Moim zdaniem to świetny pomysł.

Lucia wstała i odeszła w stronę podcieni. Wybrała numer.

– Lucia? – powitał ją zdziwiony głos Adriána. – Co się dzieje? Nigdy nie dzwonicz tak wcześnie.

– Chciałabym cię prosić o przysługę – wypaliła prosto z mostu.

Westchnienie po drugiej stronie słuchawki.

– No jasne, przecież nie jestem głupi. Dzwonicz do mnie tylko wtedy, kiedy czegoś potrzebujesz. Ale widzisz, jednak jestem głupi: przez chwilę naprawdę myślałem, że po prostu chciałaś usłyszeć mój głos.

Mówił to ze złością, ale nie miała ochoty się z nim teraz kłócić.

– Adrián, ja... – zaczęła skruszonym tonem.

– Okej, czego potrzebujesz?

Powiedziała mu. Kiedy znów się odezwał, wiedziała, że połknął haczyk.

– Miejsca zbrodni inspirowane słynnymi obrazami? Wow! Brzmi super. Twój opis wskazuje na renesans albo barok. Wyślij mi, co tam masz, na WhatsAppa, sprawdzę, co mogę zrobić.

– Dziękuję, Adrián.

– Nad czym teraz pracujesz? Rozpracowujesz mordercę, który jest miłośnikiem sztuki i robi reprodukcje obrazów? Niezła rozrywka!

Lucia wyczuwała ekscytację w jego głosie.

– Opowiem ci podczas kolacji.

– Przynajmniej tyle.

– Aha, Adrián. To pilne – dodała.

– Okej. Zobaczymy. Kiedy tylko dostanę materiały, zabieram się do roboty.

Salomón obserwował ją z daleka. Podeszła do niego.

– I jak?

– Zajmie się tym – odparła. – Jak długo jedzie się stąd do Segowii?

Wsunął banknot pod podstawkę filiżanki i wstał.

– Już jedziemy? Zanim ruszymy, chciałbym tam wejść.

Wskazał na krzyż na szczycie urwiska. Zadrżała. Nie mogła mu powiedzieć, co jej przypomina ta figura.

– Żeby zamienić perspektywę żabią na perspektywę orła – dodał. – To ze Spenglera.

Widok, który rozciągał się u ich stóp, był czytelny jak mapa: falisty krajobraz poprzecinany wąwozami, drogi, suche grzbiety i zwarzona mrozem zieleń w korytach rzek i strumieni, wszystko pobielone śniegiem. Odległy łańcuch Pirenejów zamykał horyzont, a miasteczko rozpościerało się w dole między rzeką a urwiskiem. Lucia widziała budynki na drugim brzegu Esery i wzdłuż czarnej, prostej drogi, która przecinała równinę i prowadziła w stronę gór. W oddali małe osady z dymiącymi kominami. Ile osób mogło tu w sumie mieszkać?

– To miejsce przywodzi mi na myśl *Pustynię Tartarów* – powiedział.

– Co?

– Niewiele czytasz, prawda?

– A to jakiś problem?

– Nie, ale człowiek, którego szukamy, na pewno jest odczytany. To ktoś wykształcony, wręcz erudyta.

– Chcesz powiedzieć, że nie jestem wystarczająco inteligentna, żeby go złapać?

Zobaczyła, że się zaczerwienił.

– Bynajmniej. Jesteś inteligentniejsza i bystrzejsza niż wielu znanych mi akademików, naprawdę.

– Czy to jest komplement? – zapytała z uśmiechem.

On również się uśmiechnął.

– Na to wygląda.

Ale Lucia nagle się zasepiła. Pomyślała o chłopcu z tuneli. O małym Óscarze. A jeżeli on żyje? Jeśli gdzieś jest? Może to on jest kluczem do

całej tej historii?

Trzymała się z dala od krawędzi, a mimo to lekko kręciło jej się w głowie. Odwróciwszy się, podniosła wzrok na stojącą za nimi dziesięciometrową figurę Ukrzyżowanego, który obejmował swoim błogosławieństwem całą okolicę. I nagle zyskała pewność.

– Jestem przekonana, że to tutaj wszystko się zaczęło.

– Długo się zastanawiałem nad tym, co łączy zabójstwo twojego partnera z pozostałymi sprawami – stwierdził profesor.

Spojrzała na niego.

– No i?

– Gabriel Schwartz... Mówiłaś, że patrząc w kamerę w celi, wypowiedział twoje imię, tak? Moim zdaniem zrobił to, ponieważ ten, kto za tym wszystkim stoi, kazał mu to zrobić. A to znaczy, że chciał, żebyś w ten czy inny sposób była w to wmieszana, że cię zna, przynajmniej ze słyszenia. Nie zajmujesz się tą sprawą przez przypadek, Lucio. Zabił twojego kolegę i polecił Schwartzowi wypowiedzieć twoje imię, bo chciał cię wciągnąć do tego tańca. I to on go prowadzi, nie my.

– Dziwny taniec – stwierdziła.

– Taniec z diabłem – oświadczył Salomón.

Uznała, że to trafne określenie, choć odrobinę górnolotne.

NIEDZIELA WIECZÓR

Kiedy po sześciu godzinach podróży przez równiny Aragonii i Mesetę, z przerwą na lunch, dotarli do Segowii, mury obronne i dzwonnice tonęły w blasku zachodzącego słońca. Zbudowane na skalistym wzniesieniu miasto wieczorem miało barwę ściemniałego złota. Siedząc za kierownicą swojego SUV-a, Lucia jechała starą rzymską ulicą, początkowo asfaltową, dalej brukowaną, w stronę starówki, kiedy nagle wyrósł przed nimi olbrzymi akwedukt – niczym łącznik między dwoma wzgórzami. Była to jedna z najbardziej imponujących budowli, jakie kiedykolwiek widziała – gigantyczny monument, tak bardzo różny od otaczających go budynków, odcinający się na tle wieczornego nieba.

– Dwadzieścia tysięcy granitowych bloków i ani grama zaprawy – poinformował ją Salomón. – Powstał za cesarza Trajana, to znaczy około setnego roku naszej ery. Jest w nienaruszonym stanie, jakby zbudowano go wczoraj.

Lucii zrobiło się głupio, że nie pokazała tego cudenka Álvarovi, choć Madryt dzieli od Segowii zaledwie godzina drogi. Zastanawiała się, czy Samuel i jego dziunia to zrobili. Kiedy tak jechała, kierując się wskazówkami GPS-u, który prowadził ich wąskimi, wyboistymi uliczkami, na których trudno się było minąć dwóm samochodom, obiecała sobie, że kiedyś wróci tu z synem.

– Pięć gwiazdek? – zapytała, parkując przed hotelem Cenobio Capuchinos.

– Ja zapraszam. Mam słabość do dużych hoteli. Pokój jest opłacony.

Kiedy przekroczyli przeszklone drzwi, musiała przyznać, że miejsce jest piękne. Dawny klasztor z zachowanymi grubymi murami, łukowymi drzwiami i kamiennymi kapitelami, a do tego nowoczesne akcenty w postaci oświetlenia, podłóg czy mebli.

Pokój – mieszanka ascezy i luksusu – był większy od jej sypialni w Madrycie. Położyła torbę na łóżku, rozsunęła zasłony. Wybudowany na murach obronnych hotel dominował nad całą zaśnieżoną okolicą, skąpaną w różowopomarańczowym blasku ostatnich promieni słońca. Ktoś zapukał do drzwi.

– Dobry wieczór – powiedziała porucznik Beatriz Manrique z Guardia Civil w Segowii.

Porucznik Manrique na żywo potwierdziła dobre wrażenie, jakie zrobiła na Lucii podczas rozmowy telefonicznej. Kasztanowe włosy, orli nos, ostre, bezpośrednie spojrzenie zielonych oczu, krzepki uścisk dłoni. Kiedy dołączył do nich Salomón, zaprosiła oboje do służbowej toyoty RAV4 i pokonawszy labirynt uliczek starego miasta, wyjechała na wysokości Puerta de Santiago na paseo Santo Domingo de Guzmán i ruszyła drogą wiodącą przez las u stóp miejskich murów. Po dziesięciu minutach zaparkowała w pobliżu porośniętego topolami nieużytku, który rozciągał się między zakolem rzeki a usianym grotami skalistym obniżeniem terenu przy północnym wyjeździe z miasta.

– Pójdziemy tędy, do starego kamiennego mostu, który widać tam, po lewej, przejdziemy na drugą stronę rzeki i dalej ścieżką na górę, aż znajdziemy się naprzeciwko alkazaru – powiedziała. – To się stało w tamtym miejscu. Choć minęło już tyle czasu, na pewno będą tam jakieś kwiaty.

Dookoła nie było żadnych ludzkich siedzib poza ukrytym za drzewami klasztorem, a mimo to drogę między rzeką a zboczem przecinał kamienny łuk z barokowymi posągami, zapewne pozostałość po dawnych granicach miasta. Most znajdował się tuż przed łukiem, po lewej, i wyglądał na jeszcze starszy. W dole szumiała woda. Przeszli na drugą stronę i zaczęli się wspinać po zboczu porośniętym modrzewiami i jodłami.

Szybko robiło się coraz ciemniej, śnieg stawał się niebieskawy jak niebo. Znajdowali się na wysokości ponad tysiąca metrów nad poziomem morza i chłostał ich lodowaty wiatr. Lucia włożyła pod kaptur kupioną w Graus wełnianą czapkę. Szli po śniegu i lodzie w ciszy, której najwyraźniej nikt nie miał ochoty przerwać.

Prześlizgnęli się między przyprószonymi bielą drzewami i ich oczom ukazał się alkazar wznoszący się na skalnej ostrodze jakieś sto metrów dalej. Budowla – z donżonem, blankami i szpiczasto zwieńczonymi wie-

żami – wyglądała jak żywcem wyjęta z bajki. Lucia od razu pomyślała o zamku Śpiącej Królowy, który jako dziecko widziała nieskończenie wiele razy w czołówkach telewizyjnych kreskówek Disneya.

Nad wieżami unosił się okrągły, blady księżyc. To było niesamowite. Mroczna, baśniowa atmosfera.

– Tutaj – odezwała się Beatriz Manrique, która szła z tyłu.

Odwrócili się.

U stóp jednego z pni leżał zamrożony bukiet kwiatów. Było bardzo zimno, od lodowatego wiatru Lucię paliły policzki. Zadrzała – ale z innego powodu. Wyjęła z plecaka akta sprawy, przerzuciła kilka kartek i przyświecając sobie telefonem, przeczytała na głos:

– Juan Ignacio Roldan, lat trzydzieści, i Teresa Isabel Ortíz, lat trzydzieści dwa. Małżeństwo, bez dzieci. Mężczyzna był przewodnikiem po alkazarze. – Spojrzeli na baśniowy zamek, który w blasku księżyca wyglądał dostojnie i niepokojąco zarazem. – Ona pracowała w tutejszej księgarni. Poznali się jako nastolatki. Wszystkie przepytywane osoby twierdziły, że byli powszechnie lubiani.

– Co w sumie niewiele mówi – uściślił Salomón.

Lucia skinęła głową. Wyjęła zdjęcia i je przejrzała.

– Znalezieni przez spacerowicza rankiem w marcu dwa tysiące piętnastego roku. Łącznie otrzymali ponad czterdzieści ciosów nożem, w tułów, twarz i genitalia.

Na fotografiach głębokie rany wyglądały jak krótkie, czarne szpary o rozchyłonych brzegach, rozmieszczone bezładnie, jakby morderca uderzał na oślep z niesłychaną gwałtownością. Przejrzała sprawozdanie z sekcji zwłok kobiety i przeszła prosto do bilansu z badania traumatologicznego:

„Ogłędziny zwłok wykazały następujące zmiany:

1. Uraz powstały w wyniku ciosu ostrym narzędziem, wymiary 3 cm na 0,7 cm, z tępym dolnym brzegiem, zlokalizowany w lewej okolicy bocznej szyi, 4 cm od tylnej linii środkowej szyi i 3 cm poniżej zewnętrznego guza potylicznego. Podobny do innych ran powstałych wskutek ciosów ostrym przedmiotem o co najmniej jednej ostrej krawędzi, takim jak nóż lub podobnym (RANA nr 1).

2. Uraz powstały w wyniku ciosu ostrym narzędziem, wymiary 2 cm na 0,8 cm, z tępym prawym brzegiem, zlokalizowany w okolicach lewej łopatki, 0,7 cm na lewo od osi ciała i 11 cm od tylnego guza potylicznego.

Podobny do innych ran powstałych wskutek ciosów ostrym przedmiotem o co najmniej jednej ostrej krawędzi, takim jak nóż lub podobnym (RANA nr 2).

3. Uraz o kształcie jaskółczego ogona, powstały w wyniku penetracji ostrym narzędziem, wymiary 4 cm na 1 cm, zlokalizowany w tylnej części prawego ramienia na jego środkowej osi, 8 cm powyżej prawego łokcia. Podobny do innych ran powstałych wskutek ciosów ostrym przedmiotem o co najmniej jednej ostrej krawędzi, takim jak nóż lub podobnym (RANA nr 3)...”.

Na tułowie kobiety stwierdzono w sumie piętnaście takich ran. Lucia przerzuciła kilka kartek.

„GŁOWA: Czepiec ścięgnisty: bez obrażeń. Czaszka: bez obrażeń. Mózg: bez obrażeń.

TWARZ: Wargi: bez obrażeń.

SZYJA: RANA nr 1: uraz powstały w wyniku ciosu w okolicę boczną szyi; przechodzi przez lewą tętnicę szyjną wewnętrzną i lewą tętnicę kręgową, uszkadza przełyk i pozostawia ślad na trzonie kręgu C4. Tarczyca, gardło, krtani, tchawica: bez obrażeń.

KLATKA PIERSIOWA: krwawy naciek w tkance podskórnej, będący skutkiem RANY nr 5, która wchodzi do jamy klatki piersiowej przez trzecią lewą boczną przestrzeń międzyżebrową, oraz RANY nr 9, która wchodzi do jamy klatki piersiowej przez drugą lewą przestrzeń międzyżebrową i po drodze uszkadza TĘTNICĘ SZYJNĄ I LEWĄ TĘTNICĘ PACHOWĄ. Śródpierście: bez zmian. Płuco prawe: bez obrażeń. Płuco lewe: zapadnięte, uszkodzony dolny płąt lewego płuca w miejscu dźgnięcia bronią białą (RANA nr 5), masa 180 g...”

Lucia pośpiesznie prześlizgnęła się nad opisami ran twarzy i genitaliów i przeszła do wniosków:

„Śmierć Teresy Isabel Ortíz została spowodowana przez gwałtowny proces będący następstwem pourazowego zatrzymania krążenia i oddychania w wyniku wstrząsu hipowolemicznego, współistniejący z obrażeniami ciała powstałymi w wyniku ciosów bronią białą”.

Na chwilę zamknęła oczy. Ujrzała postać z nożem, która wyłoniła się znikąd i z obłądną wściekłością raz za razem dźgała biedną kobietę.

– Byli bardzo dziwnie upozowani – dodała porucznik Manrique. – Mężczyzna kucał oparty plecami o drzewo, kobieta siedziała między jego kola-

nami, obejmowała go ręką za lewe biodro. Obydwoje byli nadzy, jedynie na stopach mieli sandały w niewłaściwym rozmiarze. Na ramionach mężczyzny leżał zwiewny czerwony szal, a na udach kobiety zielony.

– Obraz – stwierdził Salomón w zamyśleniu, wpatrzony w zamarznięty bukiet.

– I wszędzie ta czerwień i zieleń – powiedziała Lucia.

– Choć tutaj morderca zastosował kilka dodatkowych szczegółów – poprawił ją, pochylając się nad raportem. – Te sandały, ale też bukiet białych kwiatów, podobny do tego, i raketę tenisową.

– I znowu chodzi o małżonków.

– Którzy w dodatku uchodzili za szczęśliwych – dodał kryminolog.

– Tak – odparła Manrique, marszcząc brwi. – Regularnie świętowali tutaj rocznicę ślubu. Czy mam rozumieć, że spotkaliście się już z identycznymi miejscami zbrodni?

– Z dwoma. Nie tyle identycznymi, ile podobnymi.

– Gdzie?

– W Górnej Aragonii, około trzydziestu lat temu: małżeństwo zastrzelone i upozowane w zbliżony sposób. I w ubiegłym roku na Costa del Sol, kolejne małżeństwo zasztyletowane w wynajętym domu. Do prasy przedostało się niewiele szczegółów, a w każdym razie nie te, które pozwoliłyby pani dostrzec podobieństwo.

– Sądzisz, że to może być osoba, która nie potrafi być szczęśliwa we własnym życiu? – zapytał Salomón i wlepił w nią wzrok. – Taki opis pasuje do sporej części ludzkości, nie?

Usiłowała się nie zaczerwienić.

– Miguel Ferran pisze w swoim dzienniku o dzieciństwie, o ojcu – zauważyła.

– Tak. Samotne, nieszczęśliwe dziecko, krzywdzone przez ojca, które ubóstwia swoją matkę.

– Ale skąd ten bukiet kwiatów i rakietę do tenisa?

Lucia spojrzała na Manrique, która wzruszyła ramionami.

– Sprawdziliśmy wszystkie tropy. Żadne z nich nie grało w tenisa. Zastanawialiśmy się, czy w ich otoczeniu był ktoś, kochanek albo kochanka, kto uprawiał ten sport, ale to również nic nie dało. Sprawa bukietu i sandałów też jest niewyjaśniona.

– Przeraza mnie to miejsce – powiedział Salomón.

– Okej – rzuciła Lucia. – Chodźmy stąd.

Zaparkowali w górnej części miasta, przed katedrą.

– Zna pani jakieś miejsce, w którym można by zjeść kolację? – zwrócił się Salomón do Manrique.

– Oczywiście – odparła i poprowadziła ich przez otoczony restauracyjnymi ogródkami plac w kierunku brukowanej uliczki biegnącej w dół. Dwieście metrów dalej wskazała im drzwi lokalu o nazwie Casa Duque.

– Próbowaliście już lokalnej specjalności? – zapytała.

– Cochonillo asado? Oczywiście – odpowiedział Salomón. – Segowia leży stosunkowo niedaleko od Salamanki, a ja muszę się przyznać do grzechu obżarstwa.

– Nie wiem, czy jestem aż tak głodna, żeby... – zaczęła Lucia.

– Psst! – przerwał jej kryminolog. – Ani słowa więcej. Kuchnia jest najstarszą ze sztuk, ponieważ Adam urodził się głodny. Tako rzecze Brillat-Savarin, jegomość z Francji, który napisał dzieła założycielskie sztuki kulinarnej.

– To ja już pójdę. Mam robotę – oświadczyła Beatriz Manrique. – Miłego wieczoru.

Wnętrze było nisko sklepione, ciemne jak pieczara i stanowiło nieprawdopodobną rupieciarnię, pełną porcelanowych talerzy, sprzętów kuchennych i książek kucharskich, obwieszoną girlandami z cebul i kolb kukurydzy, z poczerniałymi kominkami i lampami naftowymi. Kiedy weszli do sali na tyłach, gwar rozmów i łagodne ciepło wnętrza otuliły Lucię jak ciepły koc. Ale gdy wniesiono całe prosię – z głową, ryjem, uszami i racicami – a szefowa kuchni, jak każe tradycja, krawędzią talerza rozkroiła najpierw złotą skórkę, a następnie delikatne różowe mięso, Lucia zbladła i oczyma duszy ujrzała zdjęcia z sekcji zwłok.

– O nie, nie, nie ma takiej możliwości.

– Naprawdę? – zdziwił się Salomón, który już pożerał posiłek oczami.

Kilka minut później, choć jej porcja leżała na talerzu ledwie tknięta, Lucia wróciła do rozmowy.

– Zastanawiałam się nad tym, co mówiłeś rano. No wiesz: że nie jestem tutaj przez przypadek.

Uniósł głowę i na chwilę oderwał się od smakowitego posiłku. Wyczuł, że zmieniała ton.

– Ty też nie jesteś tu przypadkowo – mówiła dalej. – Jeżeli człowiek, który zamordował mojego partnera i kazał Schwartzowi wymówić moje imię, jest też sprawcą tamtych podwójnych morderstw, to być może fakt, że Sergio został zabity dokładnie w momencie, kiedy DIMAS wychwytał związki między nimi, wcale nie jest przypadkowy.

Zmarszczył brwi.

– Chcesz powiedzieć, że morderca wiedział o moich badaniach? I o DIMAS-ie?

– Chcę powiedzieć, że zamierzał w to wciągnąć nas oboje, Salomónie. Zabijając mojego kolegę i posługując się klejem, połączył nas ze sobą. Masz rację: od początku to on prowadzi w tym tańcu i dobiera tancerzy.

– Dlaczego miałby nas w to wciągać? – zapytał z naciskiem na zaimek „nas”. Popatrzył na nią, a ona zauważyła jego niepokój. – Dlaczego wybrał nas dwoje? Myślisz, że... to ktoś z przeszłości, kto zna nas oboje?

Odwzajemniła jego spojrzenie, ale nie odpowiedziała.

NIEDZIELA WIECZÓR

Kiedy wyszli z restauracji, było już późno. Temperatura szybko spadała. W sklepach opuszczono rolety. Na bezchmurnym niebie dało się dostrzec kilka gwiazd. Nieśpiesznie wracali do hotelu.

– Masz jakąś hipotezę dotyczącą tego chłopca? – zapytała Lucia.

– Mówisz o podwójnym morderstwie w tunelach? Moim zdaniem dzieciak nie został uwzględniony w pierwotnych planach. Możliwe, że spał na tylnej kanapie i nie było go widać z drogi. Że strzały go obudziły i zaskoczyły mordercę. A jeśli tak, to albo został zabity na miejscu, albo sprawcy go porwali i pozbyli się go później. Nie mogli zostawić świadka przy życiu.

Lucia zadrżała. Tajemnica zaginionego chłopca była jak jądro ciemności, najgęstszy punkt pośród całej tej czerni.

Dotarli do hotelu. Kiedy mijali recepcję, by udać się do swoich pokoi, młoda kobieta za kontuarem zawołała do Lucii:

– Jest tu jakaś przesyłka dla pani!

– Dla mnie?

Recepcjonistka położyła na ladzie kopertę z szarego papieru. Lucia przyjrzała jej się uważnie. Zobaczyła imię i nazwisko napisane wielkimi literami, niebieskim tuszem. Nie było znaczka.

– Kto jeszcze tego dotykał? – zapytała.

– Jak to? – zdziwiła się recepcjonistka.

– Kto oprócz pani dotykał tej koperty?

– Nikt.

Lucia sięgnęła do kieszeni po rękawiczki, włożyła je i otworzyła kopertę. W środku znajdowała się zgięta na pół kartka. Rozłożyła ją. Tekst napisany na komputerze.

Lucio,

niech się pani skupi. To nie takie trudne. Przecież zostawiłem pani wskazówki: filiżanka z ayahuascą, klej, obrazy...

Ważne jest nie to, co pani widzi, ale pani spojrzenie. Na co pani patrzy? Czy jest pani pewna, że patrzy pani we właściwym kierunku? Przy okazji: moje kondolencje z powodu pani partnera. Ale tak musiało być. Nie cierpiało, jeśli to może panią pocieszyć.

Jeśli chodzi o tego biednego Gabriela, to kiedy go spotkałem, jego mózg był w strasznym stanie. Smutny widok. Ale Ricardo zrobił porządek z tym bajzłem. Nasz Gabriel przeszedł tyle badań psychiatrycznych, a ja dzięki ayahuasce znalazłem u niego jeszcze kilka nieodkrytych osobowości. I oczywiście powołałem Ricarda do życia. Bo zanim się pojawiłem, Ricardo nie istniał. Sprytne, prawda?

Jest pani wyjątkową kobietą, Lucio. Mamy ze sobą o wiele więcej wspólnego, niż może sobie pani wyobrazić. Kiedy znajdzie pani to, co nas łączy, zbliży się pani do odkrycia, kim jestem.

Wiem też, co pani teraz czuje: nienawiść, gniew. Nie oczekuję od pani zrozumienia. Jestem w pani oczach kimś odrażającym. To prawda, kiedy ich zabijałem, kiedy przelewałem ich krew, odczuwałem przyjemność. Ogromną przyjemność. Musi pani wiedzieć, że nie mam żadnego poczucia winy, żadnych wyrzutów sumienia. Jestem drapieżnikiem, mięsożercą, nie jarošem. Roślinożercy budzą we mnie wyłącznie pogardę. Wiem, jakie pytanie najbardziej panią dręczy: co się stało z chłopcem? Obawiam się, że będzie pani musiała sama znaleźć na nie odpowiedź. Proszę nie liczyć na to, że podam pani wszystkie rozwiązania.

A tymczasem oto nowa wskazówka:

„Twój zgon jest zarazem moją rozpaczą i winą.

Jam jest – woła Apollo – twej śmierci przyczyną.

Cóżem winien? Gra z tobą byłaż przewinieniem?

Chyba-m zawinił nazbyt wielkim uwielbieniem” ¹.

– Ja pierdolę! – zawołała Lucia.

Recepcjonistka rzuciła jej ponure spojrzenie.

– Kto to tu zostawił?

Młoda kobieta wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia – odparła wyniośle. – Koperta była w skrzynce na listy.

– Ma pani może plastikową koszulkę albo jakąś teczkę?

– Nie, przykro mi – rzuciła tamta tonem, który wskazywał, że bynajmniej nie jest jej przykro. – Nie mamy takich rzeczy.

Na powrót zanurzyła się w papierach, kręcąc głową na znak, że takie zachowanie jest szczytem bezczelności. Lucia westchnęła, pochyliła się nad ladą i podetknęła jej pod nos legitymację Guardia Civil.

– Niech pani ruszy głową i znajdzie mi tę koszulkę. Gdzieś musi jakaś być, nie? I NIECH SIĘ PANI POŚPIESZY, MAM JESZCZE INNE SPRAWY NA GŁOWIE! – ryknęła na kobietę, która wyglądała, jakby sądziła, że stanowisko recepcjonistki w pięciogwiazdkowym hotelu czyni z niej personę na miarę księżnej Asturii.

A może zachowywała się tak dlatego, że hiszpańscy turyści nie są tak rozrzutni jak Amerykanie i Chińczycy? W każdym razie jej buta momentalnie uleciała i dziewczyna bez słowa wstała zza biurka i poszła na zaplecze.

– Bardzo ciekawe – powiedział Salomón, który czytał jej przez ramię. – Jakby gość chciał nas poprowadzić, pomóc nam w poszukiwaniach.

– Albo skierować na fałszywy trop – rzuciła Lucia, czując narastające napięcie.

Kryminolog jeszcze raz przeczytał list.

– Cytat jest napisany niedzisiejszym, starym stylem. Facet mógł go wziąć z jakiegoś klasycznego dzieła albo wymyślić. W jednym i drugim przypadku dał nam zajęcie. Wie, że będziemy próbowali znaleźć źródło tego cytatu i zrozumieć jego sens.

– Naprawdę sądzisz, że w tym jest jakiś sens?

– I jeszcze to zdanie: „Kiedy znajdzie pani to, co nas łączy, zbliży się pani do odkrycia, kim jestem”. Jakby znowu nawiązywał do przeszłości. Tak czy owak gość tutaj był. I wiedział, że ty... że my też tu będziemy.

Niespokojnie rozejrzał się po holu i zerknął w stronę wielkiego pustego salonu na prawo od recepcji.

– Nie podoba mi się to – powiedziała Lucia, również się rozglądając. – Czy któryś z gości przyjechał niedługo po nas? – zwróciła się do recepcjonistki, która właśnie wracała.

Kobieta ze skruszoną miną spojrzała na monitor.

– Nie, nikogo. Od państwa przyjazdu nikt się nie zameldował.

Lucia nagle poczuła się bezbronna.

– Nikt nie wie o tym, że tu jestem. Może śledził nas od Graus albo nawet wcześniej. Muszę sprawdzić nasze telefony i samochód. Na wypadek gdyby nas szpiegował.

– Czuje się silny – stwierdził Salomón. – Rzuca nam wyzwanie. Ma niemal obsesyjną potrzebę władzy i kontroli. Uważa się za wszechmocnego i sprytniejszego od innych. To dobrze. Na pewno popełni błąd.

Ale ton, jakim to mówił, wskazywał, że wcale nie jest tego taki pewien. Jego twarz zdradzała coraz większy niepokój. Lucia wyszła na uliczkę przed hotelem, Salomón poszedł w jej ślady. Omietli wzrokiem okolice. Zbliżała się północ. Dookoła było pusto i cicho.

– Jutro się tym zajmiemy – powiedziała, gdy wrócili do hotelu. – Teraz zamkniemy się w pokojach i pójdziemy spać. Jeśli usłyszysz coś podejrzanego, dzwoń do mnie. Niezależnie od godziny, nie wahaj się. Sam powiedziałeś, że on tutaj przyjechał. Może nawet jeszcze tu jest.

– Dziękuję, pocieszyłaś mnie – zażartował. – Dobranoc, Lucio.

Czytała w poświacie nocnej lampki. „Kiedy znajdzie pani to, co nas łączy, zbliży się pani do odkrycia, kim jestem” – raz po raz wracała wzrokiem do tego zdania. Siedziała w głowach łóżka, wsparta o pachnące czystością poduszki, trzymając przed oczami kartkę wsuniętą w przezroczystą koszulkę.

Do czego on zmierza? Jakie punkty wspólne ma na myśli? Czy chodzi mu tylko o to, żeby ją zwieść, wyprowadzić w pole? Czy mówi serio?

„Ważne jest nie to, co pani widzi, ale pani spojrzenie. Na co pani patrzy? Czy jest pani pewna, że patrzy pani we właściwym kierunku?”.

A to? Co to znaczy? Co takiego widzi? Szczęśliwe pary zmasakrowane przez chorego, zazdrosnego gościa. W jakim kierunku powinna patrzeć?

I jeszcze ten cytat:

„Twój zgon jest zarazem moją rozpaczą i winą.

Jam jest – rzecz Apollo – twej śmierci przyczyną.

Cóżem winien? Gra z tobą byłaż przewinieniem?
Chyba-m zawinił nazbyt wielkim uwielbieniem”.

Na próżno szukała go w Internecie. Wyszukiwarka wypluła jej kodeks karny i dzieła zebrane niejakiego Francisca Martíneza de la Rosy, ale proponowane cytaty były ledwie podobne do tego, którego szukała.

Ziewnęła. Zerknęła na telefon. Była pierwsza w nocy. Napięcie i list długo trzymały ją w stanie pobudzenia, ale teraz zmęczenie brało górę, a spadek adrenaliny pociągał za sobą narastające wyczerpanie. Oczy jej się zamykały. Nagle spojrzała w kierunku drzwi wychodzących z salonu na korytarz, dobre osiem metrów od łóżka. Dobiegł ją odgłos kroków. Stłumiony, dyskretny... Czy jej się zdawało, czy kroki zatrzymały się przed jej pokojem? W ciszy obserwowała zamknięte drzwi. Gdy usłyszała, że ktoś próbuje wejść do pokoju, serce podskoczyło jej do gardła.

Zdążyła już otworzyć szufladę szafki nocnej i położyć dłoń na broni, kiedy za drzwiami rozległ się matowy od alkoholu głos jakiejś kobiety:

– To nie ten pokój, idioto...

Parsknięcia, zduszony śmiech, chwila milczenia, po czym kobieta zapytała już ciszej, ale mimo wszystko zbyt głośno:

– Chcesz się bzykać tutaj?

Kurwa, chyba nie zamierzają tego robić przed moimi drzwiami, pomyślała.

W końcu para się oddaliła i Lucia usłyszała, że wchodzi do sąsiedniego pokoju. Poszła do łazienki. W kosmetyczce znalazła tabletkę przeciwbólową i lek przeciw nadkwaśności, po czym zażyła jeszcze środek nasenny i włożyła do uszu zatyczki. Miała nadzieję, że dzięki temu choć trochę się prześpi. Niestety nie miała nic, co zapobiegłoby koszmarom.

1. Owidiusz, *Przemiany*, przeł. B. Kiciński, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1953, s. 192 (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

NOC Z NIEDZIELI NA PONIEDZIAŁEK

Ulysses Joyce siedział w namiocie w słuchawkach, z których płynęła muzyka My Chemical Romance. Gerard Way śpiewał *I Don't Love You*. Depresyjne brzmienia. Chłopak wyłączył odtwarzanie. Było późno, chciało mu się spać. I wtedy znowu coś usłyszał.

Zdjął duże białe słuchawki. Nadstawił uszu. Nic. Absolutna cisza. Już miał opatulony w śpiwór położyć słuchawki na brzuchu i ułożyć się głową na jaśku, kiedy do jego uszu dobiegł wyraźny odgłos kroków: ktoś szedł po schodach na parter.

O drugiej w nocy? O tej porze nigdy nikt się tu nie kręcił. Najwyżej Alejandro, który dotrzymywał mu towarzystwa do późna, kiedy razem pracowali przy DIMAS-ie.

Podniósł się na łóżku polowym, z którego korzystał, gdy pracował w nocy i nie chciało mu się wracać na piechotę przez miasto: spał w ubraniu, zdejmował tylko buty. Jego tętno trochę przyśpieszyło. Pół sekundy później siedział już na krawędzi łóżka.

Przyświecając sobie telefonem, wyszedł z namiotu. Chwilę później włączył jarzeniówki i otworzył drzwi laboratorium wychodzące na korytarz i klatkę schodową.

Suterena była pogrążona w mroku, ale na parterze paliło się światło. Nie powinno tak być. Spokojnie, może to... Może to co? Duch, który potrafi wcisnąć włącznik? Przecież wiesz, że o tej porze nigdy nie pali się tam światło.

Ulysses pędem pokonał schody. Wypadł do holu między dużym patio pogrążonym w niebieskawym blasku księżycy wpadającym przez przeskłoną ścianę a korytarzem prowadzącym do sal wykładowych. Trawa na zewnątrz lśniła w bladej poświacie, a wysmukła sylwetka sekwoi pięła się w stronę gwiazd.

Zaczęła go ogarniać panika. Zakpił z siebie w duchu. Czego się w sumie boi? Skręcił ku schodom. Już miał zejść z powrotem, kiedy znowu coś usłyszał. Co to ma być, do cholery? Odgłos pochodził z jednej z sal na końcu oświetlonego korytarza za jego plecami. Ulysses zawrócił i ruszył w tamtą stronę, tupiąc trochę zbyt donośnie pośród absolutnej ciszy. Wolałby, żeby było tu głośniejsze, bardzo głośno. Ale w budynku już dawno nikogo nie było. Poza nim. I oczywiście osobą, która była źródłem owych dźwięków. Z zaschniętym gardłem szedł dalej przez korytarz. Drzwi jednej z sal były uchylone na kilka centymetrów.

Super, pomyślał. I co teraz? Strach zagościł w jego brzuchu jak żywa istota. Lekko pchnął drzwi i stanął jak wryty. Poczował na karku zimny powiew. W środku ktoś był. Na podeście. Siedział przy biurku wykładowcy, naprzeciw pustych rzędów krzeseł, w słabym blasku jedynej zapalanej lampki.

Postać w jednej chwili uniosła głowę i z uśmiechem spojrzała w jego kierunku. Szare oczy za szklami okularów zdawały się przewiercać go na wskroś.

– Dobry wieczór, Ulyssesie. Jeszcze nie śpisz?

Profesor Alfredo Güel.

– Hm... Dobry wieczór, profesorze. Nie, nie śpię... ja... pracowałem w laboratorium.

– Jesteśmy jak dwa nocne ptaki, co? – powiedział Güel łagodnie, wpatrując się w niego i wykrzywiając twarz w lekkim grymasie.

Wykładowca wstał, zerknął na elegancki zegarek Omega Speedmaster i zebrał papiery. Alfredo Güel prowadził zajęcia z diagnozy psychologicznej w kryminalistyce na piątym semestrze, z psychiatrii sądowej na szóstym i z przestępstw na tle seksualnym na siódmym. Między innymi. Jego wykłady były pasjonujące, ale Ulysses uważał, że Güel trochę za bardzo lubi gwiazdorzyć, a przy tym nie dorównuje dowcipem Salomónowi. Dobiegał pięćdziesiątki. Wysoki, szczupły, szeroki w barach. Według części studentek był uroczy, a według innych – wręcz przerażający. Tej nocy miał na sobie dżinsy i czarny golf.

– Jest późno, chyba już pójdę – stwierdził wykładowca, wkładając świetnie skrojony czarny płaszcz. – Zawsze krążysz o tej porze po korytarzach?

Ulysses zebrał się w sobie.

– To pan był na dole?

– Co?

– Bo przed chwilą, hm... ktoś tam chodził.

Znowu to świdrujące, szare spojrzenie zza okularów. Jego oczy były jednak szkliste, jakby nieobecne. Nie było w nich ani gniewu, ani rozbawienia, ani sympatii. Ulysses dostrzegał w nich raczej obojętność.

– Powiedz mi, po co miałbym tam schodzić w środku nocy?

– Przepraszam, ja tylko zapytałem.

– Żeby was... szpiegować? Ciebie i twoją grupę? O to chodzi?

Jego głos wibrował – jak struna E w gitarze.

– To miałeś na myśli, młody Ulyssesie?

– Nie, oczywiście, że nie.

Nie przestając na niego patrzeć, Güel szedł teraz w jego stronę po stopniach między rzędami krzeseł ze skórzaną teczką pod pachą.

– Jesteś tego pewien?

– Dobranoc, panie profesorze.

Ulysses wyszedł w pośpiechu. Nie odwracając się za siebie, ruszył korytarzem.

Rebeca Gracián Sixto studiowała fizykę teoretyczną na Wydziale Nauk Ścisłych Uniwersytetu w Salamance. Miała dwie pasje: fizykę fundamentalną i imprezy. Przez kilka godzin oddawała się tej ostatniej, a teraz, około pierwszej w nocy, wróciła na stację. Nie była aż tak pijana, żeby się zataczać, ale wystarczająco, by wcelować kluczem do zamka dopiero przy trzeciej próbie.

Pomyślała o słynnej zasadzie nieoznaczoności Heisenberga, która mówi, że każda z wielkości – pęd lub położenie – może zostać dokładnie zmierzona, pod warunkiem że zrezygnujemy z określenia drugiej z nich. Zarechotała na myśl, że jest to także jej problem: skorelowanie szybkości poruszania kluczem z jego pozycją względem zamka.

Nie rechotała jednak długo. W chwili, gdy wreszcie udało jej się otworzyć drzwi, ktoś pchnął ją od tyłu tak gwałtownie, że wpadła do środka. Przypomniała sobie drugą zasadę dynamiki Newtona: zmiany w ruchu przedmiotu są wprost proporcjonalne do siły na niego działającej i odbywają się w kierunku zgodnym z działaniem tejże siły.

Jej umysł bawił się tą sytuacją, ponieważ była pewna, że to tylko głupi dowcip którejś z koleżanek mieszkających w tej samej kamienicy. Kiedy

jednak usłyszała dziwny, nienaturalnie wysoki głos piszczący jej wprost do ucha: „Nie krzycz, nie wyrywaj się albo cię zabiję”, zakreśliło jej się w głowie. Zamarła. Uleciała z niej cała energia: zastąpił ją strach. A strach ani nie jest energią, ani nie dodaje sił – a ją pozbawił jednego i drugiego.

Przełknęła ślinę. Wsłuchiwała się w bicie własnego serca. Czuła ręce obmacujące ją przez sweter i dzinsy, gorący oddech muskający jej ucho i potężne ciało przyklejone do niej od tyłu. Skamieniała i przerażona pomyślała o jeszcze jednej teorii – splątania kwantowego – która mówi, że kiedy dwa obiekty kwantowe wchodzą ze sobą w kontakt, ich stany kwantowe zostają splątane i w konsekwencji splątane są także ich losy, niezależnie od odległości, jaka będzie je od siebie dzieliła w przyszłości. Podejrzewała, że w ten czy inny sposób tak właśnie będzie po tym, co miało jej się przydarzyć. A to coś miało nazwę. Gwałt.

Facet za nią, w niczym nieprzypominający obiektu kwantowego, rzucił ją na łóżko twarzą w dół. Jednak zaczęła krzyczeć. Do diabła z pogroźkami. Nie chciała umierać, ale nie chciała też zostać zgwałcona. W tej samej chwili ktoś zaczął się dobijać do drzwi i z korytarza dobiegł ją głos:

– Rebeca! Rebeca! Co się dzieje?!

Napastnik ją puścił.

– Luis! – wrzasnęła

Drzwi otwarły się na oścież. Do pokoju wpadł Luis, sąsiad z piętra, jej rówieśnik, który studiował chemię.

– Próbował mnie zgwałcić! – zawołała, wskazując na otwarte okno.

Student chemii rzucił się w tamtym kierunku. Okno wychodziło na położony niżej taras. Zobaczył postać zeskakującą z tarasu na podwórko. Sekundę później on sam wylądował na tarasie i podbiegł do balustrady. Tamten pędził ku otwartej bramie wychodzącej na calle Caldereros.

Luis się zawahał. Było cholernie wysoko, co najmniej cztery metry. Po chwili jednak podjął decyzję, przesadził barierkę i skoczył w ciemność. Na ugiętych nogach miękko spadł na asfalt i rzucił się w pościg za gwałcicielem.

Wiedział, że w tej chwili w jego krwi krąży duża liczba cząsteczek substancji $C_9H_{13}NO_3$, znanej pod nazwą naukową epinefryna, potocznie zwana adrenaliną. Skutkiem jej działania są wzrost ciśnienia tętniczego, objętości krwi wyrzucanej przez serce z każdym jego skurczem i rozszerzenie

oskrzeli, a co za tym idzie, wzrost energii. Dopadnę cię, gnoju, pomyślał Luis, który oprócz tego, że studiował chemię, trenował także biegi.

Na końcu uliczki uciekinier błyskawicznie skręcił w prawo, w calle Consuelo. Pędem ruszył przed siebie. Ładne tempo, stwierdził Luis, który nie pozwalał mu zwiększyć dystansu, ale sam też go nie zmniejszał. Następnie pobiegli w lewo, w wąską calle Varillas z kolorowymi muralami przedstawiającymi Davida Bowie, Prince'a czy grającego na gitarze astronautę. Nie zwalniając, dotarli jeden po drugim na plaza del Mercado, po czym zakapturzona postać wbiegła na położone w jego północno-zachodniej części schodki prowadzące na Plaza Mayor, by zanurkować pod arkadami i ruszyć w kierunku bramy wychodzącej na calle Zamora.

Cholera, maratończyk czy co? Luis wiedział, że w wątrobie i mięśniach ma zmagazynowane zasoby energii w postaci glikogenu: wielocukru zbudowanego z połączonych ze sobą cząsteczek glukozy. Glikogen jest zarówno paliwem dla mięśni podczas intensywnego wysiłku, jak i głównym źródłem energii dla układu nerwowego. Rezerwy glikogenu zależą od poziomu wytrenowania. Pytanie zatem brzmiało, czy biegacz był bardziej czy mniej wytrenowany niż on.

Pokonali jeszcze około dwustu pięćdziesięciu metrów, przecinając plaza de los Bandos, i minęli monumentalną siedzibę Banco de España, za którym osobnik nagle skręcił w prawo. Luis dotarł na wysokość wąskiego przesmyku, wbiegł weń i znalazł się na niewielkim placu w kształcie rombu, na wprost zadziwiającej fasady z białych i szarych płytek należącej do Szkoły Sztuk Pięknych San Eloy. Jeśli pominąć obecność jednej ławki i pięciu latarni, plac był pusty. Gdzie on się podział? Księgarnia Letras Corsarias – Luis jako student chemii, a nie literatury nie wiedział, że zawdzięcza ona nazwę jednemu z dzieł Piera Paola Pasoliniego – była o tej porze zamknięta. W głębi placu zobaczył jeszcze jedno wyjście. Ruszył w jego stronę i wypadł na skrzyżowanie na calle Vázquez Coronado. Pusto. I trzy możliwości: w prawo, w lewo lub prosto.

Oparł dłonie na kolanach, by odzyskać oddech. Drań był w formie. Zgubił go. Przez chwilę Luis zastanawiał się, co by zrobił, gdyby udało mu się go złapać. Wcześniej nie zadawał sobie tego pytania. Co by było, gdyby uciekinier odwrócił się do niego i na przykład wyjął nóż? Czy Luis stawiłby mu czoło, czy pozwoliłby mu odejść? Zapomnij, tego pytania już nie ma: facet zwiął.

Ukryty w bramie pod numerem 22, oparty plecami o pręty z kutego żelaza mężczyzna dyszał, jego płuca płonęły, pot spływał mu po twarzy. Szlag! Ledwie uciekł. Na szczęście biega dwa razy w tygodniu. Na przyszłość będzie musiał bardziej uważać. I na jakiś czas dać sobie spokój.

Pomacał prawy nadgarstek. Skręcił go, gdy przewróciwszy się na dzielnicy, podparł się dłonią i kolaniem na asfalcie. Zapomniał jednak o bólu i zacisnął zęby, ponieważ tamten deptał mu po piętach. Teraz ból dawał o sobie znać w postaci palącego pulsowania wzdłuż przedramienia.

Zaczekał, aż chłopak się oddali, i wyszedł z kryjówki. Świetlna tablica na aptecce tuż obok wskazywała trzy stopnie powyżej zera, ale był zlany potem. I czuł kolkę w boku. Bardzo powoli zanurzył się w ciemności. Jeden spośród wielu cieni, spocony i samotny.

PONIEDZIAŁEK RANO

Właśnie wychodziła spod prysznicza owinięta białym ręcznikiem, kiedy zadzwonił jej telefon. Podeszła do szafki nocnej i pochyliła się nad wyświetlaczem. Cholera. Samuel.

– Álvaro znowu się bił – oznajmił, gdy tylko odebrała.

Poczuła się, jakby ją zaatakował.

– Na szkolnym boisku. Wygląda na to, że tym razem to on zaczął. Twierdzi, że tamci go sprowokowali. Nie chce o tym rozmawiać. Dziś mam spotkanie z dyrektorem, ale już z nim rozmawiałem: chce, żeby Álvaro poszedł do psychologa.

– I co zamierzasz zrobić?

– Co *my* zamierzamy zrobić. Przypominam ci, że to również twój syn.

– Psycholog wydaje mi się dobrym pomysłem. Znam jednego...

Westchnienie po drugiej stronie.

– Lucio, ja znam ten typ. Álvaro nie jest kryminalistą. Nie potrzebuje gmerania w mózgu, potrzebuje po prostu, żeby go wysłuchać.

– Wiem o tym.

– Dyrektor zapytał mnie, czy Álvaro często widuje się z matką. Powiedziałem, że nie.

Poczuła gwałtowny skurcz żołądka. Zalała ją fala ogromnego smutku.

– Daj mi go – poprosiła cicho.

– Nie ma czasu. Zaraz jedziemy do szkoły. Wieczorem, jeśli chcesz. Powinnaś wiedzieć, że Álvaro coraz częściej o ciebie pyta.

Słyszając te słowa, mimo wszystko się uśmiechnęła.

– Ilekroć mówię mu, że przyjedziesz w weekend, a potem każesz mi mówić, że nie przyjedziesz, zmuszasz mnie, żebym robił mu krzywdę. Rozumiesz to czy nie? W sumie sam nie wiem, czy lepiej, żebyś go widywała częściej, czy może raczej rzadziej.

Ogarnęło ją poczucie winy.

– O co ci chodzi?

– Chodzi mi o to, że czasem się zastanawiam, i sędzę, że on też wbrew sobie chwilami tak myśli, że byłoby dla wszystkich lepiej, gdybyś zniknęła z naszego życia.

Łzy napłynęły jej do oczu.

– Zdajesz sobie sprawę, że to, co właśnie powiedziałaś, to prawdziwe draństwo?

– Nie obchodzi mnie już, co czujesz, Lucio. Obchodzi mnie tylko, co czuje nasz syn. Mój syn. Bo gdybym nie widział, jak rodzisz, mógłbym pomyśleć, że nie jesteś jego matką.

– Skurwysyn!

– Nie, po prostu ojciec.

Rozłączył się. Miała ochotę rzucić telefonem o ścianę, ale pomyślała, że to właśnie takimi impulsywnymi reakcjami spieprzyła sobie życie.

A może mimo woli krzywdzi tych, którzy ją otaczają? Adriána, Álvara, Sergia, Rafaela... Nagle przed pełnymi łez oczami stanęła jej chwila narodzin jej syna. Jego stópki, rączki, buzia. Filigranowe, delikatne, nieskończenie kruche. I te wielkie oczy, którymi na nią patrzył. Właśnie na nią. Na nikogo innego.

Álvaro, moje dziecko, pamiętam, jak się urodziłeś. Ty oczywiście tego nie pamiętasz, ale ja tak: pamiętam za nas oboje. Jestem twoją i moją pamięcią, synu, pamiętam wszystko, każdy szczegół, każdą chwilę. Przykro mi, że nie jestem lepszą matką. A nawet – w ogóle nie jestem matką. Twój tata ma rację: powinieneś być dla mnie ważniejszy niż moja praca. Obiecuję ci, że kiedy tylko to śledztwo się skończy, będę przy tobie. Zmienię się. Tak. Zmienię się dla ciebie.

Czy naprawdę w to wierzyła? Ile już razy przyrzekała sobie, że tak będzie?

Zeszła na śniadanie i zobaczyła, że Salomóna jeszcze nie ma. Nie zwracając uwagi na dziewczynę z obsługi, która ją przywitała, podeszła do stolika i położyła obok siebie opasłą teczkę.

– Herbata, kawa? – zapytał kelner.

– Kawa, czarna, bez cukru. Dziękuję.

Poczuła, że jej lewa noga drży, a umysł jest bliski implozji. Przez chwilę czuła pokusę, by pójść na siłownię – jeśli hotel taką dysponował – i rozładować emocje na maszynach. Ale rozległ się sygnał w jej telefonie. Zerknęła na wyświetlacz. Wiadomość od Adriána:

„Zadzwoń, kiedy będziesz mogła”.

Odstawiła filiżankę tak gwałtownie, że rozlała trochę kawy na biały obrus, przyciągając spojrzenia innych gości. Nie napisał: „Niczego nie znalazłem”. Ani nawet: „Może coś mam”. Nie. Napisał: „Zadzwoń, kiedy będziesz mogła”. Co też od razu uczyniła.

– Adrián?

– Cześć! Sprawdziłem to, o co mnie prosiłaś. Widzisz? Nie leniłem się. W jego głosie słychać było ekscytację. Lucia zrobiła się czujna.

– No i?

– Znalazłem oryginały twoich miejsc zbrodni – powiedział. – I serio, to jest niewiarygodne.

Salomón Borges wszedł do sali i zauważył porucznik Guerrero przy jednym ze stolików. Gdy do niego pomachała, jego serce zabiło nieco szybciej. Rozmawiała przez telefon – a raczej słuchała – a entuzjazm widoczny na jej pięknej twarzy i blask w oczach nie mogły kłamać: pojawiły się nowe wiadomości.

Pozdrowił młodą kobietę przy wejściu, podszedł do stolika i usiadł naprzeciwko Lucii.

– Powoli, Adrián – mówiła. – Wytłumacz mi, jak to zrobiłeś. Mów do mnie jak do sześciolatniego dziecka. Albo jak do kogoś, kto kompletnie nie zna się na malarstwie.

Salomón przełknął ślinę. Adrián odkrył pierwowzory tych obrazów.

– Po tym, co mi wczoraj powiedziałaś, pomyślałem o obrazach z epoki renesansu albo baroku. Kiedy na zdjęciach, które mi przesłałaś, zobaczyłem ułożenie ciał, tęskne pozy, czerwone i zielone tkaniny, moje przekonanie się wzmocniło – tłumaczył Adrián Sanz. – Oczywiście, mogłoby chodzić o inny okres, ale nie wiem... W malarstwie z tamtych czasów jest jakiś

liryzm w sposobie przedstawiania ciał, zamiłowanie do anatomii i upozowania obiektów.

Chyba nie zamierza o ósmej rano robić im wykładu z historii sztuki? Lucia siedziała pochylona do przodu, Salomón podobnie, telefon leżał między nimi. Nie odważyła się włączyć trybu głośnomówiącego ze względu na gości hotelowych, którzy jedli śniadanie przy sąsiednich stolikach.

– Adrián... – przerwała mu.

– Okej, krótko mówiąc: wrzuciłem zdjęcia miejsc zbrodni w Google i uruchomiłem wyszukiwanie.

Psiakrew, dlaczego sama o tym nie pomyślała? Przecież to oczywiste!

– Jedna ze scen prawdopodobnie przedstawia śmierć Hiacynta, temat zapożyczony z *Przemian* Owidiusza. Znalazłem też przedstawiające ją obrazy. Pierwszy to obraz Tiepola z muzeum Thyssen-Bornemisza w Madrycie, ale ułożenie ciał się nie zgadza. Nie trafiłem jeszcze na taki, który pasowałby w stu procentach, ale jestem przekonany, że taki istnieje i że wszystkie miejsca zbrodni to tak naprawdę swego rodzaju ilustracje do *Przemian*. Ten poemat był głównym pozabiblijnym źródłem inspiracji malarzy renesansu i baroku. Szukałem też albumów z obrazami inspirowanymi *Przemianami*. Znalazłem książkę, w której znajduje się około dwustu reprodukcji dzieł namalowanych we Włoszech, Hiszpanii, Francji i krajach Europy Północnej między końcem szesnastego a początkiem osiemnastego wieku, dwieście obrazów inspirowanych tym poematem: „*Las Metamorfosis*” y el arte barroco Arístidesa de Artiñano. Niedługo powinienem ją dostać.

– Świetna robota, Adrián – powiedziała. – Musimy jeszcze zrozumieć, dlaczego wybrał akurat te obrazy.

– To już wasza działka. Ale ja też się nad tym zastanowię.

Podziękowała i spojrzała na Salomóna. Profesor tak bardzo marszczył brwi, że prawie zasłaniały mu oczy.

– Ten Adrián to ktoś więcej niż kolega, prawda?

Zaskoczył ją i zirytował: pytanie było niedyskretne i nie na miejscu.

– Na jakiej podstawie tak sądzisz?

– Jest coś w sposobie, w jaki się do niego zwracasz... Przepraszam, że zapytałem – dodał na widok jej gniewnego spojrzenia – to nie powinno mnie obchodzić. Skupmy się na tym, czego się dowiedzieliśmy. To bardzo

ważne odkrycie. Może ten cytat w liście też pochodzi z *Przemian* Owidiusza? Czytałaś?

Pokręciła głową.

– Niewiele czytam poza podręcznikami do kryminologii.

Uśmiechnął się przelotnie, ale zaraz znowu spoważniał.

– A ja wręcz przeciwnie. Jak powiedział... hm... Adrián, *Przemiany* to jedno z głównych źródeł inspiracji renesansowych artystów. Owidiusz czerpał tematy do swoich historii z mitologii greckiej i rzymskiej. A warto wiedzieć, że bogowie Greków i Rzymian byli tak samo okrutni, rozpustni, zazdrośni i przewrotni jak my, ludzie. Byli na nasz obraz i podobieństwo. Z tego powodu *Przemiany* są pełne opowieści o cudzołóstwie, morderstwach, kazirodztwie, zemście i okrutnych karach. – Zamieszał łyżeczką w filiżance. – Co do samego Owidiusza, to powszechnie znanym faktem z jego życia jest wygnanie z Rzymu. To jedna z najbardziej tajemniczych historii starożytności. Owidiusz był szeroko znanym i podziwianym poetą. W tamtych czasach poeci cieszyli się taką sławą jak dzisiaj aktorzy. A tymczasem w ósmym roku naszej ery na mocy rozkazu cesarza Augusta został skazany na wygnanie. I to nie było gdzie: na granice znanego świata, do Tomi, po łacinie *Tomes*, ciemnej, ponurej osady o surowym klimacie, której mieszkańcy nie mówili po łacinie i byli o wiele mniej wyrefinowani niż Rzymianie. *Tomes*, obecnie Konstanca, leży na wschodzie dzisiejszej Rumunii, na brzegu Morza Czarnego. Z dnia na dzień Owidiusz musiał więc opuścić swoją żonę, rodzinę, przyjaciół, posiadłości, ziemię, słodkie rzymskie życie i karierę, i wsiąść na statek płynący w kierunku absolutnych rubieży cesarstwa. Nigdy nie wrócił do Rzymu. Zmarł na wygnaniu, samotnie, z dala od swoich bliskich i domu. Jak pies. Napisał listy, które należą do najbardziej poruszających, najbardziej przejmujących w całej literaturze. Są zebrane w dwóch tomach: *Żale* i *Listy z Pontu*, ponieważ miejsce jego banicji nosiło w owych czasach nazwę *Pontu*. – Spuścił wzrok i spojrzał na dno filiżanki: Lucia zauważyła, że jest wzruszony. Tak jakby po tylu wiekach straszliwa kara nałożona przez cesarza Augusta na nieszczęsnego poetę wciąż nim wstrząsała. – Te listy to krzyk bólu, rozpacz, a także błagania. Bo Owidiusz błaga dawnych przyjaciół, by pomogli mu odzyskać przychylność Augusta, wrócić do Rzymu albo przynajmniej skłonić cesarza, by zesłał go w jakieś mniej straszne miejsce. W Tomi zimy były długie i surowe, rzeki skuwał lód, a wszystko pokrywał śnieg, zjawisko niemal

nieznane Rzymianinowi; panowały okrutne zwyczaje, a wojna z hordami barbarzyńskimi trwała bez przerwy, docierając nawet do bram miasta. Krótko mówiąc, Tomi było dla Owidiusza piekłem. – Spojrzał na nią. – Wygnanie Owidiusza to jedno z najmroczniejszych zdarzeń starożytności. Skąd taka kara? Oficjalnie powodem był niemoralny charakter jego dzieła *Sztuka kochania*. Ale dzieło to zostało opublikowane siedem lat wcześniej bez żadnych przeszkód. Sądzi się, że prawdopodobnie nie było to jego jedyne przewinienie, że musiał popełnić jakieś inne, według Augusta poważniejsze. Jednak nie zostało ono ujawnione. Nie ma po nim śladu prócz tego, że sam Owidiusz w listach nawiązuje do tej drugiej winy, która była większa od pierwszej, ale nieumyślna, i która miała być prawdziwą przyczyną jego wygnania. Napisał mniej więcej coś takiego: zostałem ukarany, ponieważ moje oczy mimowolnie coś ujrzały, więc jedyną moją winą jest posiadanie oczu. To coś z całą pewnością musiało mieć związek z cesarzem Augustem. Tajemnica, która okrywa tę sprawę, od dwóch tysięcy lat jest źródłem mnóstwa hipotez i domysłów w środowisku specjalistów od starożytności, także tych z mojego uniwersytetu. – Dokończył kawę i odstawił filiżankę. – Być może morderca sam doświadczył jakiegoś wygnania, może lektura Owidiusza przypomina mu jego własny los – stwierdził. – Innymi słowy w Graus, w tej odizolowanej części kraju, tak daleko od dużych miast, na północnych rubieżach Hiszpanii i Aragonii, sam czuł się jak banita.

Lucia patrzyła na Salomóna w zadumie. Starożytność ani trochę jej nie pasjonowała, ale kryminolog miał dar opowiadania. Pomyślała, że on i Adrián znaleźliby wspólny język – obaj lubili sztukę, stare księgi i starożytne cywilizacje.

– Trzeba by się dowiedzieć, kto przyjechał do tego miasta albo w okolice jakiś czas przed podwójnym morderstwem – mówił dalej.

Gdy Lucia tak wpatrywała się z uwagą w Salomóna, coś przemknęło jej przez głowę – jakiś obraz, wspomnienie – ale uleciało, ledwie musnąwszy jej świadomość.

– A może te sceny wcale nie odsyłają do losów Owidiusza, a do samych *Przemian*? – zasugerował. – Morderca tak naprawdę mówi nam o własnej metamorfozie. O przemianie w potwora. – Zamierzał jeszcze coś powiedzieć, ale nagle przerwał. Po błysku w jego oku Lucia poznała, że właśnie wpadł na jakiś pomysł.

– Masz tam akta ostatniej sprawy, tego podwójnego morderstwa z Benalmádeny? – Wskazał na grubą teczkę spoczywającą na stoliku. – Czytałem informacje wprowadzone do DIMAS-a przez wolontariuszy z Guardia Civil, którzy od dwóch lat zasilają bazę danych – powiedział. – Jeśli dobrze pamiętam, była tam mowa o lokatorze sąsiedniego domu uznawym za podejrzanego. O człowieku, który wynajmował tamten dom w czasie, kiedy zabito Anglików. Nie udało się go namierzyć, sam też się nie zgłosił. Długo był uznawany za głównego podejrzanego, ale nigdy nie został znaleziony. Najwyraźniej podał fałszywe nazwisko. Spojrzałybyś, czy nie ma tam kopii umowy najmu tamtego domu?

Przez chwilę grzebała w papierach, aż wreszcie znalazła dokument.

– Naso. Sąsiad wpisał do umowy nazwisko Naso – powiedziała. – Oczywiście fałszywe. Nie znaleziono żadnego Naso, który by pasował.

Salomón potwierdził ruchem głowy.

– Publius Ovidius Naso: tak brzmią po łacinie pełne imiona i nazwisko Owidiusza. Człowiek, który wynajął sąsiedni dom, a potem zniknął, jest mordercą. Nie ma wątpliwości. Twój przyjaciel ma rację. Inspiracjami dla tego gościa są Owidiusz i jego *Przemiany*. I chciał, żeby ten fakt został odkryty. Wszędzie zostawiał wskazówki. Od samego początku wodzi nas za nos. Gra z nami jak magik ze swoją publicznością. Wie, kim jesteśmy i co robimy.

Zapadła cisza. Lucia wstała. Kryminolog zrobił to samo. Szli do wyjścia, kiedy nagle położyła dłoń na jego ramieniu. Wspomnienie wróciło – wyraźniejsze, dokładniejsze.

– Widziałam tę książkę, te *Przemiany*.

– Gdzie?

Zastanawiała się przez chwilę.

– W Graus... U Césara Bolcána!

– Jesteś tego pewna?

– Absolutnie. Obawiam się, że musimy tam wrócić. Wiemy, że tam wszystko się zaczęło. I być może tam się skończy.

PONIEDZIAŁEK PO POŁUDNIU

Sześć godzin później wcisnęli przycisk domofonu przy calle Prior. Tym razem pokonali trasę przez wyżyny Mesety i równiny Aragonii bez zatrzymywania się na lunch. Lucia trzykrotnie próbowała się dodzwonić do Bolcána. Bez skutku. Za każdym razem trafiała na pocztę głosową.

Niebo było szare, zachmurzone, ulice Graus tak samo ciemne jak poprzednim razem. Pomyślała o złowrogiej osadzie Tomi nad Morzem Czarnym, miejscu wygnania Owidiusza. Stwierdziła, że gdyby wysłano ją tutaj, przeżywałaby to samo co on. By czuć, że żyje, potrzebowała miasta, hałasu, tłumu, samochodów. Nawet obszary przemysłowe wydawały jej się piękniejsze od natury w stanie pierwotnym. Jej upodobania nie były ani trochę ekologiczne, wiedziała o tym.

Jeszcze raz wcisnęła guzik. Żadnej odpowiedzi. W sąsiednich drzwiach ukazała się drobna kobieta o pomarszczonej twarzy. Właśnie wychodziła na zakupy.

- Szukają państwo Césara?
- Tak – odparła Lucia. – Wie pani, gdzie jest?
- Wyjechał wczoraj z Ángelem na swoją *finca* ¹.
- Czyli dokąd? – zapytała gwardzistka, pokazując odznakę.
- Tam – odparła kobieta, szerokim gestem wskazując na północ i góry rozciągające się za domami. – Trzeba jechać na Benasque, a potem odbić na Panillo. Kilka kilometrów dalej zobaczycie po prawej drogę, która prowadzi do Ejep. Farma jest kawałek dalej. Nie przegapi jej pani, to jedyny dom w promieniu kilku kilometrów.

– Dziękuję.

Odprowdziła wzrokiem starszą kobietę, która oddalała się z koszykiem na zakupy w ręku.

– Co robimy? – zapytał Salomón.

Spojrzała na niego z niezadowoloną miną.

– Nie wiem.

– Naprawdę jesteś pewna, że widziałaś *Przemiany* w jego mieszkaniu?

Lucia nie odpowiedziała. Wahała się, jej serce było odrobinę zbyt szybko.

– Powinniśmy to sprawdzić – oświadczyła w końcu.

– Wystarczy, że go zapytamy – zasugerował profesor.

Oczyrna wyobraźni ujrzała Sergia przyklejonego do krzyża, z twarzą uniesioną ku niebu. Westchnęła.

– Zaraz przyjdę, zaczekaj – powiedziała.

Wróciła do samochodu, otworzyła bagażnik, wzięła do ręki owinięte w ściereczkę narzędzia, których od lat nie dotykała – i sądziła, że nigdy więcej nie będzie musiała się nimi posłużyć. Ich użycie było nie tylko pogwałceniem zasad, ale mogło ją kosztować wydalenie ze służby. Po co w takim razie zostawiła je na dnie bagażnika? Nie miała pojęcia. Otrzymała ten zatruty podarunek od włamywacza, którego kiedyś złapała; puszczając do niej oko, powiedział: „Tam, gdzie idę, już mi się nie przydadzą”. Zestaw wytrychów. Użyła go tylko raz w swojej karierze, kiedy podejrzewała, że wielokrotny gwałciciel więzi nastolatkę, która zaginęła dwie ulice od swojego domu. Sędzia odmówił wydania nakazu, uznawszy, że jest do tego za mało przesłanek. Przynaglona poczuciem konieczności, przekonaniem, że biedna dziewczyna jest w tym mieszkaniu, i wyobrażeniem potworności, przez które tam przechodzi, Lucia zaczęła, aż gospodarz wyjdzie, i włamała się do budynku. Kiedy przetrząsała dom podejrzanego z góry do dołu, zadzwonili do niej z informacją, że zwłoki nastolatki zostały znalezione na wysypisku śmieci dwadzieścia kilometrów od miejsca, w którym Lucia właśnie przebywała. Miała do siebie pretensje, że tam weszła, do chwili, gdy na łóżku mężczyzny zobaczyła damskie majtki w rozmiarze trzydzieści cztery. Przypomniała sobie słowa matki tamtej dziewczyny: tego dnia, kiedy zaginęła, miała okres. Natychmiast oddzwoniła do zespołu, który był na wysypisku. Zapytała, czy ofiara ma na sobie majtki. Okazało się, że był to jedyny brakujący element odzieży.

– To jest legalne? – zapytał Salomón, obserwując, jak Lucia naciąga rękawiczki, a następnie, rozejrzawszy się ostatni raz, wsuwa wytrych do zamka.

Po minucie byli w środku. W przedsionku panowała absolutna cisza, którą jeszcze potęgowały ciemności i wszechobecny kurz. Podała parę rękawiczek Salomónowi, który długo się wahał, zanim je włożył. Weszli po stopniach i pokonali korytarz na piętrze. Z wnętrza domu nie dochodziły żadne dźwięki. Te same co ostatnio regały pełne starych książek, te same ciężkie zasłony, ten sam parkiet trzeszczący pod stopami, ten sam zapach wosku, papieru, atramentu i starości.

– Tutaj – powiedział nagle Salomón.

Zdjął z półki jakąś książkę i w słabym dziennym świetle wpadającym przez okna pokazał Lucii:

*EX P. OVIDII NASONIS
METAMORPHO
SEΩN LIBRIS XV
ELECTORVUM
LIBRI TOTIDE
ULTIMO INTEGRO*

Stare wydanie. Po łacinie.

– To nie ta, którą widziałam – powiedziałam. – Nie znam ani słowa po łacinie, na pewno bym nie skojarzyła. Wygląda na to, że ma kilka wydań – dodała, wskazując na tom, który zauważyła już wcześniej na fotelu.

– Co robimy? – zapytał Salomón z lekkim wahaniem w głosie.

– Trzepiemy.

Wskazała na szuflady w dolnej części regału.

– A jeśli wrócą?

– To będziemy w dupie.

W pierwszych szufladach nie było niczego szczególnego. Rachunki, wyciągi bankowe, listy zakupów, chusteczki higieniczne, długopisy, baterie, żarówki ledowe, recepty, leki. W kolejnej znalazła plik czarno-białych zdjęć. Zbliżyła je do lampy.

Na starych fotografiach uwieczniono procesje religijne. Mężczyźni w czarnych, szpiczastych kapturach, przypominających kształtem nakrycia głowy członków Ku Klux Klanu, nieśli posąg Najświętszej Maryi Panny; stare kobiety krzyczały, płakały i rwały włosy z głowy, jakby osobiście przeżywały Mękę Chrystusa; bosa dziewczyna w sukni ślubnej szła ze

spuszczoną głową brudną, usłaną odpadami uliczką z ciężkim krzyżem na ramionach. Prawie nagi mężczyzna opuścił slipy i z figlarną miną oraz butelką wina w ręku sikał na ulicę; karły w strojach toreadora, dzieci leżące w trumnach... Atmosfera hysterii, religijnego obłądu – ale także bachanaliów i pogańskich świąt.

Lucia zadrżała. Widziała już podobne zdjęcia. Te, które miała przed oczami, przedstawiały Hiszpanię z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, kraj jej przodków, głęboką prowincję. Frankistowską, katolicką Hiszpanię leżącą z dala od turystycznych tras. Popęd życia i popęd śmierci. Mistycyzm, nadprzyrodzoność i masochizm. Poczucie sacrum i zmysł religijny zlewające się z najbardziej burzliwymi, mrocznymi siłami żywymi. Zastanawiała się, czy César Bolcán brał kiedyś udział w takich procesjach i czy te zdjęcia mogą im się przydać w śledztwie. Czy to możliwe, by obecność *Przemian* w jego domu była zwykłym zbiegiem okoliczności? Instynkt podpowiadał jej, że nie. Był stąd, znał ofiary. Musiał istnieć jakiś związek...

Nagle zauważyła pewien szczegół. Na każdym zdjęciu pojawiała się co najmniej jedno dziecko. Czy to w ubiorze pierwszokomunijnym, czy to niosące krzyż i idące za kapłanem, czy to bawiące się z innymi dziećmi, czy to tańczące w stroju ludowym. Lucia odgadła, że choć na tych obrazach dzieci nigdy nie znajdują się w centrum kadru, to one tak naprawdę są ich tematem. Pokazała je Salomónowi.

– Lata sześćdziesiąte, siedemdziesiąte. Stara Hiszpania: katolicka, pobożna, mistyczna i zabobonna – skomentował.

– Zauważyłeś, że na każdym z tych zdjęć jest przynajmniej jedno dziecko?

– Tak... I co w związku z tym?

– Pamiętasz, co napisał Ferran w pamiętniku à propos zaginięcia chłopca?

– Chodzi ci o tę hipotezę z siatką pedofilską? Lucio, to tylko zdjęcia. To niczego nie dowodzi.

Zastanawiała się przez chwilę.

– Czy ty byś zbierał takie zdjęcia? Coś w nich jest... Zobacz: nie ma ani jednego, na którym nie pojawiałyby się dziecko.

– Tak – powiedział, nagle zamyślony. – W tamtych czasach nie było Internetu. Do dyspozycji mieli jedynie zrobione ukradkiem zdjęcia. Musiał

je zachować na pamiątkę.

– W takim razie na pewno nie działał sam – powiedziała.

Wyszli z domu po około dwudziestu minutach. Niczego nie znaleźli, ale Lucia czuła coraz większe napięcie. Zatrzymała się na środku ulicy. Jej instynkt aż krzyczał, że rozwiązanie jest tutaj, tuż-tuż, i że stary gwardzista jest jego częścią.

– Jedziemy na tę działkę – postanowiła. – Przesłuchamy Bolcána.

Zobaczyła, że Salomón się zaniepokoił.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł spotkać się z nim i Ángelem w takim odludnym miejscu? Czy ktoś wie, że tutaj jesteśmy?

1. *La finca* (hiszp.) – posiadłość, farma. [\[wróć\]](#)

PONIEDZIAŁEK PO POŁUDNIU

Niebo było metalicznie szare i zimne, przesuwwały się po nim chmury przypominające grafitowy pył. Szeroka, monochromatyczna panorama. Łyse wzgórza, niska roślinność, skalisty, pobrużdżony teren. Wszystko pobielone i zaokrąglone warstwą puchu.

Wyjechali z Graus w kierunku północnym drogą A-139, przecinającą krajobraz piękną czarną wstęgą, opuścili ją na wysokości jakiejś osady i ruszyli drogą pełną dziur i kolein wiodącą wśród wzgórz. A potem zgodnie ze wskazówkami skręcili w wąską drogę – kamienistą, pooraną, schodzącą łagodnie po zboczu ku dużej niecce otoczonej białymi pagórkami. Samochód kołysał się na wybojach.

– Trzy kilometry stąd jest buddyjski klasztor – powiedział Salomón z nosem utkwionym w telefonie, by rozładować atmosferę. – Piszą, że został założony w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym przez Kalu Rinpoczego, prawdziwego tybetańskiego mistrza medytacji, ponieważ ta część przedgórza Pirenejów przypominała mu Nepal.

Uświadomił sobie, że Lucia prawie go nie słucha. W zasięgu wzroku nie było żadnego domostwa poza jednym budynkiem nieco niżej. To tutaj. *Finca César*a. Od drogi odchodziła nitka dojazdowa. Lucia skręciła i samochód zaczął podskakiwać jeszcze bardziej. Zaparkowała przed domem.

Duży budynek wyglądał na niezamieszkały. Okiennice były zamknięte. Zatrąbiła. Nic, żadnej reakcji. Odpaliła silnik, wykonała krótką zawrotkę, aż spod kół strzeliły w górę drobne kamyczki, i ustawiła samochód przy wyjeździe z działki, jakieś sto metrów dalej. Zahamowała i otworzyła drzwi.

– Zostań tutaj – zwróciła się do Salomóna, wysiadając. Sięgnęła do kieszeni po telefon. Sprawdziła zasięg. Jedna kreska. Słabo, ale wystarczy. – Bądź czujny. Jeśli ktoś się pojawi, zadzwoń do mnie, okej?

Skinął głową z zatroskaną miną.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? – przemówił wreszcie. – Może powinniśmy zawiadomić Guardia Civil?

– I co im powiemy? Że się włamaliśmy do emerytowanego gwardzisty? Że w jego domu był egzemplarz *Przemian* Owidiusza i zdjęcia z procesji z dziećmi?

Lucia puściła do niego oko i ruszyła w stronę zabudowań. Profesor spojrział na oddalającą się drobną kobietę i poczuł w stosunku do niej ogromny podziw.

Wpatrywała się w dom, schodząc ku niemu ścieżką, przy której rosły sięgające jej do pasa, ośnieżone iglaste krzewy. Nie widziała żadnych oznak życia. Miejsce zdawało się bezлюдne. A przecież sąsiadka powiedziała, że pojechali na działkę. Gdzie się więc podziali? Szła szybko, ze wzrokiem utkwionym w zabudowania.

Kompletna cisza sprawiła, że Lucia poczuła się nieswojo. Ale może źródłem jej dyskomfortu było po prostu to miejsce, ten sielski spokój, który zakłócały tylko poświstywanie wiatru i zachmurzone niebo?

Nagle przystanęła. Schyliła się. Ślady opon: odcisnięte w cienkiej warstwie śniegu cztery identyczne ślady jej SUV-a prowadzące tam i z powrotem oraz cztery szersze, niemal równoległe, szersze bruzdy wyżłobione przez koła innego samochodu.

Czyli przyjechali i odjechali... Pod jej stopami chrzęścił żwir. Dotarła do budynku. Nie było dzwonka, więc naciągnęła świeże rękawiczki i zastukała do drzwi. Żadnej odpowiedzi. Zastukała powtórnie, tym razem pięścią. Nic. Znowu pomyślała o Sergiu i po raz drugi w ciągu niespełna godziny wyjęła swoje „narzędzia”.

Pół minuty później była w środku. Ostatni raz rzuciła okiem na swojego hyundaia zaparkowanego sto metrów dalej, u wylotu drogi, i zamknęła drzwi. Wsłuchiwała się w ciszę. Doświadczała tej samej mieszanki stresu, ekscytacji i podenerwowania, która towarzyszyła jej zawsze, ilekroć zapuszczała się na nieznaną teren, co do którego nie miała pewności, czy jest bezpieczny. W półmroku widziała przedsionek o wymiarach mniej więcej cztery na cztery metry z dwoma szerokimi stopniami po prawej, prowadzącymi na wyższy parter z drzwiami po każdej stronie. Dwa kolejne stop-

nie wiodły do przestronnego salonu. Obok schodów znajdował się podjazd dla wózka inwalidzkiego.

Zrobiła głęboki wdech. W przedsionku o białych ścianach nie było absolutnie nic interesującego. Weszła na pierwszy poziom. Otworzyła drzwi po prawej: komórka pełna wiader, mioteł, szmat i środków czystości. Zajrzała również za drugie drzwi, za którymi znajdowała się niewielka toaleta.

Ruszyła dalej do dużego, wysokiego salonu z widoczną więźbą dachową. Pomieszczenie miało rozmiary sali balowej: minimum sto metrów kwadratowych, może więcej. Po prawej, w pobliżu okien o zamkniętych okiennicach, kącik wypoczynkowy ze skórzanymi sofami, ławą i fotelami. Biblioteczka – César Bolcán stanowczo kochał książki – a w głębi wielki komin z surowego kamienia. Pod ścianą gerydony i stare komody, a na nich lampy z abażurami. Czarny fortepian. Przez zamknięte żaluzje przesączała się słaba poświata. Lucia podeszła do kaloryfera. Ciepły. Ktoś tu niedawno był.

Za jej plecami, po lewej, były jakieś drzwi. Podeszła do nich, nacisnęła klamkę. Zobaczyła niewielki podjazd dla wózka, dalej wąski korytarz wyłożony jasnym sosnowym drewnem, prowadzący w głąb, który – jeśli nie myliła się co do rozkładu domu – przechodził za toaletę i przedsionek.

Lucia wcisnęła włącznik światła i ruszyła korytarzem. Panował tu zaduch, ale poza nim nie czuła żadnych szczególnych zapachów. Jej uwagę przykuł rząd zdjęć wiszących na lewej ścianie. Podeszła bliżej. Fotografie za szkłem, oprawione w tanie drewniane ramki. Na pierwszej César Bolcán pozował na stojąco w towarzystwie trzech mężczyzn. Obejmowali się za ramiona i uśmiechali do obiektywu z zaraźliwą energią i entuzjazmem. Na kartoniku pod zdjęciem odręczny podpis informował: *Boże Narodzenie 1983*. Lucia obliczyła, że Bolcán miał na tym zdjęciu jakieś czterdzieści lat. Był wysoki, szczupły, znacznie młodszy, ale łatwo dało się go rozpoznać po charakterystycznym znamieniu na twarzy. Przeszła do następnego zdjęcia. *Sierpień 1991*. Bolcán w towarzystwie innych przyjaciół, objęci tak jak na poprzednim zdjęciu. Ale tym razem osób było pięć. Trzecie zdjęcie: *Wszystkich Świętych 1994*. Na każdej fotografii pozujące osoby się zmieniały. Powtarzały się tylko niektóre. I pod każdą znajdowały się daty. *Boże Narodzenie 1993. Czerwiec 1997*.

Na widok tych zdjęć poczuła jakiś rodzaj zakłopotania. Coś w nich wywoływało u niej dyskomfort, niepokój. Nie było tam kobiet, sami męż-

czyźni. Ale nie, chodziło o coś innego. Podeszła bliżej, prawie przyklejając nos do szkła. Zrozumiała. Ten wzrok. Chodziło o ich wzrok. Wszyscy ci mężczyźni mieli identyczne spojrzenie, ich źrenice lśniły z intensywnością i wrogością, które przyprawiły ją o gęsią skórkę. Byli naćpani albo... albo podnieceni. Kto to był? Myśliwi? Imprezowicze? Nie mieli żon, narzeczonych, rodzin? Skąd się wzięli? Co robili? Lucia doświadczyła w swoim życiu wystarczająco dużo ze strony mężczyzn, którzy zachowywali się jak drapieżcy, by wiedzieć, że ci ze zdjęć nie byli inni. Pomyślała, że nie chciałaby znaleźć się z nimi w jednym pomieszczeniu.

Jeśli zaś chodzi o pomieszczenie, to wszystkie zdjęcia wykonano w salonie tego domu, obok kominka. Po co ci faceci przyjeżdżali do takiej dziury? Naliczyła w sumie trzydziestu. Na jedenastu zdjęciach wykonanych w ciągu niemal dwudziestu lat. Wstrzymała oddech. Co tu się dzieje? Nie wiedziała, czy problem leży w tych zdjęciach, czy w ciszy, ale atmosfera panująca w domu była jakaś niezdrowa. A może ponosiła ją wyobraźnia.

Ruszyła dalej. Dwoje kolejnych drzwi, z lewej strony korytarza. Otworzyła je. Zapaliła światło. Dwie małe sypialnie. Łóżka były rozgrzebane, na oparciu jednego z krzeseł wisiały ubrania. Wyglądało na to, że mężczyźni mają osobne pokoje, ale są nierozłączni. Jaki właściwie jest charakter ich relacji?

Nietrudno było zgadnąć, która sypialnia należała do którego z nich. W pierwszej na szafce nocnej leżał stosik książek, stare okulary do czytania, szklanka i fiolka tabletek przeciwcukrzycowych – Forxiga 10 mg. W drugim telewizor Samsung o przekątnej ekranu 58 cali, konsola PS4, potężne hantle, a na szafce nocnej materiały do robienia jointów. W dodatku łazienka przy pierwszej sypialni była przystosowana do potrzeb osoby na wózku.

Wróciła do salonu, znowu mijając zdjęcia. Miała ochotę uciekać, ale była przekonana, że dom nie wyjawiał jej jeszcze swoich tajemnic. Jeśli było coś do odkrycia, to właśnie tutaj. Musi odeprzeć pokusę, by działać w pośpiechu. Stała pośrodku salonu i próbowała się skupić. Podeszła do jednego z gerydonów. Na blacie leżał plik broszur. Zorientowała się, że to komiksy. *Mortadelo, Tío Vivo, Spirou Ardilla, El Capitán Trueno...* Same stare numery, z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, wydrukowane na kiepskim papierze, farbą drukarską, która brudziła palce. Niektóre z nich były wydawane i czytane przez setki tysięcy dzieciaków, kiedy jej nie było

jeszcze na świecie. Bo chodziło wyłącznie o komiksy dla dzieci i młodzieży.

Przypomniała sobie zdjęcia dzieci, które znaleźli w domu Bolcána. Poczowała się tak, jakby w jej żyłach nagle popłynął płyn do chłodnic. Wedle jej wiedzy Bolcán nie miał dzieci, tym bardziej więc nie miał wnuków. Co zatem robiły w salonie komiksy dla młodzieży? Nostalgia? Kaprys kolekcjonera? A może coś innego? Zerknęła na zegarek. Od chwili, gdy tu weszła, upłynęło dwadzieścia pięć minut.

Nagle rozległ się dźwięk, od którego serce podskoczyło jej do gardła. Po chwili uświadomiła sobie, że to jej telefon. Salomón.

– Lucio, wszystko w porządku? Nikogo tam nie ma?

– Nie, dom jest pusty.

– Znal...ś coś?

– Zdjęcia mężczyzn na ścianach, komiksy dla dzieci. To wszystko.

– Czas płynie.

– Wiem. Zadzwoń, gdyby ktoś się zbliżał.

– Luci... powinnaś... oni tu wró...

Zasięg był słaby, rozmowa się rwała. Lucia zakończyła połączenie i zamyśliła się. Obeszła salon jeszcze raz, mijając kominek, biblioteczkę, kącik wypoczynkowy.

Nagle przemknęło jej przez głowę, że przecież stare budynki zawsze są podpiwniczone. Gdzie jest zejście do piwnicy? Spróbowała zorientować się w układzie domu. Wróciła na korytarz. Na jego końcu stała duża dębowa szafa. Lucia minęła sypialnię, podeszła do niej i otworzyła drzwi. Z jednej strony znajdowały się półki z prześcieradłami, kołdrami, bielizną pościelową pachnącą lawendą i środkiem na mole, z drugiej – poprzeczka z wieszakami, na których jednak nie wisały żadne ubrania.

Lucia przesunęła dłonią po dębowych plecach szafy w poszukiwaniu ukrytego przejścia, jak w filmach. Na próżno. To była tylko w połowie pusta szafa. Co ona sobie wyobrażała? Zamknęła drzwi i już miała odejść, kiedy zauważyła pewien szczegół. Szafa nie miała nóg, jej dno stało bezpośrednio na podłodze. Lucia gotowa była się założyć, że podobnie jak wszystkie stare szafy, i ta miała kiedyś cztery nogi, ale je odpiłowano.

Otworzyła drzwi jeszcze raz, zanurkowała do środka i położyła dłoń na dnie. Nacisnęła. Trafiony, zatopiony. Podłoga ustąpiła o kilka milimetrów. Nie była przymocowana... Nie przestając naciskać, przesuwiała dłoń

w prawo i w lewo, i zauważyła, że sklejka również przesuwa się w poziomie, stopniowo odsłaniając ciemną, kwadratową studnię.

Zmusiła się, by uspokoić przyspieszone bicie serca. W prawej ścianie były umocowane niewyraźnie połyskujące w mroku metalowe szczelby. Włożyła lewą dłoń do niezbyt zachęcającego ciemnego otworu, obmacała sufit dookoła i znalazła włącznik. Rozbłysło światło.

Studnia była niezbyt głęboka, miała mniej niż trzy metry. Prowadziła do wnętrza, które przypominało piwnicę o podłodze z klepiska i bardzo starych kamiennych ścianach. Telefon Lucii zawibrował. Salomón. W jego głosie było słychać niepokój.

– Lucia... gdzie jes...? To już ponad czterdzi... minut. Oni... powinniśmy...

– Znalazłam coś.

– Lu... Na miłość ...ską!

– Daj mi jeszcze trochę czasu.

– Źle cię sły... Gdzie ...steś?

Znowu się rozłączyła, odwróciła się, by tyłem zejść w głąb dziury, trzymając się brzegów otworu drzwiowego szafy i po omacku szukając stopami szczelby. Usiłowała przegnać napięcie, nie myśleć o tym, co zastanie na dole, zamknąć się na obrazy, które podsuwała jej wyobraźnia. Domyślała się jednak, że nie będzie to przyjemny widok.

Szczelbel za szczelblem. Zerknęła na telefon. Żadnych kresek. Brak zasięgu. Gdyby na górze coś się działo, nie dowie się o tym. W razie konieczności Salomón z pewnością poradziłby sobie z Bolcánem, ale był jeszcze Ángel, przypakowany diler na sterydach.

Miejsce, w którym się znalazła, było czymś w stylu przedsionka o powierzchni dwa na cztery metry, z metalowymi drzwiami na końcu, zamkniętymi na wielki rygiel. Odsunęła go i otworzywszy drzwi, wymacała włącznik przy futrynie po drugiej stronie. Nie wiedziała, czego się właściwie spodziewała – ale na pewno nie tego.

Salomón spojrział przez przednią szybę na zachmurzone niebo. Zerknął na zegarek. Zaczął go ogarniać niepokój.

Wyteżył słuch. Nagle z oddali dobiegł go cichy warkot. Odwrócił głowę w stronę miejsca, gdzie wyboista droga dochodziła do asfaltu, siedemset

metrów dalej. Otworzył okno, wpuszczając do środka zimne powietrze. Nadstawił uszu.

Odgłos silnika... W oddali, na zakręcie, zobaczył terenówkę. Samochód jechał szybko, warcząc i strzelając spalinami z rury wydechowej w zimne powietrze. Skręcił z głównej drogi na tę samą ścieżkę, na której stał hyundai Lucii. Masywny czarny jeep wrangler. Był coraz bliżej. Z dwoma mężczyznami na pokładzie.

Lucia przegnała obrazy napływające do jej umysłu. Powinna być spokojna, skupiona. Nie pozwolić, by cokolwiek ją rozpraszało. A jednak kiedy dotarło do niej, co ma przed oczami, poczuła, jak krew zamarza jej w żyłach.

Zobaczyła bowiem nisko sklepione pomieszczenie o wymiarach osiem na pięć metrów, z klepiskiem zamiast podłogi. Była to podziemna sypialnia. W żywych kolorach, bo na kamiennych ścianach rozwieszono pstrokate prześwitujące tkaniny: żółte, różowe, pomarańczowe, błękitne, zielone i fuksjowe. W pomieszczeniu stały dziecięce łóżka. Podłogę wyściełały grube, miękkie dywany w pastelowych kolorach, przy łóżkach umieszczono szafki nocne z ikei pomalowane na różowo, złoto i niebiesko, a nad nimi znajdowały się kuliste białe lampy rozsiewające łagodny, mleczny, opalizujący blask oświetlający wzorzystą pościel, na której spoczywały lalki, plastikowe zabawki, wszelkich rozmiarów pluszaki – misie, kotki, pieski, pandy, tygrysy – a także komiksy.

Zamknęła oczy i ponownie je otworzyła. Patrzyła na pokój, ale tak naprawdę go nie widziała, jej umysł jakby się zablokował. Ile dzieci przebywało tu w tym samym czasie? Ile przewinęło się przez tę piwnicę przez te wszystkie lata? Przypomniała sobie daty ze zdjęć: 1983, 1991, 1993, 1994, 1997. Kilkanaście lat... Potwierdziło się to, czego się obawiała od chwili, gdy zobaczyła u Bolcána tamte zdjęcia. Wyjaśniło się, dlaczego na wiszących na ścianie fotografiach byli sami mężczyźni – i w jakim celu przyjeżdżali na to odludzie.

Ugięły się pod nią nogi. Czuła w głowie pustkę, jakby ktoś odciął dopływ tlenu do jej mózgu, pojawiły się pierwsze zwiastuny omdlenia. Zrobiła kilka głębokich wdechów i wydechów.

Pierdolone zboki! Weszła głębiej do pomieszczenia. Łóżka były zaścienione. Szafki nocne i okrągłe lampki pokrywała gruba warstwa kurzu – jed-

nolita, bez śladów dotykania czy ścierania. Kiedy przyjrzała się dokładniej, zauważyła dużo pajęczyn. Przynajmniej w ostatnim czasie nie było tu żadnych dzieci, pomyślała – jeśli to w ogóle miało jakieś znaczenie. Od kiedy? Odkąd Bolcán miał wypadek i już nie mógł tu schodzić? Czy wtedy zamykał dzieci w innym pomieszczeniu?

Wyszła z piwnicy, wspięła się po metalowych szczeblach do szafy i ruszyła korytarzem prowadzącym do salonu. Zatrzymała się przed zdjęciami. I nagle ogarnął ją niemożliwy do okiełznania gniew, który zalał jej mózg. Z całej siły walnęła pięścią w jedno ze zdjęć, rozbijając szybkę.

Ostre kawałki szkła przecięły lateksową rękawiczkę i poraniły jej palce aż do kości. Ramka spadła na podłogę. Z zakrwawioną dłonią Lucia wpadła do salonu i z wrzaskiem rzuciła się w kierunku biblioteki, wywracając ułożony na podłodze stosik książek.

Salomón patrzył na zbliżającą się terenówkę. W środku zobaczył dwóch mężczyzn, których nie znał. Samochód minął go i ruszył dalej wyboistą drogą. Może jechali do Ejep, miejscowości, o której wspominała sąsiadka Bolcána. Lucia, do cholery, co ty wyprawiasz? Sięgnął po telefon.

Dziennik. Znalazła go za książkami, które rozrzuciła w przypływie furii. Notes ze sprzączką z połączanego mosiądzu – małym, wykonanym ręcznie haczykiem, nadającym mu wygląd retro. Ale sprzączka była jedynym miłym elementem tego notesu, który po chwili zaczął parzyć Lucię w dłonie. Już pierwsze zdania sprawiły, że zrobiło jej się niedobrze:

25 grudnia 1983. Jest północ. Dziś zaczynam prowadzenie dziennika. To Boże Narodzenie zapisze się w annałach jako jedno z najwspanialszych w moim życiu. Sądzę, że nigdy nie dostałem prezentu równie wspaniałego jak ta dwójka dzieci. Przywiózł mi je Leandro, którego poznałem w wojsku. Kiedy zaparkował przed domem, spały na tylnej kanapie terenówki oparte o siebie jak aniołki, otumanione i bezwładne: chłopiec i dziewczynka, brat i siostra. Cóż za rozkoszny widok! Później, gdy się obudziły, były przerażone i sprawa trochę się skomplikowała. Trzeba będzie znaleźć jakiś sposób, żeby odzyskały poczucie bezpieczeństwa, a przynajmniej żeby je uspo-

koić, wyciszyć, wytłumaczyć, że mogą z tego czerpać przyjemność... Lekarz nam pomoże, będzie wiedział, co im podać.

To, co następowało dalej, było tak potworne, że mało brakowało, a Lucia rzuciłaby tym obrzydlistwem w najdalszy kąt. Zmusiła się jednak do czytania. Jej mózg płonął. Wzięła głęboki wdech i z powrotem zatopiła się w lekturze.

12 sierpnia 1991. Jestem dumny z naszych dokonań. Z przebytej drogi. Ile stworzeń zostało poddanych naszym żądom, wydanych na pastwę mroku od początku naszej działalności? Ile mrocznych rytuałów odbyło się wśród tych ścian, ile było tryumfów, ile ofiar? Dwadzieścia trzy. Musimy jednak znaleźć sposób, żeby zwiększyć tempo. Apetyt i potrzeby – zarówno moje, jak i moich towarzyszy – rosną, w miarę jak nasza wyobraźnia, perwersje i rozkosze stają się bardziej wyrafinowane, rozbu-chane, gwałtowne. Cierpienia tych biednych istot napełniają mnie niesamowitą siłą i mocą. To miejsce to nasz raj i ich piekło, Alfa i Omega, Jin i Jang, absolutna dualność. Nigdzie na świecie nie ma nic wspanialszego niż to, co robimy w tym domu, niż to zwycięstwo mroku nad światłem. Tak, jesteśmy LUCYFERIANAMI.

Pierdolony słowotok, debilna, niespójna filozofia próbująca ubrać podłość we wzniosłe słowa, pomyślała. BANDA ZBOKÓW! Drżącą dłonią przewracała kartki; żołądek piekł ją tak, jakby się czymś struła. Miała świadomość, że gdyby teraz stanął przed nią Bolcán, prawdopodobnie sięgnęłyby po broń.

Wszystkich Świętych 2003. Internet to cudowny wynalazek. Ludzie tacy jak my mogą wreszcie się odnaleźć, spotkać, odkryć, że nie są sami, dowiedzieć się, że tak naprawdę są nas tysiące. Legion. Nie ma wątpliwości, że w najbliższych latach Internet będzie zwycięstwem, przyczółkiem wszystkich szaleńców, degeneratów, kryminalistów i fanatyków. Ci, którzy wymyślili Internet, otworzyli największą puszkę Pandory w całej historii ludzkości. Wyzwolili niepowstrzymany huragan obłądu,

zbrodni, podłości, furii i krwi, który porwie wszystko, co znajdzie się na jego drodze. My zaś staniemy na ruinach starego świata, cywilizacji, moralności, by celebrować tryumf Zła, RADOSNĄ APOKALIPSE...

Ten Bolcán to wariat. Kompletny świr. Ale nie działał sam. Z zapisków wynikało, że porwania dzieci w okolicy nie wystarczały, by zaspokoić nikczemne żądze tej bandy. Musieli sprowadzać ofiary z innych części Hiszpanii, może nawet z zagranicy. To odludzie było idealnym miejscem do ich przetrzymywania. I do ich...

Nie wytrzymała. Rzuciła się do toalety i zgięta w pół, z płonącym przełykiem zwymiotowała do muszli gorzkie fontanny żółci. Czoło miała mokre od potu. Zrobiła kilka głębokich wdechów i wydechów, wytarła nos i usta papierem toaletowym, spuściła wodę i wyszła. Uświadomiła sobie, że krew z jej poranionych palców kapie na podłogę.

W kuchni otwartej na inną część wielkiego salonu, na lewo od kominka, zdjęła rękawiczkę, opłukała palce pod kranem i naciągnęła nową, a tę rozdarta włożyła do kieszeni. Rękawiczka była pocięta tylko z wierzchu, więc Lucia nie zostawiła odcisków.

Wróciła do sali, znowu sięgnęła po dziennik i otworzyła na chybił trafił:

Nasze rytuały sadyzmem i okrucieństwem wykraczają poza wszystko, co można sobie wyobrazić. Popęd życia i popęd śmierci pchają nas ku skrajnościom, jakich ogół ludzi nigdy nie będzie mógł pojąć ani poznać. Jesteśmy brutalni, drapieżni, przerażający, piękni i wszechmocni. Powiedziałbym, że jesteśmy jak Bóg, gdyby nie fakt, że zachowujemy wobec niego tak wielki dystans; i gdyby nasze odrażające czyny nie były pluciem na jego upokorzone oblicze. Ekscesy, których się tutaj dopuszczamy, rodzą niewyobrażalną, nieogarnioną rzeczywistość: święte miejsce naszych pogańskich obrządków, podczas których mieszają się ze sobą nasienie, krew, pot i łzy.

Gwałtownie zatrzasnęła notes. Była zde gustowana do granic możliwości. Pijana wściekłością i nienawiścią. Wróciła na korytarz i sfotografowała

wszystkie zdjęcia. Znajdzie tych mężczyzn i każe im zapłacić za ich zbrodnie. Telefon zawibrował jej w dłoni.

– Co ty wyprawiasz?! – Salomón był już na skraju wytrzymałości.

Tym razem połączenie było lepsze. Może to zależało od miejsca, w którym stała.

– Boże, Salomón, to jest straszne...

– Coś ty tam znalazła?

– Powiem ci, jak skończę.

– Musisz natychmiast wyjść z tego domu! Jesteś tam już prawie godzinę!

– To nie potrwa długo.

– Lucia, na miłość boską, wyłaż stamtąd! Oni mogą w każdej chwili wrócić!

– Za pięć minut skończę.

Rozłączyła się po raz trzeci. Profesor miał rację. Przeciągała strunę. Naraziła na niebezpieczeństwo nie tylko siebie, ale także jego. W dodatku i tak cały materiał, który tu znalazła, zostanie przez sąd uznany za nieważny ze względu na sposób, w jaki go pozyskała. Ale trafiła w dziesiątkę. I skoro znalazła się na właściwej drodze, nie zamierzała się zatrzymywać.

Mimo potwornego obrzydzenia, jakie wywoływała w niej piwnica, z rękami pokrytymi gęsią skórą weszła do dziury i starając się powstrzymać drżenie, obfotografowała sypialnię. Zasunęła skobel i w pośpiechu zaczęła się wspinać po szczeblach. Zatrzymała się w połowie drogi. Czyżby coś usłyszała? Nadstawiła uszu. Nic. W starych domach zawsze coś skrzypi.

Wyszła na dno szafy. Zasunęła panel. Skierowała się do salonu z biblioteką, byle jak ułożyła z powrotem rozsypane książki. Zabierze dziennik. Musi znaleźć sposób, żeby uzyskać nakaz przeszukania, a wtedy, gdy nikt nie będzie patrzył, dyskretnie odłoży go na miejsce. Pozostawienie notesu tutaj narażało go na ryzyko zniszczenia.

Postanowiła, że anonimowo wyśle Bustamantemu zdjęcia z piwnicy wraz z adresem miejsca, w którym zostały zrobione, i podpisem „pedofile”. Jeszcze raz spojrzała na zegarek. No, kochana, spadamy stąd.

Ale musiała zrobić jeszcze jedno. Wróciła do kuchni, zwilżyła ręcznik i metodycznie, na kolanach, zaczęła ścierać z podłogi plamy własnej krwi. Oczywiście to nie wystarczy, jeśli Guardia Civil postanowi użyć preparatu

blue star lub innego ujawniacza krwi, ale prawdopodobieństwo było niewielkie; przecież to nie było miejsce zbrodni.

Serio? Jak byś je w takim razie nazwała?

Następnie wróciła na korytarz, by pozbiierać odłamki szkła, które wrzuciła do muszli i spuściła wodę. Rozejrzała się po raz ostatni – ruchy! – i wreszcie skierowała się do drzwi. Pokonała stopnie dzielące ją od przed-sionka i wyszła wprost w śnieżną szarówkę. Oddychała głęboko, wciągając w płuca lodowate powietrze, w którym znowu wirowały płatki śniegu.

Nagle zamarła. W stodole naprzeciwko zobaczyła jakiś kształt. Zmrużyła oczy. Co to jest? Wzdrygnęła się: miała przed sobą mężczyznę siedzącego na wózku inwalidzkim... Jego ciemna sylwetka, ledwie widoczna w półmroku, znajdowała się niespełna dziesięć metrów od niej. Przez chwilę Lucia była na granicy paniki. Gdzie jest Ángel?

PONIEDZIAŁEK PO POŁUDNIU

Nie odrywając wzroku od stodoły, Lucia wyjęła z kabury beretę, chwyciła ją oburącz i przyjęła przepisową postawę. Jednocześnie czujnie obserwowała, co się dzieje dookoła, przez cały czas zastanawiając się, gdzie się podział Ángel.

A może ci dwaj byli tu od początku... Była 16.03 i na okolicę zaczynała opadać szarówka, kolory stawały się jednolite, kontrasty mniej wyraziste.

Po cienkiej warstwie śniegu i drobnych kamykach ruszyła w kierunku stodoły i nieruchomej postaci w środku. César Bolcán jakby na nią czekał. Siedział absolutnie nieruchomo. Pomyślała, że obserwuje ją z ciemności jak zwierzę ukryte w norze. Nie widziała jego twarzy ani rąk. Widziała tylko czarny kształt. Na wpół człowieka, na wpół maszynę. Mechanicznego centaury.

Czy on też był uzbrojony? Czy czekał, aż do akcji wkroczy Ángel? Zimne powietrze przywierało jak maska do policzków Lucii, na wysokości gardła czuła jednak buchające ciepło, a w klatce piersiowej lekkie kołatanie. Zmusiła się, by oddychać wolniej. Ale ciało miała napięte bardziej niż zazwyczaj.

– Ręce do góry, Bolcán! – zawołała. – Ręce do góry!

Zero reakcji. Szlag. W co on gra? I gdzie jest ten drugi?

– Ręce do góry, skurwysynu!

Nadal zero reakcji. Zrobiła jeszcze jeden krok. I kolejny. Coś tu nie grało. Głowa znajdowała się w zbyt dużej odległości od wózka. Jakby Bolcán nagle zmienił się w olbrzyma albo jakby jakaś tajemnicza siła naciągnęła go jak gumę do żucia.

W powietrzu opadały z rzadka płatki śniegu, a Lucia w końcu stanęła na progu stodoły. Weszła w gęsty mrok panujący w drewnianym budynku, wciąż trzymając gwardzistę na muszce. Mężczyzna ani drgnął.

W pierwszej chwili nie rozumiała tego, co ma przed oczami. Bolcán unosił się kilkanaście centymetrów nad wózkiem, bez żadnego podparcia dla pośladków i nóg. Łydkami ledwie dotykał przedniej części siedziska. Wyglądał jak fakir z music-hallu w numerze z lewitacją. Co to za cud? Najpierw Sergio wisiał w powietrzu, a teraz to?

W końcu zobaczyła linę prowadzącą pionowo od szyi Bolcána do więzby dachowej i zamontowanego pod nią urządzenia, wciągnika podobnego do tych, które można spotkać w wielu stodołach: dwa duże drewniane koła połączone liną owiniętą wiele razy na każdym z nich i zwisającą poniżej drugim sznurem ze stalowym hakiem, na którym powieszono mężczyznę. Ten rodzaj wciągnika umożliwiał podnoszenie ciężkich przedmiotów bez konieczności użycia dużej siły.

Lucia rozumiała, w jaki sposób Bolcán tego dokonał: najpierw założył sobie pętlę zaciskową na szyję, a następnie przywiązał linę do haka opuszczonego na odpowiednią wysokość. A potem pociągnął za drugą linę, która uruchamiała wciągnik. W chwili, gdy jego ciało zostało wyniesione na taką wysokość, że wyglądało jak oderwane od wózka, szybko przywiązał ją do wielkiego gwoźdźdź i odczekał kilkadziesiąt sekund, aż ostatecznie stracił przytomność.

César Bolcán się powiesił... Tak samo jak Ferran. Bez wstawania z wózka. Cholernie trudny wyczyn. Skurwysyn wolał pożegnać się z tym światem, niż odpowiedzieć za swoje zbrodnie. Lucia poczuła, że znowu ogarnia ją wściekłość. Miała ochotę kopnąć wózek inwalidzki, ale się powstrzymała: przecież to był dowód.

Wyszła ze stodoły i prawie zderzyła się z Salomónem, który zdyszany i czerwony na twarzy aż podskoczył, a po chwili spojrział w dół na pistolet, który wciąż trzymała przed sobą.

– Chryste, co się tutaj dzieje? Wszystko w porządku?

Bez słowa skinęła na niego, by wszedł za nią do środka.

– Boże święty! – krzyknął na widok wisielca.

Opowiedziała mu, co znalazła w domu. Salomón przez dłuższą chwilę milczał.

– Myślisz, że to on porwał dziecko tego zamordowanego małżeństwa?

– A któż by inny?

– Ale on powiedział, że ma wrażenie, jakby od zawsze siedział na tym wózku. To znaczy, że był inwalidą od dawna. Trzeba będzie to sprawdzić.

Załóżmy, że zabił małżeństwo z tuneli, ale jak w tym stanie mógłby zamordować dwa pozostałe?

– Jest jeszcze Ángel. Może mu pomagał.

Salomón z niepokojem rozejrzał się dookoła.

– Gdzie on się podział? Masz jakiś pomysł?

– Żadnego.

Kryminolog pokręcił głową.

– Coś tu nie gra. Człowiek, którego szukamy, zna nas, chciał nas wmieszać w tę historię, od początku kieruje nami jak marionetkami. Jesteś pewna, że nigdy wcześniej nie spotkałaś Bolcána? – zapytał, wskazując na nieboszczyka.

– Stuprocentowo. Pamiętałabym taką twarz. Podobnie z Ángelem. A ty?

– Ja też.

Przenikliwie oczy profesora lśniły w mroku jak dwie bryłki miki.

– Człowiek, którego szukamy, to z całą pewnością inteligentny manipulant, wybitnie zdolny gracz – powiedział. – Bolcán bez wątpienia taki był. Ale nie rozumiem, dlaczego miałby chcieć nas w to wciągnąć, skoro nas nie zna. Coś się tu nie trzyma kupy.

Spojrzała na niego zamyślona. Wilgotne zimno panujące w stodole przenikało ją na wskroś.

– A więc Bolcán i ktoś jeszcze?

Pomyślała o mężczyznach ze zdjęć. Skinęła głową.

– Możliwe. – Wyjęła telefon. – Trzeba zawiadomić Bustamantego. Niech się skontaktuje z Barbastro. Powiemy im, że znaleźliśmy Bolcána w takim stanie, a ja oczywiście nie wchodziłam do domu. Zabrałam to – powiedziała, wyjmując notes z kieszeni.

– Co to jest?

– Dziennik pedofila, niejakiego Césara Bolcána, który oddawał się swoim perwersjom w towarzystwie innych drani takich jak on. – Ruszyła w stronę domu. – Odłożę go na miejsce, zanim zjedzie tu kawaleria. Niech go znajdą kryminalni. Posprzątam tam jeszcze trochę i sprawdzę, czy gdzieś nie została moja krew. Poza tym drzwi szafy i właz muszą być otwarte. Żeby mogli znaleźć to, co mają znaleźć. Trzeba się pośpieszyć.

Salomón wytrzeszczył oczy.

– Jakie drzwi szafy? Jaka krew?

– Później ci powiem.

PONIEDZIAŁEK WIECZÓR

Było ciemno. Oświetlone reflektorami wewnątrz stodoły wyglądało jak scena teatralna, César Bolcán w dalszym ciągu wisiał w dziwnej pozycji nad wózkiem.

W jaskrawym świetle widać było wystający z ust fioletowy, niemal czarny język. Lucia zauważyła, że mężczyzna wypróżnił się w spodnie. Wyglądał, jakby wytrzeszczonymi bladoniebieskimi oczami wpatrywał się w przybyłych z Barbastro czy Hueski techników, którzy uwijali się wokół ciała.

Lucia wyszła na podwórze. Taka sama krzątanina trwała w domu, w którym pootwierano drzwi i okna. Na niebieskawy śnieg wylewały się kałuże światła, a postaci w białych kombinezonach raz po raz wchodziły do budynku i z niego wychodziły. Kilka minut wcześniej zatelefonowała do Peñi. Szef był zaskoczony.

– Myślałem, że jesteś na urlopie.

– Powiedzmy, że okoliczności skłoniły mnie do przeprowadzenia śledztwa w Górnej Aragonii. Ci młodzi ludzie z uniwersytetu i ich profesor wykonali dobrą robotę. – Pokrótce opowiedziała mu o DIMAS-ie i o tym, co się działo w ostatnich dniach. – Dzięki nim wiemy, że morderstwo Sergia jest powiązane z pozostałymi. Nie mogłam przecież zignorować takiego tropu.

– Mogłaś go zostawić Ariasowi. Kiedy zamierzałaś nam o wszystkim powiedzieć?

– Właśnie to robię.

Usłyszała westchnienie.

– Lucia, do cholery, przypominam ci, że jesteśmy drużyną! Jeszcze ci się nie znudziła zabawa w samotnego jeźdźca?

– Nie jestem sama, jest ze mną profesor Borges.

– Który nie należy do jednostki. I nie ma wymaganego przeszkolenia. Który jest zwykłym naukowcem bujającym w obłokach, oderwanym od rzeczywistości. I nie jest uprawniony do prowadzenia śledztwa.

– Peña, bez profesora Borgesa i jego doktorantów nadal tkwilibyśmy w tym samym punkcie, czyli nigdzie! Powinniśmy raczej zebrać to, co mamy, i zobaczyć, dokąd nas to doprowadzi, zamiast dyskutować o tym, kto ma jakie uprawnienia.

– Guerrero – odpowiedział jej szef zimnym, gniewnym tonem – nie możesz samodzielnie prowadzić tego śledztwa. Tak naprawdę w ogóle nie powinnaś go prowadzić, zważywszy na twoje relacje z ofiarą.

– Ale ja tylko rozmawiam z ludźmi, zadaję pytania. To wszystko.

– Znalazłaś trupa, do cholery! Co powiemy sędziemu? Że akurat tam-tędy przejeżdżałaś?

– Całe szczęście, że go znaleźliśmy. Inaczej zanim ktoś by na niego trafił, zjadłyby go okoliczne zwierzęta. – Znowu pomyślała o Ángelu. – Bolcán miał pomocnika do prowadzenia domu. Gościa o imieniu Ángel. Drobnego dilerę trawy, koki i anabolików. Podejrzany typ. Zniknął. Musimy go jak najszybciej odnaleźć. Guardia Civil w Graus na pewno wie, kto to jest.

– Okej, zapytam ich – powiedział Peña.

Pomyślała, że ktoś powinien też poinformować wydział do spraw przestępstw na nieletnich. Zasugeruje to Bustamantemu, kiedy już przeczeszą tę przeklętą chałupę, i poprosi go, żeby osobiście się z nimi skontaktował.

– Lucia? – odezwał się Peña po drugiej stronie. – Zgoda, możemy dalej działać w ten sposób: ty z tym profesorem, ja z Ariasem i jednostką. Ale chcę być informowany o postępach waszego śledztwa, masz codziennie zdawać raport Ariasowi; a twój naukowiec ma status obserwatora. Zrozumiano?

– Tak jest, szefie.

– Jesteś gotowa na pojutrze?

Zesztywniała.

– A jak sądzisz?

W jej skroniach nagle zadudniła krew. Jak mogła być gotowa? Przypomniała sobie Mélenzeza w toalecie przy autostradzie przebranego za kobietę – blondynkę ze zbyt jaskrawą szminką na ustach, w czerwonej sukience – który rzucił się na nią jak wąż na ofiarę. Wiedziała, że facet nie-

cierpliwie czeka w celi na proces w sądzie pierwszej instancji. Jego adwokat obiecał rewelacje. Zrobi wszystko, żeby ją oczernić, przedstawić jako osobę niestabilną, niedającą się kontrolować, łaknącą rozgłosu. Będzie utrzymywał, że to ona napadła na jego klienta, nie odwrotnie. Przynajmniej ona by tak zrobiła. Nie było innej strategii.

Nie, nie była gotowa. Przyszła jej do głowy zaskakująca, niespodziewana myśl: że chciałaby, żeby był tam jej brat. Dziwnie było tak myśleć, ale nagle ujrzała Rafaela siedzącego za nią w sądzie. Wysoki, smukły, pochylony do przodu, uważny. Marszcząc brwi, szepce jej do ucha: „Nie przejmuj się, siostrzyczko, będzie dobrze”. I wiedziała, że aby znaleźć siłę, musi myśleć o nim.

CZĘŚĆ PIĄTA
PRZEMIANY

WTOREK RANO

Salomón Borges jadł śniadanie w swojej kuchni na ostatnim piętrze Dania Palace. Z kuchni wychodziło się na duży taras z pięknym widokiem na dachy i dzwonnice Salamanki, i to tam zwykł pić kawę wiosną, latem i jesienią. Ale na to było już zbyt zimno.

Zamieszał łyżeczką w filiżance. Miał zwyczaj zamaczać w porannej kawie amaretti morbidi, włoskie ciasteczka migdałowe, które sprowadzał z Abruzji wyłącznie dlatego, że lubił słowo *morbidi*, które po włosku oznacza miękkie, kruche, ale po hiszpańsku opisuje coś niezdrowego, słabowitego. Przeglądając gazetę, trafił na tytuł:

JUTRO ROZPOCZYNA SIĘ PROCES FRANCISCA MANUELA MÉLENDEZA,
„MŁOTKOWEGO”.

Jutro, 20 listopada, przed wydziałem karnym nr 7 madryckiego sądu przy calle Santiago de Compostela rozpocznie się proces Francisca Manuela Mélenzeza, znanego jako „Rzeźnik z autostrady”, „F2M” lub „Młotkowy”.

Zeznawać ma funkcjonariuszka UCO porucznik Lucia Guerrero, która dzięki tej sprawie stała się sławna. To ona, w skrajnie brutalnych okolicznościach, które nie zostały jeszcze do końca wyjaśnione, doprowadziła do aresztowania „F2M”. Franciscowi Mélendezowi grozi najwyższy wymiar kary – dożywotnie więzienie z możliwością ubiegania się o wcześniejsze zwolnienie nie wcześniej niż po dwudziestu pięciu latach – wprowadzony w ramach reformy Kodeksu karnego z 2015 roku dla sprawców najcięższych przestępstw. Niezależnie od tego, jaki zapadnie wyrok, nie będzie on prawomocny, ponieważ obrona może wnieść odwołanie do sądu wyższej

instancji, a w razie potrzeby do Sądu Najwyższego. obrońca Mélenzeza, mecenas Rubio, zapowiedział rewelacje...

„W skrajnie brutalnych okolicznościach, które nie zostały jeszcze do końca wyjaśnione”: Salomón dostrzegł w tych słowach przykład typowej dziennikarskiej perfidii, która miała na celu zaostriżyć apetyty czytelników przed pierwszą rozprawą.

Jakie rewelacje?, zastanawiał się. Czy Lucia się tym przejmuje? Bez cienia wątpliwości. Tylko ktoś, kto nigdy nie miał do czynienia z wymiarem sprawiedliwości, staje przed sądem ze spokojnym sercem. Usłyszał kroki w przedpokoju i zamknął gazetę.

– Dzień dobry – powiedziała Lucia, wchodząc do kuchni.

– Wyspałaś się?

Przez część nocy byli w drodze, zmieniając się za kierownicą. Kiedy około trzeciej dotarli do Salamanki, zaproponował, że może u niego przemocować.

Nie odpowiedziała. Tak naprawdę prawie nie zmrużyła oka, rozdarta między napięciem związanym ze zbliżającym się procesem a mieszanką smutku, wściekłości i odrazy, jaką wywoływały w niej wspomnienia z działki Bolcána. W dodatku tak bardzo chciała zadzwonić do Álvara. Skierowała się wprost do ekspresu do kawy.

– Filiżanki są na górze – powiedział. – Obok jest paczka ciastek, a na stole masz cukier.

Patrzył, jak Lucia otwiera szafkę, wyjmując filiżankę, nalewa kawę i wrzuca do niej dwie kostki cukru. Twardzielka, ale lubi słodkie, stwierdził w duchu.

– Ładny widok – skomentowała, odwróciwszy się w stronę tarasu. – To tylko moje odczucie czy tutaj jest chłodno?

– Dziewiętnaście stopni. Nie lubię za mocno rozkręcać ogrzewania. To rozmiękcza mózg i szkodzi planecie.

– Skoro tak twierdzisz... Dam ekspertom ten list, który dostałam w hotelu. Wątpię, żeby gość zostawił ślady, ale sprawdzimy wszystko: pochodzenie papieru, model drukarki. Myślisz, że wcześniej moglibyśmy wyjaśnić kwestię tego cytatu?

Skinął głową.

– Pójdziemy do mojej znajomej antykwariuszki. Może będzie wiedziała, skąd pochodzi to zdanie.

– Nie masz zajęć?

Uśmiechnął się.

– Jestem *catedrático* na uniwersytecie, nie nauczycielem.

Antykwariat La Galatea był otwarty od 10.30. Była 10.21. Czekali na chodniku na zimnej i spowitej mgłą calle Libreros, przestępując z nogi na nogę. Dokładnie o 10.29 podeszła do nich szybkim krokiem szczupła kobieta około pięćdziesiątki.

– Salomón? – zdziwiła się na widok profesora. – Tak bardzo ci się śpieszy z samego rana, żeby kupić ode mnie książki?

– Potrzebuję jednej konkretnej pozycji.

Otworzyła drzwi. Weszli do wąskiego przedsionka i skręciwszy w lewo, znaleźli się we właściwym pomieszczeniu księgarni.

– Jakiej?

– *Przemiany* Owidiusza. Kojarzysz?

Kobieta spiorunowała go wzrokiem z za zaparowanych okularów. Miała szczupłą, pociągłą twarz.

– Za kogo ty mnie masz? Wydaje mi się, że mam dwa wydania.

Wziął z rąk Lucii przezroczystą koszulkę z listem i podał kobiecie.

– Co to jest? – zapytała tamta.

– Czy sądzisz, że to jest z *Przemian*? Ten fragment – dodał, wskazując na końcówkę tekstu.

Przeczytała i pokiwała głową.

– To możliwe. Dajcie mi chwilę, poszukam.

Z półki na samym dole wyjęła trzy tomy w formacie A5 oprawne w niebieski safian z połączanym haftem wokół brzegów okładki i kartkowała je tak długo, że Lucii zaczęły cierpnąć nogi.

– Patrzcie, jest. „W tobie jest źródło mego bólu i wyrzutów sumienia; moja prawica zadała ci śmierć. Ja jestem sprawcą twojego zgonu. A jednak czy można nazwać winą moją zabawę z tobą? Czy można nazwać winą moją miłość do ciebie?”¹. To ze *Śmierci Hiacynta*.

– Adrián wspominał o *Śmierci Hiacynta*, kiedy rozmawiałam z nim na temat tych obrazów – przypomniała sobie Lucia.

– To trochę inne tłumaczenie – zauważył Salomón pochylony nad tekstem, porównując fragment z anonimowym listem.

– Ja mam tylko takie.

– Mówiłaś o dwóch wydaniach.

Przeszła do sąsiedniego pomieszczenia i wróciła z innym egzemplarzem, ogromnym tomiszczem oprawnym w baranią skórę, które musiało ważyć ze trzy kilogramy. Otworzyła je niezręcznie.

– Przykro mi – powiedziała, gdy już znalazła właściwy tekst i porównała go z cytatem zapisanym na kartce – ten przekład też nie pasuje.

Profesor zwrócił się do Lucii:

– Albo przetłumaczyła to osoba, która napisała wiadomość, albo istnieją jeszcze inne przekłady.

Antykwariuszka obserwowała ich z przenikliwością sokoła wypatrującego ofiary.

– A co to właściwie jest za wiadomość?

– Przykro mi, Palomo, to wysoce poufna sprawa – powiedział Salomón.

– Lucia jest z UCO i to ma związek ze śledztwem.

– Rozumiem – stwierdziła antykwariuszka z ironicznym uśmiechem, zerkając na broń na biodrze Lucii. – Bawimy się w Maigretta albo Mike’a Hammera w towarzystwie Guardia Civil. Nigdy nie przestaniesz mnie zaskakiwać, mój drogi.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo masz rację! – rzucił, kierując się do wyjścia. – Biblioteka wydziału prawa – powiedział, gdy znaleźli się na ulicy. –

Może tam będą mieli inny przekład. Teraz wiemy przynajmniej, że cytat pochodzi z *Przemian* i że Bolcán miał dwa egzemplarze tej książki.

– Gdybyśmy wtedy wiedzieli, gdzie szukać, moglibyśmy sprawdzić, czy tłumaczenia się pokrywają – powiedziała Lucia. – Dam znać Bustaman-temu i poproszę, żeby zabezpieczyli egzemplarze.

Skręcili z calle Libreros w krętą calle Traviesa o lśniącym bruku, pokonali kilka zakrętów i ruszyli avenida de los Maristas w stronę budynku uczelni. Trzykrotnie – na plaza de San Blas, calle Espejo i skrzyżowaniu paseo de San Vicente i avenida de los Maristas – zauważyli przyklepione do murów i latarni plakaciki. Tytuł był na tyle duży, że przyciągał wzrok:

Prosimy, nie wychodźcie wieczorami w pojedynkę, zawsze w grupie.

– Co to ma być? – zapytał Salomón.

– Może to jakiś żart? A może rozwiesili je studenci. Trzeba będzie zapytać Guardia Civil. Myślisz, że to mogłoby mieć związek z naszą sprawą? – zapytała Lucia, ruszając dalej.

– A dlaczego miałyby mieć? W tym roku w Hiszpanii doszło do dwóch tysięcy „napaści seksualnych z penetracją”, jak się je oficjalnie nazywa. O dziesięć procent więcej niż w ubiegłym roku. Dziesięć procent to ogromny wzrost. Chyba że po prostu było więcej zgłoszeń. To możliwe. Krótka mówiąc, nie ma nic dziwnego w tym, że w takim mieście jak Salamanka drapieżcy seksualni odwiedzają nocne kluby w poszukiwaniu bezbronnych studentek, które trochę za dużo wypily. Szukamy seryjnego zabójcy, nie gwałciciela.

Pokonali drogę szybkim krokiem: po pierwsze było cholernie zimno, a po drugie bardzo im się śpieszyło. Biblioteka wydziału prawa mieściła się w nowoczesnym budynku na całej długości przylegającym prostopadle do tylnej ściany. Można było się do niej dostać przez uczelnię, co też zrobili.

– Mamy tu dwieście tysięcy książek – powiedział Salomón, gdy szli po wewnętrznych schodach prowadzących do recepcji na pierwszym piętrze.

Kryminolog podszedł do trzech kobiet siedzących za ladą i poprosił o rozmowę z dyrektorką.

– Kogo zaanonsować? – zapytała jedna z bibliotekarek.

– Proszę po prostu powiedzieć, że przyszedł Salomón.

Podniosła się bez przesadnego pośpiechu i równie nieśpiesznie ruszyła korytarzem na prawo od lady. Dziesięć minut później wyszła do nich wysoka, czarnowłosa kobieta. Miała na sobie bardzo obcisły kombinezon z czarnej skóry i botki, jakby żywcem wyjęta z *Avengersów*, z perfekcyjnym makijażem – przypominała każdego, tylko nie bibliotekarkę.

– Salomónie, mój drogi! – powitała go.

Była wyższa od Lucii o dobre piętnaście centymetrów i o dziesięć od Salomóna.

– Kopę lat, Vanesso – odpowiedział profesor, a w jego głosie pobrzmiwało poruszenie, którego Lucia dotąd u niego nie zauważyła.

Kobieta była szczupła i proporcjonalnie zbudowana, z bliska Lucia jednak dostrzegła kurze łapki w kącikach jej oczu i kilka zmarszczek wokół ust. Utkwiła w gwardzistce spojrzenie czarnych oczu, jakby kontemplowała piękną chińską wazę na wystawie u antykwariusza.

– Przedstawiam ci Lucię Guerrero, porucznik UCO – powiedział Salomón.

– UCO? – Kobieta wyciągnęła do niej zaskakująco dużą i silną dłoń i trochę za długo nie zwalniała uścisku. – Co sprowadza funkcjonariuszkę UCO w nasze skromne progi?

– Szukamy pewnej książki.

– A konkretnie?

– *Przemian* – odparł Salomón.

– Owidiusza? A jaki to może mieć związek ze śledztwem UCO?

– To dość skomplikowane.

– Jeżeli chcecie, żebym wam pomogła, będziecie musieli mi powiedzieć trochę więcej.

Salomón zerknął na Lucię. Skinęła głową.

– Dostaliśmy anonimową wiadomość, w której znajduje się fragment z *Przemian*. Szukamy tłumaczenia, z którego zaczerpnięto cytat. Znalezienie go pomogłoby nam dotrzeć do autora listu.

– Rozumiem. Zakładam że ten, kto napisał wiadomość, zwrócił na siebie uwagę UCO nie tylko listem. Zobaczę, co mamy w bazie danych.

– Czy mogłabyś też sprawdzić w TESEO? – zapytał Salomón.

TESEO to baza danych gromadząca rozprawy doktorskie.

– Nie ma problemu, chodźcie.

Gabinet dyrektorki był udekorowany plakatami filmowymi: *Geniusz*, obraz biograficzny o Maksie Perkinsie, wydawcy, który odkrył Hemingwaya, Fitzgeralda i Thomasa Wolfe’a, *Capote*, *Całkowite zaćmienie*, *Zakochany Szekspir*, *Tolkien*. Kiedy amazonka usiadła przy zawałonym papierami biurku, jej skórzany kombinezon zaskrzypiał.

– Mamy dwa egzemplarze, dwa różne wydania – powiedziała, postukawszy chwilę w klawiaturę. Zapisała sygnatury na karteczce. – Proszę za mną.

Znowu minęli ladę, przy wtórze władczego stukotu obcasów Vanessy. Znalezli się w miejscu, które przypominało mostek kapitański: dwie równoległe długie galerie nadwieszane nad olbrzymią biblioteką. Przez okno

w dachu wpadało piękne jesienne światło i Lucia poczuła się prawie tak, jakby podczas rejsu transatlantykiem patrzyła na dolny pokład. Na górnych galeriach znajdowały się również boksy, w których siedzieli przy biurkach zajęci swoją pracą studenci. W drodze do pustego boksu Vanessa zatrzymała się przy jednym z regałów: wyszperała zeń książkę, którą podała Salomónowi. Upewniwszy się, że nie chodzi o jedno z wydań, które już widzieli w księgarni, zaczął przerzucać kartki.

– To też nie jest to tłumaczenie – skonstatował zawiedziony.

– Inne wydanie jest w magazynach w piwnicy. Chodźmy.

Babka uwielbia wydawać rozkazy, pomyślała Lucia. Ciekawe, czy w łóżku zdarza jej się korzystać z pejcza i knebla. Minęli recepcję i zeszli na parter, a następnie ruszyli schodami prowadzącymi do nisko sklepionej sali oświetlonej rzędami świetlówek. Było to coś w stylu podziemnego składu ukrytego we wnętrzościach biblioteki. Niebieskie regały, tysiące książek, cisza. Miejsce, do którego człowiek nie chciałby schodzić o pewnej porze.

– Książki z tego magazynu są dostępne tylko na specjalny wniosek dla pracowników naukowych i studentów trzeciego stopnia – wyjaśniła Vanessa.

Po lewej znajdowały się duże szafy z szarego metalu umieszczone na szynach, przesuwane za pomocą czarnych kierownic. Vanessa rzuciła okiem na notatkę i przekreśliła kierownicę umieszczoną pod tabliczką „2b”. Dwie szafy gładko przesunęły się po szynach, a pomiędzy nimi pojawiła się wąska przestrzeń. Bibliotekarka sięgnęła na półkę.

– Proszę – powiedziała, podając książkę Salomónowi.

Kryminolog wziął wolumin do ręki, przekartkował, a potem kilka razy przenosił wzrok między tekstem a listem. Lucia widziała, jak jego krzaczące brwi marszczą się coraz bardziej. Poczuła narastające napięcie.

– To jest to. Dwujęzyczne wydanie łacińsko-hiszpańskie z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku – oświadczył z dziwnym poruszeniem, spojrzawszy na stronę przedtytułową i tekturową okładkę. – Wydawnictwo Alma Mater... Ten przekład na pewno już od dawna jest niedostępny w księgarniach i w mediatekach.

Lucia zrozumiała, dokąd Salomón zmierza.

– Czy to możliwe, żeby człowiek, którego szukamy, znalazł cytaty w tym egzemplarzu? Że przyszedł do tej biblioteki?

Nastąpiła chwila milczenia. Każde z nich zastanawiało się nad tym, co by oznaczało, gdyby odpowiedź na to pytanie była twierdząca.

– Nie jest to znowu takie rzadkie wydanie – stwierdziła Vanessa. – Z pewnością jakiś bibliofil, antykwariusz lub inna biblioteka mogą mieć egzemplarz.

– Masz nazwiska osób, które ostatnio z niego korzystały? – zapytał kryminolog.

Dyrektorka skinęła głową.

– Oczywiście. Nie powinno ich być zbyt wiele.

Wrócili do jej biura. Lucia i Salomón czekali w milczeniu, podczas gdy Vanessa stuknęła w klawiaturę. Mieli nadzieję, że wyciągnie dla nich tę informację jak królika z kapelusza. Że wykona dla nich sztuczkę, za sprawą której wreszcie dostaną to nazwisko.

Nazwisko, do którego będą mogli dopasować twarz. Nazwisko, które pomoże im w śledztwie i które zadowoli DIMAS-a. Lucia pomyślała, że kobieta z taką aparycją i w takim stroju jest w stanie dokonać tego cudu.

1. Owidiusz, *Metamorfozy*, przeł. A. Kamieńska, S. Stabryła, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1995, s. 62 (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

WTOREK RANO

Lucia się rozłączyła i spojrzała na Salomóna.

– W INTPOL-u go nie ma.

INTPOL to baza danych Guardia Civil, założona zgodnie z zarządzeniem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych INT/1202/2011 z 4 maja 2011 roku, zawierająca kartoteki z danymi osób zamieszanych w sprawy kryminalne. Kryminolog się skrzywił.

– Okej, idziemy – rzucił, ruszając korytarzem.

Po sposobie, w jaki trzymał głowę wciśniętą w ramiona, Lucia poznała, że jest spięty. Baza danych biblioteki wydała werdykt: w ciągu trzech ostatnich lat z tłumaczenia *Przemian* przechowywanego w magazynie korzystała tylko jedna osoba. Profesor Alfredo Güel, kolega Salomóna.

Salomón dobrze znał Güela. Wiedział na przykład, że tamten marzy, by zająć jego miejsce. Że zazdrości mu relacji, jaką Salomón potrafi nawiązać ze swoimi studentami. Oraz że jednocześnie krytykuje za jego plecami mało akademicki charakter tych relacji. Ale to wszystko przecież nie czyniło z niego seryjnego mordercy.

– To tutaj – oświadczył ponuro kryminolog.

Pchnął drzwi. Güel siedział za niewielkim biurkiem na podeście. Sprawdział prace. Usłyszawszy skrzypnięcie drzwi, uniósł głowę. Na widok kolegi wydawał się zaskoczony.

– Salomón?

– Cześć, Alfredo. Przedstawiam ci porucznik Lucię Guerrero z UCO. Ma do ciebie kilka pytań.

– Z UCO? – zdziwił się Güel.

Odłożył kartki i patrzył, jak przybysze schodzą do niego przejściem między rzędami krzeseł.

Lucia usiadła z przodu, na prawo od przejścia, dokładnie naprzeciwko profesora, jakby była studentką, która przyszła na wykład. Znalazła się trochę wyżej niż on, tak że był zmuszony podnieść wzrok. Doskonały punkt obserwacyjny, z którego mogła śledzić każdy jego ruch.

Salomón zajął miejsce w tym samym rzędzie, jakieś dziesięć krzeseł na lewo od niej, po drugiej stronie przejścia. Lucia zrozumiała jego zamysł: w ten sposób Güel nie mógł ich mieć jednocześnie na linii strzału.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa – oświadczyła.

Nie powiedziała nic więcej; profesor milczał. Wyglądało na to, że czeka, aż wyjaśni, czego od niego chcą. Rzucił okiem na zegarek – jakby dając im do zrozumienia, że jego czas jest ograniczony. Nosił dużą granatową ortezę obejmującą nadgarstek i kciuk.

– Lubi pan sporty górskie? – zapytała nagle Lucia obojętnym tonem.

Güel spojrział na nią zdziwiony.

– Tak, dlaczego?

– Zna pan comarcę Ribagorza?

– Nie, gdzie to jest?

– Prowincja Huesca, po drodze do Benasque, na przedgórzu Pirenejów.

– A tak, raz tam byłem. Jest tam dobry ośrodek narciarski, Cerler.

– Kiedy?

– Trudno powiedzieć... Bardzo dawno temu.

– Ponad dwadzieścia lat?

Tym razem Güel wyglądał na zmieszanego.

– Słucham? Mówiłem pani, nie wiem... To możliwe.

– To było latem czy zimą?

– Latem, tak mi się zdaje. Tak. Latem.

– To dlaczego wspomniał pan o ośrodku narciarskim?

– Co? Nie wiem. Tak po prostu.

– Skoro nie jeździł pan na nartach, to co pan tam robił?

Wykładowca zdawał się coraz bardziej zbity z tropu obrotem rozmowy.

– Rafting, kanioning, wspinaczka. Ale nie rozumiem...

– Jezioro Barasona, niedaleko Graus. Zna je pan?

– Jakie jezioro? Nie wiem. Pamiętam, że było tam dużo jezior. Zapomniałem, jak się nazywały.

– Kąpał się pan?

– Mówiłem, uprawiałem kanioning.

– Czy były tam tunele? Pamięta pan, czy przejeżdżał pan przez tunele? Güel wędrował wzrokiem od Lucii do Salomóna i z powrotem, jakby oglądał mecz tenisa.

– He? Ale o co pani w ogóle chodzi? Coś się tam stało? I jaki to ma związek ze mną?

– Zna pan Benalmádenę? – pytała dalej Lucia, nie zważając na jego uwagę.

Mężczyzna westchnął głęboko.

– Tylko z nazwy. Nigdy tam nie byłem. Za dużo betonu i turystów jak dla mnie.

– A Segowię?

– Co Segowię? Oczywiście, że znam Segowię! To niecałe dwie godziny drogi stąd!

– A czy nazwisko Gabriel Schwartz coś panu mówi?

– Nie! A powinno?

Odwrócił się do Salomóna i spojrzał na niego spłoszony.

– Co to ma być, przesłuchanie? Salomónie, czy możesz mi wytłumaczyć, co się tutaj dzieje?

– Korzystałeś w bibliotece z *Przemian*? – kryminolog odpowiedział pytaniem na pytanie.

Jeśli Güel udaje zaskoczenie, to robi to świetnie, pomyślała Lucia.

– Z *Przemian*? Owidiusza? Nawet ich nie czytałem. Mam inne obszary zainteresowań. Ale dlaczego zadajecie mi te wszystkie pytania?

– A tymczasem pana nazwisko znajduje się w rejestrze biblioteki Franciscusa de Vitorii – oświadczyła gwardzistka. – Na początku tego roku poprosił pan o wyjęcie tej książki z magazynu.

Güel wyglądał na zszokowanego.

– Co? W życiu tego nie wypożyczałem! – Wziął głęboki wdech. – Nic nie rozumiem z tego, co mi tu opowiadacie! – Zamierzał coś dodać, ale przerwał na chwilę, jakby się zastanawiał. – Zaraz, zaraz. Od czasu do czasu niektórzy moi studenci drugiego stopnia potrzebują książek dostępnych tylko dla doktorantów. Więc zdarza się, że pożyczam im swoją kartę, a oni korzystają z książki w moim imieniu. Może to był właśnie ten przypadek. Ale nie mam pojęcia, z jakiego powodu któremuś z moich studentów był potrzebny akurat Owidiusz. I jaki to ma związek z jakimś morderstwem?

– Nie interesuje pana, z jakich książek studenci korzystają na pana nazwisko? – zapytała Lucia.

Güel zwrócił ku niej spojrzenie o wadze kilku megaton.

– Od kiedy książka jest bronią? Jedyłą rzeczą, jaką mogą robić w bibliotece pod moim nazwiskiem, jest czytanie. A poza tym: od kiedy UCO zajmuje się wypożyczeniami książek w bibliotece uniwersyteckiej?

– Od chwili, kiedy wiemy, że te książki mogą nas doprowadzić do zabójcy. Co się panu stało w nadgarstek?

Mężczyzna przez chwilę zwlekał z odpowiedzią.

– Nic. Przewróciłem się i zwichnąłem go, to wszystko. Banalny wypadek.

Kłamał. Większość teorii o mowie ciała to bzdury. Podobnie jak legenda, która mówi, że dziewięćdziesiąt trzy procent komunikacji stanowi komunikacja niewerbalna. Twierdzenie to nie ma żadnych podstaw naukowych. Tak jak to, według którego jeśli człowiek dotyka twarzy lub spogląda w innym kierunku, to znaczy, że kłamie – podczas gdy może to wynikać po prostu z dyskomfortu emocjonalnego u bardziej wrażliwej osoby. Albo to, zgodnie z którym psychopaci kłamiąc, patrzą prosto w oczy, ponieważ nie odczuwają emocji. Brednie, bzdury. Wszystkie te myki coachów i guru od komunikacji działają tylko w filmach albo powieściach. Kłamstwo ze znacznie większym prawdopodobieństwem można podejrzewać, gdy rozmówca podaje mało szczegółów i ma tendencję do powtarzania się. To nie mowa ciała dostarcza najwięcej informacji, ale to, co ludzie mówią i w jaki sposób to mówią.

Uszkodził sobie nadgarstek... W jakich okolicznościach? Lucia zanotowała to pytanie w pamięci. Jej umysł, nawykły do klasyfikowania, rejestrowania i sortowania, działał na pełnych obrotach.

– Dziękuję, profesorze Güel – powiedziała, wstając.

– Dziękuję, Alfredo – zawtórował jej Borges.

– Salomón, wyjaśnij mi, co to ma znaczyć? – rzucił wykładowca, ledwie hamując gniew, gdy oni, odwróceny do niego plecami, szli już do drzwi. Jego ton był agresywny, prawie oskarżycielski.

– Później, Alfredo, później... I jak wrażenia? – zwrócił się do Lucii, gdy byli już na zewnątrz.

– Coś ukrywa, to oczywiste. Pytanie: co?

WTOREK WIECZÓR

– Co to za historia z tymi gwałtami? Widzieliście plakaty?

Salomón Borges powiódł wzrokiem po twarzach członków swojej grupy. Jak prawie zawsze pierwsza odezwała się Assa.

– Krąży pogłoska, że kilka studentek USAL-u zostało napadniętych, gdy wieczorem wracały z imprezy. Dziewczyny unikają teraz samotnych wyjść. Część studentów proponuje nawet utworzenie czegoś w stylu milicji, która patrolowałaby ulice.

– Wczoraj wieczorem było zebranie w auli wydziału nauk ścisłych – dodał Alejandro.

– Byliście tam?

– Tak, poszliśmy z Assą i Cordelią – odparł Hiszpan. – Nigdy czegoś takiego nie widzieliśmy: przyszło ponad tysiąc studentów i niektórzy musieli zostać na zewnątrz.

– Emocje szybko się rozgrzały – dodała Dunka. – Niektórzy mówili nawet o przeprowadzeniu równoległego śledztwa i samodzielnego wyrównania rachunków z gwałciicielem i dopiero potem anonimowym zgłoszeniu jego danych Guardia Civil.

– Wyrównania rachunków? Co to znaczy? – zapytała Lucia z poważną miną.

– Podejrzewam, że wysłanie go do szpitala – odpowiedział Alejandro. – Nikt tutaj nie ma ochoty zostać mordercą.

Na kilkanaście sekund zapadła cisza. Wreszcie odezwał się Salomón:

– Jeśli się dowiem, że ktoś z was wstąpił do tej milicji, zostanie natychmiast wykluczony z grupy, rozumiano? Od zaprowadzania porządku jest policja.

– A jeżeli policja nic nie robi? – rzuciła Verónica z zapalczywością i zuchwałością, które wszystkich zaskoczyły.

Salomón odwrócił się w jej stronę.

– Najpierw trzeba by mieć pewność, że to nie jest tylko plotka – zaproponował.

Przyglądał się dziewczynie z uwagą, ponieważ takie zachowanie nie było w jej zwyczaju.

– To nie jest plotka – oświadczyła.

– Skąd wiesz? – zapytała Assa rozdrażniona.

Zobaczyli, że Verónica zbladła.

– Moja bliska przyjaciółka została napadnięta przez tego mężczyznę – odpowiedziała drżącym głosem, wpatrując się w czubki swoich butów. – Zgwałciłby ją, gdyby ktoś nie zainterweniował.

Assa spojrzała na opatrunek na jej czole.

– Jesteś pewna, że przyjaciółka nie wciska ci kitu dla fejmu? Pełno jest mitomanek, które...

– JESTEM PEWNA! TO NIE JEST ŻADNA MITOMANKA! – wykrzyczała Verónica.

Wszyscy milczeli, wpatrując się w nią.

– Verónica, przepraszamy – zaczął Alejandro. – Nie chcieliśmy...

Ale zanim dokończył zdanie, dziewczyna wyszła z sali.

– Hmm... – mruknęła Assa.

– Co tu się wydarzyło? – zapytał Alejandro.

– Nie wiem, ale się dowiem – obiecał Salomón z zatroskaną miną.

– Podobno przedwczoraj w nocy ten gwałciciel prawie został złapany, uciekł w ostatniej chwili – powiedziała Assa.

– Kto tak mówi?

– Wśród studentów krąży taka plotka – odparł Haruki. – Opowiadają o tym na wydziale nauk ścisłych. Napadł na studentkę fizyki w jej mieszkaniu, ale interweniował jej kolega, który potem gonił tego gościa po mieście.

– Okej – stwierdziła Lucia, która stała z boku, oparta o zlew w głębi sali. – Rada umieszczona na tych plakatach ma sens: dziewczyny, nie wychodźcie same wieczorem. Jeśli poczujecie się zagrożone, będziecie miały wrażenie, że ktoś was śledzi, jeżeli się przestraszycie, dzwońcie do mnie. Bez względu na porę.

Salomón opowiedział im pokrótce o tym, co odkryli w Graus i Segowii. Kiedy Lucia wspomniała o wydarzeniach na farmie, ich oczy poczerniały od gniewu.

– Proszę, żeby każdy z was zastanowił się nad nowymi informacjami i zanotował wszystko, co przyjdzie mu do głowy – powiedział stanowczo Salomón. – Wiem, że jesteście już mocno obłożeni, ale trudno: będziecie spać jeszcze mniej, a przede wszystkim będziecie mniej imprezować, przykro mi.

Pokiwali głowami. W tej sytuacji nie musiał ich motywować. W ich żyłach krążyła adrenalina. W poświacie bijącej od stołu oczy młodych ludzi błyszczały – Lucia nie była jednak pewna, czy z ciekawości, ekscytacji, wściekłości czy niepokoju.

– Jakies pomysły? – zapytał Salomón.

– Jest wykształcony, i to bardzo – rzucił Alejandro.

– To chyba oczywiste – parsknął Ulysses.

– Czasem oczywistości należy wyrazić głośno – przygadała mu Assa.

– Skoro inspirował się obrazami, to może pracuje w środowisku związanym ze sztuką, z malarstwem – zasugerowała Cordelia. – Jakiś konserwator obrazów, właściciel galerii...

– Artysta – zawtórowała jej Assa.

– Moglibyśmy zacząć od przejrzenia w Internecie dzieł sztuki przedstawiających sceny z *Przemian* – zaproponował Haruki.

– Tak, to dobry pomysł – pochwaliła go Lucia.

– Żeby zyskać na czasie, podzielimy się zadaniami – podsumował Salomón. – Assa i Alejandro, poszukajcie w tekście, do których mitów mogą pasować te upozowania, Haruki i Cordelia, zróbcie to samo, ale z obrazami, które znajdziecie w sieci... Wiemy już, że jedna ze scenografii pasuje do *Śmierci Hiacynta*, ale nie wiemy, co z pozostałymi. Ulysses, ty wprowadzisz do DIMAS-a nowe informacje. Zaprogramuj go tak, żeby przeszukiwał bazę pod kątem innych zbrodni inspirowanych malarstwem albo literaturą.

Kryminolog wiedział, że wolontariusze z Guardia Civil i policji w dalszym ciągu zasilają DIMAS-a nowymi danymi. Trzeba było jednak jeszcze wielu miesięcy – i środków – by baza była kompletna. Klasnął w dłonie.

– Moi drodzy, jesteśmy coraz bliżej. Więc sprężmy się.

– Czas start! – rzucił Alejandro. – Od teraz mniej alkoholu, mniej imprez, więcej Owidiusza!

Nieśmiało zarechotali. Salomón wręczył Lucii czerwoną kartę magnetyczną.

– To jest klucz do laboratorium i karta, dzięki której wejdiesz do budynku – powiedział. – Od teraz jesteś oficjalną członkinią grupy.

Poczuła się dziwnie poruszona. Cały zespół powitał ją krótkimi bra-
wami.

– Przejdźmy się trochę – zaproponował Salomón, kiedy wychodzili z budynku. – Chciałbym ci coś pokazać.

Była piąta po południu i zapadał już zmierzch. Kiedy weszli w wąskie uliczki centrum, zrobiło się chłodno. Mijając Casa de las Conchas, słynny „dom muszli” o fasadzie udekorowanej trzystoma muszlami Świętego Jakuba, Lucia uświadomiła sobie, że Salomón prowadzi ją w miejsce, w którym już byli: na calle Libreros. Przeszli jednak obok witryny antykwariatu La Galatea, nie zatrzymując się, a kilkanaście metrów dalej przekroczyli bramę dawnej siedziby uniwersytetu i wyszli na dziedziniec, na którym przed kilkoma dniami Salomón dowiedział się, że DIMAS coś znalazł.

Lucia uniosła głowę, by spojrzeć na strzelistą sekwoję. Gdyby miała jakiegokolwiek pojęcie o architekturze, zauważyłaby, że dominującym stylem tej budowli jest renesans – z domieszkami gotyku i mudejaru. I podziwiałaby wspaniałe sklepienie krzyżowo-żebrowe, pod którym właśnie przeszła.

– Tędy – poprowadził Salomón, skręcając w prawo, w krużganek okalający patio.

Zatrzymał się u stóp głównych schodów i pokazał jej płaskorzeźby na kamiennej balustradzie.

– Te schody pochodzą z szesnastego wieku i składają się z trzech ciągów stopni – wyjaśnił. – Trzy płaskorzeźby przedstawiają trzy etapy życia: młodość, wiek dojrzały i starość. Młodość symbolizują mauretański taniec, świąteczna atmosfera, błazny, kurtyzana i zonglerzy. To alegoria niebezpieczeństw i pokus czyhających na młodych ludzi oraz typowych dla tego wieku rozbuchanych namiętności. – Pokonał pierwszy ciąg stopni i wskazał na drugą balustradę, która tworzyła z pierwszą kąt prosty. – Na drugiej balustradzie mamy dojrzałość przedstawioną za pomocą opozycji między dobrem a złem. Tutaj jest dobro, które uosabia rycerz siedzący okrakiem na kobiecie, metafora panowania nad namiętnościami, a tutaj zło, kobieta ujeżdżająca mężczyznę, co symbolizuje grzech. – Zobaczył, że Lucia zmarszczyła brwi. – Tak, wiem: to co najmniej seksistowskie. Ale nie będziemy

przecież niszczyć szesnastowiecznego arcydzieła z powodu jednej małej płaskorzeźby, prawda? Tylko barbarzyńcy niszczą dzieła poprzednich cywilizacji w imię własnych wartości. Bo w sumie jaką mamy gwarancję, że nasze dzisiejsze wartości nie zostaną zakwestionowane w przyszłych wiekach? – Pokonał kolejne stopnie i dotarł do trzeciego i ostatniego odcinka schodów. – Trzecia płaskorzeźba ukazuje zwycięstwo nad namiętnościami i złem: symbolem tego zwycięstwa jest jeździec przebijający byka włócznią.

Odwrócił się do niej. Stał o stopień wyżej niż Lucia i górował nad nią w coraz głębszym cieniu. W tej chwili zobaczyła w nim człowieka, którym naprawdę był: mędrca, który stoczył wiele bojów i chciałby już odpocząć, ale wie, że ma przed sobą ostatnią, najniebezpieczniejszą ze wszystkich wojen.

– Nasi studenci, ci wybitni i ujmujący członkowie mojej grupy, to postaci z pierwszej płaskorzeźby – powiedział. – Ciebie, Lucio, przedstawia druga: dojrzałość. A ja? Cóż, ja. Ja oczywiście podpadam pod tę trzecią: starość. Choć czasem mam wrażenie, że nie całkiem okiełznałem swoje namiętności i czuję się, jakbym miał duszę nastolatka. – Uśmiechnął się cierpko. – Ale nas interesuje on. Jeśli wziąć pod uwagę datę pierwszej zbrodni, człowiek, którego szukamy, ma pięćdziesiąt albo więcej lat – powiedział, wskazując na alegorie na płaskorzeźbach. – Doprowadził nas tam, gdzie chciał nas doprowadzić. Zdecydował o każdym postawionym przez nas kroku. Manipuluje nami. Zastanawiałem się nad tym. Może Bolcán był jego współnikiem przy pierwszym morderstwie, ale to ponure miejsce, które odkryliśmy na jego *finca*, nie ma z naszym sprawcą nic wspólnego. Nie interesują go dzieci. Jego celem, jak już widzieliśmy, są dorośli. Szczęśliwe, albo przynajmniej wyglądające na szczęśliwe, młode małżeństwa. I to ich szczęście chce zniszczyć. Napędzają go nienawiść, zawiść, zazdrość.

Zszedł stopień niżej i znalazł się na jej poziomie, czuła woń mentolu w jego oddechu. Widziała, że drży. Może z zimna. W jego oczach zobaczyła niepokój i rozgorączkowanie.

– Jesteśmy jego teatrzykiem, jego marionetkami – powiedział głosem napiętym jak struna. – Jestem gotów się założyć, że on gdzieś tutaj jest... całkiem blisko...

– Güel? – zasugerowała.

– Być może. To by znaczyło, że pierwszą zbrodnię popełnił jako bardzo młody człowiek, ale dlaczego nie? – Znowu wskazał na płaskorzeźby przedstawiające groteskowe postaci, które stopniowo pochłaniała ciemność. Mówił teraz niższym, uroczystym głosem, który niósł się w mroku. – Jakkolwiek by było, na pewno chodzi o człowieka, który jest pasjonatem obrazów, symboli i literatury klasycznej. Sama zobaczysz, to miasto jest pełne obrazów, symboli i mężczyzn podobnych do tego, którego opisałem. Jestem przekonany, że on tutaj jest, że śledzi każdy nasz krok, że to jeden z nas... Lucio, musimy wziąć pod uwagę wszystkie osoby, z którymi mieliśmy styczność.

Ciemności w zakamarkach budynku jeszcze zgęstniały, kładły się na starych kamieniach jak patyna. Lucia miała wrażenie, że tego dnia zmrok zapadł szybciej. A może to tylko kwestia nastroju?

– Wracajmy – powiedział, patrząc na nią. – Jestem starym, zbyt gadatliwym profesorem, a ty musisz odpocząć.

WTOREK WIECZÓR

Żołnierze atakujący z bagnetami na karabinach, armaty, konie, namioty. Na wzgórzach było rozstawionych kilka grup gotowych do bitwy.

– Tutaj stało trzystu pięćdziesięciu strzelców konnych z gwardii – wyjaśnił Salomón – tam czterdziestu ośmiu mameluków i siedmiuset sześciu grenadierów. Szarżowali na Rosjan ze słowami: „Niech zapłaczą piękne panny z Petersburga!”. Tego ranka pod Austerlitz sześćdziesiąt pięć tysięcy ludzi walczyło po stronie francuskiej i osiemdziesiąt pięć tysięcy po stronie koalicji austriacko-rosyjskiej.

Lucia pochylała się nad ołowianymi żołnierzami. Na makiecie w kącie wielkiego salonu było ich około setki. Pomyślała, że wygląda to jak cmentarz. Zastygłe w ruchu figurki przywodziły jej na myśl wszystkie wojny minionych wieków, które tak naprawdę były tylko jedną wojną: nieuchronnie przegraną wojną ludzkości ze śmiercią.

– Tu są żołnierze piechoty austriackiej, tutaj artylerzysta gwardii cesarskiej. A tam oczywiście cesarz na koniu w eskorcie dwudziestu strzelców, odpierający atak kozaków.

Salomón mówił ze swadą. Lucia się uśmiechnęła. Z pewnością słyszała rzenie koni, okrzyki szarżujących w ciemności kozaków, szczęk broni i łopot proporców. Najwyraźniej zauważył jej rozbawienie, ponieważ puścił do niej oko.

– Dosyć gadania o moim hyziu. Może się czegoś napijemy?

Podszedł do barku. Lucia wybrała szkocką bez lodu. Salomón sięgnął po elegancką karafkę z koniakiem Grande Champagne premier cru. Nalał sobie trunku do pękatego kieliszka i usiadł w jednym z uszaków. Lucia opadła na drugi.

– Dawniej większość morderstw i brutalnych przestępstw była zrozumiała – powiedział. – Zazdrosny mąż, zabójstwo dla łupu czy w afekcie:

motywy były zawsze takie same. Dzisiaj to się zmieniło. Przemoc bez powodu, porachunki, przestępstwa seksualne, groźenie śmiercią na portalach społecznościowych: przemoc jest wszędzie. Również w naszych czynach i słowach, w scenach, które oglądamy na co dzień. Nauka i technika dokonały niebywałych postępów w służbie walki z przestępczością, ale motywy stały się mniej oczywiste, pobudki bardziej subtelne, do samych aktów dochodzi częściej, a przeszkód prawnych ograniczających śledczych jest więcej. Efekt jest taki, że choć technologia wciąż się rozwija, poziom przestępczości nie spada. – Wstał. Podszedł do biblioteczki i sięgnął po stare wydanie *Wyznań Świętego Augustyna*. – Już Święty Augustyn uczył, że człowiek jest zdolny do bezinteresownego zła oraz że korzenie tego zła tkwią w ludzkiej woli i pysze. – Odstawił książkę i sięgnął po kolejną: *The Illustrated Stradford Shakespeare* wydawnictwa Chancellor Press. – „Tak więc nam słońce Yorku zamieniło zimę niesnasek w promieniste lato” ¹... *Ryszard Trzeci*, czytałaś? A nie, przecież ty nie czytasz. – Było to zwykłe stwierdzenie faktu, bez cienia oceny. – To historia przebiegłego garbatego króla, który morduje własnego brata, jego dzieci i żonę, żeby zdobyć tron. Mężczyzna, którego szukamy, również jest kaleką. Ale wewnątrz. Możliwe, że został zdeformowany przez nieszczęśliwe dzieciństwo. Iluż to dysfunkcyjnych rodziców wydało na świat potwory? Bez wątplenia były ich tysiące.

– Wygodnie jest wierzyć, że potwory rodzą się z potworów, prawda? – zapytała. – A przecież istnieją też potwory, które miały szczęśliwe dzieciństwo, wychowane przez szczęśliwych rodziców.

Uśmiechnął się, odstawił na półkę gruby tom i wyjął kolejny.

– *Sto dwadzieścia dni Sodomy* markiza Donatiena Alphonse’a François de Sade’a. Dzieło, którego autor wspiał się na być może najwyższy poziom odrazy i okrucieństwa: gwałty, tortury, dzieciobójstwo, morderstwa, pedofilia, koprofagia. U Sade’a, który sam był zaburzony, jest wszystko. I wreszcie *Bracia Karamazow* – dodał, wyjmując ostatnią książkę – bunt przeciwko Bogu wobec nieuzasadnionego cierpienia dzieci. Wierysz w istnienie zła, Lucio?

– Głęboko.

– Dlaczego?

– Ponieważ je spotkałam.

– Chodzi o Mélenđeza?

Zobaczył, że lekko się spięła – pierwsza rozprawa była tuż-tuż.

– Nie tylko...

– Literatura tak dużo nas uczy na temat zła – powiedział w zamyśleniu. – Ale sądzę, że to jest nic w porównaniu z tym, czego się człowiek uczy, konfrontując się z nim osobiście. – Wpatrywał się w nią, obracając w dłoniach kieliszek z koniakiem w sposób niemal hipnotyczny. Następnie wstał, podszedł do płyt stojących pod ścianą, wyjął spośród nich jeden czarny krążek i umieścił go na talerzu gramofonu. – *Elektra* Richarda Straussa. – Odwrócił się do Lucii. – To opera, która opowiada o zamordowaniu Agamemnona przez jego żonę Klitajmestrę i jej kochanka Ajgista, a potem samej Klitajmestry, która zginęła w ramach zemsty z rąk własnego syna. Dyrygent Daniel Barenboim nazwał tę operę „okrucieństwem zapisanym w nutach”.

Rozległy się pierwsze dźwięki: mroczne, dramatyczne. Umysł Lucii odpłynął. Myślała o książce w bibliotece wydziału prawa, z której być może korzystał morderca, o spojrzeniu Alfreda Güela, o gwałcieliu krążącym po ulicach Salamanki, o zwłokach Bolcána, o mrocznych szczegółach raportu z sekcji zwłok, który przeglądała w Segowii, o pokoju dziecięcym w piwnicy domu Bolcána. Pomyślała też o Álvarze.

– Wyglądasz jak trup – stwierdził po chwili Salomón z ojcowską troską. – Gdybyś była moją córką, natychmiast wysłałbym cię do łóżka z naparem z lipy i kwiatu pomarańczy. I z termoforem do ogrzania stóp.

Uśmiechnęła się, siorbiąc swoją szkocką.

– Ale nie jestem twoją córką... Masz dzieci?

– Nie. Moja świętej pamięci żona Begoña nie chciała.

– To jej zdjęcie? – Lucia wskazała ramkę na barku.

– Tak.

– Czy będę bardzo niedyskretna, jeśli zapytam, dlaczego nie chciała?

Zawahał się.

– Kiedyś, na początku naszego związku, wybraliśmy się na piknik na łąkę. Zapytała mnie wtedy, czy chcę mieć dzieci. Odparłem, że jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. Oświadczyła, że jeśli chcę mieć dzieci, muszę sobie znaleźć kogoś innego. Bo ona nie chce. Mówiła, że sprowadzanie dzieci na tak podły świat byłoby dla nich bardzo złym prezentem.

Lucia znowu zerknęła na zdjęcie.

– Bardzo ją kochałeś, prawda?

– Niezmiernie. Nie chciałbym popadać w sentymentalizm, ale w mitologii chińskiej istnieje koncepcja *tian sheng yi dui*, co oznacza „małżeństwo wybrane przez niebiosy”: jeden z bogów już przy narodzinach wybiera przeznaczone sobie pary, łącząc mężów z żonami czerwoną nicią. Pokrywa się to z platońskim mitem o pierwotnym hermafrodytyzmie, według którego ludzkość początkowo miała się składać z istot o czterech rękach, czterech nogach i dwóch twarzach; Zeus przeciął je na pół, bo obawiał się ich mocy, i tym samym skazał je na poszukiwanie brakującej części. Albo z żydowską legendą o baszert: osobie, którą przeznaczył dla ciebie Bóg, twojej drugiej połowie. – Spojrzał na dno swojego kieliszka. – Zawsze uważałem, że Begoña była mi przeznaczona. Od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczyłem. Że ktoś... Bóg, los, ale na pewno nie przypadek, przed wiekami postawił ją na mojej drodze. Że to było zapisane. Tak, wiem, co powiedzieliby na to racjoniści, specje od chemii mózgu i sceptycy. Ale to dlatego, że nigdy czegoś podobnego nie przeżyli. – Ku wielkiemu zdziwieniu Lucii zaczął podśpiewywać: – *Why she had to go I don't know she wouldn't say, I said something wrong, now I long for yesterday*. To była wspaniała kobieta. Była podobna do tej aktorki, która występowała u Bergmana, Bibi Anderson. Widziałaś *Tam, gdzie rosną poziomki* albo *Siódmą pieczęć*?

Lucia pokręciła głową.

– To był ten typ piękna. Naturalnego, niewymyślnego. Była inteligentna, ale nie jak te pseudointelektualistki, od których roiło się na uniwersytecie. Była moją studentką. Od pierwszej kolacji wiedziałem, że to kobieta mojego życia. – Postawił kieliszek na stoliku. – A teraz, jeśli nie masz nic przeciw temu, pójdę spać. Ty też powinnaś się położyć. Dobranoc, Lucio.

– Dobranoc.

– Ángel Benavente – powiedział Arias. – Skazany na kilka wyroków w zawieszeniu za handel serydami i zakłócanie porządku publicznego. Jego numer logował się po raz ostatni w Lleidzie. Możliwe, że pozbył się telefonu i samochodu, a potem wsiadł w pociąg do Barcelony. Obeszliśmy salony telefonii komórkowej w Lleidzie i wokół dworca Barcelona-Sants. Sprawdziliśmy sprzedawców telefonów na kartę. Szukamy jego samochodu. Mrówcza praca.

Siedziała oparta o zagłówek łóżka w jednym z zimnych pokoi w mieszkaniu kryminologa, pod grubą pierzyną, z termoforem pod stopami i kubkiem pachnących ziółek na nocnej szafce – Salomón nie oparł się przyjemności zatroszczenia się o nią. Opowiedziała Ariasowi o ich ostatnich odkryciach i o rozmowie z Güelem. Zapytał, czy Lucia uważa, że powinni zatrzymać wykładowcę, ale odpowiedziała, że jeszcze nie.

Zobaczyła, że łączy się z nią inny numer.

– To wszystko? – zapytała.

– Na razie tak.

– Ktoś do mnie dzwoni. Do następnego. Dzięki, Arias. Jesteśmy w kontakcie.

Odebrała połączenie. Adrián.

– Lucio, już wiem, skąd wasz morderca bierze swoje scenografie – obwieścił tryumfalnie.

1. William Shakespeare, *Król Ryszard III*, przeł. Jan Paszkowski, Wolne Lektury, akt I, scena 1 (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

WTOREK W NOCY

Poczuła, jakby przeszedł ją prąd.

– Dostałem książkę, na którą czekałem: jest w niej ponad dwieście zdjęć obrazów malowanych we Włoszech, Hiszpanii, Francji i Europie Północnej między końcem szesnastego a początkiem osiemnastego wieku. Są w niej wasze scenografie.

– Jak to?

– Wysłałam ci zdjęcia – powiedział. – Pierwsze upozowanie, z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego, odpowiada obrazowi anonimowego artysty z siedemnastego wieku. Obraz nosi tytuł *Kefalos i Prokris*.

Otworzyła WhatsAppa:



Psiakrew! Adrián miał rację: kobieta siedzi przodem, z rozsuniętymi nogami, mężczyzna klęczy między jej udami, plecami do widza, pochylony nad nią, jedną ręką obejmując ją w pasie, podczas gdy jej dłoń spoczywa na jego ramieniu. Wszystko się zgadzało. Na miejscu zbrodni mężczyzna miał dolną część ciała zasłoniętą czerwoną szarfą, a kobieta zielone prześciera-
dło na kolanach i udach.

– Niewiarygodne, to jest dokładnie to samo! – zawołała.

– Następny obraz to wasze drugie miejsce zbrodni, z Segowii. Chodzi o siedemnastowieczne płótno ze szkoły włoskiej: *Śmierć Hiacynta*.



– Zobacz, takie same pozy – powiedział. – Mężczyzna kuca, ma zgięte nogi tak jak tamten pod drzewem, kobieta siedzi między jego kolanami oparta o niego plecami, z jednym ramieniem przełożonym przez jego lewe udo. Mężczyzna ma na ramionach czerwony welon, kobieta zielony na udach. Z tym że na obrazie to nie jest kobieta. Poza tym wszystko pasuje.

Nawet sandały, które mają na stopach i które nie są w ich rozmiarze, bukiet kwiatów i rakietę tenisową!

– Ja pierdolę – szepnęła Lucia.

– To jeszcze nie koniec. Trzeci obraz pasuje do podwójnego morderstwa z Benelmádeny. Gość inspirował się obrazem francuskiego malarza Jeana-François de Troy *Pyram i Tyzbe* namalowanym mniej więcej w latach tysiąc siedemset osiem, tysiąc siedemset dziesięć. Tutaj też wszystko się zgadza. Mężczyzna leży na plecach w rozpiętej koszuli, z odsłoniętą klatką piersiową, z lewą ręką spoczywającą wzdłuż ciała i prawą na tułowiu, w sandałach na nogach. Wokół łydek ma przełożony gruby sznur, a na biodrach czerwony koc. Kobieta leży obok niego na boku naga od pasa w górę, ze sztyłem wbitym w klatkę piersiową.



- Chryste! – wymsknęło się Lucii. – Czyżby on korzystał z tej książki?
- Możliwe. Nie zapominaj, że w osiemdziesiątym dziewiątym nie było Internetu.
- Dzięki, Adrián – szepnęła. – Bardzo nam pomogłeś.
- Cisza. Domyśliła się, że mężczyzna się uśmiecha.
- Nie ma za co... Lucia? Pamiętaj, powiedziałaś, że to jest warte kolacji.

– Pamiętam.

Kiedy się rozłączyła, dwukrotnie zawołała Salomóna przez zamknięte drzwi. Wreszcie usłyszała jego ciężkie kroki. Zapukał.

– Mogę wejść?

– Tak!

– Co się dzieje? – zapytał z zaniepokojoną miną.

Pokazała mu wyświetlacz telefonu. Profesor pochylił się nad urządzeniem i szeroko otworzył oczy.

– Szlag – powiedział drżącym głosem – wygląda na to, że sprawy się klarują.

NOC Z WTORKU NA ŚRODĘ

– Ależ jesteście spięta – powiedział Alejandro.

– Ze stresu, to przez tę paskudną historię...

Leżała na łóżku wyciągnięta na brzuchu. Miała na sobie tylko różowe majtki z wielkim napisem RIHANNA na pośladkach. Hiszpan ze zręcznością fizjoterapeuty masował napięte mięśnie jej ramion i pleców.

Assa zaczęła pomrukiwać. Alejandro przystąpił do masażu łydek, a potem powoli przesunął dłonie w stronę ud i pośladków. Kiedy zbliżał się do różowego trójkąta majtek, poczuła przyjemne ciepło.

Zachichotała. Lubiła jego pieśczoły. Ale kiedy wsunął palce pod cienką tkaninę, tam, skąd biło źródło ciepła, jęknęła, rozchyliła lekko szczupłe nogi i bezwstydnie wypięła pupę.

Gdy znalazł fałdy jej warg sromowych i poczuł, jaka jest wilgotna, jego członek natychmiast stwardniał. Sięgnął po prezerwatywę i przebił się przez falę gorąca, która zalewała Assę, kiedy w nią wchodził. Poczuł, jak mięśnie jej pochwy masują go na całej długości. Jęknęła. Alejandro ujął w palce jej sterczące brodawki i uniósł się nad nią jak byk.

– Nie prosiłam o *happy ending* – zażartowała, ale głos miała ochryply.

Chwilę później przygwoździł ją do materaca i wszedł w nią najgłębiej, jak mógł. Zaczęła dyszeć, jęczeć, odpowiadając całym ciałem na jego ruchy. Pot, ślina, wilgoć, oddechy. Delikatny zarys jej łopatek, zwarta krągłość pośladków dotykających jego brzucha, wygięty kręgosłup pod aksamitną czarną skórą.

Dwadzieścia minut później, po trzykrotnej zmianie pozycji, poszła wyrzucić prezerwatywę do kosza i przyniosła z lodówki dwa piwa Mahou.

– Jak sobie wyobrażasz tego gościa, którego szukamy? – zapytała, siedząc na nim okrakiem i popijając piwo z butelki.

– Nie wiem. A ty?

Zamyśliła się.

– Według mnie jest raczej wysoki, przystojny, wykształcony, inteligentny, około pięćdziesiątki...

Zarechotał.

– To nie profil, to fantazje!

Wybuchnęła śmiechem. Oparła lodowate denko butelki o jego klatkę piersiową. Wzdrygnął się, a na jego skórze pojawiła się gęsia skórka.

– Cholera, zimne!

Odsunął ją, tak że stoczyła się na łóżko, rozlewając przy tym trochę piwa. Wstał i ruszył w kierunku drzwi. Kiedy się do niej odwrócił, była zaskoczona intensywnością jego spojrzenia. Przez chwilę zdawało jej się, że ma przed sobą kogoś zupełnie innego.

– A co jeśli od początku wszyscy się mylimy? – zapytał zmienionym głosem.

– Jak to?

W jego tonie, sposobie mówienia było coś niepokojącego. Coś, czego nie znała. Mimowolnie zadrżała.

– Załóżmy, że dwa ostatnie podwójne morderstwa popełniła inna osoba niż pierwsze.

– To znaczy?

– Sama to powiedziałaś w Camelocie, pamiętasz? Naśladowca. W ten czy inny sposób gość poznał szczegóły pierwszej zbrodni. Zrozumiał, że morderca odtwarza *Przemiany* Owidiusza, i postanowił go naśladować. To by wyjaśniało, dlaczego przez tyle lat nic się nie wydarzyło. Może pierwszy zabójca nie żyje, kto wie? Może pojawił się nowy?

Jego hipoteza przykuła uwagę Assy. Dziewczyna usiadła.

– Mów dalej.

– W takim wypadku zmienia się dana dotycząca jego wieku – powiedział. – I wracamy do tradycyjnych hipotez: mężczyzna między dwudziestym piątym a trzydziestym piątym rokiem życia, może trochę młodszy albo trochę starszy.

Mówił szybko, miał rozszerzone źrenice. Podeszedł do łóżka. Zobaczyła w jego oczach blask, który zupełnie do niego nie pasował. Nie była pewna, czy kocha takiego Alejandra.

– Możliwe – mruzczał coraz niższym, coraz bardziej gardłowym głosem – że to jeden z nas, ktoś z naszej grupy. Ulysses albo... ja.

Odsunęła się.

– Przestań się wygłupiać. Nie jesteś zabawny.

– To nie są wygłupy – szepnął.

Uklęknął na łóżku i zaczął się przesuwać w jej stronę, nie odrywając od niej spojrzenia czarnych oczu.

– Jeśli podejdziesz bliżej, walnę cię w ryj, dupku. Albo w jaja.

Wstał.

– Jezu, Assa, przecież żartuję! – zawołał i rozłożył ramiona.

– Ktoś jest za drzwiami...

– Co?

– Słyszałam jakiś dźwięk. Ktoś jest za...

– ...za drzwiami, tak, słyszałem. – Odwrócił się. – Pewnie to Jordi.

– Nie, Jordi wrócił wcześniej.

– Nie ruszaj się – szepnął.

Bezszelestnie podszedł do drzwi. Przyłożył do nich ucho. Wytężył słuch. Nic. Tylko szum krwi w jego skroniach. Otworzył skrzydło na oścież.

Na piętrze nikogo nie było. Ale na klatce schodowej paliło się światło: chwilę wcześniej ktoś uruchomił włącznik czasowy.

– Nikogo nie ma – powiedział jednak, żeby ją uspokoić.

Ale dokładnie w tej samej chwili usłyszał, jak drzwi kamienicy się zatrząskują.

ŚRODA RANO

Kiedy nazajutrz Alejandro i Assa wchodzili do budynku wydziału prawa, zanosilo się na deszcz. Ruszyli korytarzem po prawej, minęli sale wykładowe i zeszli do sutereny. Byli już prawie na najniższych stopniach, kiedy zobaczyli długie zdanie napisane czerwonym tuszem – był to ten sam kolor, którego używano do *vitores*¹ malowanych na ścianach uniwersytetu. Tekst brzmiał następująco:

Była to Prokrys. W piersi utkwiała jej strzala.

«Biada mi nieszczęśliwej!» – głośno zawołała. [...]

Krwi strumieniem zboczona i już na pół żywa

*Własny dar z rany krwawej z wysiłkiem wrywa*².

– O cholera! – zawołała Assa.

– Był tu dziś w nocy – stwierdził Alejandro.

Drzwi laboratorium się otworzyły i ukazał się w nich Ulysses, zaspany i rozczochrany, z kubkiem parującej kawy w ręku.

– Cześć. Uuu, kochani, ale macie miny...

Spojrzał na napis i szeroko otworzył oczy.

– A to co ma być?

– Zawiadomić Salomóna – rzekł Alejandro. – Natychmiast.

– Kurwa! Chyba był też w laboratorium! – zawołał Ulysses. – Ktoś mi ukradł szklankę i szczoteczkę do zębów.

1. *Vitores* – inskrypcje i symbole umieszczane na murach całego Uniwersytetu w Salamance, również w holu wydziału prawa. Tradycyjnie maluje się je na cześć studentów, którzy obronili prace doktorskie. Pierwowzorem *vitores* są chrystogramy. [\[wróć\]](#)
2. Owidiusz, *Przemiany*, przeł. B. Kiciński, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1953, s. 138. [\[wróć\]](#)

ŚRODA RANO

Szef departamentu edukacji wspólnoty autonomicznej Kastylii i Leónu Héctor Delgado lubił przeglądać się w lustrze. Szczupły, gładko ogolony, przystojny mężczyzna, nie przestając wpatrywać się we własne oblicze, nieśpiesznie włożył białą koszulę, szary garnitur od Hugo Bossa i zawiązał niebieski krawat od Ermenegilda Zegni. Héctor Delgado kochał siebie.

Odniósł sukces. Był w miejscu, w którym chciał się znaleźć. Wszystko inne było drugorzędne. Zawsze z całą swobodą ściemniał, stwarzając na rozmówcach wrażenie silnego, sprawczego i kompetentnego. Drobne życiowe troski spływały po nim jak woda po kaczce.

Wyszedł z pokoju i skierował się ku schodom. Z parteru dobiegały krzyki i odgłosy rozmowy. Pomyślał, że ma piękną żonę i piękne dzieci. Jego jedynym problemem był wiek. Pieprzony czas biegnie nieubłaganie. Nie trzeba być Einsteinem ani Boltzmannem, żeby to zrozumieć: wystarczy zdrowy rozsądek. Wystarczało, że spojrzał na zmarszczki na swoim czole czy w kącikach oczu. Zastanawiał się nad liftingiem, ale nie chciał, żeby jego twarz wyglądała jak śmieszna woskowa maska bez wyrazu.

Wkroczył do kuchni – on, wybitny biurokrata, *pater familias*, kochający i troskliwy mąż – i ucałował cztery córki i syna siedzących wokół stołu, by na koniec złożyć lekki pocałunek na słodkich ustach Manueli.

– Tata! Tata!

Dziewczynki od razu się uaktywniły, zaczęły go zasypywać prośbami i pytaniami. Panował nad swoim małym światem ze swobodą i pewnością siebie, nagradzany okrzykami zachwyty przez wspaniałą małżonkę.

Pochłonął gofra z jajkiem w koszulce i bekonem oraz przydział bananowego chlebka, i popił kawą americano. Rozsmakował się w takich śniadaniach w trakcie pobytu w Stanach. Wytarł usta i sięgnął po wielką teczkę z brązowej skóry.

– Do zobaczenia wieczorem, kochani – powiedział.

Z uśmiechem na ustach usiadł za kierownicą mercedesa klasy E.

Jak każdego dnia, kiedy wyjeżdżał do Segowii, zastanawiał się nad tym, jak by zareagowała jego żona, gdyby się dowiedziała o jego tajemnicy. Na pewno zażądałaby rozwodu. Poczuliaby obrzydzenie. Między Héctorem, którego znała, a tym, kim był w głębi serca, między egzystencją, jaką wiódł na łonie swojej licznej, kochającej się rodziny, a jego sekretnym, osobistym, fantazmatycznym życiem, była taka przepaść, że biedna Manuela pewnie wpadłaby w przerażenie albo zaczęła powątpiewać w jego zdrowie psychiczne, gdyby poznała prawdę.

W drodze do Segowii zatrzymał się na parkingu siedziby rządu wspólnoty autonomicznej Kastylia i Leónu w Valladolid. Wciśnięty między położony na wzgórzu park Mirador de Parquesol a rzekę budynek z narożnymi wieżami i kwadratowymi dziedzińcami przypominał więzienie. Znalazłszy się w swoim biurze, zgarnął kilka teczek i oznajmił sekretarce, że tego ranka ma spotkanie z rektorem Uniwersytetu w Salamance.

– W kalendarzu mam zapisane, że spotkanie jest po południu – powiedziała.

– To zmiana z ostatniej chwili. Do zobaczenia wieczorem, Inés.

Pokonanie odległości z Valladolid do Segowii autostradą A-601 zajęło mu półtorej godziny. Dojeżdżając starą rzymską drogą do wielkiego akweduktu, jak zwykle poczuł ukłucie w sercu. Ten widok konfrontował go z jego własną śmiertelnością, z jego starzeniem się. Pod tą budowlą przejechało wiele pokoleń mężczyzn takich jak on. I przejadą kolejne.

Była 10.18. Zaparkował szarego mercedesa na plaza San Nicolas, przed kościołem pod tym samym wezwaniem, wszedł do starej kamienicy i ruszył do góry, pokonując po dwa schody. W budynku nie było windy. Ani dzwonka. Zastukał. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast i stanął w nich mężczyzna około czterdziestki, średniego wzrostu, z brzuszkiem i wyraźną łysiną, odziany w szlafrok w kolorze indygo w złote prążki.

– Cześć – powiedział Héctor Delgado.

– Cześć.

Zaczęli się całować z namiętnością kochanków, którzy nie widzieli się od bardzo dawna, i kiedy drugi mężczyzna dotknął jego krocza przez materiał spodni, Héctor natychmiast poczuł, że jego członek twardnieje.

Wystarczyły trzy minuty, by znaleźli się w łóżku. Wszedł w swojego towarzysza i doświadczył rozkoszy, której nigdy nie dostarczyła mu cipka żony.

– Kawy? – zapytał Rodrigo dziesięć minut później, wstając.

Héctor wyszedł za kochankiem na balkon, z którego rozciągał się widok na najbliższą okolicę. Było piękne jesienne przedpołudnie. Mężczyzna zapatrzył się na oświetlone blaskiem słońca wzgórze i wąskie drogi wijące się po zboczach.

Rodrigo wrócił, niosąc szklany dzbanek wypełniony kawą, dwie filiżanki i gazetę.

– Niedługo minie sto dni, odkąd nie mamy rządu. Ten kraj z godziny na godzinę coraz bardziej się ośmiesza – stwierdził, rzucając gazetę na okrągły stół.

Rodrigo był zastępcą mera Segowii. Polityczny marazm, o którym wspominał, trwał tak naprawdę od ponad czterech lat. Od czterech lat Hiszpania nie miała kompasu, budżety były blokowane, kryzys trwał. Przyczyna? Bratobójcze wojny, walki na ego, taktyczne weta, rozdrobnienie w parlamencie. Krótko mówiąc, zwycięstwo partyjnych egoizmów nad wspólnym dobrem.

– Ech, ci politycy. Potrafią myśleć wyłącznie o własnych interesach – mówił dalej Rodrigo. – Uważam, że ten cynizm jest przerażający. Nigdy nie powinni mieć do czynienia z ludem.

Jego kochanek znowu obnażył nieskazitelnie lśniące zęby w uśmiechu.

– Z ludem, z ludem... Co wy tam na lewicy macie z tym ludem? Mówicie o nim tak, jakby masy były święte, jakby były depozytariuszem całej prawdy, jakby krytykowanie ludu było świętokradztwem. Uważam, że wyłom, który zrobił Vox, jest ciekawy.

Vox – partia skrajnej prawicy. Rodrigo był w pełni świadomy, że słowa Héctora są czystą prowokacją, ale nie potrafił nie zareagować.

– Jak możesz być aż takim wsteczniakiem? – zapytał, udając oburzenie i niesmak.

– *Facho*, oto słowo, które masz na końcu języka, kochanie – poprawił go Héctor Delgado z uśmiechem. – No, wyrzuć to z siebie. Jestem pierdolonym faszystą. A ty jesteś jebanym komuchem, skarbie. W dupie mam twoje umoralniające gadki.

Rodrigo zaniósł się śmiechem.

– Ciągłe nie mogę zrozumieć, jak to się stało, że zaczęliśmy ze sobą sypiać. Ty wierzący, z uroczą rodziną i ja, taki... To jakiś cud, nie? Chyba się nawrócę! – Uniósł filiżankę do ust, patrząc na uśmiechniętego Héctora. – To znaczy – mówił dalej Rodrigo – co ty właściwie we mnie widzisz? Ty jesteś z prawicy, ja z lewicy. Ty jesteś przystojny, ja nie. Jesteś żonaty z piękną kobietą, masz śliczne dzieci, poukładane życie, a ja jestem stuprocentowym gejem.

– Kochanie, rozmawialiśmy o tym ze sto razy. *The Rules of Attraction*, znasz? To nigdy nie jest takie proste.

– Chcesz wiedzieć, co ja o tym myślę? Myślę, że tak naprawdę pociąga cię w tym transgresja. Przekraczanie żelaznych zasad twojego obozu: praca, rodzina, partia. To cię kręci, Héctorze. Złamać, pogwałcić przykazania twojej pieprzonej moralności i politycznej rodziny. Potaplać się w tym, co uważasz za błoto. Jesteś człowiekiem pełnym sprzeczności. I jak wszyscy moralisci jesteś obrzydliwym hipokrytą. Chcesz porządku i moralności dla innych i transgresji dla siebie. Wszystko to, cała ta fascynacja, to jednocześnie przyciąganie i odpychanie w stosunku do tego, co utożsamiasz ze złem, prawdopodobnie pochodzi z twojego dzieciństwa. Myślę, że byłbyś nawet zdolny zabić, żeby doświadczyć ostatecznej transgresji – perorował Rodrigo, znany z zamiłowania do przesady.

Delgado się roześmiał.

– Skończyłeś? Świetnie! Muszę spadać. Po południu mam spotkanie w Salamance, *cariño*.

Wsiadł do samochodu. Zanim ruszył, zerknął do kalendarza. O 14.00 miał spotkanie z rektorem. A potem... Jego telefon leżący na desce rozdzielczej zadzwonił. Roztargniony pochylił się nad wyświetlaczem. Borges... A ten czego chce? Odebrał połączenie i wysłuchał, co wykładowca ma mu do powiedzenia.

Kiedy się rozłączył, przez dłuższy czas wpatrywał się w ulicę za przednią szybą. Nagle w jego głowie pojawił się obraz, który pochodził z najgłębszych zakamarków dzieciństwa – martwy kot, jego zwłoki z wywieszonym językiem leżące na warstwie suchych liści.

Serce zaczęło mu walić jak szalone. Z czoła spłynęła strużka potu. To było tak dawno temu. Przypomniał sobie słowa kochanki: „Myślę, że byłbyś nawet zdolny zabić, żeby doświadczyć ostatecznej transgresji”. Héctor

Delgado po raz ostatni spojrział na zalane blaskiem słońca mury obronne i wyjechał z Segowii.

ŚRODA RANO

– Panie i panowie – powiedziała przewodnicząca składu sędziowskiego, poprawiając czarną togę i spoglądając na salę rozpraw znad okularów. – Wszyscy są obecni. Otwieram zatem rozprawę w sądzie pierwszej instancji przeciwko panu Franciscowi Manuelowi Mélendezowi.

Lucia spojrzała na nią uważnie. Sędzia Carmen Laporta miała przed sobą laptop, butelkę wody mineralnej i bardzo wysoki stos teczek, których najpewniej nie przyniosła tylko po to, by zrobić wrażenie na publiczności. Wyglądała na surową, ale Lucia wiedziała z doświadczenia, że to nic nie znaczy. Poza tym miała tłuste włosy i zbyt ciężki makijaż.

Lucia przed chwilą przyjechała z Salamanki. Rzuciła okiem na stolik obrony. Z satysfakcją zauważyła, że Mélendez – choć był świeżo ogolony i miał na sobie marynarkę – wygląda na sprawcę. Mimo upływu czasu nosił ślady po uderzeniach młotkiem, które mu zadała: blizny na policzkach i skrzywiony nos. Nie miała wątpliwości, że obrona użyje ich, by podkreślić, jak brutalna była jej napaść. Jakby wyczuł jej spojrzenie, Francisco Manuel Mélendez popatrzył na nią i się uśmiechnął. Lucię ogarnęło wrażenie, jakby temperatura w sali rozpraw nagle spadła. Nawet z tej odległości widziała światło tańczące w małych brązowych oczach „Młotkowego”.

Rozejrzała się. Na widowni było dużo ludzi, w tym sporo dziennikarzy, którzy przyglądali jej się z zaciekawieniem. Kilkoro z nich rozpoznała: „El Mundo”, „El País”, „La Razón”, „La Vanguardia”, „ABC”, Jedyńka, Dwójka, Antena 3, Telecinco. W ostatnich dniach adwokat Mélendeza – z tą swoją elokwencją i wyglądem eleganckiego chama – prawie codziennie udzielał wywiadów i za każdym razem korzystał z okazji, by ją obciążyć. Tak jakby to ona była oskarżona, a nie jego klient.

Kiedy strony zaczęły przemawiać, Lucia na chwilę odpłynęła myślami. Znowu była w tamtym kiblu i dusiła się w plastikowym worku, który

Mélendez założył jej na głowę, ale i tak docierał do niej zapach jego tanich perfum: ciężki, odurzający, obrzydliwy. Inna migawka: z całej siły waliła w niego młotkiem i czuła dziką radość, słysząc trzask łamanych kości. Facet wrzeszczał, wyrywał się, a potem stracił przytomność.

Kiedy wróciła myślami na salę rozpraw numer 7, adwokat Mélendez pochylał się nad mikrofonem. Gwiazda madryckiej palestry. Szpakowata czupryna, ostry, przenikliwy wzrok. Patrzył Lucii prosto w oczy. Wytrzymała to bez mrugnięcia, usiłując zachować zimną krew. Jego spojrzenie wyrażało czystą wrogość. Mówiło: „urządę ci piekielny kwadrans, mała”. Następnie odwrócił się w stronę przysięgłych i wyraz jego twarzy się zmienił.

– Panie i panowie przysięgli – zaczął przy pochlebnym tonem – zaraz wykażę, że obecna na sali porucznik Lucia Guerrero zaatakowała mojego klienta bez powodu. Że była z nim sama, bez świadków. Że żaden ze świadków tamtej nocy nie widział, by mój klient miał przy sobie młotek, za to młody człowiek w kasie widział młotek w ręku porucznik Guerrero... i to zakrwawiony. Wykażę również, że mamy przed sobą osobę niestabilną, brutalną i krnąbrną, która już wcześniej sprawiała swoim przełożonym poważne problemy. Wykażę, że tamtej nocy nie tylko nie wezwała posiłków, ale ani żaden z jej kolegów, ani bezpośredni przełożony w ogóle nie wiedzieli o jej nocnych przejażdżkach. – Stukał paznokciem palca wskazującego w stolik przed sobą, jakby chciał zaakcentować każde z wypowiadanych słów. – I wreszcie wykażę, że mój klient nie miał w przeszłości problemów z prawem, że jego sąsiedzi uważają go za osobę uczynną i zrównoważoną, w przeciwieństwie do porucznik Guerrero, której, na marginesie mówiąc, odebrano opiekę nad synem, oraz że przebieranie się nie jest przestępstwem. Reasumując, wykażę, że cała ta sprawa jest ukartowaną akcją Guardia Civil, więc skazanie mojego klienta byłoby straszliwą pomyłką sądową, której, jestem pewien, obecni tutaj przysięgli będą chcieli uniknąć w imię prawa i sprawiedliwości.

Zwinnie wplótł w swoją mowę słowa „sprawiedliwość”, „prawo” i „pomyłka sądowa”. To zawsze robi wrażenie. Wszyscy kochają prawo i sprawiedliwość. Słowa te miały za zadanie mocno się odcisnąć w umysłach przysięgłych, a zostały wypowiedziane głosem tak wyważonym, tak spokojnym, przedstawione jako coś tak oczywistego, że Lucia o mało nie zwątpiła we własne wspomnienia.

Była wściekła. Drań nie zawahał się wspomnieć o Álvaro. Wiedziała jednak, że prowokuje ją z rozmysłem i że nie może sobie pozwolić na okazywanie gniewu, ponieważ w ten sposób dostarczyłaby argumentów obronie.

– Pani porucznik – zaczął, kiedy nadeszła jego kolej na przesłuchanie Lucii – wszyscy mówią, że jest pani jedną z najzdolniejszych funkcjonariuszek w UCO, jedną z najbardziej doświadczonych, jedną z tych, które osiągnęły najlepsze wyniki.

Przeniósł spojrzenie z przysięgłych na Lucię. Kiedy idąc w ślad za nim, kilkadziesiąt osób utkwilo w niej wzrok, poczuła, jak włoski na jej przedramionach stają dęba.

– W takim razie jak to możliwe, że tak wytrenowana, tak zaprawiona w boju gwardzistka dała się tak łatwo zaskoczyć? – ciągnął. – Zastanawiałem się nad tym, ale nie jestem w stanie tego pojąć.

– W tamtym czasie nikt nie wiedział, że Francisco Mélenz przebiera się za kobietę, dlatego szukałam mężczyzny – odpowiedziała spokojnie. – Wychodząc z kabiny, zobaczyłam, że przy umywalkach stoi jakaś kobieta. Nie zwróciłam na nią uwagi.

– Nie zwróciła pani uwagi? – Rzucił się na to zdanie jak pies na kość. – Jest pani sama w środku nocy w toalecie przy autostradzie, wystawia się pani jako przynęta dla seryjnego mordercy, który napada na ofiary właśnie w takich miejscach, i nie zwraca pani uwagi na to, co się dzieje dookoła?

Adwokat mówił pełnym niedowierzania tonem, który wkurzał Lucię. Ale z pewnością właśnie o to mu chodziło, żeby straciła nerwy i w ten sposób podważyła własną wiarygodność.

– Oczywiście, że zwracam – zaoponowała najspokojniej, jak potrafiła. – Po wyjściu natychmiast rozejrzałam się dookoła. Ale kiedy zobaczyłam tę kobietę, straciłam czujność. – Zawahała się. – Możliwe też, że byłam zmęczona, było późno, a ja spędziłam za kierownicą wiele godzin.

Nie, nie rób tego: nie tłumacz się! Nie masz sobie nic do zarzucenia!

– Hmm... Panie i panowie przysięgli, chyba zgodzicie się ze mną, że Francisco Manuel Mélenz ani trochę nie przypomina kobiety – powiedział, stukając wymanikiowanymi paznokciami, z połączonym piórem między palcami. Lucia zastanawiała się, czy jest wykonane z prawdziwego złota. – Nawet gdyby miał na sobie czerwoną sukienkę, a na głowie blond perukę, wystarczyłby rzut oka, by się przekonać, że nie chodzi o kobietę. Czy się mylę?

Gwardzistka się zawahała.

– No nie wiem... Nie jest szczególnie wysoki – stwierdziła.

Mélendez miał metr sześćdziesiąt trzy wzrostu. Przez salę przetoczył się chichot. Punkt dla niej.

– Nie wie pani... Idźmy więc dalej, trzymając się pani zeznań. Napastnik wkłada pani na głowę plastikową torbę, próbuje panią udusić, bliską omdlenia przewraca panią na ziemię i wtedy w cudowny sposób sytuacja ulega odwróceniu, udaje się pani zyskać nad nim przewagę w sposób tak spektakularny, że mój klient zostaje znaleziony w jednej z kabin, przykuty do rury, z twarzą dosłownie zmasakrowaną młotkiem. Bruce Lee lepiej by tego nie zrobił, pani porucznik. – Przerwał w oczekiwaniu na wybuchy śmiechu, które jednak nie nastąpiły. – Z tym że Bruce Lee nie używał młotka. Pani lewa noga bez przerwy podryguje. Czyżby pani się denerwowała, pani porucznik?

Cholera! Rzuciła mu mroczne spojrzenie i natychmiast zauważyła, że jest zadowolony z jej reakcji. Odwróciła się do przysięgłych. Nie spuszczała jej z oczu. Domyśliła się, że trucizna, którą adwokat wpuszczał kropla po kropli w ich opinie, zaczyna działać, że zaczynają mieć wątpliwości.

Cholera...

– Byłam do niczego – powiedziała, wychodząc z sali rozpraw.

Nie spodziewała się, że tak ją to wszystko dotknie i wkurzy. Widziała, z jaką zręcznością mecenas Rubio – ten błyskotliwy członek palestry, który udzielał wywiadów takim czasopismom jak „Semana” czy „Vogue España” i lansował się na mieście z topmodelkami u boku, zasiał w umysłach przysięgłych ziarno wątpliwości. Widziała satysfakcję w jego oczach, kiedy plątała się w zeznaniach. Część adwokatów – choć nie wszyscy – rozwinęła w sobie głęboką niechęć do glin, którą od czystej nienawiści dzielił tylko jeden krok.

– Ależ nie – pocieszył ją idący za nią Peña – dobrze sobie radziłaś. Mélendez nie ma szans się wywinąć. Pamiętaj, że przysięgli czytają gazety. Poza tym papuga nie powinien był mówić o twojej opiece nad synem. To był błąd. Taka uwaga ze strony faceta znanego z podbojów i rozwodów zniechęciła do niego damską część przysięgłych.

– Nie byłabym tego taka pewna. Czułam, że zarówno oni, jak sędzia byli bardzo chłonni na argumenty obrony.

– Gdybyś nie działała na własną rękę i trzymała się zasad, nie byłoby nas tutaj – stwierdził, gdy szli korytarzem.

Wkurzył ją.

– Gdybym nie działała w ten sposób, Mélenhez byłby na wolności i dalej by zabijał! – odparowała. – Co będzie, jeśli wyjdzie?

– Nie wyjdzie, mogę ci dać słowo. Nie ma absolutnie żadnej możliwości, żeby tak się stało. Wszyscy wiedzą, że to on.

Chciałaby w to wierzyć. Widziała już adwokatów, którzy podobnie jak politycy potrafili przekonać przysięgłych, że białe jest czarne, a czarne jest białe.

ŚRODA WCZESNE POPOŁUDNIE

Lucia wpadła jak tornado do sali wykładowej numer 001 imienia Francisca Tomása y Valiente jak studentka, która nie usłyszała budzika. Salomón spojrzał na nią z podium.

– To wszystko na dzisiaj – zwrócił się do studentów. – Następnym razem zajmiemy się biznesem narkotykowym i zobaczymy, jak w latach osiemdziesiątych „Freeway” Rick Ross, niepiśmienny dzieciak z Los Angeles, zdołał zalać Stany Zjednoczone crackiem, sprzedając go najuboższym po obniżonych cenach, i jak w efekcie narkomania rozpowszechniła się w biedniejszych dzielnicach amerykańskich miast, zanim wybuchła tutaj.

Lucia ruszyła głównym przejściem w przeciwnym kierunku niż studenci opuszczający salę.

– Jak poszło na rozprawie? – zapytał, zamykając torbę.

– Źle, ale to nic. Myślę, że on popełnił błąd.

Salomón podniósł głowę.

– Mélendez?

– Nie. Ten, którego szukamy.

– Jaki błąd?

– Adwokat Mélendeza zapytał mnie – zaczęła, gdy zmierzali do wyjścia – „jak to możliwe, że tak wytrenowana, tak zaprawiona w boju gwardzistka dała się tak łatwo zaskoczyć?”. Pomyślałam o Sergiu. On też był wytrenowany, doświadczony i ostrożny. I on też nie dałby się tak łatwo podejść. Sekcja zwłok wykazała, że Sergio miał na głowie ślad po tym, co patolodzy w swoim żargonie nazywają „znieczuleniem Brouardela”, czyli bardzo silnym uderzeniu w potylicę, które ma na celu ogłuszenie ofiary. Wiemy, że w mieszkaniu Gabriela Schwartza ktoś był. Z całą pewnością na wzgórzu również byli we dwójkę. Schwartz posłużył za przynętę, za zmyłkę. Przyciągnął uwagę Sergia, kiedy prawdziwy morderca się do niego zbliżał.

A potem pomógł temu draniowi wciągnąć Sergia na krzyż. Ale nie na tym polega jego błąd – mówiła dalej Lucia, gdy szli korytarzem w stronę schodów. – Jego błąd polega na tym, że posłużył się Gabrielem. Może dlatego, że nie miał nikogo innego pod ręką. A może Gabriel był najłatwiejszą do zmanipulowania osobą, jaką znał. Ale Schwartz, zupełnie nieświadomie, raz po raz zmieniając tożsamość, zostawił nam wskazówkę.

Salomón zatrzymał się pośrodku korytarza.

– Jak to? Jaką wskazówkę?

– Wiemy, że szukamy człowieka wykształconego, inteligentnego. Kogoś, kto potrafi zacierać po sobie ślady. Sam powiedziałeś, że za pierwszym razem to było tak, jakby się ulotnił. A jednak zostawił ślad: w umyśle Gabriela Schwartz.

Salomón wpatrywał się w nią intensywnie, kompletnie nie zważając na opływający ich strumień studentów.

– Jestem prawie pewna, że aby zbliżyć się do Gabriela, zmienił wygląd: przebrał się. A chłopak nie znał jego prawdziwej tożsamości. Ale Gabriel podczas przesłuchania coś powiedział: kiedy mówił o deszczu, który padał tamtego dnia, powiedział, że to był prawdziwy wodny poniedziałek. Wtedy nie zwróciłam na to uwagi, uznałam tylko, że to dość dziwne określenie. Wróciło do mnie, kiedy wychodziłam z sądu. Przypomniałam sobie, co powiedział adwokat Mélenzeza, pomyślałam o Sergiu, o przesłuchaniu Schwartz. A Peña, mój szef, który wychował się w prowincji Salamanka, wyjaśnił mi, że chodzi o nazwę obchodzonego tutaj święta: wodny poniedziałek.

Kryminolog przytaknął, marszcząc brwi.

– Tak jest. To tradycja sięgająca szesnastego wieku. Król Filip Drugi, który był bardzo pobożny, zakazał działalności prostytutek w murach Salamanki przez cały Wielki Tydzień. Do zakończenia obchodów eksmitowano je na drugi brzeg rzeki. W poniedziałek, po zakończeniu Wielkiego Tygodnia, *padre putas*, bo tak nazywała się ta funkcja, transportował dziwki z powrotem do miasta, z tym że musiały pokonać tę drogę statkiem; nie wolno im było korzystać z rzymskiego mostu, ponieważ żyły w grzechu. Stąd nazwa wodny poniedziałek. Rozumiem, dokąd zmierzasz: uważasz, że Gabriel, który nie mieszkał w Salamance, a w Madrycie, znał to określenie tylko dlatego, że usłyszał je z ust człowieka, którego szukamy. I że po pro-

stu je powtórzył. Potwierdza to moje przypuszczenie, że gość jest raczej stąd niż z Górnej Aragonii, nawet jeśli to tam wszystko się zaczęło.

– Otóż to.

– Chodź ze mną – powiedział nagle konspiracyjnym tonem.

Zeszli do sutereny. Szare światło poranka wpadało przez przeszkloną ścianę, za którą widać było patio, i oświetlało wymalowane czerwoną farbą długie zdanie.

– Zauważyliśmy to kilka godzin temu. Niczego nie dotykaliśmy.

Lucia już sięgała po telefon.

– To ta sama farba, którą maluje się *vitores*, inskrypcje upamiętniające osoby, które obroniły doktorat na wydziale. Wygląda na to, że miałaś rację: gość jest przywiązany do tradycji.

Lucia zadzwoniła do SECRIM, laboratorium kryminalistycznego Guardia Civil.

– Przyślij ludzi na uniwersytet w Salamance, na wydział prawa – powiedziała do słuchawki. – Do sutereny. Mały zespół. Chodzi tylko o pobranie próbek graffiti.

Włożyła telefon do kieszeni i jeszcze raz przeczytała długie zdanie: „Była to Prokrys. W piersi utkwiała jej strzała. / «Biada mi nieszczęśliwej!» – głośno zawołała. / [...] Krwi strumieniem zboczona i już na pół żywa / Własny dar z rany krwawej z wysiłkiem wyrywa”¹.

– Zadzwoniłem też do Vanessy – powiedział Salomón. – Nie mają tego albumu, o którym mówił twój przyjaciel. Ale odkryła, że był jeden egzemplarz, który kilka lat temu został ukradziony.

– Ukradziony? – zdziwiła się Lucia. Zamyśliła się na chwilę, po czym wpatrując się w zdanie na murze, stwierdziła: – *Przemiany*, po raz kolejny. Jesteśmy coraz bliżej: morderca jest tuż-tuż.

1. Por. przypis na s. 257. [\[wróć\]](#)

ŚRODA PO POŁUDNIU

Delgado wpatrywał się w Salomóna z twarzą bez wyrazu. Kryminolog pomyślał, że Héctor bardziej przypomina dyrektora wykonawczego międzynarodowego koncernu niż szefa departamentu edukacji.

– Mówiłeś, że są jakieś nowe wieści w związku z DIMAS-em?

– Owszem – odparł Salomón.

Héctor Delgado oparł podbródek na piramidce ze złączonych palców obu dłoni – pewnie podejrzwał ten gest w telewizji.

– Słucham cię.

Salomón nabrał powietrza, po czym streścił główne odkrycia ostatnich dziesięciu dni, nie wchodząc w szczegóły śledztwa, o których nie wolno mu było opowiadać. Z satysfakcją stwierdził, że nadętego dupka jednak zażyło.

– I to wszystko odkryliście dzięki DIMAS-owi?

– Powiedzmy za Arystotelesem, że DIMAS był pierwszą przyczyną – potwierdził profesor.

– I mówisz, że do waszego zespołu dołączyła oficer z UCO? – zapytał Delgado, coraz bardziej zdumiony.

– Tak. Porucznik Guerrero. Dowodzi to, jeśli potrzebujesz dowodów, jak wielką pomocą mógłby być ten program dla organów ścigania i jak mógłby być wykorzystywany we współpracy z naszym zespołem na uniwersytecie.

– Robi wrażenie – przyznał Delgado. – Ale nie znaleźliście jeszcze sprawcy tych morderstw.

– Héctorze, dopiero kilka dni temu trafiliśmy na jego trop. Daj nam czas. Wierz mi, znajdziemy go.

– Doprawdy? – zapytał urzędnik z błyskiem sceptycyzmu w oku.

– To jest cholernie zdolna śledcza. Niesamowicie bystra. Mamy szczęście, że jest z nami.

– Ach tak? – Héctor zmrużył szare oczy, które wyglądały teraz jak dwie szparki.

– DIMAS dowiódł, że nasz pomysł działa. Musimy teraz przejść na poziom bardziej... przemysłowy. Musimy mieć środki, żeby stworzyć nowe protokoły, rozwinąć funkcjonalności, rozbudować bazę danych, tak aby miała krajowy zasięg. Do tego trzeba zatrudnić informatyków, osoby wprowadzające dane, analityków. Więc potrzebujemy zwiększenia budżetu. –

Salomón pochylił się nad biurkiem w stronę rozmówcy. Za jego plecami widać było oprawione w ramki dyplomy i podręczniki do kryminologii. –

Héctorze, nie sądzisz, że nadszedł czas, żeby ruszyć z miejsca? Wycieraliśmy portki w tych samych szkolnych ławkach, a jako studenci mieliśmy takie same marzenia o tym, żeby zmienić ten uniwersytet, pamiętasz? Wiem, że to było dawno, ale mimo wszystko... Nie czujesz się rozczarowany naszym pokoleniem? Kiedy przyszliśmy na uczelnię, cierpieliśmy z powodu panującego na niej betonu, a gdy przyszło co do czego, nie jesteśmy lepsi. Na tym uniwersytecie jest dużo przejawów konserwatyzmu. Mógłbyś to zmienić.

Héctor Delgado schował pióro kulkowe Cartiera. Wstał, przybierając poważną minę.

– Ech, Salomónie. Zawsze byłeś marzycielem.

ŚRODA WIECZÓR

O 18.02 Lucia i Salomón podjechali przed budynek sądu w Madrycie. Dotarli tu autostradami A-50 i A-6, jadąc zdecydowanie powyżej dozwolonej prędkości.

Rozprawa trwała od rana i miała się ciągnąć jeszcze przez kolejne dni, ale Lucia chciała wybadać nastroje, a Salomón nalegał, by jej towarzyszyć.

– Poza tym dla kryminologa taka rozprawa jest interesująca.

Uśmiechnęła się. Wiedziała, że przede wszystkim nie chciał, żeby musiała sama stawiać czoło temu doświadczeniu. Niezależnie od wszystkiego jak każdy obywatel tego kraju miał konstytucyjne prawo obserwowania rozprawy.

Otworzyła szlaban i zaparkowała na miejscu dla interesantów. Pod ciemniejącym niebem ruszyli pędem w stronę dwudziestosiedmiopiętrowego budynku.

– Porucznik Guerrero! Porucznik Guerrero!

Lucia zobaczyła przed drzwiami gromadkę dziennikarzy. Kiedy tylko podeszła bliżej, wycelowali w jej stronę mikrofony i kamery. Jak żółw wcisnęła głowę między ramiona i bez słowa weszła do holu. Musiała dwukrotnie przejść bramkę bezpieczeństwa, ponieważ za pierwszym razem czujnik zapiszczał, wyczuwając w kieszeni jej džinsów klucze. Potem truchtem ruszyła dalej. W sali podeszli do Peñi, który siedział tu od rana i nie uronił z rozprawy ani minuty.

– I jak? – zapytała.

– Długo było o młotku – szepnął, pochylając się do niej. – Jak należało się spodziewać, zakrwawione narzędzie w plastikowej torebce zrobiło na przysięgłych piorunujące wrażenie. Choć papuga tłumaczył, że nikt go nie widział w rękach jego klienta, wszyscy mieli w pamięci ksywkę „Młotkowy”, tygodniami była przecież na pierwszych stronach wszystkich gazet.

Żaden z nich nie łyknie stwierdzenia, że to ty je przyniosłaś. Więc młotek działa na naszą korzyść.

Spojrzała na sędziego i adwokata. Przewodnicząca miała tak samo srogą i nieprzeniknioną minę jak rano, obrońca wyglądał na zmartwionego. Okej... Uświadomiła sobie, że szumi jej w uszach. Peña znowu się do niej pochylił.

– Popatrz na minę papugi – szepnął.

Lucia zamknęła oczy. Wyłączyła się. Strumień myśli poniósł ją na plażę na Dominikanie z szeleszczącymi na wietrze palmami, szumiącymi falami i palącym dotykiem słońca na skórze.

– Koniec na dzisiaj – powiedział Peña, ściskając jej ramię.

Otworzyła oczy, wróciła do rzeczywistości. Kiedy szli korytarzem, zatrzymał ich obrońca Mélenđeza.

– Niech pani nie myśli, że się tak łatwo wywinie, pani porucznik – rzucił. – Przekroczyła pani wszelkie reguły. Wie pani tak samo dobrze jak ja, że pani zachowanie było niedopuszczalne. Jeśli siły bezpieczeństwa tego państwa łamią zasady, to już nic nie działa. Jest pani zakałą swojej firmy. Zamierzam tego dowieść.

– Mecenasiu, mam wrażenie, że rozmawiając z prasą, był pan bardziej subtelny i elokwentny – wtrącił się Peña. – Czuję się rozczarowany: tak podziwiałem pana styl.

Adwokat rzucił mu ponure spojrzenie i się oddalił.

Alejandro opuścił budynek uczelni około dwudziestej drugiej. Księżyc wiszący na niebie puszczał do niego oko. Chłopakowi było śpieszno, żeby zobaczyć Asę. Przytulić, pocałować, dotknąć. Nigdy nie czuł niczego takiego do żadnej dziewczyny – takiej niecierpliwości, potrzeby, konieczności wręcz, by się z nią niemal stopić.

Nagle zapragnął do niej zadzwonić. Sięgnął po telefon i stanął jak wryty. Cholera, gdzie ja go włożyłem? Przeszukał kieszenie dzinsów, potem kurtki, raz i drugi. No nie, kurwa, co ja z nim zrobiłem?

Był typowym przedstawicielem swojego pokolenia. Bez telefonu czuł się tak, jakby amputowano mu jakąś część ciała. Jakby ktoś przeciął pępowinę, która łączyła go ze wspólnotą. Jakby ktoś wygnał go ze świata.

Pokój w suterenie! To tam musiał zostawić telefon. Przypomniał sobie moment, kiedy wyjmował go z kieszeni. Oby to było to. Miał w tym choler-

nym urządzeniu całe swoje życie. Zawrócił, wszedł z powrotem do budynku, którego ciemna fasada lśniła ponuro w blasku księżyca, i przyłożył kartę do czytnika.

O tej porze korytarze były puste. Minał automaty z napojami i przekąskami i wszedł na schody. Zobaczył, że na dole, za przeszkloną ścianką sąsiedniego pokoju się świeci, mimo że pozostałe pomieszczenia są pogrążone w ciemnościach.

Skorzystał z tego światła, żeby bez zapalania jarzeniówek dotrzeć do pokoju. Bezszelestnie otworzył drzwi. Za ścianą słyszał przyciszone głosy. Nie chciał się z nikim spotykać. Zależało mu tylko na tym, żeby zabrać telefon i iść do Assy. Urządzenie rzeczywiście tam było: czarny smartfon na białej podstawce. Alejandro odetchnął z ulgą. A potem ciekawość wzięła górę i skupił się na głosach dochodzących zza ściany.

– Zaczynam się bać tej laski, jest cholernie wścibska. Nie podoba mi się kierunek, w jakim to zmierza. A co jeśli ona odkryje prawdę?

Milczenie. Alejandro kusilo, by wyjść na korytarz i przez przeszkloną ścianę zajrzeć do pokoju obok. Ale nie było takiej potrzeby. Rozpoznał ten głos. Wytężył słuch.

– Bez obaw – odpowiedział drugi głos. – Nie zapominaj, że mamy już winnego, który doskonale załatwi sprawę. Ciesz się, dzięki tej historii DIMAS stanie się sławny. A taki jest cel, nie?

– Tak, ale mimo wszystko... Nie możemy być tak do końca pewni. A jeżeli ona się pokapuje, co jest grane? Naprawdę mnie to przeraża!

– Obawiam się, przyjacielu, że rzeczywiście masz wiele powodów do obaw.

Oddech Alejandra przyśpieszył. Chłopak poczuł na karku zimny dreszcz. Co jest grane?

– A gdybyśmy się jej... pozbyli?

– Pozbyć się funkcjonariuszki UCO? Chyba nie mówisz serio? Czy ty w ogóle siebie słyszysz?

– A jeśli nie zostawi nam wyboru?

– Nie, to nie wchodzi w grę. Trzeba zrobić tak, żeby DIMAS skierował ją na fałszywy trop, żeby miała się czym zająć. Mówiłem ci, mamy już winnego.

Alejandro zamarł. Czy on dobrze słyszy? Nie, to niemożliwe. Z trudem docierało do niego, co się dzieje. Za bardzo przypominało mu to kiepski

thriller.

Stał bez ruchu, nie mogąc zdecydować, jak właściwie powinien postąpić. Przede wszystkim zmyć się stąd, pomyślał, i opowiedzieć o wszystkim Assie. Ona będzie wiedziała, co robić. Szlag!

Uświadomił sobie, że zaschło mu w gardle i spocił się pod pachami. To miało swoją nazwę – strach. Chciał już tylko jednego: zniknąć stamtąd. Jeżeli to rzeczywiście było to, o czym myślał, to przebywając w tym miejscu i słuchając rozmowy nieprzeznaczonej dla jego uszu, sam był w niebezpieczeństwie. Cholera jasna. Spieprzaj stąd. Tylko cicho.

Usiłował nie myśleć o tym, co oznaczały skrawki rozmowy, które przed chwilą usłyszał. To było zbyt przerażające. Później o tym pomyśli. Teraz musi stąd wyjść. Niezauważony.

Ruszył do drzwi. Powoli. Prawie mu się udało, gdy nagle zahaczył rękawem o leżący na biurku zszywacz, który spadł, powodując metaliczny hałas. Kurwa, ty dupku! Jego serce wykonało salto mortale. Zamarł. Czuł, jak krew wali mu w skroniach. Nadstawił uszu. Miał wrażenie, że teraz pot leje się z niego wszystkimi porami skóry.

Rozmowa ucichła. Alejandro przełknął ślinę. Jestem w dupie, pomyślał. Na pewno go słyszeli. Otworzył przeszklone drzwi i wyszedł. Wpadł prosto na stojącą na korytarzu znajomą postać.

– Alejandro? A co ty tu robisz, stary?

– I co mu powiedziałaś? – zapytała Assa.

Wytrzeszczała oczy tak jak wtedy, kiedy oglądali razem slashery albo torture porn – podgatunek horroru, filmy, w których bohaterowie, często młodzi, często przypadkowi, są wydani na pastwę oprawców, którzy poddają ich najwymyślniejszym torturom. Alejandro pokazał jej takie obrazy, jak *Cannibal Holocaust*, *Ostatni dom po lewej*, *Hostel I i II*, *Bez litości* i wszystkie części *Piły*. Oscylowała między rozbawieniem a obrzydzeniem i mówiła mu, że jest nienormalny. Ale teraz jej chłopak nie miał najmniejszej ochoty na żarty ani na oglądanie tych obleśnych gniotów.

– Prawdę. Powiedziałem, że zapomniałem telefonu.

– To straszne – jęknęła.

– Tak. Mam złe przeczucia.

– Naprawdę jesteś pewien tego, co słyszałeś? – zapytała z nieskrywanym powątpiewaniem. – Chodzi mi o to, że to nie jest dowód. W dodatku

pozwoił ci odejść. Myślisz, że zrobiłby to, gdyby podejrzewał, że ich słyszałeś? To znaczy: gdyby podejrzewał, że słyszałeś to, co myślisz, że słyszałeś?

– Assa, jestem absolutnie pewien!

– Okej, okej. W takim razie trzeba o tym powiedzieć Lucii – zawyroko-
wała.

– Tak! – zawołał. – Musimy natychmiast do niej zadzwonić!

– Poważnie? Alejandro, jest prawie północ!

– Assa, nie kumasz? To jest megaważne!

– Okej, okej.

Zobaczyła w jego oczach przerażenie, co ją ostatecznie przekonało.

– Gdzie ja posiałam telefon? – zapytała.

Nagle obydwójce podskoczyli. Usłyszeli walenie w drzwi. Trzy katego-
ryczne, niecierpliwe uderzenia. Takie, jakie można usłyszeć w filmach,
które uwielbiali.

– Kto tam? – zapytała.

Wolałaby, żeby jej głos brzmiał pewniej.

CZWARTEK RANO

Haruki Tanizaki wspinał się po wąskich, nierównych schodach. Chciało mu się spać. Przez całą noc studiował historię przestępczości swojego kraju, szukając informacji w Internecie i w książkach. Od czasów *kabukimono* – szesnastowiecznych bezpańskich samurajów, którzy nosili ekscentryczne stroje, przeklinali, napadali na podróżnych i grabili wsie – poprzez *boso-zoku*, „plemiona gromu”, gangi motocyklowe, których walki w latach siedemdziesiątych wstrząsały ulicami Tokio i całej Japonii oraz legendarną K-Ko the Razor, która w tym samym czasie przewodziła gangowi pięćdziesięciu *sukeban* – uczennic ubranych w tradycyjne mundurki, ale uzbrojonych w łańcuchy i brzytwy, jak w filmie *Kill Bill*, aż po współczesnych yakuzów.

Japonia nie czekała na Zachód, sama wymyśliła gangi dziewczyn, pomyślał, gdy wreszcie czerwony i zdyszany dotarł na górę. Salomón poprosił go o przygotowane prezentacji, z którą miał wystąpić przed dużą grupą studentów, i Haruki zaangażował się w tę pracę z entuzjazmem.

Obecnie yakuzi są skupieni w czterech głównych grupach przestępczych: Yamaguchi-gumi, Sumiyoshi-kai, Inagawa-kai i Aizukotetsu-kai. Wszystkie one – z wyjątkiem drugiej, będącej czymś na kształt federacji mniejszych gangów – mają strukturę piramidy, na której czele stoi *oyabun*.

Haruki postanowił zilustrować swoje wystąpienie zdjęciami tatuaży yakuzów, a także motocyklistów z proporcami, bandanami, noszących wielobarwne stroje i ciemne okulary. Był pewien, że słuchacze będą zachwyceni i zaskoczeni liczbą oraz różnorodnością gangów w Japonii, znanej jako bezpieczne państwo z silną policją, a także niezwykłością ich praktyk – stygmatów oraz symboli schizofrenicznego społeczeństwa, rozdartego między tradycjami zakorzenionymi w przeszłości a ultranowoczesnością.

Haruki nie miał żadnego problemu z wystąpieniami publicznymi. W okropne zakłopotanie wprawiały go natomiast spotkania sam na sam,

zwłaszcza kiedy rozmówczynią była dziewczyna.

Kiedy dotarł na sam szczyt kończącej się spadzistym poddaszem klatki schodowej, zastukał do pokoju Assy. Drzwi same się otworzyły. Haruki spojrzął na zamknięte drzwi sąsiedniego pokoju zajmowanego przez studenta o imieniu Jordi.

– Assa? Alejandro? – zawołał głośno.

Na łóżku, które widział tylko częściowo, zauważył jakiś kształt. Stopy... Z uśmiechem pokręcił głową i radośnie wkroczył do środka. Zarechotał.

– Hej, wy tam! Wstawać!

Bardzo lubił Alejandra i Assę. Byli jego przyjaciółmi. Zwłaszcza Assa. Rozumiała, jak czuje się w tym kraju osoba, która ma inny kolor skóry albo która musi się zaadaptować do obcej kultury i tolerować raniące dla niej dowcipy.

Choć Assa bynajmniej nie pozwalała na to, by ktoś ją ranił, a tym bardziej wyśmiewał jej pochodzenie: potrafiła usadzić każdego, zamknąć dziób wszystkim dyżurnym *kusoyarô*¹ i nigdy sobie tego nie odmawiała. Była...

Podszedł bliżej – tylko trochę, ponieważ pokój był mały. *Kuso*²! Poczul, że serce zaczyna mu walić jak szalone, a włosy na głowie stają dęba. To, co miał przed oczami, nie mogło być prawdą. Tak potworne sceny istniały tylko w koreańskich albo japońskich serialach i filmach, które uwielbiał. Albo w powieściach Natsuo Kirino. Ale nie w rzeczywistości.

To był makabryczny, straszliwy obraz. Wyglądali, jakby uprawiali seks. Byli nadzy, Alejandro leżał na Assie. Haruki zobaczył białe, umięśnione pośladki między ciemnymi udami młodej kobiety i, co absurdalne, ten widok był większą obrazą dla jego obyczajności niż widok rozlanej krwi. A byli dosłownie opróżnieni z krwi. Pościel wokół nich tonęła w szkarłatnym morzu, również ściany były całe w czerwonych plamkach: jakby ktoś wylał na łóżko wiadro farby. I – o nie, nie, nieeeee! – Haruki zauważył ziejącą szkarłatną ranę na potylicy Alejandra, między włosami, biel kości pośród całej tej czerwieni i coś szarego, co być może, bez wątplenia, a nawet ze stuprocentową pewnością było tkanką mózgową. Gdy sobie to uświadomił, zrobiło mu się niedobrze.

Chryste! Popędził do toalety, gdzie wymiotował długimi bluzgami, a skurcze żołądka wstrząsały nim z taką siłą, że jego okulary wylądowały

w muszli. Gdy torsje przestały nim targać, wydobył z wymiocin okulary, które następnie wytarł – podobnie jak usta – dużą ilością papieru toaletowego. Nadal buzowało mu w żołądku.

Wydał z siebie długi, rozpaczliwy jęk, załkał histerycznie i z policzkami mokrymi od łez wrócił do pokoju. Ciało było sztywne, nieruchome; młody Japończyk domyślił się, że muszą tak leżeć od wielu godzin, i że gdyby odważył się ich dotknąć – czego za nic w świecie by nie zrobił – poczułby pod palcami zimną twardość marmuru.

Przez głowę przemknęła mu niezrozumiała myśl: Nie, nie oni! Ktokolwiek, tylko nie oni! Jak ktoś śmiał dopuścić się takiego świętokradztwa! W głowie Harukiego wściekłość wzięła teraz górę nad przerażeniem. Mimo że wciąż był w szoku, otrząsnął się. Jego spanikowany umysł zaczął pracować w zawrotnym tempie. Do kogo powinien zadzwonić? Na pogotowie? Na policję? Próbował sobie zwizualizować hiszpańskie numery alarmowe, które miał zapisane na kalendarzu w swoim pokoju.

112 czy 061? 091? 062? Roztrzęsiony przypomniał sobie, że 112 to numer, pod który należy zadzwonić w pierwszej kolejności, że stamtąd centrala przekieruje jego zgłoszenie do straży pożarnej, policji lub pogotowia.

Zadzwonił. Czekał na połączenie, zauważył biały przewód elektryczny, który wyglądał jak kabel od ładowarki telefonu, przecinający łóżko oraz ciała jego przyjaciół na wysokości talii. Haruki wątpił, by chodziło o to, żeby ich związać. Co to miało zatem oznaczać?

Usłyszał w słuchawce głos, który powiedział coś, czego Japończyk nie rozumiał. Sam jednak zaczął mówić, szybko, histerycznie. Głos prosił go o powtórzenie. *Despacio*. Powoli. Tym razem zrozumiał. Powtórzył.

1. Jap. „dupki”. [\[wróć\]](#)

2. Jap. „cholera”. [\[wróć\]](#)

CZWARTEK RANO

Dziesiąta. Ulica była pełna gwardzistów i samochodów. Dwie godziny wcześniej mieszkańców obudziły jaskrawe światła kogutów i ryk syren. Nawet kelnerzy z okolicznych kawiarenek ubrani w czarno-białe stroje porzucili swoją klientelę, by obserwować działania służb. Na lśniącym od mżawki bruku umundurowani funkcjonariusze zgrywali waśniaków przed gapiami, podczas gdy osoby naprawdę ważne bez słowa znikwały w starej czteropiętrowej kamienicy.

W samym centrum tornada na ostatnim piętrze, na niewielkiej przestrzeni przed wejściem do pokoju stali Salomón i Lucia. Lucia właśnie przyjechała z Madrytu i musiała interweniować, żeby Guardia Civil wpuściła Salomóna do budynku. Pozwolono im wejść na górę dopiero wtedy, gdy technicy przeczesali półpiętro, klatkę schodową oraz hol i ustawili plastikowe pachołki wyznaczające trasę, której należało się trzymać, ale Lucia nie miała wątpliwości, że przed ich przybyciem przeszło tędy tak wiele osób, że ewentualne ślady zostały zdeptane.

Salomón patrzył na pokój, stojąc w progu, jakby miał przed sobą bramę piekieł. Lucia zauważyła jego zaczerwienione oczy. Położyła mu dłoń na ramieniu.

– Chodźmy – powiedziała cicho. – Stanie tu nic nam nie da. Dajmy im pracować.

W milczeniu skinął głową. W pokoju i na klatce schodowej uwijali się technicy w kombinezonach, rękawiczkach i okularach ochronnych. Lucia wiedziała, że ich latarkom i doświadczonej oczom nie umknie żaden szczegół. Próbkę zostaną wysłane do centralnego laboratorium kryminalistycznego, w obrębie którego działa wiele sekcji, między innymi chemiczna, środowiskowa, biologiczna, inżynierska, grafologiczna i balistyczna.

– Przysięgam ci, że złapię tego skurwysyna – warknęła, gdy schodzili po stopniach.

Salomón wyglądał na zdruzgotanego. Nie skomentował jej słów. Gdy znaleźli się na zewnątrz, Lucia podeszła do Peña i Ariasa, którzy stali w pobliżu wozów Guardia Civil – w tym furgonetki SECRIM – po drugiej stronie ulicy. Peña nerwowo palił papierosa. Był nieogolony i zarost na jego twarzy przypominał kolce jeżozwierz. Lucia nie wzięła kawy, którą proponował jej Arias.

– Poinformuj rodzinę chłopaka, a ty zadzwoń na policję we Francji, żeby powiadomili bliskich tej biednej dziewczyny.

– Jak dał radę zaszytować oboje? – zapytał Peña.

– Tak samo jak to zrobił z poprzednimi parami. Jest wprawiony i ma przewagę. Wykorzystuje efekt zaskoczenia. Pewnie zadźgał chłopaka, zaraz jak tamten otworzył drzwi, potem rzucił się na nią, a później... dobił oboje. Dziewczyna widziała, jak wszedł: na jej rękach są ślady walki, u Alejandra ich nie ma.

– Musiała krzyczeć.

– To budynek z mieszkaniami na wynajem, pełen studentów. Możliwe, że na niższych piętrach ktoś hałasował albo grała muzyka. A ich jedyny sąsiad, student o imieniu Jordi, wyszedł.

Peña skinął głową.

– Musisz coś zobaczyć – powiedział.

Przechylił się przez otwarte drzwi stojącej za jego plecami toyoty, wyprostował się i podał Lucii jakąś gazetę.

– Co to jest?

– Przeczytaj.

Gazeta była otwarta. Lucia zaczęła czytać artykuł na wskazanej stronie.

GRUPA STUDENTÓW USAL

NA TROPIE SERYJNEGO MORDERCY

*Czy ma on coś wspólnego
z gwałcicielem napadającym na studentki?*

– Szlag! – zawołała.

Czytała dalej:

Na Wydziale Prawa USAL, w warunkach dyskrecji, działa grupa doktorantów i informatyków pod kierownictwem Salomóna Borgesa, wybitnego specjalisty i autorytetu w dziedzinie kryminologii. Pod jego egidą i z jego inicjatywy grupa stworzyła program o nazwie DIMAS, którego rewolucyjność polega na tym, że będzie potrafił wyszukiwać związki pomiędzy różnymi sprawami, które do tej pory umykały służbom śledczym. W ostatnim czasie DIMAS wytypował trzy nierozwiązane sprawy, które dzieli trzydzieści lat: chodzi o morderstwa trzech małżeństw. Borgesowi nie wystarczyło powołanie do pracy nad projektem grupy doktorantów. Zaangażował do niej również gwiazdę UCO, porucznik Lucię Guerrero, znaną z tego, że doprowadziła do zatrzymania seryjnego zabójcy Francisca Manuela Mélendeza, którego sprawa właśnie się toczy przed sądem pierwszej instancji w Madrycie. W związku z tą informacją rodzi się pytanie: Czy człowiek, na którego tropie jest grupa, to gwałciciel grasujący ostatnio w Salamance, czy też chodzi o dwie różne osoby...

Przerwała lekturę. Artykuł podpisała Candace Boix, ambitna dziennikarka, która podczas ich ostatniej konferencji prasowej dopytywała, jak to możliwe, że podejrzany zdołał oszukać czujność UCO i odebrać sobie życie.

– Kurwa! Ktoś puścił parę. – Zawahała się i odwróciła do Salomóna. – Myślisz, że mógł to zrobić ktoś z twojego zespołu?

Kryminolog zareagował dopiero po chwili. Pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia, Lucio – powiedział, patrząc na nią nieobecny wzrokiem. – I szczerze mówiąc, w tej chwili to jest najmniejsze z moich zmartwień. Właśnie straciliśmy dwójkę młodych ludzi, którzy mieli przed sobą całe życie. Więc nawet jeśli w końcu złapiemy tego drania, i tak jest już za późno.

Przerwał. Miał oczy pełne łez.

– Przykro mi – powiedziała zakłopotana.

Patrząc ponad ramieniem Salomóna, zauważyła Ulyssesa, Cordelię i Verónicę stojących wśród gapiów po drugiej stronie taśmy. Wyglądali na zszokowanych i przybitych. Haruki siedział skulony w tylnej części karetki z kocem ratunkowym na ramionach przygniecionych niewidzialnym ciężarem.

– Są tu twoi doktoranci – powiedziała cicho.

Kryminolog się odwrócił. Ruszył przed siebie, uniósł taśmę i przeszedł na drugą stronę. Przytulił członków swojej grupy. Verónica szlochała bez przerwy, Cordelia próbowała się opanować, ale jej policzki lśniły od łez, Ulysses był blady i miał zmienioną, nieobecną twarz. Szybko zerknął na Lucię, a potem oparł podbródek na ramieniu Salomóna.

Peña westchnął i rzucił niedopałek na ziemię.

– A co ty myślisz o tym, co się wydarzyło?

Mówił obojętnym tonem, ale wiedziała, że w środku się gotuje.

– Spanikował – odparła. – Czuje się zapędzony w kozi róg, osaczony. Działa w pośpiechu. Inscenizacja jest minimalna. Trzeba będzie sprawdzić, czy pasuje do jakiegoś obrazu inspirowanego *Przemianami*.

Wyjęła telefon i zadzwoniła do Adriána. Trafiła na pocztę głosową. Wysłała mu zdjęcia, które zrobiła na górze.

– Dlaczego oni? – zapytał Peña. – Dlaczego nagle zaatakował tych młodych ludzi?

– Oni również byli szczęśliwą parą – zasugerowała Lucia. – Tak jak pozostali.

– Tak... – potwierdził smutno Salomón, który właśnie do nich wrócił.

– W każdym razie mamy podwójne morderstwo i ten artykuł. Prasa oszaleje – mruknął ponuro Peña.

Jeden z ambulansów wydał z siebie krótki, ostry sygnał ostrzegawczy, po czym ruszył, torując sobie drogę wśród gapiów.

– Jesteśmy coraz bliżej – powiedziała Lucia z naciskiem. – Musimy odtworzyć rozkład wczorajszego dnia Assy i Alejandra i tras, którymi się poruszali. A żeby to zrobić, musimy namierzyć wszystkie kamery monitoringu, pod którymi mogli przejść, i przejrzeć nagrania.

Obserwował ich z oddali, zza szyby kawiarni. Stali za taśmą bezpieczeństwa, w pobliżu samochodów Guardia Civil: Salomón i ta gwardzistka. Dwaj pozostali to pewnie jej koledzy. Wysoki nieogolony gość z wąsami

wyglądał na szefa, można to było poznać po sposobie, w jaki się do nich zwracał i w jaki nadzorował działania.

Trochę dalej stały też trzy osoby z zespołu Salomóna. Verónica nie mogła przestać szlochać. Cordelia ocierała oczy bardziej dyskretnie. Ulyses nie płakał. Salomón na pewno by się zdziwił, że Héctor zna ich imiona, ale interesował się DIMAS-em bardziej, niż to okazywał. Dokończył kawę i odstawił filiżankę.

Tego ranka miał na sobie garnitur od Paula Smitha, a pod nim koszulę marki Turnbull & Asser oraz jedwabny krawat od Salvatore Ferragamo. Rzucił okiem na zegarek. 8.16. Czas wracać do Valladolid. Szef departamentu edukacji spędził tę noc w Salamance.

Zapłacił. Spojrzał na drobną brunetkę ubraną od stóp do głów na czarno. Czarna skórzana kurtka, czarne dżinsy. Ładna, pomyślał. Nawet z tej odległości potrafił odgadnąć jej charakter: zawzięta, uparta, nieustraszona i porywcza. Porucznik Lucia Guerrero nie wiedziała, że diabeł jest tak blisko niej.

CZWARTEK RANO

W pokoju o wymiarach trzy na trzy metry było ich pięcioro: Lucia, Peña, Arias, Salomón i pracownik uniwersytetu nadzorujący kamery monitoringu, który jako jedyny spośród nich siedział. Mężczyzna miał mundur przyprószony łupieżem, szopę włosów, której z pewnością tylko z rzadka dotykał grzebieniem, a do tego pocił się jak wieprz.

Jego byczy kark porośnięty czarnymi, kręconymi włoskami lśnił od potu. Lucia uznała, że to ze stresu. Nie co dzień zdarza mu się wizyta prowadzących śledztwo funkcjonariuszy UCO, którzy proszą go o przejrzenie nagrań.

Było krótko po jedenastej.

– Pablo, tak? – zwróciła się do niego.

– Tak.

– Pablo, potrzebujemy nagrań z dwóch kamer, znad wejścia głównego i północnego. Od wczoraj, od godziny siedemnastej. Widzę, że ma pan dwa monitory. Niech pan włączy nagrania równolegle, w przyspieszonym tempie. Może pan to zrobić?

Pablo przełknął ślinę.

– Myślę, że tak.

– Znakomicie.

Grubas postukał w klawiaturę i zobaczyli postaci wchodzące do budynku i wychodzące z niego przez dwoje drzwi. Była siedemnasta i znacznie więcej osób wychodziło, niż wchodziło.

– Tutaj – powiedziała Lucia, kiedy na ekranie pojawili się Assa i Haruki wychodzący z wydziału na avenida de los Maristas. – Niech pan zatrzyma i cofnie o minutę.

Mężczyzna wyprostował się w fotelu i wykonał polecenie. Lucia zanotowała czas. Okej. To doktoranci, którzy siedzą po godzinach. Przychodzą

wcześnie i zostają długo po zakończeniu zajęć. Uwielbiają to, co robią. Kiedy zobaczyła jeszcze żywą Asę mówiącą coś radośnie do Harukiego, który również się śmiał, ścisnęło ją w gardle. Powstrzymała westchnienie. Japończyk jeszcze długo nie będzie się śmiał. Wielce prawdopodobne, że wróci do domu wcześniej, niż planował, naznaczony do końca swoich dni, że będzie miał nawracające koszmary, że będzie się budził w środku nocy zlany potem, z umysłem szeleszczącym jak martwe liście unoszone wiatrem w zrujnowanym pałacu – pałacu utraconej wiary w dobro tego świata.

Wzrok Lucii wędrował tam i z powrotem między przesuwającymi się w przyspieszonym tempie obrazami a cyfrowym licznikiem w rogu ekranu. Strumień wychodzących osób stał się rzadszy. I nikt już nie wchodził.

– Stop – rzucił nagle Arias. – Niech pan cofnie!

Alejandro. Wychodził północnym wejściem.

– Proszę włączyć normalną prędkość na prawym monitorze – poleciła Lucia. – Wszystko w porządku, Pablo. Świetnie pan sobie radzi.

Palce mężczyzny zostawiały na klawiaturze plamy potu. Alejandro przeszedł przez drzwi po raz drugi.

– Niech pan kontynuuje. Normalna prędkość – powiedziała Lucia.

Wpatrywała się w drzwi z nadzieją, że zobaczy kogoś, kto wszedł za Lorcą. Nie odrywała oczu od ekranu.

– Wraca! – zawołał Arias.

Pochyliła się jeszcze bardziej. Rzeczywiście, Alejandro wszedł do budynku chwilę po tym, jak z niego wyszedł.

– Niech pan przyspieszy, ale będzie gotów, żeby zwolnić do normalnej prędkości.

Patrzyła na licznik. Pięć minut. Dziesięć. Piętnaście... Nagle przystojny student znowu się pojawił. Wyglądał, jakby się śpieszył. I jakby był zdenerwowany. Zanim wszedł po schodach, odwrócił się, by spojrzeć za siebie.

– Stop! – krzyknęła Lucia.

Pablo wcisnął klawisz palcem wskazującym. Twarz młodego Hiszpana zastygła na ekranie. Z miną, która nie pozostawiała cienia wątpliwości. Jego spojrzenie wyrażało niepokój. A nawet strach.

– Sprawdziłam wykaz połączeń – oznajmiła Lucia. – Alejandro zadzwonił do Assy minutę po tym ujęciu, czyli minutę po tym, jak wybiegł z wydziału prawa jakby się paliło.

– I co z tego wnioskujeś? – zapytał Peña.

– Moja hipoteza jest taka: Alejandro wrócił do budynku, bo czegoś zapomniał. W środku stało się coś, co go przestraszyło. Albo kogoś spotkał. I kiedy tylko znalazł się na zewnątrz, zadzwonił do Assy. A potem do niej poszedł, tak myślę. Co sobie powiedzieli? A przede wszystkim: co takiego Alejandro zobaczył albo usłyszał, że tak go to przeraziło?

– Chcesz powiedzieć, że zostali zabici z powodu tego, co Alejandro zobaczył albo usłyszał ostatniej nocy na wydziale? – dopytywał Peña z powątpiewaniem.

– Istnieje taka możliwość – upierała się. – Jeżeli Alejandro zobaczył coś, co naraziło ich na niebezpieczeństwo, musimy za wszelką cenę ustalić, kto oprócz niego był w tym czasie w budynku. Pablo, proszę kontynuować. W przyśpieszonym tempie. Dziękuję.

– Do usług – odpowiedział tamten, wpatrując się w monitor.

Zapomniał o stresie. Miał świadomość, że bierze udział w śledztwie najwyższej wagi. W śledztwie w sprawie podwójnego morderstwa. Mało tego! Był w samym centrum akcji. Chciał jak najszybciej spotkać się z kolegami w knajpie i opowiedzieć im o tym, co widział i słyszał.

– Aha, Pablo – odezwała się kobieta za jego plecami głosem tak zimnym jak jego prysznic z rana, zanim ciepła woda dotrze do rur – nikomu ani słowa, rozumiano?

Ledwie dostrzegalnie opadły mu ramiona.

– Tak, pani porucznik.

Mimo że śliczna mała brunetka budziła w nim respekt, nie zamierzał spełnić tego polecenia.

Lucia patrzyła na przesuwany się licznik czasu.

23.15

23.16

23.17

23.18

23.19

Nagle pojawiła się kolejna postać. Szczupła, wysoka. W ciemnym płaszczu i okularach. Z wyrazem twarzy jednocześnie wyniosłym i zatroskanym. Alfredo Güel.

CZWARTEK RANO

– O cholera – powiedziała Lucia.

– Kurwa, a to kto? – zawołał Arias.

– Wykładowca – odparł Salomón.

– Nasz przyjaciel Alfredo, który zaprzecza, jakoby wypożyczył *Przemiany* z biblioteki. I który nadal ma na nadgarstku ortezę – zauważyła Lucia.

Przypomniała sobie, że miała wątpliwości, kiedy na jej pytanie, co mu się stało w nadgarstek, opowiedział o drobnym wypadku. Wyczuła w jego głosie jakieś fałszywe nuty.

Sięgając po telefon, powiedziała:

– Guardia Civil z Salamanki twierdzi, że ostatnim razem gwałciciel ledwie uciekł przed pogonią.

– No i?

– Uciekając, mógł się przewrócić.

Kiedy osoba po drugiej stronie odebrała, Lucia zadała jej kilka szybkich pytań i wysłuchiwała odpowiedzi. W niewielkim pomieszczeniu z monitorami zapadła cisza. Wszyscy wpatrywali się w panią porucznik.

Rozłączyła się. Jej oczy lśniły.

– Mężczyzna, który ścigał gwałciciela, zeznał, że tamten zeskoczył z tarasu znajdującego się prawie cztery metry nad chodnikiem. Nie można wykluczyć, że zeskakując, uciekinier się uderzył... na przykład w nadgarstek. Czy ktoś pomyślał, żeby to sprawdzić w szpitalach i przychodniach?

Usiadłszy za kierownicą swojego mercedesa, Héctor Delgado włożył piękne rękawiczki Bottega Veneta z jagnięcej skóry w kolorze karmelowym; następnie otworzył schowek i wyjął z niego wykonaną z grubego

papieru kopertę zaadresowaną do Guardia Civil w Salamance, z dopiskiem: „Dla porucznik Guerrero”.

Rozejrzał się. Chodnik był pusty. W pobliżu skrzynki na listy nie było nikogo. Skrzyżowanie znajdowało się jakieś dwadzieścia metrów stąd – z siłownią, salonem optycznym, apteką, hipermarketem Dia, sporym kawiarnianym ogródkiem – ale odległość była tak duża, że nie miał powodów do niepokoju. Poza tym był listopad, mżyło i przechodnie przemieszczali się szybkim krokiem.

Znakomicie. Wysiadł z mercedesa, przeciął szeroki chodnik i po raz ostatni rozejrzał się dookoła. Lekko drżącą ręką wsunął kopertę do otworu na listy. Nie był takim ignorantem w sprawach kryminalnych, za jakiego Salomón go uważał. Tak naprawdę zbrodnie to była jego pasja. W chwili, gdy wrzucał list do skrzynki, pomyślał o słynnym mordercy o pseudonimie „Zodiak”, który pod koniec lat sześćdziesiątych terroryzował region zatoki San Francisco i szydził z władz, wysyłając do prasy anonimowe wiadomości: wyśmiewał w nich policję i wzywał ją, by go złapała. Jego tożsamość do dziś nie została poznana. Podobnie jak nie wiadomo, kim był słynny kat Elizabeth Short zwanej „Czarną Dalią”, której zwłoki znaleziono pewnego styczniowego poranka w 1947 roku na jednej z ulic Los Angeles. Nagie, skatowane i przecięte na dwoje na wysokości miednicy. Jej zabójca również prowokował policję, wysyłając listy. A może robił to ktoś, kto się pod niego podszywał. Tego nie wie nikt.

Powietrze było wilgotne i zimne, co nie przeszkadzało mu poczuć uderzenia gorąca wędrującego wzdłuż karku, w chwili gdy koperta zniknęła we wnętrzościach skrzynki. Kości zostały rzucone. Nie dało się już cofnąć biegu spraw.

Wrócił do samochodu. Na skrzyżowaniu zobaczył wspartą na lasce, zgiętą wpół starą kobietę. Przyglądała mu się, jakby wiedziała, co tu się rozgrywa, jakby czytała w jego myślach. Nie świruj, zganił się w duchu. Ruszył.

– Sprawdziliśmy wszędzie – powiedział Arias kilka godzin później. – Szpital uniwersytecki, szpital Virgen de la Vega, przychodnie, a nawet ośrodki fizjoterapii i medycyny estetycznej: w nocy z siedemnastego na osiemnastego listopada ani w kolejnych dniach nikt nie opatrywał złamanego ani zwichniętego nadgarstka.

Było około czternastej. Zajmowali pomieszczenie użyczone im przez Guardia Civil w Salamance. W normalnych okolicznościach musiało służyć za graciarnię, ponieważ było zastawione metalowymi regałami, na których stały pudła, lampki bez żarówek i zdezelowane komputery. Były w nim jednak także stół i cztery krzesła (w tym jedno połamane) oraz działający ekspres do kawy.

– Jakie mamy dowody, że Güel jest gwałcicielem? – zaproponował Salomón. – Jego kontuzja może być zwykłym zbiegiem okoliczności. A nawet gdyby tak było, to jaki to ma związek z naszą sprawą? Nie tracimy czasu?

– To ty jesteś ekspertem, ale z tego, co czytałam, klucz do osobowości takich morderców leży w psychoseksualnym charakterze ich zbrodni – powiedziała. – Są niezdolni do seksu za obopólną dobrowolną zgodą i poprzez te morderstwa spełniają swoje fantazje, nawet wtedy, kiedy nie dochodzi do gwałtu. Mylę się?

– Nie. Już o tym rozmawialiśmy. Ale tutaj chodzi o kogoś, kto morduje od kilkudziesięciu lat, nie o debiutanta. Dlaczego, wybacź brutalność tego stwierdzenia, zadowala się samym gwałceniem ofiar, skoro mógłby je również zabijać? Gość, który napada na studentki, kilka z nich „tylko” obmacał. To nie pasuje do profilu mordercy.

Peña przysłuchiwał się tej wymianie zdań, przysiadłszy jednym pośladkiem na narożniku stołu.

– A czy to jest niemożliwe, żeby oprócz mordowania lubił też gwałcić kobiety? – zapytał.

– W głowie takich osobników wszystko jest możliwe – odparł kryminolog, wruszając ramionami. – Uniwersum ich fantazji jest takie bogate...

– Bogate uniwersum! – powtórzyła Lucia, krzywiąc się, jakby poczuła smród.

– To nie jest określenie wartościujące. Takie są po prostu fakty, jakkolwiek nieprzyjemne by były.

Zadzwoił telefon Lucii. Adrián.

– *Mars i Wenus zaskoczeni przez Wulkana* – oświadczył od razu. – To też z *Przemian*. Wulkan dowiedział się, że jego małżonka Wenus zdradza go z Marsem. Kiedy Wenus i grzeszny bóg kładą się na wspólnym pośladku, Wulkan zarzuca na nich niewidzialne więzy, a następnie otwiera drzwi, tak by zawstydzonych kochanków mogli widzieć inni bogowie. Tak samo wasz morderca zaskoczył tę dwójkę młodych, zarzucił kabel na ich ciała, po

czym zostawił uchylone drzwi, wystawiając ich na widok publiczny. Tym razem zredukował upozowanie do minimum. Cholera, Lucia, co to jest za gość? I kim są jego ofiary? Wyglądają tak młodo...

– Dziękuję, Adriánie – powiedziała, pozostawiając jego pytanie bez odpowiedzi.

Rozłączyła się. Kiedy słuchała Adriána, przyszła jej do głowy pewna myśl, zupełnie niezwiązana z jego wypowiedzią, a dotycząca poszukiwań miejsca, w którym Alfredo Güel zaopatrzył się w orteżę.

– A apteki? – zapytała nagle.

– Co apteki? – zdziwił się Peña.

– Musiała być jakaś dyżurna apteka otwarta w nocy z siedemnastego na osiemnastego listopada.

Arias od razu sięgnął po telefon.

– W samym centrum mam ponad dwadzieścia aptek – oświadczył po piętnastu sekundach.

W ciągu następnego kwadransa rozdzielili między siebie zadania i wykonali dwadzieścia połączeń.

– Apteka Filiberto, plaza del Mercado – rzucił Arias po którymś z kolei telefonie. – Całodobowa. Farmaceutka przypomniała sobie, że niedawno jakiś facet przyszedł w środku nocy ze zwichniętym nadgarstkiem.

Lucia już była na nogach. Sięgnęła po kurtkę przewieszoną przez oparcie krzesła.

– Idziemy!

O 15.00 przeszli przez automatyczne drzwi. Lucia od razu zauważyła kamerę umieszczoną na górze w kącie, na lewo od lady, filmującą jednocześnie wejście, regały i kasę.

Przedstawiła się i wylegitymowała przed farmaceutką, która podrapała się po podbródku i poszła po kierowniczkę. Kanciasta kobieta o przesuszonych włosach i długim, szpiczastym nosie oświadczyła, że jest zachwycona, iż może pomóc Guardia Civil, ale miesiąc wcześniej miała włamanie i wciąż czeka, aż służby znajdą winnego. Lucia odegrała scenę współczucia.

– Osobiście się tym zajmę – skłamała.

Po czym powiedziała, że chciałaby z nią porozmawiać o kamerach monitoringu.

– Macie podejrzanego o włamanie? – zapytała z nadzieją farmaceutka.

– Przyszliśmy w związku z inną sprawą.

Kobieta wyglądała na zawiedzioną.

– Mam jedną kamerę w sklepie i jedną w magazynie, obie połączone przez wi-fi z rejestratorem. Połączenie jest niezależne od routera. Kamery są wyposażone w ledowe moduły podczerwieni do nagrywania w ciemności, choć jesteśmy otwarci, a zatem oświetleni całodobowo. Działają na czujnik ruchu. Można też oglądać obraz na żywo na smartfonie czy komputerze.

Bardzo praktyczne, jeśli chce się kontrolować pracowników, pomyślała Lucia.

– Jaka jest pojemność twardego dysku? – zapytał Arias.

– Od pięciu do piętnastu dni, w zależności od liczby klientów.

Lucia wyliczyła, że od pogoni za gwałcicielem minęły cztery doby.

– Chciałabym zobaczyć nagrania z nocy z siedemnastego na osiemnastego listopada, od północy – oświadczyła.

Kobieta weszła za kotarę znajdującą się za ladą i poprowadziła ich na zaplecze. Wszystkie ściany zastawione były szafami, w których przechowywano medykamenty w ilościach hurtowych. Populacja takiego kraju jak Hiszpania łyka tony leków, pomyślała Lucia. System przechowywania nagrań znajdował się na niewielkim stoliku w głębi: prostopadłościenną pudełko z czarnego kompozytu przypominające pospolity internetowy router. Szefowa apteki usiadła na jedynym krześle i otworzyła laptop, po czym zaczęła stukać w klawiaturę. Kliknęła [Camera], a następnie [Menu], przewinęła kolejne dni, kliknęła na [18/11], a następnie [0:00]. Po chwili na ekranie pojawiły się obrazy. Były kolorowe, ale w słabej rozdzielczości i bez dźwięku.

– Proszę przyspieszyć. – Lucia zakłęła w duchu. O tej porze apteka była pusta. Nocna obsługa odbywała się przez okienko w drzwiach, znajdujące się poza zasięgiem kamery. – Nie ma pani kamery na zewnątrz? – zapytała.

– Nie. O, niech pani patrzy. To on!

Za szybą, na wysokości okienka, ukazała się trzymająca się za nadgarstek wysoka postać w niebieskiej bluzie w białe pasy z kapturem. Za daleko... Zobaczyli, jak do okienka podchodzi kierowniczka apteki.

– Proszę zwolnić do normalnej prędkości. Cholera, pod tym kątem nic nie widać – zaklął Arias.

– Chwileczkę. Pamiętam tego człowieka. Bardzo dobrze wychowany mężczyzna. Zważywszy na jego strój, pomyślałam, że mimo późnej pory wyszedł pobiegać.

Lucia nie podjęła wątku. Na ekranie zobaczyła farmaceutkę idącą z powrotem przez aptekę na zaplecze i wracającą do okienka z pudełkiem w ręku. Podała mu pakunek.

– Poradziłam mu, żeby poszedł na pogotowie – poinformowała.

Na monitorze widać było, że kobieta porusza wargami. Mężczyzna po drugiej stronie kiwał głową i również coś mówił, ale jego twarz była ukryta w cieniu kaptura. W końcu podwinął rękaw bluzy, by odsłonić nadgarstek.

Zdejmij ten kaptur, błagała w duchu Lucia. Ale mężczyzna jej nie posłuchał, za to przystąpił do zakładania ortezy na kciuk i nadgarstek.

– Pamięta pani, jak wyglądał? – zapytała Lucia, ukrywając frustrację.

– Raczej przystojny, wysoki, w okularach, koło czterdziestki. Bardzo uprzejmy, szarmancki.

To był on. Güel. Nie było wątpliwości.

Dokładnie taka sama orteza. Nie dysponowali jednak innymi zdjęciami, a żaden sędzia nie postawiłby go w stan oskarżenia na podstawie tego nagrania. Po założeniu ortezy Güel opuścił rękaw.

Cholera, niech to szlag! Lucia miała ochotę trzasnąć w coś pięścią.

– Chwila! – zawołała nagle, tak że wszyscy dookoła podskoczyli. – Niech pani cofnie!

Farmaceutka wykonała polecenie, marszcząc brwi.

– Normalna prędkość. Tutaj. Stop!

Kobieta zatrzymała odtwarzanie w chwili, gdy mężczyzna podciągał rękaw, by założyć ortezę. Obraz lekko drżał. Lucia zbliżyła twarz do monitora. Zegarek...

Nie najdroższy, ale mimo wszystko drogi. Nie jakiś unikat, ale też nie pospolity. Omega Speedmaster. Zegarek, który Alfredo Güel miał na rękę tego dnia, kiedy go poznała. Ilu było w Salamance mężczyzn tego wzrostu, którzy w noc z siedemnastego na osiemnastego listopada zwichnęli sobie nadgarstek i w dodatku nosili dokładnie taki zegarek?

Zegarek, orteza, data, wzrost i sylwetka. To by wystarczyło. Jeśli dojdzie do okazania, farmaceutka go rozpozna.

CZWARTEK PO POŁUDNIU

Lucia patrzyła na Güela. Była 17.28. Pięćdziesiąt minut wcześniej wpadli do sali, w której Alfredo Güel prowadził wykład, i zatrzymali go na oczach zszokowanego audytorium. Studenci szybko podnieśli wrzawę, część z nich protestowała przeciw metodom Guardia Civil, na widowni odezwał się też kobiecy głos, który wołał: „Nie rozumiecie? To on jest tym gwałcicielem: jeszcze jeden pieprzony biały samiec!”.

Zapytali, czy życzy sobie adwokata lub lekarza, odczytali mu jego prawa. Nie otworzył ust. Teraz przeszukiwali jego mieszkanie przy calle Concejo, a on przyglądał im się arogancko jak Laurence Olivier w *Maratończyku* i fałszywie jak Robert Mitchum w *Przylądku strachu*. Lucia mało czytała, ale uwielbiała stare filmy kryminalne.

– Napije się pan kawy? – zapytała, dmuchając do własnego kubka i obserwując krzątanicę dookoła.

Żadnej odpowiedzi.

– Profesorze Güel, gdzie pan sobie to zrobił? – Wskazała na ortezę. – Wiem, już pan mówił, przewrócił się pan. A wie pan, co ja myślę? Myślę, że źle pan wylądował, kiedy w nocy z siedemnastego na osiemnastego skończył pan z tarasu, uciekając przed studentem, który pana gonił. Że zwichnął pan sobie nadgarstek i poszedł do apteki Filiberto. Bo odwiedził ją pan tamtej nocy, prawda?

Milczenie. Wpatrywał się w nią z kamienną twarzą, ale w jego wyniosłym spojrzeniu czaił się sarkastyczny uśmiech.

Nie ma sprawy. Lucia była otrzaskana z takimi przypadkami. W trakcie swojej długiej kariery zetknęła się już chyba z każdą możliwą reakcją. W ten czy inny sposób w końcu i tak go rozpracuje. Nikt nie był w tej grze lepszy od niej.

– Z tego, co widzę, prowadzi pan zajęcia z diagnozy psychologicznej, psychiatrii sądowej i... przestępstw na tle seksualnym – powiedziała po chwili wahania, przeglądając papiery, które miała w ręku. – Ciekawe. Zwłaszcza te przestępstwa seksualne, nie sądzi pan? I ta psychiatria sądowa. Czy pana zdaniem wykładowca, który po pracy dokonuje napaści seksualnych na studentki i gwałci je, to osoba kwalifikująca się do leczenia psychiatrycznego? Z prawnego punktu widzenia, ma się rozumieć?

Żadnej reakcji. Peña, który siedział obok, przejął pałeczkę.

– Profesorze, prawie wszystkie studentki, które zostały zgwałcone lub napadnięte w ostatnich dniach, uczęszczały na pańskie wykłady. A może powinienem powiedzieć „doktorze”? A gdzie pan znajdował ofiary wcześniej? Alfredo, człowiek nie staje się gwałcicielem w wieku prawie pięćdziesięciu lat. Zaczyna dużo wcześniej. To nie jest jak hobby, które odkrywa się na stare lata.

Lucia obserwowała, jaki efekt wywołało na Güelu przejście na ty. Stwierdziła, że pocisk nie trafił celu. Nie szkodzi. Mieli inne w magazynku.

– A jeśli ten profesor... czy tam doktor... Jeśli ten osobnik zabija również małżeństwa, ponieważ nie może znieść ich szczęścia? On, który żyje samotnie, bo żona porzuciła go dla innego? Tak przecież jest w pana wypadku, prawda? Sądzi pan, że to również sprawa dla psychiatrii sądowej? – ciągnął Peña.

W końcu zauważyła delikatne zwięźnienie jego źrenic. Spojrzenie Güela nadal było aroganckie, ale udało im się wybić pierwszą szczelinę w tej fasadzie. Byli jak fale podmywające klif. Z czasem ocean zawsze wygrywa. Rzuciła okiem na funkcjonariuszy przeczesujących każdy centymetr kwadratowy mieszkania w obecności urzędnika sądowego, który reprezentował sędziego. A jednak to nie było to samo. Istniała kolosalna różnica między nimi a oceanem – ocean nie musiał się śpieszyć, a ich czas był ściśle określony granicami prawa. I Güel o tym wiedział.

– Na pewno fantazjuje o panu wiele studentek, co? – zapytała. – Kręcą pana? Sypia pan z nimi? A może muszą stawiać opór, żeby pan się podniecił? Co, Alfredo?

Bez odpowiedzi.

– Ulysses Joyce. Wie pan, kto to jest? – podjął Peña. – Odkrył, że ktoś grzebał w papierach zespołu Borgesa, i powiedział mu, że widział pana na uczelni tej nocy, kiedy usłyszał hałas w pracowni. Myśli, że to pan tam był.

To prawda, Alfredo? A jeśli tak, to czego pan szukał w papierach zespołu profesora Borgesa?

Bez odpowiedzi.

– Wypożyczył pan *Przemiany* z biblioteki wydziału prawa, ale nie przyznał się pan do tego. Dlaczego? W rejestrze jest pańskie nazwisko, ale pan wymyślił tę absurdalną historyjkę o studentach, którym pożyczą pan swoją kartę. Szczerze mówiąc, było to dość rozczarowujące. Spodziewałabym się po panu subtelniejszej strategii.

Bez odpowiedzi.

– Wie pan, co myślę? Myślę, że ten, kto to zrobił, ma ogromne ego. To człowiek reprezentujący bardzo wysoki poziom intelektualny. Jest groźny, przebiegły, sprytny i ostrożny. Zajmuje wysoką pozycję w hierarchii społecznej: może być na przykład wykładowcą uniwersyteckim. Jest doskonale zintegrowany ze społeczeństwem. Jak wszyscy wielcy perwersi w obliczu cierpienia innych nie ma poczucia winy ani wyrzutów sumienia. Przeciwnie, jego satysfakcja jest tak ogromna, że każde morderstwo pogłębia w nim poczucie wszechmocy i pragnienie, by zrobić to jeszcze raz.

Jakby w odpowiedzi na słowa Lucii szybko wstrząsnął grzmot. Chwilę potem lunął deszcz, który zaczął bębnić o łukowate okna wychodzące na calle Concejo.

– To urodzony manipulant – mówiła dalej. – Osiągnął wysoki stopień wyrafinowania i doskonałości, potrafi wykorzystywać fascynację, jaką budzi w swoim otoczeniu, wśród swoich studentów na przykład, by wychwytywać ich ułomności, słabości. Bo jego natura albo środowisko, w którym wyrósł, zrobiły z niego drapieżcę. Poluje. Nie jest łatwo w biały dzień zabić dwie osoby i jeszcze zatroszczyć się o scenografię. Ma do tego talent. Jest też esteta. I erudyta. Chce, by w jego zbrodniach było piękno. Chce im nadać sens. À propos, Alfredo, dlaczego akurat *Przemiany*?

Peña zrozumiał strategię Lucii. Łechtała gigantyczne ego Güela, który z obojętną miną przyglądał się przeszukiwaniu własnego lokum. Miała nadzieję, że intelektualna próżność skłoni go w końcu do reakcji. Nie było wielkich szans, by na tym etapie to zadziało. Za wcześnie. Lucia o tym wiedziała. Ale w ten sposób operowała kijem i marchewką, wyprowadzała go z równowagi, tak by był gotowy na ostateczną szarżę.

– Czymże zresztą jest moralność, jeśli nie zbiorem norm społecznych, prawda, doktorze? – ciągnęła tym samym tonem. – Stworzonych po to,

żeby chronić słabszych przed silniejszymi. Co pan myśli na ten temat? Przyroda jest prawdziwsza, okrutniejsza. W przyrodzie nie ma miejsca dla słabszych.

– Czy to nie brzmi nietzscheańsko, doktorze? – wtrącił się Peña z nadzieją, że urażona pycha intelektualisty każe Güelowi otworzyć usta i usadzić te dwie miernoty zgrywające filozofów.

Ale wykładowca milczał.

– Proszę oddychać, doktorze – doradziła mu Lucia. – Proszę się rozluźnić. Mam wrażenie, że jest pan spięty. Stresuje się pan?

Peña stwierdził w duchu, że Güel wcale nie wygląda na szczególnie zestresowanego. Ale nawet jeśli tego nie okazywał, wszystkie te nietrafione uwagi Lucii na pewno zaczynały go wkurzać. Na zewnątrz porywisty wiatr jęczał jak uliczny kot.

– Myślę, że to samotne życie uszkodziło panu mózg. – Lucia w jednej chwili przeszła od chwalenia do dewaluowania zatrzymanego. – Że w relacjach z kobietami jest pan impotentem, nie jest pan w stanie ich zaspokoić. Te wszystkie studentki, które pana kręcą, doprowadzają pana do szaleństwa, ale nie mają najmniejszej ochoty, żeby z panem sypiać.

– Znaleźliśmy coś! – odezwał się nagle jakiś głos na drugim końcu mieszkania.

To Arias. Podeszli do niego. Wąski gabinet w głębi mieszkania, bez okna, zavalony papierami i książkami leżącymi w bezładnych kupkach na półkach i blatach. Pachniało tu kurzem i stęchlizną. Niewielka biurowa komoda stała odsunięta od ściany. Lucia się pochyliła.

W ścianie była dziura, a w niej sześć tubek supermocnego kleju. Chryste... Na chwilę zamarła w bezruchu. Następnie podniosła się i wróciła do Güela. Najwyraźniej wyczuł, że coś się zmieniło, ponieważ patrząc na nią, delikatnie zmarszczył brwi.

– Znaleźliśmy klej – oświadczyła tryumfalnie, pilnie obserwując jego reakcję. – Dam sobie rękę uciąć, że badania wykażą, że tym samym klejem przyklejono mojego partnera do krzyża. A także użyto go w przypadku innych zabójstw.

Poczuła ekscytację. Mężczyzna, którego mieli przed sobą, wyglądał, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Znowu nastała cisza. Nie próbowali jej przerwać. Owoc był dojrzały. Gotowy, by spaść. Czasem trzeba stracić trochę czasu, żeby wygrać.

Na zewnątrz znowu zagrzmiało. Kolejne fale ulewy przesuwały się szybko nad miastem, oświetlane błyskami piorunów.

– Powinien pan... – zaczęła następne zdanie.

Nagle zamilkła. Güel uniósł dłoń, żeby jej przerwać.

– Słyszysz pani? – zaczął uśmiechnięty – Pioruny. W listopadzie. Zdarza się to częściej, niż nam się wydaje. W przeciwieństwie do burz występujących latem te jesienne i zimowe są wynikiem konfliktu między masami bardzo zimnego powietrza na górze i cieplejszego w dolnych warstwach atmosfery.

Zastanawiała się, do czego zmierza. Z przebiegłą miną powiódł spojrzeniem po ich twarzach.

– Okej – oświadczył w końcu, nie przestając się arogancko uśmiechać. – Dajcie już spokój. Jestem tym, którego szukacie. Jestem „mordercą od *Przemian*”.

CZWARTEK WIECZÓR

– I jak? – zapytał Salomón, który czekał na nich na posterunku.

Wyglądał niechlujnie, jedna poła koszuli wystawała mu ze spodni.

– Przyznał się – odparła. – Znaleźliśmy klej w jego mieszkaniu.

Kryminolog patrzył na nich z prawdziwym zdumieniem. Westchnął głęboko.

– A niech to! – Przesunął dłonią po twarzy. – Niewiarygodne! Przed chwilą dzwoniли do mnie rektor i dziekan. Jutro wieczorem chcą zwołać konferencję prasową. Powiedziałem im, że nie mam do tego serca – dodał niższym o oktawę głosem. – Myślę, że sami się tym zajmą.

Lucia się spięła.

– Konferencję prasową? Na jaki temat?

Na twarzy Salomóna pojawił się wyraz zakłopotania. Na zewnątrz znowu zagrzmiało.

– Cóż... Na temat sukcesu DIMAS-a. Wygląda na to, że wiadomości szybko się rozchodzą. Więc zmienili zdanie. Nagle uznali, że DIMAS to wspaniała reklama dla uczelni. „Dowód na to, jak ten uniwersytet łączy tradycyjną wiedzę z najnowocześniejszą technologią i jak prowadzone na nim badania znajdują konkretne zastosowanie we wszystkich dziedzinach”. To nie ja powiedziałem, tylko rektor, przed chwilą.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

– I nie ma sposobu, żeby ich od tego odwieść?

Salomón się zachnął.

– Lucio, od lat walczę o ten program, zmagam się z konserwatyzmem i oporem władz uczelni. I nie tylko ja. Nie zapominaj, że Alejandro i Assa również brali udział w projekcie, podobnie jak reszta grupy. Ktoś musi o tym opowiedzieć.

– Gdzie się odbędzie ta konferencja?

– W teatrze Liceo – odparł.
– *W teatrze?*
– Uniwersytet organizuje tam sporo konferencji – wyjaśnił kryminolog.
– To bardzo piękne miejsce, nie tylko dla sztuk teatralnych, koncertów i filmów.

– W każdym razie my nie weźmiemy w tym udziału – oświadczył Peña rozwścieczony. – Śledztwo nie jest zakończone. Nie ujawni pan żadnego nazwiska, rozumiano? Nie będziemy dostarczać amunicji przyszłym adwokatom Güela! Wiedziałem, że włączanie do tego śledztwa kogoś z zewnątrz to zły pomysł – dodał, patrząc znacząco na Lucię.

Skrzywiła się.

– Uważam, że organizowanie tej konferencji teraz jest przedwcześnie – zaprotestowała.

– Nie będziemy wspominać o Alfredzie – powiedział Salomón. – Powiemy tylko, że zatrzymano podejrzanego, i wyjaśnimy, w jaki sposób DIMAS znalazł powiązania między kilkoma sprawami. Informacja i tak wyciekła już do prasy. To także w pewien sposób przejaw uznania dla waszej pracy.

Domyśliła się, że profesor usiłuje ukryć swój entuzjazm, żeby nie denerwować ich jeszcze bardziej. On, jego program i jego grupa – czy też to, co z niej pozostało – będą mieć swoją godzinę chwały. Wieść o istnieniu DIMAS-a i tak dotrze do publicznej wiadomości. W sumie dlaczego nie, jeśli miałoby mu to pomóc w odbyciu żałoby po swoich studentach?

– No dobrze, profesorze – powiedział w końcu Peña, podchodząc do automatu z gorącymi napojami. – Rozumiem, że uniwersytet i tak nie potrzebuje naszego pozwolenia. Mimo wszystko zawiadomię moich przełożonych. Ale ani Lucia, ani żaden inny funkcjonariusz UCO nie weźmie udziału w pańskim wieczorze autopromocyjnym. Okej?

Wrzucił monetę do dystrybutora. Nagle murami wstrząsnął grzmot silniejszy od poprzednich i wszystko spowiała ciemność – aż do chwili, gdy włączył się zapasowy agregat. Zapaliły się lampki na ścianach – ich światło było liche, pomarańczowe i odrobinę złowieszcze. W ten listopadowy wieczór deszcz smagał szyby, a wiatr miótł nim po ulicach. Burza nad Salamanką rozszalała się na dobre.

Lucia miała jeszcze coś powiedzieć, kiedy w jej kieszeni zadzwonił telefon.

- Okej, dziękuję – powiedziała po chwili, kończąc rozmowę.
- Peña spojrział na nią pytająco.
- To Arias. Są nowe informacje.

Alfredo Güel znowu zamknął się w milczeniu. Z coraz większą obojętnością patrzył, jak wchodzili. Tonący w pomarańczowej poświacie lampki awaryjnej pokój przypominał Lucii oświetlony świecą średniowieczny loch.

Odsunęła krzesło i usiadła. Peña stał przy drzwiach. W bladawym półświecie ich sylwetki odbijały się w okularach Güela jak w rybim oku. Przez chwilę milczała, wsłuchując się w szum deszczu.

– Jesteś gwałcicielem, ale nie jesteś „mordercą od *Przemian*”, jak się określiłeś – powiedziała w końcu.

Jego rysy lekko drgnęły. Wreszcie udało jej się uzyskać jakąś autentyczną reakcję. Przebić zbroję. Wytrzymała jego zaskoczone spojrzenie bez jednego mrugnięcia. I wbiła gwóźdź mocniej:

– To nie ty zabiłeś te pary i mojego kolegę.

Nad miastem nadal trwał „konflikt mas powietrza”, któremu towarzyszyły gwałtowne wyładowania atmosferyczne.

– Pochwaliłeś się czymś, czego nie zrobiłeś.

Wyglądał na lekko zirytowanego.

– Nie. To ja ich zabiłem.

– Ach tak? To dlaczego na tubkach z klejem, które znaleźliśmy u ciebie, nie ma twoich odcisków palców?

Zobaczyła zakłopotanie w jego oczach. Trafiała.

– Starłem je – odpowiedział po chwili.

Pochyliła się w jego stronę z okrutnym uśmiechem na ustach.

– Powiedz mi, po co miałbyś je ścierać, a jednocześnie przechowywać w mieszkaniu ten klej? Po co, zamiast się go pozbyć, ukryłeś go za komodą? To nie ma sensu. Ktoś inny bez twojej wiedzy schował tam te tubki i je powycierał. I chodziło mu o swoje odciski palców, nie o twoje.

– To idiotyczne – powiedział, patrząc na nią chytrze. – Dlaczego miałbym oskarżać samego siebie? Klej znaleźliście u mnie. Sama pani to powiedziała: to ja wypożyczyłem *Przemiany* z biblioteki. Jestem gwałcicielem i mordercą. Zabiłem tych ludzi, inspirując się książką, bo jak pani zauważyła, odkąd opuściła mnie żona, nie potrafię znieść cudzego szczęścia.

– Książką czy obrazami?

– Co?

– Inspirowałeś się książką czy obrazami?

W jego oczach znowu pojawiło się wahanie.

– Jesteś pieprzonym draniem, ale nie jesteś mordercą, którego szukamy – powtórzyła. – Może pomyślałeś o „Gwałcicielu z windy”¹, którego sąd w Madrycie skazał w zeszłym miesiącu na dziewięćdziesiąt sześć lat odsiadki, i stwierdziłeś, że tak jak on wyjdiesz na wolność dopiero jako bardzo stary człowiek. Masz tak przerośnięte ego, taki głód popularności i chwały, twoje zaburzenie narcystyczne jest tak głębokie, że wolałeś się przyznać do zbrodni, których nie popełniłeś. Lepiej iść na kilkadziesiąt lat do więzienia jako „morderca od *Przemian*” niż jako gwałciciel studentek: to jednak zupełnie inaczej wygląda, prawda, Alfredo?

Spojrzał na nią z wrogością. W tej chwili na pewno wrzała w nim chęć mordy. A potem na jego usta powrócił uśmiech.

– Podtrzymuję moje zeznania – powiedział. – Zarzuty przeciwko mnie są przytłaczające. Powtórzę zeznania przed sędzią i za tę sprawę również zostanę skazany. Czy się to pani podoba czy nie, pani porucznik, jestem „mordercą od *Przemian*”.

– Zobaczymy – odpowiedziała, wstając.

Wyszła z pomieszczenia za Peñą. Na korytarzu zagadnął ją Salomón:

– A więc twoim zdaniem to nie on, tak?

– Nie, nie on. Wiem, kto jest zabójcą.

1. Pedro Luis Gallego, znany jako „Gwałciciel z windy”, skazany w latach dziewięćdziesiątych na 273 lata więzienia za zabójstwo dwóch nastolatków oraz dopuszczenie się 18 gwałtów, w 2013 roku został warunkowo zwolniony z więzienia. Po kolejnych napaściach seksualnych w październiku 2019 znowu został skazany. [\[wróć\]](#)

CZWARTEK WIECZÓR

– Nie znaleźliśmy go – powiedział Arias przez telefon. – Nie było go dziś po południu na zajęciach. W namiocie też go nie ma. Nikt go nie widział. I nie da się namierzyć jego telefonu, musiał go wyrzucić.

– Szukajcie dalej.

Rozłączyła się.

– Kogo szukacie? – zapytał Salomón, nie próbując ukryć ciekawości.

– Jednego z członków twojego zespołu.

Szeroko otworzył oczy. Lucia dostrzegła w nich zagubienie.

– Z mojego zespołu? Od kiedy coś podejrzewałaś?

Spojrzała na niego.

– Prawie od początku. Szybko zaczęłam myśleć, że to może być ktoś z grupy. Że to zbyt piękne z tym DIMAS-em. Słyszałeś o sprawie Theranosa?

Skinął głową. Theranos był amerykańskim start-upem specjalizującym się w biotechnologii, wycenianym na miliardy dolarów. Jego pracownicy twierdzili, że stworzyli rewolucyjne urządzenie diagnostyczne, które do wczesnego wykrycia setek chorób potrzebuje zaledwie kilku kropel krwi z palca. Założycielka Theranosa Elizabeth Holmes stała się najmłodszą miliarderką z Doliny Krzemowej i pretendowała do miana żeńskiej wersji Steve'a Jobsa – naśladowała nawet jego sposób ubierania. Co i raz występowała na konferencjach prasowych i w wywiadach dla prasy, która oszałała na jej punkcie, podobnie jak fundusze inwestycyjne, które przepychały się, by ją finansować. Do czasu, aż pewien sceptyczny dziennikarz, niejaki John Carreyrou, dwukrotny laureat Nagrody Pulitzera, niezbyt przekonany całym tym entuzjazmem, przeprowadził śledztwo i odkrył prawdę: rewolucyjne badanie nie istniało, urządzenie o nazwie Edison nigdy nie działało, a Theranos korzystał podczas tak zwanych prezentacji z klasycznych badań

konkurencji. Skandal odbił się w Stanach Zjednoczonych tak szerokim echem, że Hollywood planowało nakręcić na jego temat film, w którym rolę młodej hochsztaplerki miała zagrać Jennifer Lawrence.

– Chcesz powiedzieć, że DIMAS tak naprawdę nie wykrył związków między tymi sprawami? – zapytał Salomón, którego twarz wyrażała jednocześnie szok i niedowierzenie.

– Chcę powiedzieć, że na pewno ktoś mu trochę pomógł.

– Ale po co?

– Oczywiście dla rozgłosu. Zarówno tobie, jak i twojej grupie bardzo zależy, żeby o DIMAS-ie mówiono. Twój doktoranci też chcą być sławni, Salomónie.

– Dzisiaj wszyscy chcą być sławni – stwierdził przygaszonym głosem.

– Nawet ty – dobieła mu z sympatią. – Przyznaj, że cieszysz się na tę konferencję prasową. Sama bym ją zorganizowała na twoim miejscu: nadal jestem przekonana, że DIMAS to program, którego Guardia Civil potrzebuje. I tak jak mówiłeś, to będzie dobry sposób, by złożyć hołd pracy Assy i Alejandra.

Spojrzał na nią niepewnie.

– To nie może być nikt z nich – zaprotestował. – Dobrze o tym wiesz.

– Ach tak? A to dlaczego? Wiem, co myślisz. Że do pierwszego podwójnego morderstwa doszło trzydzieści lat temu. Że członkowie twojego zespołu są zbyt młodzi: w tamtych czasach nawet nie było ich na świecie. Przypomnij sobie, co znaleźliśmy w Graus. Na tej przeklętej farmie. Może faktycznie César Bolcán był sprawcą pierwszego morderstwa, może porwał synka tamtych ludzi, sam wiesz po co. A ten, którego dziś szukamy, to jego młodszy naśladowca, który w ten czy inny sposób dowiedział się o tamtej sprawie.

– Ale na jakiej podstawie twierdzisz, że on może należeć do mojego zespołu?

Siedzieli w jednym z pomieszczeń posterunku. Awaria elektryczności najwyraźniej nie została jeszcze usunięta i w słabej pomarańczowej poświacie ich spotkanie przypominało czuwanie przy zwłokach.

– Na podstawie porównania odcisków linii papilarnych – odparła.

– Co?

Zerknęła na niego ukradkiem.

– Kiedy zaczęłam coś podejrzewać, skorzystałam z okazji i podczas jednego ze spotkań w laboratorium zgarnęłam ze zlewu szklanę i szczoteczkę do zębów jednego z twoich studentów. Potem wysłałam Ariasa do biblioteki po egzemplarz *Przemian*, który rzekomo wypożyczył Güel; Arias pobrał też odciski palców od bibliotekarek, żeby wyeliminować je ze śledztwa i poszukać w tamtym egzemplarzu innych. Bingo. W książce nie było odcisków Güela, więc w tej sprawie mówił prawdę: nigdy do niej nie zaglądał. A osoba, która ją w jego imieniu wypożyczyła, nie mogła tego zrobić w rękawiczkach, bo zwróciłyby uwagę pracownic, które potem mogłyby sobie o tym przypomnieć. Nie miała więc innego wyboru, jak tylko zostawić swoje odciski na okładce książki. Te same, które znalazłam na szklance i szczotce do zębów. Tą osobą był Ulysses Joyce.

– Ulysses? – szepnął Salomón oszołomiony. Zwrócił się do Peñi: – Pan o tym wiedział?

Szef grupy do spraw zabójstw, porwań i wyłudzeń w UCO skinął głową, przyglądając wąs.

– Przykro mi, profesorze, ale na tym etapie nie mogliśmy pana wtajemniczyć.

– A Güel?

– Ulysses nie mógł działać sam – powiedziała Lucia. – Ale coraz mniej jestem skłonna sądzić, że Güel jest mordercą. To Ulysses ich zabił. – Zeskoczyła z krawędzi stołu, na której siedziała. – Skontaktowaliśmy się z policją w Somerset i Avon, na której terenie znajduje się Bath. W Anglii dziecko odpowiada przed sądem od chwili ukończenia dziesiątego roku życia, może więc mieć kartotekę. Zgodnie z informacjami, jakie uzyskaliśmy, Ulysses Joyce między dziesiątym a czternastym rokiem życia był wielokrotnie zatrzymywany za włamania do domów sąsiadów, a także za kilka prób podpalenia własnej szkoły. A potem się uspokoił.

– Czyli albo został aresztowany, albo... zrobił się na tyle sprytny, że nie dał się złapać – podjął smutno Salomón, kiwając głową. – Do diabła! – Westchnął i popatrzył na nich. – W sumie idealny profil.

CZWARTEK WIECZÓR

– Wszyscy są wykończeni – zawyrokował Peña. – Jutro wrócimy do śledztwa. – Podpułkownik z dowództwa i ja przejmujemy stery na tę noc. Idźcie odpocząć. Jutro rano macie być w formie.

– Zjemy coś? – zwrócił się Salomón do Lucii.

Miał minę zbitego psa, więc przystała na jego propozycję.

Elektryczność wróciła, ale burza nadal krążyła nad miastem. Błyskawice przecinały nocne niebo i wydobywały z ciemności sylwetki dwóch katedr z dzwonicami. Deszcz bębnił o dach SUV-a przez całą drogę, a kiedy wjechali na ulice starego miasta, samochód zaczął podskakiwać na lśniąącym bruku.

Wybrali niewielką restaurację w pobliżu Plaza Mayor. Przytulny lokal udekorowany czarno-białymi zdjęciami, ceramiką i szynkami zwisającymi z belki nad barem. Kryminolog zamówił wieprzowinę z borowikami, a Lucia chipirones relleos z czarnym ryżem. Salomón, pogrążony w myślach, ledwie tknął swoją porcję.

– Kiedy pomyślę, że widywałem go niemal codziennie i niczego nie podejrzewałem... – powiedział w końcu, międląc nerwowo kawałek chleba. – Fakt, to dość dziwny chłopak, samotnik, ale... socjopata? Ja, wielki kryminolog, dałem się wyrolować smarkaczowi.

Lucia spojrzała na niego.

– Czasem czegoś nie widzimy właśnie dlatego, że mamy to pod samym nosem.

Uśmiechnął się żałośnie.

– *Skradziony list.*

– Co?

– Nic. To tytuł opowiadania Edgara Allana Poeego, autora zagadek kryminalnych. Naprawdę uważasz, że DIMAS nie znalazł tych powiązań

samodzielnie? Że to wszystko robota Ulyssesa? To by oznaczało, że program nie działa...

– Nie jestem specjalistką, nie mam kompetencji, żeby odpowiedzieć na to pytanie.

Deszcz spływał po szybie jak łyzy. Lucia zobaczyła w czarnym oknie spłoszone odbicie Salomóna.

– Co ja mogę powiedzieć jutro na konferencji prasowej? – niepokoił się.

– To samo co wcześniej: że DIMAS był jednym z kluczy do sukcesu tego śledztwa, że potrzebujecie więcej funduszy, więcej środków. Taki program jest potrzebny, Salomónie. Więc śmiało możesz podkolorować rzeczywistość. Naśladując tamtą zbrodnię, Ulysses chciał zapewnić DIMAS-owi sukces, ale mimo wszystko program sam znalazł powiązania między tymi morderstwami, prawda?

– W jaki sposób Ulysses się domyślił, że jesteście na jego tropie? Jak sądzisz? – zapytał.

– Nie mam pojęcia. A nie zastanawiasz się, dlaczego wziął na cel swoich „przyjaciół”?

– Szczęśliwa para – zasugerował Salomón. – Codziennie na nich patrzył. W końcu nie mógł już znieść tego widoku i pękł. Myślisz, że wyjechał z Salamanki?

Kątem oka Lucia dostrzegła za szybą jakiś ruch i szybko odwróciła głowę. Ale to był tylko przechodzień, który śpieszył się, by schronić się przed deszczem w ciepłe ulubionego baru.

– Nie wiem – odparła. – Ale nie będę spokojna, dopóki go nie zatrzymamy.

Kiedy pędem wpadli do bramy Dania Palace, lało jak z cebra, a rynny na calle Zamora wypływały na bruk strumienie wody. Prawdziwy potop. Odległość od samochodu do budynku wynosiła ich niespełna dwadzieścia metrów, ale i tak byli przemoczeni. Salomón przywołał windę i otrzepał się jak mokry pies, rozpryskując kropelki wody na wszystkie strony. Za przeszkłonymi drzwiami w blasku błyskawicy Lucia zobaczyła przechodzącą zakapturzoną postać. I uświadomiła sobie, jak bardzo jest napięta.

Kabina była tak ciasna, że gwardzistka niemal dostała napadu klaustrofobii. Gdy dotarli na piętro, Salomón otworzył dwuskrzydłowe drzwi

mieszkania, a ona upewniła się, czy dobrze zasunął wszystkie zamki. Budynek trzeszczał w objęciach burzy jak stary człowiek.

– Na jego miejscu wolałbyś uciec jak złodziej czy zakończyć spektakularnie?

Nie zastanawiał się długo.

– Jest zbyt pyszny, zbyt pewny siebie. Będzie chciał przejąć władzę. Ukrycie się gdzieś oznaczałoby przyznanie się do porażki. Będzie wolał zakończyć z przytupem.

Spojrzała mu głęboko w oczy. Kiedy zdejmowali wierzchnie ubrania w wąskim korytarzu zabudowanym regałami, na parkiet lały się strumienie wody.

– A kogo wybrałbyś za cel, decydując się na taki finał?

Odwzajemnił jej mroczne spojrzenie.

– Ciebie albo siebie.

Ponuro skinęła głową.

– Też tak myślę. A gdzie i kiedy najlepiej zaatakować? Czy nie tutaj, kiedy pójdziemy spać?

– Co proponujesz?

– Przypuszczam, że nie masz broni?

– Nie. Dlaczego miałbym mieć?

– Okej – powiedziała. – Będziemy czuwać na zmianę. Ty weźmiesz pierwszą wachtę. Zrób sobie kawę. Usiądź w salonie. Jeśli usłyszysz jakkolwiek podejrzany odgłos, wołaj. Mam lekki sen.

– Dobrze. A jeżeli jednak zasnę?

– Weź to. Jedną tabletkę, nie więcej.

– Co to jest?

– Modafinil, silny środek pobudzający. Pozwala zachować jasny umysł przez wiele godzin. Stosuje się go w służbach operacyjnych. Mam nadzieję, że nie jesteś sercowcem.

– Hm, nie, według mojego lekarza mam serce młodzieńca – odparł, biorąc od niej pudełko. – To nie jest trochę przesada?

– Salomonie, ani ty, ani ja nie chcemy spać, kiedy Ulysses krąży po ulicach, szukając sposobu, żeby się do nas dostać.

– Okej, zrozumiałem. Idź się położyć. Będę dobrze pilnował.

– Najpierw wezmę prysznic. Nastawię budzik na trzecią. Do zobaczenia.

Ciepła woda rozgrzała ją i uspokoiła. Spływała jej po skórze, obmywała ramiona, plecy, rysunek Rafaela z rozkrzyżowanymi ramionami. Następnie Lucia się wytarła, wysuszyła włosy i weszła do pokoju. Włączyła lampkę na szafce nocnej, w pożyczonym od Salomóna szlafroku położyła się na łóżku, wybrała numer. Mieszkanie znajdowało się na ostatnim piętrze, słyszała więc świst wiatru i bębnienie deszczu o dachówki.

– Lucia? – w telefonie rozległ się głos jej eksmęża.

– Cześć. Dasz mi Álvara?

Cisza.

– Wiesz, która jest godzina?

– Samuel, proszę. Tylko pięć minut. I tak zaraz zaśnie. Dobrze wiesz, że wieczorem ma twardy sen.

– Nie, Lucio, przykro mi. Jest za późno. Zadzwoń jutro.

Zdusiła w sobie narastający gniew.

– Samuel, proszę cię. Naprawdę potrzebuję z nim porozmawiać. Nie mogłam zadzwonić wcześniej. Miałam trudny dzień.

– Wszyscy miewamy trudne dni. Co ty sobie wyobrażasz? Że tylko tobie zdarzają się gorsze chwile?

– Samuel – jęknęła, rozdarta między wściekłością a przygnębieniem. – Obiecuję, że następnym razem zadzwonię o przyzwoitej porze. Proszę...

– Przykro mi, Lucio. Zadzwoń jutro. Nie będę budził naszego syna tylko dlatego, że tobie jest smutno. Dobrej nocy.

– Kurwa! To ta zdzira zrobiła z ciebie takiego dupka? Pierdol się! Słyszysz? PIERDOL SIĘ!

Po drugiej stronie zapadła cisza. Po chwili Samuel się rozłączył. Siedziała oparta o poduszki. Minęło wiele minut, zanim opuścił ją gniew – był jak wolno stygnąca lawa. Czekwała, aż nadejdzie sen. Ale sen nie nadchodził. Za dużo myśli w głowie. Za duży stres.

Pomyślała o swoim synku. A potem o Ulyssesie. Gdzie on jest? Czy krąży po mieście w tę wietrzną noc, zastanawiając się nad – jak sama to określiła – spektakularnym zakończeniem? Co robi w tej chwili? Może jest na dole... I obserwuje okna. Szuka sposobu, żeby na nich napaść. Jest taki pewny siebie. Swojej wyższości intelektualnej. Lucia nie wiedziała, skąd nadejdzie cios, ale wiedziała, że nadejdzie. Tak, była tego pewna. Ulysses Joyce jeszcze nie powiedział ostatniego słowa.

Obudziła się chwilę po drugiej. Zerknęła na radiobudzik na szafce nocnej: podświetlane cyfry zniknęły. Urządzenie było wyłączone.

Sięgnęła do lampki. Nic. Kompletne ciemności. Popatrzyła w stronę okna. Miała wrażenie, że za ciężkimi zasłonami widzi jakiś blask. Wstała, po omacku obeszła łóżko i odsłoniła okno. Rzeczywiście, na zewnątrz światło się paliło. W dole, na ulicy świeciły latarnie, widziała je przez strumienie ulewy. A nad dachami unosiła się poświata miasta, odbijając się od nabrzmiałych deszczem chmur. Cholera. Blask kolejnej błyskawicy rozświetlił wnętrze. Co ją właściwie obudziło? Kolejna burza? A może jakiś odgłos?

– Salomón?

Bez odpowiedzi. Jej serce nie było zdecydowane, czy bić jak przy biegu średniodystansowym czy jak przy sprincie. Wzięła do ręki telefon, włączyła funkcję latarki, sięgnęła na blat nocnej szafki po pistolet. Wprowadziła pocisk do lufy. Lubiła czuć w lewej dłoni ciężar beretty, pełną, chropowatą rękojeść, gdy jej palec wskazujący spoczywał wyprostowany wzdłuż lufy, nad spustem.

– Salomón? – powtórzyła głośniej.

Znowu odpowiedziała jej cisza. Lucia wyteńczyła słuch. Z zewnątrz ciągle dochodziły wycie wiatru i plusk deszczu: to nie pomagało. Na chwilę odłożyła telefon, by otworzyć drzwi pokoju. Z rękami wyciągniętymi przed sobą – prawa z telefonem w funkcji latarki spoczywała na lewej, w której trzymała broń – wypadła z pokoju.

W korytarzu w ostrym blasku zobaczyła stosiki książek na półkach. Strumień światła nie docierał jednak do pogrążonego w ciemności dużego salonu. Nie paliła się tam żadna lampa. Szlag, co się dzieje? Zamrugła nerwowo. Ruszyła przed siebie, zastanawiając się, co się przyczaiło w czarnym jak atrament wnętrzu. Posuwała się powoli. Nagle ujrzała Salomóna: siedział zapadnięty w fotelu. Chryste! Podeszła do kryminologa i wycelowała w niego snop światła latarki.

– Salomón!

Mężczyzna się zdrygnął. Zamrugał i otworzył oczy. Zasnął, dupek! Mimo tabletki. Kiedy ją zauważył, wyprostował się i wlepił w nią wzrok.

– Lucia? Co jest?

Znowu omiotła wzrokiem salon, obracając się wokół własnej osi.

– Nie ma prądu. Ale tylko tutaj. Na zewnątrz wszystko działa. Myślę, że ktoś tu z nami jest.

Salomón wstał. Teraz był już całkiem rozbudzony. Mocno opatulił się szlafrokiem, jakby mu było zimno.

– Ktoś z nami jest? Co chcesz przez to powiedzieć? Masz na myśli Ulysesa?

Poznała po głosie, że profesor się boi. Podobnie jak ona rozglądał się po ciemnym wnętrzu. W jego oczach malował się strach. Lucia w myślach wyeliminowała korytarz i sypialnię, z której przyszła. Pozostawał ciąg pokoi. Mieszkanie było duże i nie brakowało w nim miejsc, w których można się było ukryć.

– A kogóż by innego? – odparła.

NOC Z CZWARTKU NA PIĄTEK

Rozgorączkowana szła przez uśpione pokoje. Jasna poświata z telefonu budziła je ze snu, a cienie mebli na jej drodze tańczyły, jakby były żywe. Ciszę zakłócały jedynie stłumiony odgłos jej kroków i huk burzy. Miała na sobie narzucone w pośpiechu gruby wełniany sweter i dżinsy; posuwała się naprzód jak żołnierz na polu bitwy – z jasnym, analitycznym umysłem: w tych okolicznościach sprawdzały się wyuczone odruchy, trening, instynkt przetrwania i doświadczenie.

Choć teoria o istnieniu trzech mózgów odeszła już do lamusa, Lucia naprawdę miała wrażenie, że to jej gadzi mózg przejął teraz kontrolę. A może działał jak mentalny skaner, który pozwalał jej syntezować okruchy informacji, które docierały do niej za pośrednictwem wszystkich zmysłów.

Zrobiła jeszcze jeden krok. Drzwi do kuchni. Stała w progu z bronią wycelowaną przed siebie. W tej samej chwili na zewnątrz uderzył piorun. Przez ułamek sekundy widziała kontury stojącej przed nią postaci; chwilę później padł strzał. Huk spowodował gwałtowny wzrost ciśnienia w jej uszach, a potem rozległ się w nich pisk. Instynktownie odskoczyła w bok – kula zaledwie musnęła ramię.

Lucia przywarła do ściany na prawo od drzwi. Dotknąwszy ramienia przez dziurę w swetrze, wyczuła wilgoć, ale to było tylko draśnięcie, rana nie była ani głęboka, ani bolesna.

Chwilę później, na ugiętych nogach, prawie kucając, wpadła do kuchni. Zobaczyła, że przeszklone drzwi wychodzące na taras są otwarte. Podmuchy wiatru waliły nimi o ścianę, a do środka lał się deszcz.

Nie miała telefonu, który upuściła w chwili wystrzału. Nie miała wyboru, musiała obyć się bez światła. Po omacku minęła stół, przy którym Salomón zwykł jadać śniadanie, i wybiegła na duży taras. Zdążyła jeszcze

zobaczyć, jak Ulysses przechodzi przez barierkę na jego drugim końcu i skacze.

Dobiegła do balustrady i wychyliła się. Student już pędził po sąsiednich dachach.

– Ulysses, stój! – wrzasnęła.

Uświadomiła sobie, że z powodu wyrzutu adrenaliny ma ochryply głos. Nocne niebo nad Salamanką mieniło się przecinaną strugami deszczu paletą kolorów od pomarańczowego, poprzez żółty i zielony, do niebieskiego. Jasna luna miasta pomagała Ulyssesowi w jego szaleńczej ucieczce po mokrych dachach. Dokąd on biegnie?

Lucia wsunęła broń za pasek dzinsów i również przeszła przez barierkę. Spadła na śliski, pochyły dach i zsunęła się w stronę krawędzi. Kiedy zobaczyła przepastną studnię wewnętrznego podwórka otoczoną czarnymi oknami, serce podskoczyło jej do gardła. Tuż obok jej policzka kłębił się wir wody ściekającej do rynny. Od podłoża dzieliło ją piętnaście metrów. Poczwała, że kręci jej się w głowie, i zrobiło jej się niedobrze.

Wstała i na czworakach ruszyła w górę pochyłego dachu. Mokre dachówki lśniły jak lustro. Stała na kalenicy. Drżała. Ulysses wspinał się właśnie po dwumetrowym murze na kolejny taras. Minął biegiem oświetlone balkonowe drzwi i zniknął w ciemności.

Wyjęła pistolet z za paska. Była kompletnie przemoczona. Deszcz ściekał jej po karku, spływał na plecy, pod mokry sweter, obmywał twarz. Zamrugała, by strzepnąć wodę z rzęs. Kilka razy otarła policzki. Deszcz był przeszkodą, ale pomyślała, że przeszkadza on również Ulyssesowi. Gorączkowo poszukiwała jakiegoś rozwiązania. Jak to wszystko się skończy? Pojedyńkiem na pistolety, jak w westernach? Absurd.

A potem się przewróciła. Już dobiegała do miejsca, gdzie zniknął Ulysses, kiedy trafiła stopą na jakąś dziurę, potknęła się i upadła przed siebie. Padł strzał. Usłyszała świst pocisku, który minął ją dosłownie o włos. Upadek ją uratował. Na chwilę. Podniosła się na kolano i poczuła ostry ból w kostce. Skręcenie. I wtedy go zobaczyła.

Stał jakieś pięć kroków od niej, na końcu tarasu, a za plecami miał pustkę. Celował do niej z broni. Zrozumiała, że już po wszystkim. Że to koniec. Upadając, wypuściła beretkę. Co za idiotyczna śmierć. Ulysses patrzył na nią, ale nie widziała jego oczu – twarz mężczyzny tonęła w cie-

niu kaptura. Przez strugi deszczu dostrzegała tylko ciemną, nieruchomą sylwetkę i delikatne refleksy światła na lufie. Na co on czeka?

No już, skończmy z tym. Wsłuchiwała się w swój oddech. Drżała. Jedna część jej mózgu czekała na ostateczny strzał, a druga działała na pełnych obrotach. Zaczęła odliczanie.

Jeden: pomyślała o Álvaroze. Nie zobaczy już swojego syna. Będzie dorastał bez niej.

Dwa: wspomniała Rafaela. Nikt nie będzie po niej płakał. Nikt? Może Peña i Arias uronią łzę i będą wspominać jej wyczyny, może zrobią z niej legendę. Może mimo wszystko jej matka i siostra też zapłaczą. I Adrián. I oczywiście Álvaro.

Trzy: Chryste, na co on czeka? Dyszała ciężko. Deszcz spływał jej do gardła. Jeszcze raz otarła twarz. Czy opóźnianie tego momentu go kręci? Bawi go, że ma ją bezbronną u swoich stóp? W sumie tak zachowują się jednostki jego pokroju. Delektują się strachem swoich ofiar. Upajają się swoją wszechmocą. Opóźniają tę chwilę.

Nagle coś w niej drgnęło. Poczowała falę wściekłości, zacieklej woli walki, rozpacz, która była jak strzała wysłana z głębin jej istoty, instynkt przetrwania, który podnosił głowę jak zranione zwierzę; jej mózg przełączył się na autopilota i wszystkie jej mięśnie w jednej chwili się napięły, choć nie poruszyła się ani o milimetr.

Po chwili, najszybciej jak potrafiła, przetoczyła się na drugi bok. Dwukrotnie. Padły strzały. Wreszcie się zdecydował. Za późno. Z wyciągniętymi rękami skoczyła w jego stronę i w trzech susach była przy nim. Dokładnie w chwili, gdy strzelił.

Tym razem kula przeszła jej ramię. A on odfrunął. Dosłownie. Poszybował po pomarańczowym niebie nad Salamanką. Lot zaplanowany niemal perfekcyjnie. Jak Rafael. Lot, który zakończył się miękkim plaśnięciem o chodnik.

Podeszła do krawędzi, trzymając się za ramię, w którym czuła narastające palenie. To był dobry ból, bo oznaczał, że żyje. Na dole zobaczyła podłużny kształt. Nie było ani jednego przechodnia, który zwróciłby uwagę na nieruchome ciało, na nienaturalny kąt ułożenia jego prawej ręki i lewej nogi i dziwnie przekrzywioną głowę. Ani na strumień krwi, który tworzył rosnącą z sekundy na sekundę kałużę, zmywaną przez deszczówkę. Ulysses Joyce umarł tak, jak żył: samotny.

Z wysiłkiem poruszyła zranioną ręką. Ból był rwący, ale do zniesienia. Oznaczało to, że kula nie naruszyła żadnej kości. Usłyszała spanikowane nawoływania Salomóna. Prawie piszczał: zdawało się, że jego struny głosowe zaraz pękną.

Wróciła tą samą drogą. Kiedy stojący na tarasie Salomón ją zobaczył, uśmiechnął się. Pomógł jej się podciągnąć, wziął ją w ramiona i przytulił. Zadrzała. Nie wiedziała, czy to z ulgi, ze strachu czy ze smutku. Deszcz padał na nich, lał im się na głowy. Zmywał krew, grzechy i zmęczenie.

– On nie żyje – powiedziała.

– Jesteś ranna.

– To nic poważnego.

Nie mówili nic więcej. Nie byłaby w stanie powiedzieć, jak długo tak stali – przytuleni, drżący i ociekający wodą. Grzmoty przewalające się po nocnym niebie wtórowały uderzeniom jej serca.

PIĄTEK WIECZÓR

Przed wejściem do teatru Salomón Borges rozmawiał z dwoma mężczyznami w słusznym wieku – pod krawatem, w garniturach i zimowych płaszczach – którzy musieli być grubymi rybami na uniwersytecie.

Dochodziła dziewiętnasta. Lucia utorowała sobie drogę w pchającym się do drzwi tłumie profesorów, studentów, ciekawskich, oficjeli. Wieczorowe suknie, sztuczne i prawdziwe futra, a nawet muchy. Jakby szli do teatru. Ale czy w sumie tak nie było?

Niewielkich rozmiarów plac był czarny od ludzi. Lucia pomyślała, że wiadomości w Salamance rozchodzą się szybko i że nie wszyscy zdołają wejść do środka. Stawiła się również telewizja. Dwa kanały informacyjne. Małe, mobilne ekipy, lekki sprzęt: nowe czasy.

Przez cały dzień nie opuszczało jej poczucie, że tego wieczoru powinna tutaj być. Że tak należy. Umalowała się nieco bardziej niż zazwyczaj. W pobliskiej Zarze kupiła marynarkę – zbyt cienką jak na tę porę roku. Kilka godzin wcześniej przełożeni przekazali Peñi decyzję, którą on z kolei przekazał jej: władze nie tylko życzyły sobie, by konferencja prasowa się odbyła, ale również aby UCO wzięła w niej udział.

– Tym razem się nie wymigasz – powiedział Peña. – Rozkaz przyszedł z góry, z bardzo wysoka.

– Aż tak?

Héctor Delgado, który siedział z małżonką w drugim rzędzie, rozejrzał się dookoła. Rozpoznał wiele twarzy, kilka osób pozdrowił. Manuela wyglądała pięknie w koszulowej sukience od Alberty Ferretti i płaszczu Max Mary z kapturem podbitym futrem z lisa. Potomstwo zostawili z opiekunką – to nie była impreza dla nich. Nigdzie nie napisano o zakazie wstępu dla dzieci poniżej dwunastego roku życia, ale wszyscy wiedzieli, że będzie tu

mowa o sprawach, które nie są przeznaczone dla młodych uszu. Z pewnością dlatego właśnie publiczność była tak liczna – z miłości do skandalu, rzezi, krwi i dreszczy.

Szefowi departamentu edukacji wspólnoty autonomicznej Kastylii i Leónu trochę zaschło w gardle. Był jedną z niewielu osób na sali, które wiedziały, że konferencja przebiegnie nie całkiem zgodnie z planem.

Podniósł wzrok na półkoliste balkony, które okalały salę niczym elegancko połyskująca oprawa. Cóż za wspaniałe miejsce. I pomyśleć, że teatr Liceo przez lata był zamknięty – aż do 2002 roku, kiedy Salamanka otrzymała tytuł Europejskiej Stolicy Kultury: dopiero wtedy został zrehabilitowany, odrestaurowany i odzyskał oryginalny dziewiętnastowieczny wystrój.

Kiedy zapaliły się światła, skierował uwagę na scenę. Naprawdę wyglądało to, jakby miało się zacząć przedstawienie. Delgado wstrzymał oddech, patrząc, jak cała czwórka – Salomón Borges, rektor uniwersytetu, dziekan wydziału prawa i funkcjonariuszka UCO Lucia Guerrero – wchodzi na podest i zajmuje miejsca za długim, najeżonym mikrofonami białym stołem.

Kryminolog nie ważył się uśmiechać, zważywszy na dramatyczne okoliczności, które przywiodły ich w to miejsce, ale urzędnik wyczuł, że jego stary „przyjaciel” delektuje się tą chwilą. To była jego godzina chwały – przecież każdy o czymś takim marzy.

Lucia omiotła wzrokiem widownię – parter teatru Liceo pękał w szwach. Nie nawykła występować w blasku reflektorów, tym bardziej przed setkami osób. Żeby dodać sobie otuchy, sięgnęła po butelkę z wodą. W pierwszym rzędzie dostrzegła Cordelię, Verónicę i Harukiego. Wyglądali jak zombi. Zauważyła, że na sali jest dużo studentów. A także – jeśli sądzić po strojach – sporo szych. Była tam również Candace Boix. Dziennikarka siedziała w drugim rzędzie z kolegami po fachu przybyłymi z Madrytu i się uśmiechała.

Konferencję zaczął rektor:

– Dobry wieczór, panie i panowie. Nie traćmy czasu. Nazywam się Valerio Molina i jestem rektorem Uniwersytetu w Salamance. Zaraz przekażę głos mojemu koledze, profesorowi Salomónowi Borgesowi, wykładowcy na wydziale prawa, który opowie nam o programie DIMAS stworzonym przez zespół pod jego kierownictwem. Minionej nocy program ten pomógł

unieszkodliwić ni mniej, ni więcej, jak właśnie seryjnego mordercę, który został zatrzymany w naszym mieście. Dlatego jest on wielką nadzieją sił bezpieczeństwa tego kraju. Profesorze Borges, pańska kolej.

Salomón odchrząknął i nachylił się do mikrofonu.

– Hmm... Dobry wieczór wszystkim. Widzę, że przybyliście licznie i że są z nami też dziennikarze. Z pewnością nie jesteście tutaj wyłącznie ze względu na *uniwersytecki* wymiar tej konferencji. Za chwilę przekażę głos pani porucznik Lucii Guerrero z UCO. Wcześniej jednak, jak zapowiedział pan rektor, powiem kilka słów na temat dokonań technicznych i naukowych, które zrealizowaliśmy na uniwersytecie z naszymi doktorantami; dokonań, które po części przyczyniły się do sukcesu tego trudnego śledztwa. – Zrobił chwilę przerwy i delektował się ciszą, która zapanowała na wcześniej rozgadanej widowni. – Ale najpierw chciałbym, żebyśmy przez chwilę pomyśleli o dwóch ofiarach tego mordercy – powiedział ze ściśniętym gardłem. – O dwojce doktorantów z naszego zespołu, przed którymi przyszłość stała otworem do chwili, gdy pewien osobnik uznał, że ich życie ma mniejszą wartość niż zaspokojenie jego potwornych instynktów. Chciałbym, żebyśmy uczcili minutą ciszy Assę Diop i Alejandra Lorcę. Pozostaną w naszej pamięci.

Zamilkł i spojrzął na zgromadzonych. Po chwili milczenia rozległy się oklaski. Lucia zobaczyła, że Cordelia, Verónica i Haruki spuścili głowy i wpatrują się w czubki własnych butów. Po jakichś pięciu sekundach Salomón gestem poprosił o ciszę.

– Pragnę też podziękować – oświadczył, wzruszony do łez – rektorowi Molinie i dziekanowi Luquemu, a także obecnemu na sali szefowi departamentu edukacji wspólnoty autonomicznej Kastylii i Leónu Héctorowi Delgado za udzielenie naszemu uniwersytetowi zgody na stworzenie tego programu, który, możemy być tego pewni, stanie się w najbliższych latach niezbędnym narzędziem w prowadzeniu śledztw kryminalnych przez siły porządkowe tego kraju. Jak już powiedział pan rektor, program nosi nazwę DIMAS. Dimas to postać biblijna, która...

Lucia na chwilę się wyłączyła. Mniej więcej wiedziała, co Salomón powie. Mimo że nie była obyta z uniwersyteckimi zwyczajami, domyśliła się, że zanim dojdzie do faktów, zrobi kilka dygresji i omówień. Tymczasem to fakty były interesujące. Te prawdziwe i te fałszywe.

– ...nie będę się rozwodził nad pojęciami sztucznej inteligencji i algorytmu – ciągnął Salomón. – Może te słowa w ustach osoby kierującej tym projektem wydadzą się państwu dziwne, ale kompletnie się na tym nie znam, choć moi studenci wielokrotnie usiłowali mi wytłumaczyć, jak to działa.

Kilka osób na sali się zaśmiało – zwłaszcza studenci.

– Wszyscy jednak wiemy, jak bardzo sztuczna inteligencja rewolucjonizuje obecnie naszą codzienność i zmienia nasze życie w wielu dziedzinach. Dlaczego inaczej miałyby być z działalnością śledczą? Powiedzmy po prostu, że DIMAS jest rewolucyjnym, jedynym w swoim rodzaju programem, zdolnym wykrywać niezauważone dotychczas powiązania między różnymi sprawami i w ten sposób naprowadzać organy ścigania na trop groźnych seryjnych sprawców, niezależnie od tego, czy chodzi o przestępstwa seksualne, przemoc czy morderstwa. – Spojrzał na widownię. – I właśnie to się wydarzyło. – Wykonał szeroki gest, jakby chciał objąć publikę, która spijała z jego ust każde słowo. – Wśród setek śledztw, którymi wolontariusze z policji i Guardia Civil od dwóch lat zasilali bazę danych, DIMAS znalazł trzy sprawy, które, choć oddalone od siebie w czasie i przestrzeni, miały wspólne aspekty, niedostrzeżone dotąd przez nikogo elementy. Być może nie zauważono ich dlatego, że były zbyt subtelne i utonęły w natłoku szczegółów, a może dlatego, że śledztwa były prowadzone przez odległe od siebie pod względem geograficznym służby, które się ze sobą nie komunikowały.

Dokładnie wyjaśnił, o jakie szczegóły chodziło: scenografia, młode pary, które wyglądały na szczęśliwe, upozowania, klej, czerwień i zieleń.

– Dzięki tym elementom zrozumieliśmy, że przy opracowaniu scenografii morderstw sprawca inspirował się dziełem Owidiusza zatytułowanym *Przemiany*, długim poematem złożonym z ponad dwunastu tysięcy wersów, napisanym około pierwszego roku naszej ery. A ściślej obrazami z okresu renesansu i baroku inspirowanymi tym poematem. Płótna, z których morderca zaczerpnął natchnienie do trzech podwójnych morderstw, to: *Pyram i Tyzbe* Jeana-François de Troy, *Kefalos i Prokris* anonimowego artysty oraz *Śmierć Hiacynta* malarza z siedemnastowiecznej szkoły włoskiej.

Ustawił przed sobą trzy reprodukcje w formacie A4: było oczywiste, że siedzący dalej niż w trzecim rzędzie niewiele zobaczą. Tracisz ich uwagę, pomyślała Lucia. Wróć do faktów, to nie jest obrona doktoratu.

– Nawiasem mówiąc, egzemplarz *Przemian* znajdował się w księgozbiore biblioteki wydziału prawa. Wiele wskazywało na to, że właśnie z tego egzemplarza morderca czerpał cytaty, które wysyłał do nas w anonimowych listach. To był z pewnością jego wielki błąd, ponieważ właśnie dzięki temu do niego dotarliśmy. Oddaję teraz głos porucznik Lucii Guerrero z UCO. Ponieważ to ona i jej jednostka w brawurowy sposób doprowadzili tę sprawę do końca i unieszkodliwili mordercę.

Zrobiła głęboki wdech. Wypiła łyk wody mineralnej. Tak się umówili – że jednak zabierze głos. Mimo że tematem konferencji był DIMAS, ludzie przyszli tu również ze względu na śledztwo. I choć nie znosiła wystąpień publicznych, wiedziała, że tym razem się nie wykręci. Nie miała wyboru.

– Jak już powiedział profesor Borges, bez programu DIMAS nigdy nie powiązaliśmy ze sobą tych trzech podwójnych morderstw, z których najstarsze wydarzyło się w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym. Wczoraj wieczorem zginął młody człowiek, Ulysses Joyce. Był doktorem i członkiem zespołu profesora Borgesa. A więc, ironia losu, brał udział w tworzeniu programu, przez który sam wpadł. Nie jest to aż tak bardzo zaskakujące. Seryjni mordercy często pomagają policji w dotarciu do siebie, bywały już takie przypadki. Odczuwają głód chwały, pragną być sławni. Chcą, żeby o nich mówiono. Czasem też czują się do tego stopnia lepsi od służb, mają tak wielkie poczucie wyższości, że uważają, że mimo wskazówek, które sami nam dostarczają, nigdy ich nie złapiemy, zawsze zdołają się nam wymknąć. – Uniosła głowę. Można było usłyszeć przelatującą muchę. Wszyscy wiedzieli, że mowa Salomóna była jedynie przystawką, a teraz nadszedł czas na danie główne. – Ulysses Joyce doskonale odpowiada profilowi, który przed chwilą naszkicowałam: samotny młody człowiek o wybitnej inteligencji i rozbuchanym ego, pragnący chwały i popularności. To również dobrze znany schemat. Mamy wszelkie powody, by sądzić, że Joyce jest osobą, której szukamy. Wszystko wskazuje na niego. Wszystko. A jednak ja z całą stanowczością sądzę, że Ulysses Joyce był tylko przynętą, która miała zmylić nasz trop, że tak naprawdę za jego plecami ukrywa się ktoś inny.

Przez widownię przemknął szmer zdziwienia. Konsternacja rozlewała się po sali czarną plamą, niczym wyciek ropy z supertankowca. Lucia właśnie zaprzeczyła słowom przedmówcy. Cordelia i Haruki wyprostowali się

na fotelach. To samo zrobił siedzący w drugim rzędzie Héctor Delgado. Lucia zauważyła też pełne zaskoczenia spojrzenie jasnowłosej dziennikarki.

– Przede wszystkim dlatego, że w czasie, gdy popełniono pierwsze morderstwo, nie było go jeszcze na świecie, a ja nie wierzę w teorię *copycat*, czyli naśladowcy, a tylko ona wyjaśniałaby jego sprawstwo w dwóch pozostałych przypadkach. A po drugie dlatego. – Wyciągnęła przed siebie kopertę, na której widniało skreślone piórem kulkowym jej nazwisko. – To list, który został wysłany do mnie na adres Guardia Civil w Salamance. Dostałam go dziś rano. Przykładów seryjnych morderców wysyłających anonimowe wiadomości do prasy lub na policję, by rzucić im wyzwanie, mamy na pęczki. Najbardziej znani to „Zodiak”, „Unabomber” czy „Syn Sama” działający w Stanach Zjednoczonych. Grają śledczym na nerwach, prowokują ich, ośmieszają albo przedstawiają własne motywacje. Ale ten list jest innego rodzaju. Nie został wysłany po to, by nas wkurzyć. Przeciwnie, napisała go osoba, która chciała nam pomóc, doprowadzić do ujawnienia prawdy. Osoba, która, jestem tego pewna, jest tu dzisiaj z nami.

Szmer narastał, aż zmienił się w pomruk. Rektor i dziekan patrzyli na nią w osłupieniu, a Cordelia, Verónica i Haruki wytrzeszczali oczy. Wszyscy dosłownie wisieli u jej warg.

– Autor tego listu twierdzi, że bardzo dobrze zna człowieka, który jego zdaniem jest mordercą. Zna go od dzieciństwa. Chodzili razem do szkoły podstawowej, do liceum, a później studiowali na tym samym uniwersytecie. Opisuje objawy i kontekst rodzinny, o których często wspominają specjaliści od seryjnych zabójców: okrucieństwo w stosunku do zwierząt i innych dzieci, bunt wobec autorytetów, rozbita rodzina, przemocowy, znęcający się ojciec, fuzja z matką jednocześnie wyidealizowaną i zniechęconą. Według autora tego listu morderca w wieku dziesięciu lat wbił ostrze cyrkla w czoło kolegi, który wyśmiewał jego niski wzrost. Autor pisze również, że koty z ich dzielnicy znikły w dziwnych okolicznościach, dopóki rodzina jego przyjaciela się nie wyprowadziła. Dodaje, iż wszyscy sąsiedzi wiedzieli, że chłopiec od najwcześniejszego dzieciństwa jest niemal codziennie bity i dręczony przez ojca. Po tym, jak otrzymałam ten list, zasięgnęliśmy informacji: okazuje się, że człowiek, o którym mowa, w związku ze wspomnianymi zachowaniami był leczony psychiatrycznie, ale leczenia zaniechano na krótko przed osiągnięciem przez niego pełnoletności, ponieważ owe zachowania już się nie powtarzały. – W absolutnej ciszy odłożyła

kopertę. – Człowiek ten zdobył jednak wysoką pozycję w hierarchii społecznej: z doskonałym wynikiem skończył studia, uzyskał tytuł *catedrático*, a jego wykłady należą do najwyżej cenionych przez studentów tego uniwersytetu. Jednak popularność w niewielkim środowisku uniwersyteckim to było zbyt mało dla jego gigantycznego ego. Zaprażył zapisać się w historii kryminologii i annałach zbrodni. Krótka mówiąc, przejść do historii. – Zerknęła na krótkofalówkę, która leżała obok jej dłoni, przy butelce z wodą mineralną. – Człowiek ten uknuł więc makiaweliczny plan, by dojść do chwały, o której tak marzył. Postanowił, jak naukowcy, których pragnienie sławy ostatecznie gubi, osobiście popełnić niesamowite, wymyślne zbrodnie, które jego grupa badawcza następnie rozpracowywała z jego pomocą, korzystając ze stworzonego w tym celu programu. Potrzebował do tego współnika, który znałby się na tym, na czym on się nie znał: na komputerach i algorytmach. I znalazł go w osobie Ulyssesa Joyce’a, informatyka: zdolnego, zarozumiałego i samotnego, ale także wrażliwego, zagubionego i łatwego do zmanipulowania. Który do tego miał skrupuły o rozmiarze odwrotnie proporcjonalnym do ego. Kto wie, może nasz sprawca spędził wiele nocy na szpiegowaniu studentów w barach Salamanki i podsłuchiowaniu ich rozmów, aż znalazł tę rzadką perłę: młodego człowieka, który miał mu pomóc w urzeczywistnieniu jego zamierzeń, którego dołączył do swojej grupy.

– Pani porucznik – wtrącił się wzburzony dziekan – niech pani przestanie owijać w bawełnę i rzucać oskarżenia. Proszę przejść do faktów: którego z pracowników tego szacownego uniwersytetu ma pani na myśli?

– Chwileczkę, panie dziekanie, już do tego dochodzę. Ten człowiek popełnił podwójne morderstwo trzydzieści lat temu i nie dał się złapać. Jak to zostało powiedziane wcześniej, już wówczas inspirował się *Przemianami* Owidiusza. Początkowo sądziłam, że powodem był jego podziw dla poety. Bo jest wielkim miłośnikiem literatury, ma w domu tysiące książek. A potem zrozumiałam, że nie chodziło o uwielbienie dla poety. Nie, tym, co podziwiał, była władza cesarza, w którego rękach spoczywały życie i śmierć poddanych, który mógł łamać ludzkie życia, tak jak złamał życie Owidiusza. A więc kiedy znalazł współnika, przystąpił do realizacji planu. W obecności swojego kolegi Alejandra Lorki Ulysses zachowywał się tak, jakby nie miał pojęcia o tym makiawelicznym scenariuszu. Udał, że odkrył fakt, iż DIMAS znalazł związek między trzema morderstwami, i zadzwonił

z tą dobrą nowiną do profesora. Ale do tego, żeby ta sprawa nabrała bardziej niezwykłych rozmiarów, potrzebny był jeszcze jeden składnik: na przykład oficer śledcza, która już kiedyś trafiła na pierwsze strony gazet w związku z inną, równie spektakularną historią. – Wyrównała oddech i zerknęła na prawo. Twarz jej sąsiada straciła wszelki wyraz, po jego policzku spływała kropla potu. Szum na sali narastał. Przysunęła się do mikrofonu i podniosła głos, by przekrzyczeć wrzawę. – Zamordował więc jednego z moich kolegów, przyklejając go do krzyża, a potem udał, że dowiedział się o tym zabójstwie z gazety i powiązał je z pozostałymi na podstawie wzmianki o kleju, która znalazła się w artykule. Zaczęłam mieć podejrzenia, kiedy sama otrzymałam anonimowy list w hotelu w Segowii, gdzie przebywałam z człowiekiem, o którym mówimy. Z początku sądziłam, że morderca przyjechał tam za nami, ale potem pomyślałam, że istnieje bardziej oczywiste rozwiązanie tej tajemnicy.

Salomón Borges cicho wstał z krzesła. Lucia nie zrobiła nic, żeby go zatrzymać: wszystkie wyjścia były pilnowane.

– Autor drugiego listu, tego, który otrzymałam dziś rano, mężczyzna tak dobrze znający tego człowieka, pisze też, że na pewien czas, do końca lat osiemdziesiątych, stracił go z oczu: właśnie w tym okresie doszło do pierwszego podwójnego morderstwa. Zasięgnęłam informacji: po obronie doktoratu człowiek ten wyjechał w charakterze wykładowcy do Saragossy, skąd pochodziła jego małżonka. Możliwe, że odbywał stamtąd wycieczki do Górnej Aragonii. Nie znamy jeszcze motywu tej pierwszej zbrodni, nie wiemy też, dlaczego na dwadzieścia sześć lat przestał zabijać. Jeśli rzeczywiście przestał. Mamy jednak nadzieję, że podczas składania zeznań oświeci nas w tej kwestii.

Odwróciła głowę i zobaczyła, jak Salomón nieśpiesznie się oddala i znika za kulisami. Zdrową ręką – prawą miała na temblaku – sięgnęła po krótkofalówkę; wcisnęła guzik i powiedziała: „Wszyscy na miejsca, idzie”.

– Obecnie człowiek ten wykłada kryminologię tutaj, na Uniwersytecie w Salamance. Jeszcze przed chwilą siedział obok mnie. Tak, chodzi o profesora Salomóna Borgesa.

Przez widownię przetoczyło się gromkie: „Och!”.

– Pani porucznik, dość tego! – zawołał dziekan. – To nie miejsce na...

– Ostatniej w nocy – ciągnęła niezrażona – jego współnik Ulysses Joyce strzelał do mnie. Podejrzewam, że profesor Borges przekonał go do tego,

ponieważ stanowiłam dla nich zbyt duże zagrożenie. Ale wydarzenia potoczyły się niezgodnie z planem: kiedy Joyce we mnie wycelował, nie strzelił od razu. W pierwszym momencie myślałam, że rozkoszuje się chwilą. Teraz jednak sądzę, że zwłoka wynikała z tego, że nigdy jeszcze nie zabił człowieka. Dlatego się wahał. To mi uratowało życie. W gruncie rzeczy śmierć Ulyssesa urządziła Salomóna Borgesa. Mieliśmy winnego, a jego nikt nie mógł wsypać. – Znowu uniosła kopertę, którą dostała tego ranka na posterunku Guardia Civil. – Nikt poza autorem tego listu.

– To ja go napisałem – oświadczył uroczystym głosem szef departamentu edukacji, wstając z miejsca na oczach osłupiałej widowni. – Proszę państwa, zrobiłem to, ponieważ jestem przekonany, że pani porucznik ma rację!

– Panie ministrze! – zagrzemiał dziekan. – Co się tutaj dzieje? Czy może mi pan wyjaśnić, co to za cyrk?

– Decydującym momentem było zabójstwo tamtej dwójki studentów. Wtedy moje podejrzenia się potwierdziły – dokończył Delgado, nie zważając na jego słowa.

– Pani porucznik! Pani porucznik! – zatrzeszczał jakiś głos w krótkofalówce. – Cel uciekł!

Zerwała się i ruszyła w pościg, choć unieruchomiona na temblaku ręką trochę jej w tym przeszkadzała.

PIĄTEK WIECZÓR

– Nie widziałem, jak idzie – powiedział gwardzista z twarzą we krwi. – Wskoczył zza kulis i z całej siły uderzył mnie w głowę tym czymś, zanim zdążyłem cokolwiek zrobić.

Wskazał na wykonaną z malowanego drewna atrapę szabli, która musiała służyć jako rekwizyt w jakimś niedawnym przedstawieniu.

– Kurwa! – zawołała Lucia. – Mówiłam, że macie być czujni!

Szybko rozejrzała się dookoła. Ciemna przestrzeń za kulisami zavalona elementami dekoracji, zwisającymi kurtynami i wszelkimi rodzajami mebli rzeczywiście pełna była zakamarków, w których można się ukryć.

– Zamknijcie dzielnicę! – rzuciła.

– Już zrobione. Wszędzie, na każdej ulicy, są nasi ludzie. Daleko nie ucieknie.

– Później porozmawiamy o twoim niedopatzeniu.

Funkcjonariusz z zakrwawioną twarzą pobladł. Lucia zdrową ręką pchnęła drążek naciskowy drzwi ewakuacyjnych. Znalazła się w dawno nieodświeżanym korytarzu o ścianach pokrytych żółtawym tynkiem. Truchtem ruszyła po żywicznej posadzce. Po chwili trafiła na drugi, prostopadły korytarz. W prawo czy w lewo? Po lewej znajdowały się przeszklone drzwi. Pomyślała, że nie znając tego miejsca, Salomón raczej wybrał drzwi, a nie prawy korytarz, który mógł się okazać ślepy.

Pchnęła przeszklone skrzydło i rozejrzała się. Jeszcze jedna scena teatralna: duży wewnętrzny dziedziniec o ceglanych ścianach, w których widniały dziesiątki kwadratowych okienek. Całość oświetlały cztery latarnie. Sześć ustawionych w prostokąt ławek. Wszystko symetryczne, geometryczne, schematyczne, nienaturalne. Niepokojąco ascetyczne. Jak w więzieniu. Albo w akademiku.

Na próżno rozglądała się za Salomónem. Już miała pójść w lewo, kiedy nagle zobaczyła, że kryminolog idzie w jej stronę z drugiego krańca dziedzińca. Pewnie trafił na jakieś zamknięte drzwi i zawrócił. Albo zauważył stojących na ulicy gwardzistów. Kiedy ją zobaczył, zatrzymał się. Wycelowała w niego z broni, którą trzymała jednorącz.

– Nie ruszaj się!

Uniósł ręce.

– Co zrobisz, jeśli nie posłucham? Strzelisz do mnie?

– Nie ruszaj się, draniu!

Skrzywił się.

– Draniu? A co z naszą przyjaźnią, Lucio? Twoja przyjaźń jest dla mnie ważna. Bardzo cię lubię. Chociaż troszkę cię, hmm, zmanipulowałem.

– Salomón, to koniec! Dostaniesz to, czego chciałeś: będziesz sławny. Ale w więzieniu.

Pokręcił głową.

– Nie masz żadnych dowodów. To wszystko hipotezy. Dobry adwokat sobie z nimi poradzi. Żadna ława przysięgłych nie uwierzy w tak absurdalną historię!

– To prawda, nie mamy dowodów. Ale uciekając, sam się przyznałeś do winy. I dokładnie taki był cel mojego wystąpienia.

Na chwilę podniosła wzrok. W oknach było coraz więcej ludzi. Młodzież. Dobrze wydedukowała, to akademik. Studenci wychylali się na zewnątrz, by patrzeć na kobietę celującą z pistoletu do mężczyzny. Publiczność ostatniego przedstawienia. Akt trzeci, scena końcowa, pomyślała Lucia.

– To koniec, przegrałeś tę partię. Masz swoje Waterloo. Co zrobiłeś z chłopcem? Mów! – Lekko uniosła lufę pistoletu. – Zabiłeś go osobiście? A może César Bolcán był twoim współnikiem i zrobiliście to razem? Odpowiadaj!

Zawahał się i pokręcił głową. Wyglądał na zszokowanego.

– Nigdy w życiu! Z chłopcem to był przypadek... Nie zauważyłem go, siedział schowany na tylnej kanapie. Kiedy kończyłem upozowanie, zatrzymał się samochód. Wsiadł z niego jakiś gwardzista i od razu przyłożył mi pistolet do policzka. To był César Bolcán. Jak co rano jechał do pracy. Przejeżdżał przez tunele. Furgonetka na poboczu go zaintrygowała. Zboczenie zawodowe... Niefart, który dla mnie okazał się szczęśliwy. To on zajrzał do

środku i zauważył tego dzieciaka. Od tej chwili jego zachowanie kompletnie się zmieniło. Pytał o mnóstwo rzeczy, wylegitymował mnie. Chciał wiedzieć, kim jestem, dlaczego to robię, ale mieliśmy mało czasu: w każdej chwili ktoś mógł tamtędy przejeżdżać i się zatrzymać, mimo że ciała nie było widać z drogi. Po kilku minutach kazał mi się wynosić. „A dziecko?“, zapytałem. A on na to: „Ja się nim zajmę”. Zwiąłem, o nic już nie pytając. I nigdy więcej nie słyszałem o tym chłopcu, aż...

Potem Bolcán na pewno gdzieś chłopca ukrył i pojechał do pracy, pomyślała Lucia. Przypadkowy kierowca znalazł zwłoki i wezwał Guardia Civil, więc Bolcán został wysłany na miejsce zbrodni razem ze swoim partnerem Miguelem Ferranem. Udawał, że widzi te ciała pierwszy raz.

Nadbiegli gwardziści i ustawili się za nią z pistoletami wycelowanymi w Salomóna.

– Na kolana! – zawołał jeden z nich.

Kryminolog wykonał polecenie na oczach dziesiątków studentów wychylających się przez okna. Do samego końca miał publiczność, pomyślała.

– Wszystko zaczęło się w muzeum – powiedział.

– W muzeum?

Spojrzała na niego zdumiona. Siedzieli w pokoju przesłuchań. Złączył drobne białe dłonie na blacie i odchrząknął.

– Tak. Héctor w swoim liście napisał prawdę o mojej matce. Kochałem ją ponad wszystko, uwielbiałem i nienawidziłem. To była bardzo piękna kobieta. Ale również kobieta lekkich obyczajów. Kiedy miałem dziesięć lat, w każdą niedzielę zabierała mnie do Prado i zostawiała przed tym samym obrazem, mówiąc, że mam być grzeczny i się stamtąd nie ruszać. – Uśmiechnął się, a po chwili na jego twarzy pojawił się wyraz bezgranicznego, niemal dziecięcego smutku. – W Prado jest sporo obrazów inspirowanych *Przemianami*. Ten, przed którym mnie zostawiała, to było wielkie płótno Rubensa w sali numer siedemdziesiąt dziewięć, dwa metry na trzy, zatytułowane *Merkury i Argus*. Bóg wbija włócznię w szyję Argusa, pasterza, któremu Junona kazała pilnować nimfy Io, kochanki jej męża Jowisza, którą bogini zmieniła w krowę. Nie ma na świecie obrazu, który znałbym lepiej.

Poprosił, żeby byli tylko we dwoje. Peña wyraził zgodę, pod warunkiem że przesłuchanie będzie filmowane.

– A potem któregoś dnia, musiałem wtedy mieć dziesięć lat, miałem dość siedzenia w tej sali i poszedłem szukać matki. To była niedziela rano i muzeum było prawie puste. Znalazłem ją w jakimś kącie między dwoma strażnikami. Nie do końca rozumiałem, co się dzieje, ale kiedy zobaczyłem, jak matka ich całuje, a oni trzymają ją za tyłek i wkładają dłonie pod spódnice, poczułem, że coś jest nie tak, że to, co się dzieje, jest dziwne i obrzydliwe, i zrobiło mi się niedobrze. Zawołałem ją i wtedy na mnie spojrzała. Nigdy nie widziałem, żeby patrzyła takim wzrokiem, wyglądała, jakby nie była sobą. Była... gdzie indziej. Wyrwała się tym mężczyznom, którzy zaczęli się śmiać, i szybko zaprowadziła mnie do wyjścia, grożąc mi różnymi karami, jeśli tylko powiem tacie.

Lucia chciała wierzyć, że to dziecko nie było jeszcze wtedy potworem, którym stało się później. Ale to wcale nie było pewne. W życiu człowieka zawsze znajdzie się coś, co pozwala wytłumaczyć jego czyny, wybaczyć mu, pomyślała. Jednak jej zdaniem czyny powinno się sądzić w oparciu o odpowiedzialność, nie o przebaczenie. Gdyby wszystko zostało przebaczone, nikt nie byłby za nic odpowiedzialny.

– Okej, nosiłeś w sobie ten gniew, tę frustrację, tę wściekłość, to pragnienie ukarania kogoś za... zdradę matki – powiedziała. – Ale kiedy pojawił się w tobie pomysł podwójnego morderstwa?

Spojrzał jej głęboko w oczy.

– Tego właśnie uczę moich studentów – odparł. – Potrzeba wielu lat, zanim fantazja podobnej natury osiągnie ten stopień wyrafinowania. Ale na ogół zaczyna ona kiełkować bardzo wcześnie. Sądzę, że w moim przypadku dojrzewała od dziesiątego roku życia.

– Morderstwo w tunelach było pierwsze?

– Mhm... Ale nie był to mój pierwszy zły czyn.

Uniosła brew.

– Kilka kradzieży – powiedział. – Był też pewien chłopiec, którego gnębiłem przy każdej okazji. Namawiałem kolegów, żeby robili to samo. Dużo płakał.

Lucia miała wrażenie, że zmienia się w bryłę lodu.

– A potem?

– Tak jak mówiłaś, wykładałem w Saragossie. Od zawsze kochałem góry, przyrodę. Weekendy spędzałem w Benasque, w Pirenejach, niedaleko francuskiej granicy. Jezioro znajduje się po drodze, między Benasque a Saragossą. Patrzyłem na nie, na tę piękną skąpaną w słońcu murawę, na ludzi, którzy się kąpali, jeździli na rowerach i nartach wodnych... Któregoś dnia się zatrzymałem. Chciałem po prostu popływać i skorzystać ze słońca. To małżeństwo wypoczywało obok mnie. Wyglądali na takich szczęśliwych. Zacząłem się nimi interesować, śledzić ich w wolnym czasie i stopniowo moja dawna fantazja nabrała konkretniejszego kształtu, poczułem, że muszę ją zrealizować, że to jest właściwy moment. Tak właśnie wygląda ten zapalnik, który popycha seryjnego mordercę do działania, nie?

– A potem miałeś dwadzieścia sześć lat przerwy? Serio? – zapytała sceptycznie.

– Potem była Begoña...

– Twoja żona.

– ...która w styczniu dwa tysiące piętnastego zmarła na pieprzonego raka. – Nagle zrobił się zupełnie bezbronny. – Mówiłem ci, od pierwszej kolacji wiedziałem, że to będzie kobieta mojego życia. Ale też że będzie potrafiła uciszyć moje demony. Miała w sobie to światło i siłę, które mogły postawić im tamę. – Wytrzymał spojrzenie Lucii. – Och, oczywiście, w tym okresie kilka razy zdarzyło się, że one mną owładnęły i wyszły na powierzchnię. Ale nigdy nie posunąłem się do morderstwa.

Lucia zadrżała. Powstrzymała się od zapytania, co miał na myśli, mówiąc o owładnięciu. Później. Teraz chciała iść naprzód.

– Ale dopiero kiedy, hmm, odeszła, naprawdę sobie uświadomiłem, do jakiego stopnia przez wszystkie te lata Begoña była dla mnie nie tylko kochanką, ale też kompasem, opoką, siostrą.

– Styczeń dwa tysiące piętnastego – powiedziała Lucia. – Dwa miesiące później, w marcu, zabiłem małżeństwo w Segowii.

Jego oczy zapłonęły wściekłością.

– Tak. Zabiłem ich szczęście. Podobnie jak w przypadku pary nad jeziora wpadłem na nich przypadkiem, spacerując po mieście. Zacząłem za nimi chodzić ulicami Segowii, śledzić ich. Wyglądali na bardzo szczęśliwych. A ja właśnie straciłem szczęście mojego życia, nie mogłem tolerować czegoś takiego.

– Poza tym zdarzyło ci się już zabić. Wiele lat wcześniej. Wiedziałaś, jak to jest.

Popatrzył na nią świdrującym, mrocznym spojrzeniem, z którego zniknęło wszelkie światło.

– Tak. Ale za pierwszym razem to był tylko... eksperyment. Spełnienie dawnej fantazji.

– I co było potem?

– Potem często wracałem tam wieczorami i obserwowałem tę parę. Jak wiesz, Segowia leży tylko o godzinę drogi od Salamanki. Poznałem ich zwyczajnie, odkryłem ich drobne tajemnice: dowiedziałem się na przykład, że raz w tygodniu mężczyzna odwiedza młodą pracownicę piekarni. Wydaje nam się, że znamy ludzi, ale tak naprawdę nic o nich nie wiemy do momentu, aż zaczniemy grzebać w ich małych wstydliwych tajemnicach, prawda? I oczywiście tak jak za pierwszym razem zaczerpnąłem inspirację z *Przemian*.

– A później było morderstwo na Costa del Sol, w Benalmádenie.

Skinął głową.

– Tak. Latem w dwa tysiące osiemnastym byłem tam na wakacjach. Najpierw zobaczyłem tę parę z plaży. Oni też sprawiali wrażenie niezmiernie szczęśliwych. Śmiali się, cieszyli, obmacywali, bez żadnego wstydu denerwowali ludzi, którzy tłoczyli się na dole. Więc ja, samotny w tłumie plażowiczów, zacząłem ich nienawidzić. A potem zobaczyłem, że dom obok jest do wynajęcia. Luksusowa willa, która nie znalazła chętnego. Wpadłem na pomysł, żeby tam zamieszkać pod fałszywym nazwiskiem. Naso, jak Owidiusz. Zabawne, co? Ciąg dalszy znasz. Facet z portretu pamięciowego nie był do mnie ani trochę podobny. Fakt, że zgoliłem brodę i nie rozstawałem się z czapką z daszkiem i okularami słonecznymi. A co do DIMAS-a: w ubiegłym roku projekt już oczywiście działał, ale wciąż nie było wyników. Pomyślałem więc, że użyjemy moich morderstw, żeby miał nad czym pracować. Efekt przerósł moje oczekiwania.

– A Ulysses?

Kryminolog się rozpromienił.

– Ulysses to był prezent od losu. Kiedy usłyszałem tę historię o dwóch studentach, którzy zhakowali komputer profesora z wydziału nauk ścisłych, zaproponowałem im spotkanie. Na moją opowieść o DIMAS-ie zareagowali entuzjastycznie. Zobaczyłem Ulyssesa i od razu wiedziałem, że mam

do czynienia z socjopatą. – Uśmiechnął się szeroko – I dzięki Ulyssesowi odniosłem sukces. Wszedłem do waszych głów. Pozostawiłem w nich ślad, który nigdy nie zniknie. Będę bohaterem twoich koszmarów, Lucio. Na zawsze.

Powstrzymała się od ciętej riposty.

– Dlaczego zabiłeś Alejandra i Assę? – zapytała.

– Trochę wcześniej tego wieczoru Alejandro usłyszał moją rozmowę z Ulyssesem. Nie mogłem ryzykować, że on albo Assa ci o tym powiedzą.

– A skąd Ulysses wiedział, że jesteśmy na jego tropie? Nawet ty o tym nie wiedziałeś.

Zarechotał.

– Ulysses o niczym nie wiedział. Spanikował, to wszystko. Coraz bardziej się bał, że do nas dotrzesz. Podejrzewam, że śmierć Alejandra i poczucie, że pętla się zaciska, skłoniły go do ucieczki. Ale zaraz potem zaczął do mnie pisać z nieznanego numeru, żebym do niego oddzwonił. Zrobiłem to. Był zagubiony, nie wiedział, co robić. Wykorzystałem to, że spałaś, żeby go uspokoić i sprowadzić do mieszkania, a potem dałem mu broń, którą przechowywałem od czasu pierwszego morderstwa. Swoją drogą nóż, jeśli potrafimy się nim posługiwać, jest o wiele dyskretniejszym i zabawniejszym narzędziem niż pistolet.

– Wróćmy do tego chłopca, do małego Óscara – powiedziała Lucia nagle lodowatym głosem.

Salomón zeszywniał.

– Nie dokończyłeś zdania, które zacząłeś na dziedzińcu: wiesz, co się z nim stało, prawda? – rzuciła.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu – prowokującego, a zarazem pełnego uznania.

– Kiedy tylko cię zobaczyłem, od razu wiedziałem, że będą kłopoty – zażartował. – Tak, to prawda. Nie kłamałem, mówiąc, że przez te wszystkie lata nie przestałem o nim myśleć.

– No i?

– No i nawiązałem kontakt z Bolcánem.

– Kiedy?

– Cztery lata temu, po morderstwie z Segowii. Wróciłem tam, odwiedziłem go.

– A więc tamtego dnia César cię rozpoznał...

– Tak. Ale oczywiście nie mógł nic powiedzieć.

– I cztery lata temu zapytałeś go, co zrobił z chłopcem – powiedziała, oddychając ciężko.

Atmosfera nagle zrobiła się ciężka. Profesor powoli pokiwał głową.

– Tak... Mały Óscar, chłopiec, którego nigdy nie odnaleziono... stał się Ángelem.

Lucia podskoczyła.

– Ángel to Óscar?

Salomón przytaknął.

– Naprawdę? W jaki sposób Bolcán mógł go wychowywać w ukryciu przez tyle lat?

– Pewnie słyszałaś o sprawie Nataschy Kampusch, Austriaczki porwanej w wieku dziesięciu lat i do osiemnastego roku życia przetrzymywanej w piwnicy? Albo o Jaycee Dugard więzionej osiemnaście lat przez pewną parę, po tym jak została porwana z przystanku autobusowego. W każdym przypadku ofiary stopniowo uzyskują coraz więcej wolności, autonomii. Tak samo było z Ángelem. Czy tam z Óscarem. Tylko że on nigdy nie próbował uciec. Pierwsze lata niewoli spędził w podziemnym pokoju na farmie, bez świadków, z dala od wszystkiego. Stopniowo Bolcán pozwolił mu wychodzić na parter, potem bawić się na zewnątrz. I pewnego pięknego dnia przedstawił go oficjalnie jako swoją pomoc domową. Wygląda na to, że Bolcán wypruwał sobie żyły, żeby Ángelowi niczego nie brakowało. I, co zaskakujące, Ángel nie przejawiał najmniejszych chęci oddzielenia się od swojego porywacza. Możliwe, że Bolcán podawał mu narkotyki.

Lucia pokręciła głową z niedowierzaniem.

– I Ángel nigdy nie próbował go wydać? Byli kochankami?

Borges wzruszył ramionami.

– Nie wiem, jaka była dokładnie natura ich stosunków. Wiem tylko, że rozwinęła się między nimi dziwna relacja. Ángel był bardzo przywiązany do Bolcána.

– Skoro mowa o przywiązywaniu. Jak to było z jego samobójstwem? Miałeś z tym coś wspólnego? – zapytała Lucia.

Zawahał się.

– Cóż, oprócz Ulyssesa César był jedyną osobą, dzięki której mogłaś trafić na mój trop. O Héctorze nie pomyślałem. Dopóki był wolny, na pewno by mnie nie wsypał, bo tym samym wsypałby siebie. Ale zacząłem się bać,

że go zatrzymasz. Albo że w końcu jego zbrodnie zostaną odkryte. Byłem pewien, że jeśli César wpadnie, pociągnie mnie za sobą.

– Jak to zrobiłeś? Przecież przez cały czas byliśmy razem. Ángel zniknął po śmierci Bolcána. Pomógł ci?

Salomón potwierdził.

– Pamiętasz tę noc, którą spędziliśmy w Graus? Widziałas, jak rozmawiałem z tymi młodymi ludźmi na placu. Powiedzieli mi, gdzie Ángel diluje, i poszedłem do niego. Zaoferowałem mu pieniądze za wysłuchanie mnie, wyjaśniłem, że mam mu coś bardzo ważnego do powiedzenia. Początkowo był trochę nieufny, ale pieniądze podziałały na tego młodego człowieka wręcz spektakularnie: kiedy tylko zobaczył banknoty, zgodził się. Powiedziałem mu, że wiem, kim jest i przez co przeszedł, oraz że wiem o rzeczach, które działy się na farmie. Na podstawie tego, czego dowiedziałem się od Bolcána cztery lata wcześniej, miałem niemal pewność, że z ofiary Ángel przeobraził się w kata i współnika Césara, że stał się takim samym perwersem jak jego porywacz. Miałem rację. Napędziłem mu cholernego stracha. Powiedziałem mu, że skończy w więzieniu razem z Césarem, że jest tylko jeden sposób, w jaki może tego uniknąć: pozbyć się Bolcána. I się ulotnić. Dałem mu pokąsną sumkę, powtarzam, Ángel bardzo lubi pieniądze, a on oświadczył, że wie, jak się do tego zabrać.

– A więc to Ángel powiesił Césara w stodole. I nie pytał, dlaczego chcesz go zabić?

– Pytał, oczywiście. Musiał pomyśleć, że jestem jednym z wielu koleśków, którzy w ciągu tych wszystkich lat przewinęli się przez farmę. Kimś, kto chce zatrzeć swoje ślady. Ale w przeciwieństwie do Bolcána Ángel nie wie, kim jestem ani co się wydarzyło w tunelach.

– Chyba że Bolcán mu powiedział – zasugerowała złośliwie Lucia.

Salomón pokręcił głową.

– Nie, nie, Ángel o niczym nie wie. Zorientowałbym się. Jestem świetny w rozgryzaniu ludzi, nie zapominaj o tym.

– A Miguel Ferran? Ten gwardzista, który się powiesił?

– Przypuszczam, że to César go zabił. Ale on sam nigdy mi tego wyraźnie nie powiedział, a ja po ostatniej wizycie przed czterema laty straciłem go z oczu.

Lucia wzięła głęboki oddech.

– A więc to także ty z pomocą Schwartza zabiłeś mojego kolegę. W jaki sposób zwerbowałeś Schwartza?

Twarz kryminologa rozpromienił uśmiech i wtedy Lucia pojęła, z jakim szaleńcem ma do czynienia.

– W Internecie jest mnóstwo miejsc i forów, gdzie można spotkać takich ludzi, wystarczy tylko umieć szukać. Zanim się poznaliśmy, porozmawialiśmy sobie online. Jak wiesz, Gabriel miał drobne problemy psychiczne. Z pomocą narkotyków, które znaleźliście w jego krwi, stworzyłem go według własnego pomysłu.

– Dlaczego mój kolega? – zapytała głosem, z którego przebijał się gniew ostry jak sztylet. – Dlaczego Sergio?

– Ponieważ był twoim partnerem. Kiedy postanowiłem włączyć cię do mojej gry, zanim przeszedłem do ataku, ciebie również obserwowałem, śledziłem. Jak wszystkich. Taki mam sposób działania.

Twarz Lucii poczerwieniała. Nie była już w stanie kontrolować nogi pod stołem. Pochyliła się w jego stronę.

– Wbrew temu, co napisałeś w liście, który zostawiłeś dla mnie w hotelu, nie mamy ze sobą nic wspólnego – warknęła. – Szukałam, ale niczego nie znalazłam.

– Ależ mamy – syknął, uśmiechając się.

On również się pochylił i wlepił w nią żarłoczne i niepokojąco nieruchome spojrzenie warana wpatrującego się w krokodylę jajo albo niemowlęcia ssącego pierś matki.

– Powinnaś poszukać lepiej, Lucio. Jesteśmy do siebie podobni: zbyt świadomi, żeby robić sobie złudzenia co do reszty ludzkości, zbyt nieprzejednani, żeby przebaczać, zbyt niezłomni, żeby chodzić na ustępstwa, i obydwójce zazdrościmy innym szczęścia...

– Jest dwanaście minut po północy, przesłuchanie zakończone – oświadczyła Lucia, wstając i dając gestem znak do kamery.

Epilog

Jesienny poranek. Chłodno, ale niebo jest czyste, jasne. Gdy dni robią się krótsze, pojawia się myśl, że życie tak właśnie wygląda: rok za rokiem mija coraz szybciej, piękna wiosna, wspaniałe lato, jesień, potem zima.

Zaparkowała samochód przed domem znajdującym się w ciągu ceglanych budynków przy calle Cascanueces, która przywodziła na myśl – może za sprawą tego jasnego słońca i parasolowatych sosen – wytworne angielskie przedmieście. Czyściutka ulica w luksusowej części Madrytu, oazie rezydencji Conde de Orgaz, dzielnicy ambasad i celebrytów. Znajduje się tam także liceum francuskie.

Pomyślała, że nigdy nie będzie miała środków, żeby zapewnić Álvarovi taki poziom życia. Obawiała się tylko jednego: żeby nowa partnerka jej eksmałżonka nie zmieniła go w panicza przyzwyczajonego, że dostaje wszystko bez najmniejszego wysiłku, który wyrośnie na aroganckiego, zarozumiałego człowieka.

Nagle drzwi się otwierają. Na szczycie schodów w porannym słońcu pojawia się Álvaro. W towarzystwie swojego ojca i Alicii, która w przeciwieństwie do drobnej czarnowłosej Lucii jest wysoką blondynką.

Nie zdając sobie z tego sprawy, Lucia tak mocno zaciska dłonie na kierownicy, że bieleją jej knykcie. Bierze głęboki oddech, po czym wysiada z samochodu, uśmiechając się sztucznie jak kopia Giocondy. Alicia trzyma w ręku czerwoną walizczkę jej syna. Mierzwi mu włosy, szepcze coś do ucha i Álvaro już pędzi do matki, jakby czekał tylko na ten sygnał. Lucia przytula go z całej siły i podnosi, a następnie odstawia na chodnik, by wziąć walizkę z rąk kobiety.

– Spakowałam jego karty Pokémon, nigdy się z nimi nie rozstaje, buty trekkingowe i krem na ukąszenia owadów.

Lucia o tym wie. Ma taki sam w swoim bagażu, ale nic nie mówi. Álvaro reaguje alergicznie na każde użądlenie pszczoły, osy czy ukąszenie

pająka, a ona zamierza zabrać go daleko od miasta. I od tej dzielnicy.

– I pamiętaj, żadnych suszonych owoców – dodaje Alicia.

Tym razem Lucia rzuca jej gniewne spojrzenie. Przesadziła.

– Był alergikiem, jeszcze zanim się pojawiłaś – odparowuje.

Młoda kobieta robi się czerwona jak piwonia i Lucia delectuje się tym małym, płytkim zwycięstwem.

– Jesteś pewna, że ten weekend za miastem to dobry pomysł? – pyta Samuel.

Kobieta zbywa pytanie milczeniem, otwiera tylne drzwi, czeka, aż syn się usadowi, i wraca za kierownicę.

– Odwiozę wam go w poniedziałek – rzuca.

Lucia widzi ich wymianę spojrzeń, ale nic jej to nie obchodzi. Na trzy dni ma syna tylko dla siebie. Rusza powoli, dom we wstecznym lusterku jest coraz dalej. Álvaro siedzi na tylnej kanapie podekscytowany, rozgadany, z kartami Pokémon na kolanach. Obok Rafael, który istnieje tylko w wyobraźni Lucii, na zawsze szesnastoletni, rozmawia i żartuje ze swoim siostrzeńcem. Porucznik Lucia Guerrero uśmiecha się za kierownicą z lekko wilgotnymi oczami, a za przednią szybą tańczy przebijające się przez korony drzew jesienne światło.

Dzwoni telefon. Nieznany numer. Lucia się waha. Rozmowa zostaje przełączona na pocztę głosową. Ostatnie liście migocą w słońcu. Conde de Orgaz to jedna z najzanieśszych dzielnic Madrytu. Właśnie ma coś powiedzieć do Álvaro, kiedy telefon dzwoni po raz drugi. Ten sam numer.

Lucia sięga po aparat spoczywający na fotelu pasażera.

– Halo?

– Czy pani Lucia?

Sztywnieje. Nie rozpoznaje tego głosu, ale ton mężczyzny nie wróży niczego dobrego.

– Tak.

– Jestem lekarzem pogotowia. Znaleźliśmy ten numer w kuchni pani Guerrero. Wezwała karetkę, źle się poczuła. Kiedy dotarliśmy na miejsce, była w śpiączce. Przewozimy ją do szpitala.

Podziękowania

Jednym z najbardziej ekscytujących aspektów mojego zawodu są spotkania, do których dochodzi w ramach przygotowań do pisania książki. Ta powieść, jak wszystkie inne, nie powstałaby bez pomocy i wyjaśnień ze strony wielu osób w Madrycie, Salamance, Paryżu i Graus (prowincja Huesca). Każda z nich na swój sposób przyczyniła się do tego, że cała ta historia nie odbiega zbyt daleko od rzeczywistości mimo gaf, które z pewnością się w niej znalazły i które są wyłącznie moją winą. Ostatecznie jeśli pisarz chce się całkowicie wyzwolić od rzeczywistości, może się zająć twórczością science fiction.

Na moje szczególne podziękowania zasługuje więc Eduardo A. Fabián Caparrós, profesor zwyczajny z Uniwersytetu w Salamance, który podobnie jak mój bohater wykłada kryminologię, a także grupa jego sympatycznych doktorantów i doktorów: Berta Álvarez Arranz, Cristina Fernández Gonzalez, Javier Sánchez Bernal, María Quintas Pérez i Selena Tierno Barrios. Dzięki nim choć do pewnego stopnia zrozumiałem funkcjonowanie USAL oraz wpadłem na pomysł umieszczenia namiotu Ulyssesa w tej niesamowitej suterenie (w której naprawdę wiszą portrety Charlesa Mansona i Teda Bundy'ego). Nauczanie kryminologii w wykonaniu Salomóna Borgesa nie jest jednak w najmniejszym stopniu podobne do oferowanego przez USAL. Podobnie grupa pod kierownictwem Eduarda A. Fabiána Caparrósa nie zajmuje się tropieniem seryjnych morderców, a DIMAS nie istnieje.

Kolejnym adresatem moich podziękowań jest Eduardo Hernández Pérez, „strażnik książek”, bibliotekarz o ujmującej erudycji, pracujący we wspaniałej bibliotece historycznej uniwersytetu, który otworzył mi drzwi do niedostępnego dla zwykłych użytkowników „świętego świętych”, w których przechowywane są tysiące inkunabułów i manuskryptów, a także sześćdziesiąt tysięcy książek wydanych między XVI a XIX wiekiem, i który tak miło mnie ugościł. Niestety wspaniałe wnętrza tego przybytku nie znalazły miej-

sca w mojej historii, w przeciwieństwie do nowoczesnej biblioteki wydziału prawa, do której najpilniej strzeżonych zasobów uzyskałem dostęp dzięki jej dyrektorce, Mariate Sorii Alonso (która w niczym nie przypomina Vanessy).

Dziękuję również Cruz Morcillo, dziennikarce i specjalistce od śledztw kryminalnych, pracującej dla hiszpańskiej prasy, radia i telewizji. Jej książka *Departamento de homicidios, una memoria de la España negra* (Libros de K.O., 2021) oraz odpowiedzi na moje pytania były dla mnie nieocenioną pomocą. Wyrazy wdzięczności niech przyjmą również José Jiménez Córdoba z Graus, klucznik niesamowitej bazyliki Virgen de la Peña, który pozwolił mi wejść na dach świątyni – miałem tam prawie takie same zawroty głowy jak Lucia – oraz jego małżonka Maria Amparo Mur Armisen oraz Asociación Amigos de la Peña. Skoro jesteśmy w Graus, moje podziękowania za gościnę niech przyjmą również Pedro Colomina Lafalla, Maria Gloria Lomillos Sopena, Javier Lomillos Sopena oraz Renate Rozeboom i ich dzieci (za *botellón*), a także Guardia Civil z Górnej Aragonii, której funkcjonariusze nie chcieli, bym wymieniał ich z nazwiska, ale którzy nie skąpili mi ani czasu, ani informacji. Nieopodal, bo w Lleidzie, rezyduje Rafa Melero, funkcjonariusz Mossos d'Esquadra i autor kryminałów noir, któremu również dziękuję za bardzo przydatne informacje. Za podzielenie się cenną wiedzą dziękuję też Josému Manuelowi Carbonerasowi Martinezowi z wydziału śledczego Guardia Civil w Almansie (prowincja Albacete).

Szczegóły raportu z sekcji zwłok, które trafiły do rąk Lucii, zawdzięczam Gastónowi Intelisanowi, technikowi kryminalistyki, radiologowi, technikowi sekcyjnemu, wykładowcy i oficerowi policji kryminalnej z prowincji Buenos Aires. Niejaka Begoña pracująca w antykwariacie La Galatea w Salamance sprzedała mi piękne wydanie *Don Kichota* z trzystoma pięćdziesięcioma sześcioma rycinami Gustave'a Dorégo (zakup słynnego czterotomowego wydania Ibarry z 1780 roku odłożyłem na później) – jej imię, bez jej wiedzy, nadałem jednej z moich postaci.

I na koniec lista pracowników wydawnictwa, którym jestem niezmiennie wdzięczny: Bernard Fixot, Édith Leblond, Renaud Leblond, Stéphanie Le Foll, Anissa Naama, Catherine de Larouzière, Bruno Barbette, David Streppe, Roxana Zaharia, Marine Papillon, Marie Salle i inni oraz, *last but not least*, Sarah Hirsch i Ève Sorin, które czynią z moich książek dzieła nie-

mal doskonale. Dziękuję też całemu zespołowi éditions Pocket, któremu zawdzięczam ubiegłoroczny sukces mojej *Doliny*. I wreszcie – moje cenne hiszpańskie kontakty zawdzięczam obyciu i znajomościom Lucii, przepraszam: Laury, która – któż to wie? – może i ma coś wspólnego z moją nową bohaterką...

Bibliografia

- John Douglas, Mark Olshaker, *Mindhunter. Tajemnice elitarnej jednostki FBI zajmującej się ściganiem seryjnych przestępców*, przeł. J. Konieczny, Znak Literanova, Kraków 2017.
- Cristina García Rodero, *Espagne occulte*, Contrejour, Paris 1990.
- Vicente Garrido Genovés, Patricia López Lucio, *El rastro del asesino, El perfil psicológico de los criminales en la investigación policial*, Ariel, Barcelona 2006.
- Ian Hacking, *L'Âme réécrite, étude sur la personnalité multiple et les sciences de la mémoire*, przeł. z jęz. angielskiego Julie Brumberg-Chaumont i Bertrand Revol, „Les Empêcheurs de penser en rond”, Institut Synthélabo, Le Plessis-Robinson 1998.
- Daniel Keyes, *Człowiek o 24 twarzach*, przeł. A. Bartkowicz, Wielka Litera, Warszawa 2021.
- Cruz Morcillo, *Departamento de homicidios, una memoria de la España negra*, Libros del K.O., Madrid 2021.
- Patrick Morvan, *Criminologie*, LexisNexis, Paris 2019.
- Owidiusz, *Listy z Pontu*, [w:] *Owidego Nazona wiersze na wygnaniu pisane*, przeł. J. Przybylski, Kraków 1802.
- Owidiusz, *Metamorfozy*, przeł. A. Kamieńska, S. Stabryła, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1995.
- Owidiusz, *Przemiany*, przeł. B. Kiciński, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1953.
- Owidiusz, *Żale*, przeł. E. Wesołowska, M. Puk, *Ars Nova*, Poznań 2002.
- José Antonio Sánchez Sánchez (red.), *Medicina legal y forense*, t. I i II, Tirant lo Blanch, Valence 2018.

Andrés Sotoca Plaza, José Luis González Álvarez, Lucía Halty Barrantieta, *Perfiles criminales, Principios técnicos y aplicaciones*, Síntesis, Madrid 2019.

Salamanque artistique et monumentale, Edilera, Zamora 2015.

*Do wszystkich moich, z każdym dniem coraz liczniejszych, czytelników –
z Hiszpanii, a także z Ameryki Łacińskiej, krajów arabskich, Australii,
Austrii, Belgii, Bułgarii, Danii, Grecji, Holandii, Indonezji, Izraela, Japo-
nii, Kanady, Korei, Łotwy, Norwegii, Polski, RPA, Rumunii, Rosji, Serbii,
Słowacji, Szwajcarii, Tajwanu, Czech, Turcji, Ukrainy, USA, Wielkiej Bryta-
nii, Węgier, Wietnamu, a przede wszystkim z Francji:
dziękuję!*

FOTOGRAFIE W KSIĄŻCE

Rozdział 42

Fotografia 1: *Kefalos i Prokris* (malarz nieznany)

Olej na płótnie, XVII wiek

© Musée des Beaux-Arts, Tours (autor zdjęcia DR)

Fotografia 2: *Śmierć Hiacynta* (szkoła włoska, XVII wiek)

Olej na płótnie, XVII wiek

Musée Thomas-Henry, Cherbourg © Bridgeman-Giraudon (autor zdjęcia DR)

Fotografia 3: *Pyram i Tyzbe* (Jean-François de Troy)

Olej na płótnie, XVIII wiek

© Kolekcja prywatna (autor zdjęcia DR)

Inne książki Bernarda Miniera

Bielszy odcień śmierci, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2012.

Krąg, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2013.

Nie gaś światła, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2014.

Paskudna historia, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2015.

Noc, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2018

Siostry, przeł. Monika Szewc-Osiecka Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2019.

Na krawędzi otchłani, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2019.

Dolina, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2020.

Polowanie, przeł. Monika Szewc-Osiecka, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2021.

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Mapy

Prolog

LUCIA

1. Poniedziałek wieczór

2. Poniedziałek wieczór

3. Poniedziałek wieczór

4. Poniedziałek wieczór

SALOMÓN

5. Poniedziałek rano

6. Poniedziałek południe

7. Poniedziałek po południu

8. Poniedziałek po południu

9. Poniedziałek wieczór

SALOMÓN I LUCIA

10. Poniedziałek wieczór

11. Poniedziałek wieczór

12. Wtorek rano

13. Wtorek rano

14. Wtorek rano

15. Wtorek rano

16. Wtorek po południu

17. Wtorek po południu

18. Wtorek wieczór

19. Środa rano

20. Środa wieczór

21. Środa wieczór

TANIEC Z DIABŁEM

22. Czwartek rano

23. Czwartek wieczór

24. Sobota rano

25. Sobota po południu
26. Sobota po południu
27. Sobota wieczór
28. Noc z soboty na niedzielę
29. Niedziela rano
30. Niedziela wieczór
31. Niedziela wieczór
32. Noc z niedzieli na poniedziałek
33. Poniedziałek rano
34. Poniedziałek po południu
35. Poniedziałek po południu
36. Poniedziałek po południu
37. Poniedziałek wieczór

PRZEMIANY

38. Wtorek rano
39. Wtorek rano
40. Wtorek wieczór
41. Wtorek wieczór
42. Wtorek w nocy
43. Noc z wtorku na środę
44. Środa rano
45. Środa rano
46. Środa rano
47. Środa wczesne popołudnie
48. Środa po południu
49. Środa wieczór
50. Czwartek rano
51. Czwartek rano
52. Czwartek rano
53. Czwartek rano
54. Czwartek po południu
55. Czwartek wieczór
56. Czwartek wieczór
57. Czwartek wieczór
58. Noc z czwartku na piątek
59. Piątek wieczór

60. Piątek wieczór
Epilog
Podziękowania
Bibliografia
Podziękowania
Fotografie w książce
Polecamy
Strona redakcyjna

Tytuł oryginału: *Lucia*

Copyright © XO Éditions 2022
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2022

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Elżbieta Bandel

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Michał Pawłowski/www.kreskaikropka.pl

Fotografia na okładce
© Plainpicture/Marie Tercafs

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Lucia*, wyd. I, Poznań 2023)

ISBN 978-83-8338-699-7

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61 867 81 40, 61 867 47 08
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**